

**PRAWDOPODOBIENSTWO**

**PRZESTRZEŃ  
PRAWDOPODOBIENSTWA**



**Księga 3 cyklu Prawdopodobieństwo**

**Probability Space**

**Przełożył Robert J. Szmidt**

## **PODZIĘKOWANIA**

Pragnę podziękować zarówno memu redaktorowi z wydawnictwa TOR, Jimowi Minzowi, jak i memu mężowi, Charlesowi Sheffieldowi, za ich liczne pomocne sugestie wysunięte w trakcie przeglądania rękopisu. Nikomu nie jest księga przeznaczona otwartą Bóg tylko chwil obecnych oświeca nas kartą.

*Dla Jamiego*

## **PROLOG**

*Mars, lipiec 2168 roku*

Bellington Wace Arnold reprezentujący spółkę Arnold Interplanetary przybył do swego wystawnego biura dość późno. Słońce zdążyło się już wznieść nad marsjański horyzont widoczny za oknem ostatniego piętra i piezoelektryczną kopułą Lowell City. Tego dnia widoku nie przesłaniały tumany kurzu. Niebo było tylko lekko różowawe, a Arnold bez trudu sięgał wzrokiem aż do kanciastego konglomeratu budynków kosmoportu.

– Uaktywnić system. Podać wiadomości.

– *Dzień dobry, panie Arnold. Ma pan pięć wiadomości.*

Oznaczało to pięć „przeznaczonych wyłącznie dla pańskich uszu” transmisji; pozostałymi zajął się personel. Ekran ścienny rozjaśnił się i nabrał cech wideo. Słuchając, Arnold zasiadł za biurkiem i zabrał się do przeglądania wydruków, które sekretarka pozostawiła mu do wglądu. Krzesło – wystarczająco obszerne, aby pomieścić jego zwaliste ciało – zostało wykonane z ziemskiej skóry pochodzącej z cieląt genetycznie zmodyfikowanych tak, aby po wyprawieniu ich skóra nabierała jego ulubionego szaroniebieskiego odcienia.

Pierwsze cztery wiadomości nie wymagały niepodzielnej uwagi Arnolda, aczkolwiek dwie z nich dotyczyły transakcji liczonych w miliardach kredytów. W czasie wojny łatwo było zbić majątek, pod warunkiem że człowiek znał się na rzeczy. Im dłużej trwała wojna z Fallerami, tym majątniejsza stawała się spółka Arnold Interplanetary.

Jednakże ostatnia wiadomość sprawiła, że Arnold podniósł spojrzenie. Niestety przekaz był wyłącznie głosowy, w całości pozbawiony obrazu.

– *Nagranie z kokpitu prywatnego statku kurierskiego o numerze rejestracyjnym jeden-cztery-trzy-osiem-siedem, czas nagrania trzeci lipca dwa tysiące sto sześćdziesiątego ósmego roku. – Czyli wczoraj.*

Po zapowiedzi rozległ się głos syna Arnolda, Laszła Damroschera.

– Tee-ego nie powinno tu bycz.

Powoli – i niepotrzebnie – Arnold podniósł się z kosztownego krzesła. Wszystkie linie jego ciała się na-

pięły. Stateczek był prezentem urodzinowym z okazji osiemnastki Laszla. Arnold zdawał sobie sprawę, że go nie kocha. Słabego, płacznego i łatwo ulegającego wpływom chłopaka ciężko było kochać. Aż dziw, że taki się urodził Bellingtonowi Wace'owi Arnoldowi, na którego obronę należy jednak powiedzieć to, że Laszlo nie był wyłącznie jego synem. Do czegoś takiego trzeba dwojga.

Arnold na szczęście miał innych synów, lepszych, prawowitych. Mimo to zawsze łożył na Laszla, choć na myśl, że ten kiedykolwiek będzie potrzebował pieniędzy, chciało mu się śmiać. Laszlo bowiem był jedynym spadkobiercą swojej matki.

Tak czy owak dobrym pomysłem wydawało się sprawdzenie, dokąd Laszlo poleci stateczkiem i co będzie robił po drodze. Mogło to zapobiec kłopotom, wstydom, a może nawet pozwom sądowym. W tym celu stateczek został bez wiedzy Laszla wyposażony w automatyczny system nagrywająco-nadający. Sprytny programik wybierał i transmitował wyłącznie te nagrania, które mieściły się w określonych kryteriach. Przedział kryteriów był dosyć szeroki i nie wróżył niczego dobrego.

– Tee-ego nie pwinno tu bycz. – Głos Laszla bardzo pijanego.

– Czszeego nie powinno bycz gdzieee? — Jakiś inny młody mężczyzna, tylko nieznacznie mniej pijany. – To zwykła asssteroida.

– Nie pwinno jej tu bycz – upierał się Laszlo. – Na-lej mi jeszcze bąbelków.

- Wyszły. Wychlałeś do osstaniej kropelki, ty świ-  
niooo!
- Nie ma bą... hep!... belków? No to wracajmy do  
domu!
- To zwykła ass... Nie, to dwie asssteroidy.
- Dwie! – ucieszył się nie wiadomo z czego Laszlo.
- Ssskąd one się wzięły? Nie powinno ich bycz. Nie  
tu, na komputerze.
- Za... hep!... żaden problem. Grawitacja. To ona  
miesza. No wiesz... Joo-owisz.
- Zestrzelmy je!
- Ta jest! – podniecił się Laszlo i znowu czknął.
- Jaką masz tu broń? Pewnie żadnej, ccco? To tylko  
zabawka bogatego chłoptasia, a nie żaden tam ssstatek  
kurierski...
- Właś... właśnie że mam broń. Tato o niiiiiczym nie  
wie. Przemyciłem.
- Z ciebie to jest numer, Laszlo!
- A jak! Hep! I mama też nie wie. O tej broni, zna-  
czy.
- Na pewno? Twoja sssłynna mamuśka wie niema-  
ło. Albo mało. Boże, to jej ciało... Widziałem ją w jed-  
nym ssstarym...
- Przymknij się, Conner! – odezwał się Laszlo dzi-  
ko i nagle zaczął mówić wyraźniej. – Komputer, akty-  
wować... no, jak to było?
- System uzbrojenia, głąbie. Chryste, Laszlo, ty to  
muisz powiedzieć. No wiesz, aktywacja głosowa.
- Aktywować system uzbrojenia!
- Hej, właśnie dostaliśmy wiadomość z asteroidy –  
ożywił się Conner, również odzyskując zdolność zrozu-



miałego mówienia. – Ludzie! Może to jakieś dziewczyny?

– *Zbliżacie się do strefy zamkniętej* – rozległ się mechaniczny głos. – *Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.*

– Nie chcą nas tam! – poskarżył się Conner. – Strzelaj!

– Czekać... może...

– *Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.*

– Pierdolone żmije! – wykrzyknął Conner. – No już, strzelaj!

– Ale ja...

– Pierdolony tchórz!

– *Ostatnie ostrzeżenie! Wdarliście się do strefy zamkniętej i wysokiego zagrożenia.*

*Zawróćcie i natychmiast się oddalcie albo wasza jednostka zostanie ostrzelana.*

Wtem dało się słyszeć czwarty głos; ktoś wyrzucał z siebie gorączkowo:

– Do niezidentyfikowanej jednostki... SOS... Pomocy! Jestem tu więziony!

– Mówi Tom Capelo...

Po czym nastąpił krótki świdrujący dźwięk.

– *Koniec nagrania* – obwieścił system Arnolda. – *Transmisja zakończona.*

Arnold stał pośrodku ucichłego nagle biura. Próbował rozważyć to na zimno, bez pośpiechu.

Impuls elektromagnetyczny, który niósł ten ostatni przekaz ze statku kurierskiego, mknął z prędkością światła w stronę jednego z tysięcy satelitów krążących na orbicie Marsa. Następnie wiadomość została rozkodowana



i przekazana na satelity bliższe powierzchni Marsa. Mi-nionej nocy, gdy Arnold spał, wiadomość dotarła tu w zaledwie parę minut. Zajęło jej to mniej czasu niż fali uderzeniowej. Krótki świdrujący dźwięk na końcu transmisji świadczył o użyciu broni protonowej.

Laszlo Damroscher zginął.

Arnold nie winił tego, kto zestrzelił jego syna. Laszlo znalazł się tam, gdzie nie powinien był się znaleźć, został należycie ostrzeżony, był w takim wieku, że zrozumiał ostrzeżenie, a mimo to go nie usłuchał. Laszlo, Conner i chłopiec z tego drugiego statku, Tom, zabawili się w wojnę, podczas gdy na świecie toczyła się prawdziwa wojna, udawali kogoś sławnego, aby podbudować swoje żalosne ego... co za nieodpowiedzialność. W wykonaniu całej trójki. Wszystko jedno: korporacja czy rząd, każdy ma prawo chronić swoją własność. To się rozumie samo przez się. Ta strefa zamknięta najprawdopodobniej obejmowała rządowe instalacje wojskowe, przez co okoliczności śmierci Laszla nie zostaną nawet zbadane w trakcie procesu. Było nie było, trwała wojna.

Nieodpowiedzialność, która doprowadziła do tego, że Laszlo zginął, z całą pewnością nie wzięła się z materiału genetycznego przekazanego chłopakowi przez Arnolda. Arnold popełnił w życiu tylko jeden błąd, którego skutkiem były narodziny Laszla. Może i należało go winić o jeszcze parę rzeczy, ale na pewno nie o śmierć syna. Za to winę ponosił ktoś zupełnie inny.

Tylko że...

Ku własnemu zdziwieniu Arnold utracił raptem swój wyważony obiektywizm. Zalała go fala wspo-

mnień: przyście na świat Laszla, śliczne niemowlę w ramionach olśniewającej matki. Laszlo raczkujący na podłodze tego gabinetu, wyciągający krótkie rączki, żeby go podnieść. Laszlo prowadzący czerwony samochódzik, uśmiechnięty i roześmiany. Laszlo po raz pierwszy drukujący swoje nazwisko, mimo że nie do końca było to jego nazwisko: LASZLO D. ARNOLD...

Łzy nieoczekiwanie zapiekły Arnolda pod powiekami. Zataczając się, wrócił za biurko. Zrozumiał, że chyba jednak kochał swego utraconego właśnie syna. Aczkolwiek nie tak mocno jak matka, która rozpieszczała chłopaka, psuła go na wszystkie sposoby i ostatecznie przyczyniła się do jego zguby.

Na myśl o Magdalenie łzy obeschły Arnoldowi. Będzie musiał się z nią skontaktować, zawiadomić ją... Przesłać jej nagranie. Arnold przez długie lata za wszelką cenę starał się unikać kontaktów z tą suką. Cóż, teraz też ograniczy się do zdawkowej informacji, wykorzystując nagraną wiadomość. Reakcja Magdaleny na wieść o śmierci syna bez wątpienia będzie gwałtowna, pozbawiona znamion racjonalności, mściwa. Groźna.

Przynajmniej może sobie ją darować.

1.

*Cambridge, Massachusetts, Federacja Atlantycka,  
Ziemia, trzy miesiące wcześniej*

Czasami Amandzie Capelo wydawało się, że ma najlepsze życie ze wszystkich koleżanek uczęszczających do Akademii Saulera. Ojciec kochał ją i jej siostrę znacznie bardziej, niż inni ojcowie kochali swoje córki. Każdy to widział. Do tego jej ojciec był sławny, a macocha Carol miła. A przecież Amandzie mógł się trafić ktoś równie okropny jak Thekli Carter po rozwodzie rodziców. Tymczasem Carol była równą babką. W szkole Amanda zbierała dobre oceny, miała mnóstwo przyjaciół i nawet jako czternastolatka wiedziała, że jest niebrzydka i ma szansę zostać w przyszłości prawdziwą pięknoscią. Zamierzała pójść na studia i pracować jako naukowiec tak jak ojciec, aczkolwiek nie chciała być fizykiem, ponieważ matematyka nie była jej mocną stroną. Zastanawiała się nad biologią. Na razie cieszyła się domem, ładnymi ubraniami i dorocznymi wakacjami na Marsie u cioci Kristen i wujka Martina. Krótko mówiąc: osiągnęła dobrą pozycję w kontinuum czasoprzestrzennym – jak lubił mawiać jej ojciec i z czym Amanda całkowicie się zgadzała.

Wszelako kiedy indziej odnosiła wrażenie, że jest wiecznie przerażona. Od śmierci matki zawsze się bała. Obawiała się, że Faberowie zaatakują Układ Słoneczny.

Drżała, że coś złego przytrafi się jej ojcu albo Sudie lub cici czy wujkowi. Strachem napawała ją myśl, że ojciec straci pieniądze i będą musieli się przenieść do jednej z tych okropnych dzielnic, które pokazywano w holowizji. Jednakże dopiero gdy pewnej nocy jacyś mężczyźni przyszli po jej ojca i zabrali go ze sobą, Amanda się dowiedziała, co to prawdziwy strach.

Wieczór rozpoczął się źle, kłótnią z ojcem. Zanim ukończyła trzynasty rok życia, nigdy się nie kłócili, ale odkąd zaczęli przed półtora rokiem, nie mogli przestać. Amanda kochała ojca bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, nie rozumiała jednak, czemu wiecznie zawirusowuje jej programy. Inni ojcowie w niczym go nie przypominali. Ojciec Thekli pozwalał jej chodzić samej do holokina, Juliana mogła uprawiać swobodne spadanie, a Yaeko rozmawiała ze swoim tatą dosłownie o wszystkim. Tom Capelo nie chciał rozmawiać o wielu sprawach. Amanda rozmyślała o tym wszystkim, zakradając się do sypialni ojca. Nie powinna tego robić. Lecz Tom był na dole w swoim gabinecie, gdzie zajmował się fizyką, a jak wiadomo, kiedy to robił, zapominał o świecie. Jej, Amandy, nie wyłączając. Dziewczynka posmutniała, uświadomiwszy to sobie. Zaraz jednak poprawiła się w myślach. Nieprawda, tata mnie kocha. Tylko że albo mnie tłamsi, albo ignoruje. Czemu nie może być normalny?!

Po cichutku zamknęła za sobą drzwi jego sypialni, po czym równie cicho wyciągnęła pudło ukryte pod łóżkiem. Miało rozmiary metr na metr i piętnaście centymetrów wysokości i było wykonane z nieprzezroczystego niezwykle silnego tworzywa zaprojektowanego z myślą

o dłuższym przechowywaniu rzeczy w niesprzyjających warunkach. Zostało wyposażone w zamek elektroniczny, do którego szyfr Amanda zmyślnie odkryła. Nie było to trudne – szyfr stanowiły cyfry składające się na datę urodzenia jej matki. Aż dziw, że słynny na cały świat fizyk nie wymyślił czegoś oryginalniejszego.

A może wcale nie było w tym niczego dziwnego.

Amanda poczuła kulę w gardle jak zawsze, gdy otwierała to pudło. Odłożywszy na bok kilka kostek informacyjnych i dwa mniejsze pudełka, wyjęła sukienkę. Serce rozpoczęło swój dudniący taniec. Tym razem nie zamierzała tylko patrzeć na sukienkę; tym razem chciała ją przymierzyć.

Na Koronusie panna młoda wdziewa żółć, kolor słońca. Ojciec powiedział jej o tym dawno temu, kiedy jeden jedyny raz pokazał jej tę sukienkę. Amanda przypuszczała wtedy, że się upił, co nie było do niego podobne. Później się dowiedziała, że tego dnia wypadała rocznica śmierci jej matki. Nigdy więcej nie uczynił żadnej wzmianki na temat rzeczy po zmarłej żonie. Zatrzymał je jednak nawet po powtórny ożenku.

Wepchnąwszy pudło pod łóżko, Amanda zrzuciła buty, tunikę i spodnie. Wsunęła sukienkę przez głowę i przejrzała się w dużym lustrze Carol.

W minionym roku ciało Amandy nabrało krągłości, które do tej pory ją zdumiewały, chociaż w skrytości ducha była z nich zachwycona. Yaeko nadal była praktycznie płaska jak deska, a Thekla najbardziej przytyła w pasie. Mimo to Amanda zazdrościła Thekli oczu. Tak czy owak w tej sukience wyglądała bardzo ładnie, a także – ze względu na wzrost – sprawiała wrażenie starszej

niż w rzeczywistości. Żółty materiał opinał ciasno jej klatkę piersiową i spływał faliście po biodrach i udach, jakby strój został uszyty na jej miarę. Karen Capelo była drobnej budowy ciała, podobnie jak Tom i Sudie, Amanda za to wdała się w ciocię Kristen. Ale ze swoimi długimi jasnymi włosami i szarymi oczami przypominała też mamę. W przeciwieństwie do młodszej siostry Amanda pamiętała matkę. Miała prawie osiem lat, kiedy Karen zginęła w ataku wroga na sielską planetę.

Czy była ładniejsza od Karen? Nie, raczej nie. Matka miała przeuroczą twarz. A nos Amandy był nieco za długi, czoło zdawało się nazbyt pomarszczone, a broda... z brodą w ogóle było coś nie tak. Co za szkoda, że rodzice okazali się takimi konserwatystami i nie pozwolili na żadne modyfikacje genetyczne u swoich dzieci. Mało kto w dzisiejszych czasach jest takim dinozaurem. Thekla na przykład ma takie cudowne zielononiebieskie oczy, których kształt i kolor jest wynikiem inżynierii genetycznej, i jeszcze...

Usłyszała na schodach kroki Toma.

Żołądek zwinął się jej w supeł. Właściwie nie powinna być w domu, tylko na pływaniu, ale urwała się z zajęć i przyjechała wcześniej, czego nie wolno jej było robić. Zamierzała schodzić ojcu z oczu, póki nie wybije godzina, o której w normalnych okolicznościach ochroniarz Yaeko podrzuciłby ją pod dom, i udawać, że dopiero co wróciła. Wiedziała, że jeśli ojciec ją przyłapie, będzie na nią bardzo zły. W panice kopnęła zrzucone ubrania pod łóżko, a następnie ukryła się w garderobie. Nie śmiała domknąć za sobą drzwi, ponieważ Tom już

wchodził do sypialni. Zostawiła niewielką szczelinę, przez którą mogła patrzeć jednym okiem...

To nie był jej ojciec! Przez moment Amanda sądziła, że człowiekiem, na którego patrzy, jest Dieter Gruber: potężny blondyn zmodyfikowany w każdym calu. Tylko że Gruber został na Świecie, na drugim krańcu Galaktyki, i tkwił tam już od dwóch lat, a poza tym zawsze zachowywał się niezdarnie i głośno. Tymczasem ten mężczyzna skradał się cicho jak kot.

Zajrzał do sypialni, obrzucił wzrokiem pomieszczenie, po czym wycofał się na korytarz.

Amanda zacisnęła mocno powieki. *Kto to może być? Co się dzieje? Co powinnam zrobić?*

Ostrożnie otworzyła drzwi garderoby, wyslizgnęła się i lekko odchyliła zasłonę. Na zewnątrz stał samochód i drugi mężczyzna. Poza tym ulica była pusta i cicha, jak to w kwietniowy wieczór, pilnowana przez szpaler drzew, dla których Tom Capelo zdecydował się zamieszkać na przedmieściach Cambridge.

*„Skoro już muszę się zadawać z tymi głupkami z Harvardu – mawiał – przynajmniej nie będę z nimi mieszkał”.*

Ojciec Amandy wyszedł z domu w towarzystwie trzeciego mężczyzny. Dziewczyńce wydawało się, że idzie jakoś dziwnie. Był zbyt opanowany, zbyt cichy, nie wymachiwał rękami ani nic nie mówił. Nigdy tak nie chodził. Przyglądała się, jak wsiada do samochodu z tamtymi dwoma, po czym zobaczyła, jak dołącza do nich len trzeci, który przed chwilą był na piętrze. Później samochód odjechał.



*Może ojciec ma jakieś spotkanie na uczelni i zostawił mi karteczkę?... Pognała pędem na dół, żeby to sprawdzić. Jednakże zanim dotarła do kuchennego stołu, na którym zawsze zostawiali sobie wiadomości, wiedziała już, że nie chodzi o żadne spotkanie na uczelni. Tamten potężny blondyn był w ich domu, a potem wyprowadził ojca w taki sposób, jakby mu coś zrobił. Na przykład jakby nafaszerował go lekami czy czymś.*

Powinna zawiadomić policję.

*„Siedemdziesiąt procent to bełkoczące niezdary o inteligencji nogi od stołu – mawiał Tom Capelo o policjantach – a pozostałe trzydzieści procent co najmniej w połowie trzyma sztamę z przestępcami”.*

Co będzie, jeśli Amanda zadzwoni na policję i trafi się jej jeden z tych, co trzymają sztamę z przestępcami, to jest z tymi, którzy zabrali ojca? Albo nawet jeden z tych głupich jak noga stołowa, co nie będzie wiedział, jak się zachować? Tom Capelo z pewnością uznałby piętnaście procent za prawdopodobieństwo niewarte ryzyka.

Amanda stała w bezruchu.

*„Myśl – radził jej zawsze ojciec. – Ogarnij problem umysłem. Po to masz mózg”.*

Zatem musiała się nad tym wszystkim zastanowić.

Nie mogła zadzwonić na policję. Policjanci mogli mieć w tym swój udział. Nawet w szkole słyszała, jak koleżanki poszeptują, że rząd się rozpada, przez co zaginął czyjś wuj czy kuzyn. Oczywiście dotyczyło to tego dużego rządu na Marsie, a nie któregoś z małych na Ziemi, ale... Żadnemu rządowi nie można ufać. Ba, nikomu nie można.

No, z wyjątkiem cioci Kristen mieszkającej w Lowell City. Tylko że jeśli Amanda skontaktuje się z nią, mężczyźni, którzy zabrali jej ojca, dowiedzą się o tym. Rozmowy były kontrolowane, szczególnie te z mieszkańcami stolicy Marsa i nawet te szyfrowane. W najlepszym razie nie wychodziła na jaw treść rozmowy, lecz sam fakt przeprowadzenia jej. O tym wiedziało każde dziecko – dzięki holowizji. W dodatku ZISYDO nagrywał wszystko, co się działo przy głównym wejściu i przed oknami na parterze. Żli panowie bez wątplenia przypomną sobie o zintegrowanym systemie domowym i pokonają jego zabezpieczenia (nawet Amanda to potrafiła), by zniszczyć dowody porwania. Robiąc to, dowiedzą się, że dziewczynka przez cały czas była w domu, i przyjdą także po nią.

Być może już są w drodze po nią!

Musiała uciekać, szybko, natychmiast. Jednakże nie mogła się udać do siostry Carol, gdzie przebywały Carol i Sudie, ponieważ źli panowie z pewnością to wiedzą i gdyby ona też tam poszła, mieliby je wszystkie w garści. Nie mogła na to pozwolić, gdyż była jedynym świadkiem porwania Toma Capelo. W razie czego będzie świadczyć w sądzie. Najpierw jednak musiała zorganizować pomoc dla ojca... Musiała zwrócić się do kogoś zaufanego, do kogoś, kogo źli panowie nie posądzą o znajomość z nią, a przy tym kogoś bogatego i wpływowego na tyle, aby był w stanie pomóc. Tego również Amanda nauczyła się z holowizji. Marbet Grant. Na Lunie.

Amanda poczuła, jak uchodzi z niej powietrze, i o mało się nie rozpląkała z ulgi. Marbet była idealnym

wyborem. Nikt nie pomyśli o tym, aby szukać Amandy na Lunie. Do tego Marbet była najmilszą, najbystrzejszą, najlepszą osobą, jaką dziewczynka знаła. W gruncie rzeczy skrycie miała nadzieję, że jej ojciec ożeni się z Marbet. Chociaż Carol też była miła i być może nawet lepiej się nadawała na żonę Toma Capelo niż Marbet, która była Wrażliwcem. Tom Capelo bowiem miał zbyt swarliwą naturę, aby wyszedł mu na zdrowie związek z kimś, kto z dużą dozą prawdopodobieństwa umie przejrzeć jego myśli.

Podjąwszy wreszcie decyzję, Amanda nabrała tempa. Popędziła do swojego pokoju, włożyła buty i wepchnęła do torby parę czystych sztuk odzieży i przybory toaletowe. Przez cały czas gorączkowo rozmyślała. Ojciec zdradził jej szyfr do sejfu. Mogła więc kazać ZI-SYDO, aby go otworzył, i zabrać swój paszport. Zaraz się jednak zastanowiła, czy to nie pomoże jej wysledzić. Machnęła na to na razie ręką, wzięła paszport i wszystkie pieniądze. Na koniec zabrała jeszcze niewielką sakiewkę z niebieskiego plastiku, w której trzymali kamyczki z wugu.

Wug... Rozmigotana jaskinia na Świecie przypominająca legendarny Sezam. (Ina i Sudie były tam tylko raz, gdy ich ojciec dokonywał ważnych odkryć na odległej planecie. Dieter Gruber pozwolił dziewczynkom nabrać garście diamencików i złotych samorodków, których pełno było na ścianach i na podłożu. Sudie oczywiście chciała się nimi wyłącznie bawić, ale Amandę ciekawiło, skąd się tam wzięły. *„Kiedyś musiała się tu znajdować kaldera wulkanu – wyjaśnił wtedy Gruber. –*

*Złoto wytrąca się z krążącej wody podgrzewanej przez magmę...”*

*Jakże dawno temu to było! Byłam wtedy jeszcze dzieckiem.*

Umieściła sakiewkę w kieszeni i dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że ma na sobie wciąż sukienkę matki. No i bardzo dobrze. Dzięki niej będzie się wydawała starsza. Wtem wpadła jej do głowy pewna myśl. Pobiegnęła z powrotem do sypialni ojca, złapała przybory do makijażu Carol i upchnęła je w swojej torbie.

Wyłączyła ZISYDO i wymknęła się przez tylne drzwi. Momentalnie zniknęła między drzewami rosnącymi za domem. Często tam się bawiła z przyjaciółmi, znała więc ten las jak własną kieszeń. Ojciec nazywał go „lasem po manikiurze” i „podmiejskim parkiem wersalskim”, nie wróżąc im spotkań wyższego stopnia / dziką zwierzyną, ale co z tego?

W lesie pachniało wiosenną glebą, woń była intensywna i orzeźwiająca. Panował chłód i Amanda zadrżała z zimna, przemykając pewnym krokiem po ścieżynkach oświetlonych blaskiem księżyca. Niestety zapomniała o jakimś wierzchnim okryciu.

Kwadrans później wychynęła z drugiej strony lasu, kilka przecznic od domu. Przeszła na róg ulicy i złapała magnebus do Cambridge. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, w środku roilo się od młodzieży tylko nieznacznie od niej starszej. (A jej ojciec utrzymywał, że jest za młoda, by jeździć magnebusem wieczorami!). Zajęła miejsce z tyłu, w ostatnim rzędzie, i położywszy lusterko Carol na kolanach, zaczęła się malować, ściągając obowiązkowo usta w ciup.

No, teraz prezentowała się o wiele poważniej. Może nawet wyglądała na szesnastolatkę.

*A jeśli porywacze zabili ojca?*

*Nie, to niemożliwe.* Prawdopodobieństwo czegoś takiego było bardzo małe. Tom Capelo był słynnym fizykiem, porywacze potrzebowali go żywego zapewne po to, aby rozwiązał dla nich jakiś problem naukowy. Tak! Amanda zakazała sobie gdybania i skoncentrowała się na kwestii, jak mu pomóc.

„*Myśl. Ogarnij problem umysłem. Po to masz mózg...*” – dźwięczały jej w uszach słowa ojca.

Na dworcu w Cambridge przyglądała się wszystkim znakom uważnie, aż rozgryzła, gdzie kupić bilet na pociąg do Kosmoportu Waltona położonego w środkowej części stanu. Zapłaciła w automacie pieniędzmi, dzięki temu nikt nie mógł jej wysledzić. Wprawdzie w pociągu nie było ani jednego dziecka, ale na Amandę nadal nikt nie zwracał uwagi. Dziewczynka siedziała sztywno na swoim miejscu, starając się wyglądać jak najdorosłej i nie przejmować się tym, że jej ojciec został porwany i że ona boi się o życie jego i swoje, i że nic nie jest takie jak przed dwiema godzinami, gdy zależało jej tylko na tym, aby sprawdzić, czy będzie jej ładnie w żółtej sukience po matce.

## 2.

*Kosmoport Waltona, Federacja Atlantycka, Ziemia*

W kosmoporcie Amanda napotkała pierwsze poważne problemy. Po pierwsze, nie dało się kupić biletu na Lunę, nie okazując paszportu na swoje nazwisko, a przecież mężczyźni, którzy porwali jej ojca, mogli mieć dostęp do list pasażerów. Po drugie, taki bilet kosztował więcej, niż miała przy sobie pieniędzy. Musiała spieniężyć jeden z klejnotów, nie miała jednak pojęcia, jak się do tego zabrać.

Schroniła się w publicznej toalecie. Wyjęła jeden kamyk z plastikowej sakiewki, po czym resztę razem z saszetką schowała do majtek, upychając między nogami tak, żeby nic nie było widać przez zwiewną żółtą sukienkę. Następnie przeszła sztucznie pewnym krokiem do terminalu informacyjnego, uiściła opłatę i powiedziała:

– Ogłoszenia, kupię diament, dyskretnie, blisko.

– *Połączenie trwa* – poinformował terminal. – *Najbliższy dyskretny kupiec diamentów to firma jubilerska Trevinno Brothers, Kosmoport Waltona, budynek T, poziom piąty.*

Na miejscu! Ale fart! Chociaż właściwie nie było w tym nic dziwnego. Zapewne wiele osób pragnęło opuścić Ziemię szybko i nie zostawiając śladów, a do tego były potrzebne pieniądze. Tylko jakiego pokroju są ci ludzie? Przestępcy? Tacy mogą jej zrobić krzywdę. O Boże...

*Jaką jednak mam alternatywę?* – pomyślała.

Mogła skontaktować się z Marbet! Być może Marbet zdoła załatwić jej bilet na Lunie. Trzeba tylko z nią porozmawiać, korzystając z płatnego aparatu.

Nie. Jeżeli Marbet kupi za nią bilet, będzie musiała podać jej dane z paszportu, które trafią następnie do bazy danych i będą w niej od chwili zakupu aż do następnego lotu. Porywacze zyskają wtedy szansę, aby ją wyśledzić i dopaść. Jeśli jednak Amanda sama kupi bilet w ostatniej chwili, nikt nie zdąży jej zatrzymać i dotrze na Lunę bezpiecznie. A tam Marbet już będzie wiedziała, jak się o nią zatroszczyć. Marbet jest bogata i sławna i ma wpływowych przyjaciół (a przynajmniej istniało spore prawdopodobieństwo, że ich ma). Dlatego Amanda musiała za wszelką cenę polecieć na Lunę, do Marbet. Przez moment zastanawiała się, czy Marbet Grant to aby na pewno najlepszy wybór. Wiele osób nie darzyło Wrażliwców sympatią. Marbet zarabiała na życie, biorąc udział w negocjacjach, rozprawach, różnych niebezpiecznych zajęciach na zlecenie rządu. Grożono jej śmiercią. Może więc Amanda powinna poszukać schronienia u kogoś innego?

Nie było nikogo innego.

Zadarłszy brodę, Amanda zwróciła się znów do terminalu.

– Handel, diamenty, cena, kamień... – zawahała się, próbując oszacować wagę – dziesięć gramów.

– *Cena zależy od czystości, koloru, szlifowania diamentu.*

– Przedział.

– *Od dziesięciu tysięcy do stu tysięcy kredytów.*

Aż tyle! A ona ma tyle kamyków zabranych z wugu... W ostatniej chwili przypomniała sobie, że połowa należy do Sudie. Obiecała sobie, że przywiezie je z powrotem do domu.

– Wskazówki, budynek T, stąd.



– *Korytarzem na lewo, kolejka linii szesnaście, trzeci przystanek.*

– Dziękuję – powiedziała, choć ojciec zawsze sarknął, że głupotą jest dziękować maszynom. Ojciec...

– *Proszę bardzo* – odparła maszyna, nieoczekiwanie poprawiając Amandzie humor.

Tom Capelo nie pozjadał wszystkich rozumów. Nie wiedział wszystkiego. A był najmądrzejszym człowiekiem w całym Układzie Słonecznym, co znaczyło, że porywacze też nie mogą wiedzieć wszystkiego.

Kolejka linii szesnaście Pekała w szwach od żołnierzy, którzy pogwizdywali i pokrzykiwali na Amandę. Przestraszona dziewczynka przepuściła ją i zaczęła na następną. Ta z kolei była pusta, ale za to niezbyt czysta. Budynek T też okazał się zapuszczony. Poziom piąty nie był – jak założyła Amanda – piątym piętrem w górę, tylko w dół. Jadąc windą, Amanda kurczowo trzymała torbę pod pachą. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nazwa jej szkoły – *AKADEMIA SAULERA* – jest wyhaftowana na froncie. Prędko zmieniła ramię, żeby napis przylegał do ciała. Serce dziewczynki wyczyniało najdziwniejsze cuda: to biło szybko, to znów boleśnie zwalniało.

Jakaś kobieta przyszpiliła ją spojrzeniem, gdy Amanda wysiadała z windy. Przedziwna kobieta o purpurowych włosach i światełkach błyskających z pępka, za to bez górnej części stroju. Wstrząśnięta Amanda odwróciła szybko wzrok. Tak nie wypada... Kobieta wybuchnęła nagle śmiechem, który w uszach Amandy zabrzmiał szaleńczo, przerażająco.

Na szczęście kobieta poszła w swoją stronę, a Amanda wypatrzyła kawałek dalej elektroniczny szyld z napisem TREYINNO BROTHERS – HANDEL BEZ-  
WĄ TPIENIA. Dwa ostatnie słowa zamigały kilkakrot-  
nie, po czym pojawiła się dalsza część napisu, tak że te-  
raz szyld głosił TREVINNO BROTHERS – HANDEL  
BEZ WĄTPIENIA NAJLEPSZY.

Amanda pomyślała, że nawet dziecko wie, że nie o  
to naprawdę chodzi, i z jakiegoś powodu poczuła się  
rażniej. Poradzi sobie. Kupią od niej diament, nie żąda-  
jąc okazania paszportu. Potrwa to tylko minutę i za  
chwilę biegiem wróci do windy, n polem kolejką do  
czystszej części kosmoportu. Nie spędzi tu wiele czasu.

Zbliżyła się do drzwi, które otworzyły się przed nią.  
Wnętrze kantoru było ciasne i niechlujne, ściany z omni-  
tworzywa odbarwione, lecz w Amandę jakby wstąpił  
duch. Miała do czynienia z maszyną! Nie było tu obsłu-  
gi, tylko automat do skupowania klejnotów. Nikt jej za-  
tem nie skrzywdzi.

Z lżejszym sercem podeszła do terminalu wyposa-  
żonego w liczne szczeliny i łucki rozmaitych rozmiarów.

– Chcę sprzedać diament.

– Proszę położyć klejnot na tacy A.

Amanda straciła pewność siebie. Co będzie, jeśli  
maszyna połknie diament, nie wydając za niego pienię-  
dzy? Ale gdyby firma jubilerska Trevinno Brothers  
oszukiwała klientów, nie utrzymałaby się długo w bran-  
ży, prawda? Ostatecznie dziewczynka uznała, że nie ma  
wyboru. Położyła diament na wskazanej tacy.

Klejnot nie zniknął połknięty, tylko nakryła go przezroczysta kopułka i gdzieś w głębi rozległo się mechaniczne buczenie. W końcu rozległ się komunikat:

– *Oferta: pięć tysięcy kredytów.*

Była to znacznie mniejsza wartość niż ta, którą podał terminal informacyjny. *Czyżby to urządzenie wiedziało, że ma do czynienia z dzieckiem? Może to prawie sztuczna inteligencja?* Jednakże ojciec Amandy zawsze utrzymywał, że prawie SI jest niebotycznie droga.

Zdumiona własną śmiałością Amanda odpowiedziała:

– Chcę za niego dziesięć tysięcy kredytów. Terminal informacyjny twierdził, że jest wart co najmniej tyle.

– *Osiem tysięcy kredytów.*

– Zgoda. – *Osiem tysięcy wystarczy, by kupić bilet na Lunę. No i to zawsze o trzy tysiące więcej niż pierwotna oferta* – kalkulowała w głowie.

Diament zniknął spod kopułki. Z jednego z otworów wysypało się osiem tysięcy kredytów.

Amanda zgarnęła je bez liczenia (pod tym względem na maszynach można było polegać, istniało wysokie prawdopodobieństwo, że się nie mylą), odwróciła się i pobiegła do wyjścia. Drzwi były zamknięte. Witryna przezroczysta, kiedy tu wchodziła, teraz nie przepuszczała światła.

– Wypuść mnie! Wypuść!...

– Nie tak prędko – powiedział za jej plecami jakiś mężczyzna. Amanda okręciła się na pięcie. – Proszę, proszę, toż to jeszcze dziecko.

Amanda była zbyt wystraszona, aby zareagować.

– Mała dziwka, która skądś ma ogromny nieoszlifowany diament. Komu go zwędziłaś, złotko? Facet przeżył wasze spotkanie, by tęsknić za swym skarbem?

Amanda zaczęła krzyczeć. Czowała się tak, jakby jej wrzask napełniał powietrze nie tylko dźwiękiem, ale i czymś w rodzaju pudru, ponieważ gdy później starała się sobie cokolwiek z tego przypomnieć, obraz był zamazany. Zapamiętała tylko, że mężczyzna ją ucałował rękami, rozdarł żółtą matczyną sukienkę i zaczął gmerać najpierw przy jej piersiach, później zaś pod bielizną. Wtem rozległ się dźwięk rozdierania omnitworzywa, ściana Pekła i w pomieszczeniu pojawiła się inna maszyna. Mężczyzna puścił Amandę i sam się rozwrzeszczał. Coś podniosło dziewczynkę (a może był to ktoś?). Broniła się, na oślep waląc piąstkami. W uszach usłyszała potężny szum, jakby wodospadu, i straciła przytomność.

\* \* \*

– Wypij to – powiedział ktoś i Amanda postąpiła, jak jej kazano, natychmiast odzyskując siły. Odepchnęła szklanekę, usiadła i rozejrzała się nerwowo. Znajdowała się w paskudnym pokoiku z jednym łóżkiem, jednym krzesłem i jednym obrazkiem na ścianie, i... — Możesz się uspokoić – ciągnął mężczyzna stojący przy łóżku. – Nic ci tutaj nie grozi.

Był niewysoki i raczej chudy, z nieporządnym zarostem na czubku brody. Odziany w brudne czarne dżinsy i koszulę i z ciastowatą szarą cerą wyglądał na kogoś, kto rzadko przebywa na świetle słonecznym.

– Kim... kim pan jest?

– Bardziej na miejscu byłoby pytanie o ciebie. Amanda Susan Capelo, lat czternaście, obywatelka Federacji Atlantyckiej, córka doktora Thomasa Capelo i świętej pamięci Karen Olsen Capelo.

Dobrał się do jej paszportu. Nie namyślając się wiele, włożyła sobie rękę między nogi, poczuła, że sakiewka jest na swoim miejscu, zarumieniła się po koniuszki włosów i odwróciła szybko wzrok. W kącie stało coś potwornego. Amanda sapnęła z wrażenia.

– Co to jest?!

Mój asystent. Bardzo silny i bardzo tępy robot, który przedarł się przez ścianę tamtego kantoru i wyniósł cię stamtąd. Nie dziękuj mu, nie ma nawet czujników głosu. Wykonuje moje polecenia przekazywane za pomocą panelu sterującego.

Urządzenie miało siedem stóp wysokości i było metalowym prostopadłościanem / trzema parami chwytanych macek, wbudowanymi lufami i trzema dyszami. Amanda patrzyła na to wszystko bezradnie. Pod powiekami czuła łzy, gorące i piekące, zdołała jednak nad nimi zapanować. Rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu.

– Nie płacz – rzucił bez cienia współczucia mężczyzna – bo...

– Ja nigdy nie płacę! – warknęła Amanda, zadziwiając samą siebie.

– ...to ci w niczym nie pomoże. Skoro jesteś wystarczająco dorosła, aby szwendać się po miejscu takim jak budynek T, powinnaś być dość duża, aby wziąć się w garść.

– Nie miałam pojęcia, co mnie czeka!

– Oczywiście, że nie. A teraz mi opowiedz, co tam robiłaś.

– Najpierw niech mi się pan przedstawi.

– Ksiądz Emil. Możesz mówić do mnie „proszę księdza”. Jestem katolickim duchownym.

– A co to znaczy? – zapytała Amanda.

– Dobry Boże – westchnął mężczyzna. – Nie słyszałaś o katolicyzmie? Nigdy?

Amanda potrząsnęła głową. Pojęcie to chyba obilo się jej o uszy na lekcji historii, która była jej najmniej ulubionym przedmiotem, ale nie pamiętała żadnych konkretnych faktów.

– Przestań tak marszczyć czoło, dziecko. No już. Katolicyzm to bardzo stara religia i jedyna prawdziwa wiara na tym padole, który zapomniał, czym w ogóle są wierzenia. Prowadzę Misję „Mały Kwiatek” przy kościele Świętej Teresy. Ratuję zbłąkane dusze, które popadły w złodziejstwo, pijaństwo, uzależnienia czy prostytucję... nawiasem mówiąc, o tę ostatnią posądzałem ciebie. Wziąłem cię za młodocianą prostytutkę, którą sytuacja nieco przerosła.

Amanda wiedziała, czym jest prostytucja. Jak ten człowiek śmieją tak obrażać?

– Nie jestem prostytutką!

– Teraz widzę, że nie jesteś. Ale w takim razie co robiłaś w tamtej norze?

Amanda nie odpowiedziała, nadal łypiąc na mężczyznę gniewnie.

– No dalej, dziecko – ponaglił ją ksiądz Emil tym samym suchym, pozbawionym współczucia głosem. – Jeżeli mi nie powiesz, w czym problem, nie będę mógł

ci pomóc. Dlaczego córka światowej sławy fizyka i współpracownika armii próbowała sprzedać ukradzione klejnoty?

– One nie są ukradzione! A mój tata wcale nie współpracuje z armią!

Ależ tak. Doktor Thomas Capelo dał światu artefakt, który ma moc zniszczenia nie tylko całego układu planetarnego, ale też materii czasoprzestrzeni. I tym samym podniósł stawkę w toczącej się wojnie: już nie chodzi o unicestwienie ludzkości, lecz o unicestwienie wszechświata, który miłosierny Bóg stworzył dla człowieka, a wszystko po to, żeby ten egocentryczny maniak Stefanak mógł powiększyć swoje wpływy. Amanda była zmieszana. Żadna ze znanych jej osób nie mówiła w ten sposób. Obrazek na ścianie ukazywał mężczyznę krwawiącego na krzyżu z drewna, wyraźnie cierpiącego straszny ból. Dziewczynka odpowiedziała krnąbrnie:

Mój tata dał generałowi Stefanakowi artefakt wyłącznie dlatego, że Faberowie też taki mają. I generał Stefanak wykorzystuje artefakt do obrony Układu Słonecznego!

Ksiądz Emil parsknął.

– Rozprawianie o polityce z dzieckiem, do tego bezbożnym dzieckiem, zupełnie mija się z celem. Lepiej mi powiedz, czemu sprzedawałaś klejnoty... kradzione czy nie... w kantorze Trevinno Brothers.

– Potrzebne mi pieniądze.

– No, nareszcie do czegoś dochodzimy. Nie, dziecko, nie odwracaj spojrzenia od obrazu. To wizerunek naszego umiłowanego Pana, który umarł także za twoje grzechy. Po co ci pieniądze?



– A po co to pa... księdzu wiedzieć? – zapytała Amanda stanowczo.

– Zauważyłem cię, małą dziewczynkę wymalowaną jak wielka nierządnicą z Babilonu, i ruszyłem za tobą, aby się upewnić, że nie spotka cię nic złego. Włamałem się do kantoru z tym tam Gniewem Bożym, żeby cię uchronić przed strasznym, choć zapewne krótkim życiem w roli seksualnej niewolnicy. Ściągnąłem cię tutaj, do swojej misji, w stanie szoku i podałem ci trochę regenerującej mikstury, na którą ledwie mnie stać. Czy te powody są wystarczające?

Amanda wyciągnęła z kieszeni pieniądze i cisnęła na łóżko dwa tysiące kredytów, krzycząc:

– Proszę, to za tę miksturę!

– Oho, najwyraźniej podałem ci za dużą dawkę. Rozwinęły się u ciebie urojenia wielkościowe. Ale dziękuję, przyjmę twoje pieniądze w duchu spolegliwości, ku chwale Bożej. – Schował pieniądze do kieszeni. – A teraz mów, na co ci one?

Amanda przyjrzała się bacznie księdzu Emilowi. Podał jej jakąś miksturę, sam to przyznał, i być może ten lek dodał jej odwagi. Być może też miała przez niego zmaćnione myśli. Chociaż czuła się tak, jakby znowu myślała jasno, no i mimo wszystko ocalił ją przed... no, przed tym i nie próbował jej okraść. Może więc powinna mu zaufać. Zresztą co niby miałyby zrobić, gdyby mu nie zaufała? Kosmoport okazał się o wiele bardziej przerażającym miejscem, niż się spodziewała.

– Dochodzisz do wniosku, że możesz mi się zwierzyć – stwierdził ksiądz Emil. – To dobrze. Tajemnica konfesjonału jest święta.

Amanda nie miała pojęcia, o czym on mówi. Sposób mówienia księdza Emila przypominał jej o ojcu, który także – choć używał zwykłych słów – często wyrażał się pokretnie. Gorzka ironia, tak to kiedyś skwitowała ciocia Kristen, lecz Amanda nie rozumiała, co to znaczy, i nie poprosiła wtedy o wyjaśnienie. Jej ojciec był taki, jak był. Ojciec...

– Tylko nie zacznij znowu płakać...

– Powiedziałaś przecież, że nigdy nie płaczę!

– ...bo Gniew Boży zabierze cię z powrotem do tamtego kantoru. Powiedz wreszcie, do czego ci potrzebne pieniądze.

Nadąsana dziewczynka odparła:

– Muszę polecieć na Lunę.

– Na Lunę? A po co?

– Żeby znaleźć kogoś, kto mi pomoże. Mój ojciec został porwany.

Oczy księdza Emila zrobiły się wielkie jak spodki. Amanda poczuła podłą satysfakcję. Nareszcie udało się jej wyrzucić na nim jakieś wrażenie.

– Doktor Capelo został porwany? – powtórzył z niedowierzaniem ksiądz Emil. – Kiedy?

– Kilka godzin temu.

– Kto go porwał? Wiesz?

– Nie. Ja tylko...

– Opowiedz mi wszystko po kolei, Amando. Od samego początku. Nie opuszczaj żadnego szczegółu, jakkolwiek nieistotny ci się wydaje.

Dziewczynka zrelacjonowała wcześniejsze wydarzenia, czując ulgę, do której nie chciała się przyznać przed sobą. Dorosła osoba zdejmowała jej odpowie-

działność z barków. Ksiądz Emil wysłuchał wszystkiego uważnie. Gdy skończyła mówić, podszedł do obrazka wiszącego na ścianie. Stojąc plecami do Amandy, zapytał ją:

- Kogo zamierzasz odszukać na Lunie?
- Marbet Grant.
- Wrażliwca? Dlaczego?
- To znajoma. Pomyślałam, że pomoże mi odnaleźć tatę, bo jest bogata i ma przyjaciół w całym Układzie Słonecznym.

Ksiądz Emil milczał przez dłuższą chwilę. Potem odwrócił się od obrazka i dotknął swojego czoła, mostka, lewego i prawego ramienia. Amanda zastanowiła się, czy mężczyzna cierpi na jakąś chorobę neurologiczną, tak jak matka Thekli, która ma tiki.

– Amando – odezwał się ksiądz Emil, przysiadając obok niej na łóżku. – Pomogę ci. Już wiesz, że nie możesz się wylegitymować swoim paszportem podczas przelotu na Lunę, ponieważ wtedy twoje dane trafią do rządowej bazy danych. A jeśli to rząd porwał twojego ojca...

– Tak ksiądz myśli?

Na twarzy księdza Emila pojawił się dziwny wyraz. Mężczyzna ponownie uległ dziwnemu tikowi, po czym przymknął powieki.

– Myślę, że niezbadane są ścieżki Pana, czego dowodem są Jego cuda, i że często poddaje nas próbie, która jest poza naszą zdolnością pojmowania.

Amanda burknęła niecierpliwie:

– Czyli dokładnie co? Mojego tatę porwali ludzie z rządu? Tak czy nie?

– Oto racjonalistka z klapkami na oczach. Nieodrodna córka Thomasa Capelo. Tak nieprawość ojców przechodzi na dzieci i wnuki... – Westchnął. – Owszem, Amando, myślę, że to ludzie z rządu porwali twego ojca. Myślę również, że zrzucą winę na członków ruchu antywojennego.

– Ale dlaczego? Dlaczego mieliby porywać mojego tatę?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie jestem ani politykiem, ani naukowcem, dzięki Bogu. Czy twój ojciec pracował nad jakimś nowym ważnym odkryciem?

– Mój tata zawsze pracuje nad nowymi ważnymi odkryciami. – Doprawdy, ten ksiądz Emil nie znał się w ogóle na naukowcach.

– Tak. No cóż. Może miało to coś wspólnego z porwaniem. A może nie. Bóg raczy wiedzieć.

– Co raczy wiedzieć? – spytała Amanda, jednakże ksiądz Emil znowu się od niej odwrócił.

Podszedł ponownie do obrazka z krwawiącym mężczyzną, uklękł i zaczął bezgłośnie poruszać wargami. Na jego twarzy pojawił się wyraz takiego cierpienia, że Amanda aż się przelękła.

Na lekcjach historii przerabiali religie, oczywiście, lecz Amanda nie słuchała uważnie, ponieważ nie był to jej ulubiony przedmiot. Bardzo możliwe, że faktycznie kiedyś obowiązywał ten cały katolicyzm. Religii było mnóstwo. I wszystkie – przynajmniej zdaniem ojca Amandy-były niemądre i pozbawione racjonalnych podstaw, co dodatkowo zmniejszyło zainteresowanie dziewczynki nimi. Mimo to wiedziała, co teraz robi ksiądz

Emil. On się „modlił”, prosił „Boga” o pomoc. O pomoc przy czym?

Amanda spojrzała zezem na drzwi. Czy gdyby spróbowała uciec, Gniew Boży by ją powstrzymał? Olbrzymi metalowy robot wyglądał tak, jakby był w stanie powstrzymać trzęsienie ziemi. No i co jest za tymi drzwiami? Jakaś część Kosmoportu Waltona czy zupełnie inne miejsce?

Zanim Amanda podjęła decyzję, ksiądz Emil zdążył wstać.

Pomogę ci dostać się na Lunę – oznajmił.

Wiedziała, że powinna czuć wdzięczność, a jednak coś w jego głosie ją niepokoiło.

Dlaczego, proszę księdza? – zapytała ostrożnie.

Dlatego, że ścieżki Pana zaiste są niezbadane, moje dziecko. To dotyczy i ciebie, i mnie. Mam przyjaciół, ci przyjaciele mają statki kosmiczne, a ty dzięki temu nie będziesz musiała okazać swego paszportu i nie trafisz do żadnej rządowej bazy danych. Coś jej się nie zgadzało w tym zdaniu. Pomyślała chwilę dłużej i już wiedziała, co jej się nie podoba.

– Ale... nawet jeśli przyjaciele księdza mają statki, one muszą przejść odprawę w kosmoporcie, który należy do rządu.

– Niezupełnie. Mówiąc ściśle, pośród personelu kosmoportu mamy swoich ludzi, którzy owszem, rejestrują dane o przylotach i odlotach, lecz już nie o podróży. Bo są po naszej stronie.

Amanda była wstrząśnięta.

– Dlaczego ktoś miałby zatajać informacje? I co to znaczy „swoich ludzi”? Po „naszej stronie”, czyli po której?

– Po naszej – powtórzył ksiądz Emil. – Rozumiesz, polityka... Nie wszyscy przepadają za generałem Stefanakiem.

Tyle wiedziała nawet czternastoletnia dziewczynka. Każdy to wiedział. Mnóstwo osób uważało, że generał Stefanak kiepsko sobie radzi na wojnie z Faberami. W holowizji roiło się ostatnio od demonstracji, wystąpień i tego typu rzeczy, w większości przeraźliwie nudnych. Amanda dawno straciła zainteresowanie tym wszystkim. Polityka nie miała znaczenia. Tom Capelo zawsze powtarzał, że nauka jest ponad politykę i że polityka nie dorasta nauce do pięt. Amanda utwierdziła się w przekonaniu, że najważniejsze to polecieć na Lunę, odnaleźć Marbet Grant i uwolnić ojca.

– Zgoda – powiedziała do księdza Emila. – Polecę na Lunę na statku należącym do przyjaciół księdza. Dziękuję.

– Och, dziecko... – wydusił ksiądz Emil i znów zaczął bezgłośnie poruszać wargami w bezcelowej „modlitwie”, co Amanda widziała, dopóki nie odwróciła spojrzenia.

Miała nadzieję, że szybko skończy. Zależało jej, żeby jak najszybciej dostać się na Lunę.

### 3.

#### *Lowell City, Mars*

Lyle Kaufman odkrył, że rządzący mają tysiące metod, by przeszkodzić obywatelowi w praworządnym uczynku, który jest im niemiły. Żadna z tych metod nie wiązała się z przemocą ani nawet z groźbami. Nie trzeba się było uciekać do fałszowania danych ani opowiadania kłamstw; nie było konieczne wdzieranie się do baz danych. W gruncie rzeczy nikt nawet nikomu nie odmawiał.

Zamiast tego znikwały akta. Odwoływano spotkania, tłumacząc to „wyższą koniecznością”. Osoby, których podpis siatkówkowy był niezbędny na elektronicznych dokumentach, nagle stawały się nieosiągalne, podróżując najodleglejszymi tunelami czasoprzestrzennymi w „sprawach wielkiej wagi wiążących się z wojną”. Systemy informatyczne doznawały awarii, ulegały wirusom, gubiły dane, broniły dostępu, zaś bazy danych toczyła erozja. Kaufman od pięciu miesięcy starał się o pozwolenie na podróż poza Układ Słoneczny na pokładzie prywatnego statku do nie objętego zakazem Świata leżącego poza teatrem działań wojennych. I w dalszym ciągu tkwił w Lowell City, zupełnie jakby był przyspawany do jednego z potężnych wsporników podtrzymujących piezoelektryczną kopułę.

– Było mi się łatwiej poruszać, kiedy służyłem w armii – poskarżył się Marbet Grant.

Marbet do minionego tygodnia pozostawała na Lunie, ponieważ wspólnie doszli do wniosku, że Kaufman prędzej uzyska wstępną zgodę, jeśli nazwisko najśłynniejszego Wrażliwca nie pojawi się na liście „personelu”



wyprawy. Jednakże Kaufman tęsknił za Marbet, a zgoda i tak się nie materializowała. Dlatego kobieta przed tygodniem przyleciała do niego z Luna City.

– Oczywiście, że tak – odparła teraz. – Rząd chce, żeby wszyscy wojskowi znaleźli się poza Tunelem Numer Jeden i walczyli na wojnie. Natomiast zwykli obywatele mają siedzieć w domu.

– Sam nie wiem, Marbet. Mam wrażenie, że na Marsie z każdą chwilą przybywa żołnierzy.

To prawda – przyznała i zamilkła. Oboje wiedzieli, że pokój hotelowy Kaufmana najprawdopodobniej jest na podsłuchu. Hotelik był tani, zamieszkały głównie przez rodziny niższych stopniem wojskowych, które w nieskończoność czekały na przydział lokum służbowego. Składał się z małych praktycznie gołych pomieszczeń i ciasnych korytarzy, na których roilo się od dziećmi, poza ulicami nie mającej się gdzie bawić; ściany z omnitworzywa były pozbawione okien ze względów bezpieczeństwa, a także dlatego, że i tak nie rozciągałby się z nich żaden widok. Z powodu wojny wszystko na Marsie stało się zatłoczone i niewygodne. Wszakże Kaufman, który większość życia spędził w armii, nawet tego nie zauważał. Marbet owszem, zauważała, ale trzymała język za zębami. Lyle miał wystarczająco wiele spraw na głowie. Czowała jego napięcie, wątpliwości i nieuzasadnione poczucie winy w każdym grymasie, w każdym geście i słowie.

Marbet Grant była Wrażliwcem silnie zmodyfikowanym genetycznie pod względem wyglądu. Była niziutka i szczuplutka, miała wysokie kości policzkowe ostre niczym nóż i rozdzielone szerokim przyplaszczo-

nym noskiem. Jej skóra mieniła się czekoladowo, czy szmaragdowo, a krótko ścięte włosy kasztanowo. Wydawała się całkowicie sztuczna, aczkolwiek najpoważniejsze ingerencje inżynierii genetycznej dotyczyły jej wnętrza.

W całej historii ludzkości zdarzały się osoby szczególnie wrażliwe na innych, zdolne odczytywać ich stany umysłu. Historycy utrzymywali, że umiejętność ta z czasem przerodziła się w cechę decydującą o być albo nie być jednostki, zwłaszcza wśród klas niższych. Życie niewolników, służących, kobiet, poddanych mogło zależeć od prawidłowego odczytania nastroju ich panów.

Zdaniem ewolucjonistów ładnie wpasowywało się to w teorię darwinizmu. Przeżywały jednostki najwrażliwsze, zdolne zaadaptować się do oczekiwań innych ludzi dzięki temu, że były w stanie przewidzieć te oczekiwania.

Psycholodzy i socjologowie zajmowali się drobnymi nieświadomymi sygnałami świadczącymi o emocjach i zamiarach człowieka, takimi jak minimalne zmiany w mimice, gesty, intonacja głosu, temperatura ciała. Antropolodzy odnajdowali jednostki instynktownie wyczułone na te sygnały we wszystkich kulturach i społeczeństwach.

Wszelako dopiero genetycy przypisali ową wrażliwość określonym genom, a raczej niezwykle subtelnym, lecz dającym się zidentyfikować połączeniom między poszczególnymi genami. Potem niewielka grupa inżynierów genetycznych zamieniła teorię w praktykę, wykorzystując jedyne dostępne obiekty badań: własne dzieci. Naukowcy ci wierzyli, że zwiększają szanse

przeżycia swego potomstwa nie mniej niż w wypadku wzmocnionych mięśni, inteligencji czy urody cieszących się popularnością zwłaszcza wśród bogaczy. Nie do końca mieli rację. Instynktowne rozumienie sąsiada bywa przydatne, ale wywołuje niepokój tegoż sąsiada. Większość ludzi nie chce być rozumiana. Woli, by ich uczucia i zamiary pozostały tajemnicą.

A jednak Marbet była rozchwytywana. Przez korporacje pragnące przewagi w trakcie negocjacji. Przez stróżów prawa przesłuchujących groźnych przestępców. Przez rządzących chcących wiedzieć o obywatelach więcej, niż obywatele byli skłonni zdradzić. Raz zatrudniła ją też armia, której zwierzchnictwo zamierzało zrozumieć jedynego pojmanego na wojnie Fallera. Obcy wprawdzie umarł, ale doktorowi Thomasowi Capelo udało się wcześniej wyciągnąć z niego informacje, które zmieniły losy konfliktu między rasami.

Wszystko to wydarzyło się na Świecie, gdzie Marbet poznała Kaufmana. I gdzie razem zniszczyli cywilizację.

Marbet przestała podejmować temat jego poczucia winy. To, co mu mówiła, nie robiło na nim żadnego wrażenia. Pomóc mógł jedynie powrót na Świat. Pod warunkiem, że władze wyrażą na to zgodę.

Przez ostatnie kilka lat władze pilnie obserwowały Kaufmana, jak i zapewne Marbet Grant oraz Thomasa Capelo. Wszyscy troje wiedzieli za dużo o zmarłym Fallerze. Dlatego pokój hotelowy Kaufmana był na podsłuchu. Władza generała Stefanaka zależała tyleż od informacji co od obecności armii na Marsie – powiększającej się stale i nieubłaganej. Wojsko było fanatycznie oddane

naczelnemu dowódcy. Stefanak całą dekadę poświęcił na zbudowanie tej lojalności: awansował określonych oficerów, innych wysyłał do kolonii, manipulował budżetem. Niektórzy ludzie – w niemałej liczbie – utrzymywali, że Stefanak przymierza się do dyktatury pod przykrywką stanu wojennego wymuszonego przez przedłużającą się wojnę. W minionym roku coraz mniej osób miało śmiałość wysuwać takie przypuszczenia otwarcie.

Marbet ujęła panel sterujący — w tym hotelu nie było nawet zintegrowanego systemu sterowanego głosem — żeby włączyć holowizję i oto ich oczom ukazał się Sullivan Stefanak, naczelny dowódca Rady Obrony Sojuszu Solamego.

– ...dziś wieczór tylko dlatego, że niebezpieczeństwo grożące obywatelom jest tak wielkie. Niebezpieczeństwo nie ze strony wroga, lecz ze strony współobywateli. Ruch antywojenny noszący nazwę Życie Teraz reprezentuje...

– W koło Macieju – mruknęła Marbet.

Kaufman stał tylko z obojętnym wyrazem twarzy. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Marbet potrafi go przejrzeć nawet w tej chwili. A jego stosunek do generała Stefanaka był ambiwalentny. Z jednej strony Kaufman przez wiele lat był podwładnym największego żołnierza swego pokolenia. Tylko dzięki dowództwu Stefanaka ludzkość – ustępująca Fallerom pod względem technologicznym – jeszcze nie przegrała tej wojny. Wszakże z drugiej strony ten sam Stefanak niszczył republikańskie struktury Sojuszu Solamego nadwerężone od czasu, gdy Mars zastąpił ludniejszą Ziemię w roli jęczyczka u wagi w Radzie Obrony. Do tego Mars kontro-

lował tunele czasoprzestrzenne. Tyle wystarczyło. Na Marsie...

– Co on powiedział? – zapytała nagle Marbet.

Kaufman od dłuższej chwili nie słuchał wiadomości. Kiedy jednak zobaczył wyraz twarzy kobiety, natchmiast nadstawił uszu.

– ...tchórzliwie porywając cywila. Doktor Thomas Capelo, jak wszystkim wiadomo, jest najznaczniejszym naukowcem Sojuszu Solamego. To on rozszyfrował technologię stojącą za Artefaktem Protektorem, który broni naszych światów przed bezwzględnym wrogiem zdeterminowanym, by wyplenić nasz gatunek. Antymilitaryści posunęli się tym razem o krok za daleko! Doktor Capelo, ojciec dwu córek, szanowany profesor zacnego Uniwersytetu Harvarda w Federacji Atlantyckiej, nie jest nawet kombatanem. Wielu z nas ma go za zbawcę ludzkości. W rzeczy samej...

– Kiedy? – rzucił Kaufman.

– Zeszłej nocy. Ciii...

– ...wdzięczni, że jego rodziny nie było w domu w momencie zajścia...

Kaufman zaczął się gorączkowo zastanawiać. To mogli być antymilitaryści, zgoda. Zyskiwali na znaczeniu. Grupka idealistów znalazła poparcie wpływowych rodzin i korporacji, które miały wiele do stracenia, gdyby Stefanak zaprowadził dyktaturę. Jednakże nie tylko antymilitarystów należało brać pod uwagę. Ostatni rok służby Kaufman spędził w odległej bazie, gdzie wypadł z kursu bieżącej polityki. Wcześniej jednak był strategiem w szeregach armii Sojuszu Solamego. Nie dało się wykluczyć, że porywaczami byli ludzie z rządu, z jakiejś

frakcji rządu przeciwnej Stefanakowi. Tylko jaki cel im przyświecał? A może...

Odezwał się do Marbet:

– Wiesz, nad czym Tom ostatnio pracował?

Kobieta się skrzywiła.

– Lyle, nowoczesna fizyka jest tak skomplikowana, że nawet najbliżsi współpracownicy Toma nie rozumieją, czym on się zajmuje. Bardzo możliwe, że Tom również tego nie wiedział. Nie byłby to pierwszy raz... – Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie. Dodała: – Niedobrze mi, Lyle. Ten lunch, mówiłam ci...

Był to ich szyfr. Kaufman udał się za Marbet do łazienki. Kobieta nachyliła się nad muszlą klozetową, on przyklęknął obok, dzięki czemu mogła mu wyszeptać w pachę:

– Twoim zdaniem Toma porwał Stefanak.

– Jak ty to robisz? – wypalił, zanim pomyślał. Można by się spodziewać, że zdołał już przywyknąć. Marbet nie była w stanie wskazać subtelnych zmian w mimice, mowie ciała, tonie głosu, które odczytywała i interpretowała instynktownie, a nawet gdy próbowała, Kaufman nie nadażał za jej wyjaśnieniami. Zdolności Wrażliwców w całości wykraczały poza werbalne sposoby komunikowania. Zmitygował się i szepnął: – Tak, moim zdaniem to możliwe, że Stefanak osobiście zaplanował porwanie Toma.

– W jakim celu?

Z pokoju dobiegł głos generała wypowiadającego się w holowizji.

– ...apel do każdego, kto coś wie o losie doktora Capelo i...

Kaufman odpowiedział na pytanie Marbet:

– Żeby zdyskredytować ruch antymilitarystów i pod pretekstem rosnącego zagrożenia przypisać sobie jeszcze więcej władzy... Zresztą czyja wiem...? Jeśli to prawda, ruch jest naprawdę niezdamy. Pasuje bardziej do amatorów niż do zawodowca takiego jak Stefanak.

– Zatem uważasz, że porywaczami jednak mogą być antymilitaryści? – Natomiast głośno się poskarżyła: – Och, Lyle... Do tego jeszcze kręci mi się w głowie...

– Nie jestem pewien – odparł szeptem. – Gdyby Stefanak chciał zwalić na nich winę, mógłby celowo zaranżować takie niezdarne posunięcie... – I głośniej dodał:

– Tak dobrze, kochanie... wyrzucić to z siebie...

Marbet włożyła sobie palec do gardła, zwymiotowała gwałtownie, po czym chybotliwie usiadła. Lyle zwilżył ręcznik zimną wodą i podał jej. Pod słuchujący mogli się udławić wymiotami Marbet.

Gdy wyszła za nim z łazienki, zapytał:

– Czujesz się już lepiej?

– Tak, dziękuję. Mimo wszystko nie chcę więcej jeść w Katouse.

– Nie ma sprawy. Zadzwoń do Carol.

– Wątpię, żebyś się dodzwonił.

Nie uzyskał połączenia. Zostawił więc drugiej żonie Toma wiadomość, zapewniając, że służy wszelką pomocą, i ślą słowa pocieszenia. Carol była pewnie otoczona przez policjantów, agentów federalnych, krewnych i przyjaciół. Kaufman nie miał wątpliwości, że Carol, Amanda i Sudie są bezpieczne. W domu doktora Capelo



zaroilo się od tyłu żołnierzy, że bez trudu uformowaliby kompanię.

Ujął Marbet za rękę. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wspominając Toma – genialnego, skomplikowanego i trudnego w pożyciu mężczyznę. Obie dziewczynki przepadały za ojcem. Straciły matkę zabitą przez Falterów, a gdyby teraz jeszcze miały stracić jego...

Panel sterujący zadzwieczał. Przy braku zintegrowanego systemu rozległ się zwykły dzwonek. Na ekranie holowizora pojawił się komunikat NAGRANA WIADOMOŚĆ PRZYCHODZĄCA. Marbet wdusiła przycisk na panelu, żeby ją odtworzyć. Miejsce napisu zajęła nieznajoma kobieta ubrana w tani strój biznesowy i z mało atrakcyjną fryzurą.

Pułkownik Kaufman, panno Grant... Sekcja Podróży Cywilnych Marsjańskiego Zarządu Tunelami Czasoprzestrzennymi, podległa Radzie Obrony Sojuszu Solarnego, ma przyjemność zawiadomić, że państwa podanie o pozwolenie na prywatną podróż na nie zakazaną planetę Ozyrys w systemie gwiazdnym Izydy przez Tunel...

– Ale my nie chcemy lecieć na Ozyrysa! – wykrzyknęła Marbet. Kaufman ugryzł się w język, zanim powiedział, że nie ma sensu protestować, skoro to nagrana wiadomość.

– ...Czasoprzestrzenny Numer Osiemdziesiąt Dwie zostało rozpatrzone pozytywnie. Plan podróży, trasa przelotu oraz regulamin Marsjańskiego Zarządu zostaną przesłane w późniejszym terminie. Proszę zwrócić uwagę na konieczność przejścia Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden w okresie pomiędzy szesnastym października tego roku a dziewiętnastym paździer-

nika tego roku. Proszę również zwrócić uwagę, że niniejsze pozwolenie w żaden sposób nie jest wiążące dla Marsjańskiego Zarządu i może zostać cofnięte w każdej chwili bez podania przyczyn ze skutkiem natychmiastowym, a także w żaden sposób nie obciąża Marsjańskiego Zarządu konsekwencjami podjętej przez państwa podróży. Marsjański Zarząd życzy obojgu państwu udanej wycieczki.

Kaufman i Marbet spojrzeli po sobie. Ozyrys nie był nawet w pobliżu Świata. Naprawienie biurokratycznej pomyłki mogło zająć tygodnie, miesiące, lata. Równie dobrze mogło nie nastąpić nigdy.

Wyraziste brązowe oczy Kaufmana pozostały spokojne. *Oaza spokoju, po raz setny* pomyślała Marbet. *Prawdziwy stoik. Nielatwo go wyprowadzić z równowagi...* Wyłącznie ona zdawała sobie sprawę z pokładów winy zalegających w jego wnętrzu, równie nieporuszonych jak on sam. Kiedy spojrział wprost na nią, zrozumiała w okamgnieniu. Lyle miał dosyć tych bzdur z oficjalnymi pozwoleniami.

Odezwała się głośno na użytek urządzeń podsłuchowych:

– To niewłaściwa planeta!

– Trzeba będzie zacząć od nowa – rzekł Kaufman. – Ale to potrwa, Marbet. Nie będziemy tracić pieniędzy na hotel, prawda? Myślisz, że twoja przyjaciółka Amy zechce nas przyjąć pod swój dach, tak jak proponowała?

– Oczywiście – odparła Marbet. – Zaledwie wczoraj ponowiła zaproszenie, kiedy z nią rozmawiałam. Zaraz zacznę się pakować.

Niech sobie Departament Stanu czy kto tam w nie-skończoność szuka „Amy”. A także Kaufmana i Marbet, skoro już o tym mowa. Zamierzali załatwić wszystko legalnie, lecz poczynili też pewne przygotowania na wypadek niepowodzenia planu A. Było nie było – jak lubił wszystkim przypominać rząd – trwała wojna.

Każda wojna rozgrywana w historii ludzkości (tej nie wyłączając) była przyczyną walki cieni pomiędzy wojującym rządem a obywatelami. Czarny rynek, czerpane nielegalne korzyści, przerywanie blokad, kolaboranci, osoby odmawiające służby wojskowej ze względu na przekonania, przestępczość zorganizowana i jej nieco mniej zorganizowani krewni i znajomi. Farbowane kontrakty rządowe, podrabiane dokumenty, sfalszowane listy przewozowe, nierzetelne manifesty pokładowe, a nawet – dla naprawdę zdesperowanych albo wyjątkowo wysublimowanych – lewe bazy danych. Do wyboru, do koloru w zależności od rozległości kontaktów i zasobności portfela.

Marbet nie brakowało pieniędzy. Kaufman, zawodowy żołnierz, nie chciał uprawiać kontrabandy ani schodzić do podziemia z powodu tej wyprawy. Kaufman, uczciwy obywatel, nie chciał łamać prawa. Kaufman, były attache wojskowy przy Radzie Obrony Sojuszu Solarnego w Lowell City pozostającej w samym centrum wydarzeń, naturalnie znał ludzi, którym nie brakowało znajomości.

Ani Marbet, ani Kaufman nie byli w stanie udzielić pomocy Tomowi Capelo. Nie utrzymywali z nim kontaktu, w minionych dwóch latach nawet go nie widzieli, chociaż Marbet od czasu do czasu porozumiewała się na

odległość ze starszą córką fizyka, Amandą. Dziewczynka była miła i na swój uroczy sposób podkochiwała się w Marbet, co jest częste w wypadku uczennic i nauczycielek. Jednakże w tej trudnej chwili była otoczona przez krewnych i przyjaciół, z którymi łączyły ją znacznie silniejsze więzi. Ilekroć Lyle Kaufman wracał myślami do wydarzeń na Świecie, nie wspominał doktora Thomasa Capelo, lecz Dietera Grubera i Annę Sikorski. Pozostawionych za sprawą jego, Kaufmana, decyzji pośród cywilizacji rozpadającej się również przez niego, Kaufmana.

Marbet zdążyła już wyciągnąć walizkę i teraz gorączkowo się pakowała.

#### 4.

#### *Luna City*

Amanda nie wierzyła własnym uszom. Marbet wyjechała.

– Jest pani pewna? – zapytała jej sąsiadkę, grubą przyjaźnie nastawioną kobietę zamieszkującą przyległy apartament w dziwnym podziemnym „budynku”.

– Całkowicie, skarbie – odparła kobieta, wycierając dłonie w ścierkę. Mówiła z irytującym akcentem. Gdzieś za jej plecami zakwiliło niemowlę. – Podała mi kod otwierający drzwi wejściowe na wypadek jakiejś awarii. Wyjechała do swojego kochanka, tak, tak.

Amanda splótła ciasno palce, co ostatnio robiła coraz częściej.

– Czy mogłabym tam zajrzeć?

Kobieta się zawahała.

– Proszę... Jestem jej siostrzenicą. Nie poinformowała nas... mnie ani mojego ojczyma... o wyjeździe.

Kobieta obrzuciła spojrzeniem księdza Emila stojącego parę kroków dalej w zakręcającym korytarzu. Mężczyzna miał na sobie czarne spodnie i koszulę, czystsze niż te, które nosił w swojej misji. Sąsiadka pokręciła odmownie głową.

– Przykro mi, skarbie. Marbet nie pozwoliła mi nikogo wpuszczać. Nic do ciebie nie mam, jednakże nie uprzedziła mnie o wizycie siostrzenicy.

– Ale...

Spojrzenie łagodnych oczu sąsiadki nagle stwardniało. Zza pleców Amandy odezwał się ksiądz Emil.

– Dostyc tego, Jane. Lepiej już chodźmy. Bardzo pani dziękujemy...

Kobieta skinęła głową z niepewną miną. Amanda domyślała się, że pragnie się okazać pomocna, ale też chce dotrzymać słowa danego Marbet. Ładnie z jej strony, szczególnie że wielu znajomych Marbet czuło się przy niej niezręcznie i rzadko nawiązywało z nią przyjaźń. Amanda posłała jej uśmiech, zanim dołączyła do księdza Emila. Ani razu nie wybiegła myślą naprzód i nie rozważała, co będzie, jeśli nie zastanie Marbet w domu. A tutaj się okazało, że Marbet poleciała na Marsa. I co teraz miała począć Amanda?

– Przykro mi, skarbie! – powtórzyła kobieta. – Ale na pewno chcesz, żeby ciocia była zadowolona. Nie

zdziwiłabym się, gdyby się pobrali z pułkownikiem Kaufmanem w trakcie tej ich romantycznej wyprawy!

Amanda przystanęła. Marbet Grant i pułkownik Kaufman? Pułkownik Kaufman był w porządku, ale Marbet zasługiwała na kogoś lepszego. Pułkownik nie polubił Amandy ani Sudie, a ojciec dziewczynek twierdził, że to mężczyzna z rodzaju tych, którzy nie potrafią docenić skarbu, jakim są dzieci.

Ojciec...

Splotła palce jeszcze silniej. Jej kłykcie przybrały popielatą barwę. Czasami było to konieczne. Jej ojciec zwykł mawiać, że łyzy do niczego nie prowadzą.

– Kim jest pułkownik Kaufman? – zainteresował się ksiądz Emil.

– To dowódca ekspedycji na Świat – wyjaśniła rzeczowo Amanda. – Tej, w czasie której tata odnalazł artefakt, domyślił się, do czego służy i jak działa. Opowiadałam o tym księdzu.

– Nie zapamiętałem wszystkich nazwisk, które od ciebie usłyszałem. Nie każdy szczegół z twojego życia wydał mi się pasjonujący. Pokory, moje dziecko.

Amanda puściła tę uwagę mimo uszu. Kiedy obiecał jej dopomóc w wyprawie na Lunę, nie zdawała sobie sprawy, że zechce polecieć razem z nią. Wprawdzie z początku jej to nie przeszkadzało. Strasznie było wsiąść na statek pełen nieznajomych, trzymając w ręku fałszywy paszport z nazwiskiem Jane Verghese, i słuchać raportów o porwaniu jej ojca, a potem także swoim.

Dziennikarze wywęszyli, że Amandy nie ma ani z Carol i z Sudie, ani u żadnej z przyjaciółek, no i założyli, że też została porwana. Ale oczywiście ci, którzy po-

rwali Toma Capelo, musieli wiedzieć, że to nieprawda. Być może nawet domyślili się już, że dziewczynka była świadkiem porwania. W takim wypadku na pewno zaczęli jej szukać. To ją przerażało i dlatego cieszyła się z obecności księdza Emila, mimo że okazał się najbardziej działającą na nerwy osobą, jaką kiedykolwiek знаła.

– Bóg nie chce, żeby ludzie toczyli wojny, Amando.

– No to czemu my ją toczymy? Czemu Bóg jej nie zakończy?

– Bóg dał nam wolną wolę. Postanowiliśmy, że będziemy walczyć z Fallerami.

– Właśnie że nie! – zaprotestowała dziewczynka z nutą triumfu w głosie. – Fallerowie pierwsi na nas napadli. A więc to oni postanowili, że będą walczyć z nami!

– Ależ Fallerowie także nie chcą toczyć wojny. – Ilekroć ksiądz Emil był podekscytowany, jego nieporządna bródka zaczynała podskakiwać. – Żadna rozumna istota nie chce wojny. Ta trwa tak długo, ponieważ chcą tego przywódcy... nasi i wroga... gdyż dzięki temu poszerzają swoje wpływy i umacniają swoją władzę.

To nawet miało sens. Jej ojciec mówił to samo. Tylko że ksiądz Emil zaraz się zaplątał.

– Gdyby generał Stefanak pragnął zakończyć tę wojnę, skontaktowałby się z Fullerami i poinformował ich o tym.

– Fallerowie nie chcą kontaktu z nami! – krzyknęła zdenerwowana Amanda. – Nie chcą w ogóle żadnej komunikacji! Każdy to wie...

– Wcale nie – zareagował ksiądz Emil. – To tylko rządowa propaganda. Masy, w tym ty, dziewczynko, wierzą we wszystko, co im wciska rząd.



– A księża, w tym ksiądz, proszę księdza, wierzą we wszystko, co im wciska ich Kościół!

Natychmiast zrozumiała, że posunęła się za daleko. Ksiądz Emil wyprostował się na całą swoją – niezbyt imponującą – wysokość, po czym oświadczył:

– I nie rozpoznasz fałszywego świadka ani antychrysta. Albowiem takie są oznaki końca świata i taki jest smutek rzezi niewiniątek.

Amanda uznała, że brak mu piątej klepki, i spróbowała go nie słuchać.

Ale bała się. Co w ogóle robiła w towarzystwie tego szaleńca, który teoretycznie miał się nią opiekować? Ksiądz Emil zostawił Gniew Boży w misji pod opieką innego mężczyzny, do którego zwracał się „proszę księdza”. Robot był tam potrzebny do – jak mówił – „dzieła”.

Statek, którym przylecieli na Lunę, był mały, zaprojektowany dla sześciu osób, ale niewiele mu brakowało do prawdziwego okrętu. Znajdowały się na nim koję, kambuz, ładownia, a nawet ciasny mostek. Trzej członkowie załogi (dwóch mężczyzn i jedna kobieta) ani razu nie odezwali się do Amandy. Tylko ją obserwowali nieufnie, pustym wzrokiem. To przyprawiło dziewczynkę o drżenie. Gdyby to ona chodziła po domu taka najeżona, ojciec udzieliłby jej reprimendy. Kiedy zapytała księdza Emila, kim są ci ludzie, odparł, że Bóg sam wybiera narzędzia mające posłużyć Jego chwale i że nie jest zadaniem ludzi, a już na pewno nie dzieci, podważać Jego wyroki.

Amanda pomyślała wtedy, że jeśli właśnie ci ludzie zostali wybrani przez Boga na narzędzia, to Bóg jest równie szalony jak ksiądz Emil.

Jednakże teraz dreptała u jego boku długim kolistym korytarzem, który otaczał poziom H Luna City. W pewnym momencie tuż obok zatrzymał się niewielki wagonik, który zagadnął ich wesoło:

– *Witam! Zataczam pętlę po poziomie mieszkalnym co dziesięć minut, zatrzymując się tam, gdzie mi każesz. Jeśli wolisz, możesz pójść pieszo. Wejścia do apartamentów można znaleźć tuż przy tym kolistym korytarzu.*

– Przejdziemy się – odparł ksiądz Emil, na co wagonik zwinnie odjechał.

– Księżu Emilu...

– Bądź cicho, Jane, zastanawiam się – rzekł mężczyzna z takim naciskiem na imię „Jane”, że Amanda zrozumiała, iż ma być cicho, dopóki nie znajdą się z powrotem na pokładzie stateczku.

Ksiądz Emil był największym paranoikiem na świecie, gorszym nawet niż jej ojciec. Tom Capelo uważał, że cały wszechświat się sprzysiągł, aby skrzywdzić Amandę i Sudie. Ksiądz Emil był przekonany, że władze podsłuchują każde jego słowo.

Dotarli do windy, pomknęli w górę i wysiedli pod kopułą Luna City, nad którą rozpościerało się czarne niebo upstrzone błyszczącymi gwiazdami. Kopuła była mała, nie umywała się do kopuły, jakie można było zobaczyć na Marsie. Ksiądz Emil twierdził, że mieszka tu tylko osiem tysięcy ludzi, a wszystko to „faryzeusze”: naukowcy, technicy, żołnierze i ich zamożni bliscy. „Żaden biedak nie prześlizgnął się przez ucho igielne”.

Wszystkie moduły mieszkalne i robocze na Lunie znajdowały się pod powierzchnią, gdzie nie groziło im ciągle bombardowanie meteorytów. Na powierzchni znajdowały się budynki z omnitworzywa, place zabaw dla dzieci oraz ogród, w którym można było zobaczyć starannie zagrabiony piach, parę ozdobnych głazów i ławek oraz rozrzucone z rzadka grządki ze zmodyfikowanymi genetycznie kwiatami wyhodowanymi z grzybów.

Kwiaty były pierwszym, co Amandę zainteresowało od porwania, i bardzo chciała przykucnąć i przyjrzeć im się bliżej. Miały szerokie niemal przezroczyste zielone listki i bladożółte kwiatuszki. Dzięki modyfikacji genetycznej radziły sobie świetnie przy słabym natężeniu światła. Jednakże ksiądz Emil ponaglił ją, aby włożyła skafander, zapędził do służby i dalej, na pustą kamienistą przestrzeń między kopułą a przystanią wahadłowców odbywających kursy do kosmoportu.

– Amando – odezwał się, a dziewczynka uświadomiła sobie, że rozmawiają na prywatnym kanale, dzięki czemu nikt nie mógł ich podsłuchać. – Muszę ci coś wyznać. Zgrzeszyłem przeciwko tobie.

Zerknęła na niego z ukosa. Gdyby coś takiego powiedział jej ojciec, wiedziałaby, że znowu wariuje, jak często miał w zwyczaju, wydurniając się na różne sposoby. Tymczasem ksiądz Emil najwyraźniej mówił całkiem poważnie.

– Skłamałem. Gdy zabierałem cię tutaj, wiedziałem, że Marbet Grant jest na Marsie.

– Wiedział ksiądz? Skąd?

– Odkryli to moi przyjaciele. Nie było to trudne. Marbet Grant to słynna, choć nie lubiana osoba, a niektóre kanały holowizji śledzą każdy krok celebrytów. Aktorów, Wrażliwców, osób takich jak ta kobieta, Magdalena... Zatem wiedziałem, że Marbet Grant wyleciała na Marsa przed trzema tygodniami.

– Tamta kobieta powiedziała, że Marbet nie była sama, tylko z pułkownikiem Kaufmanem!

Nie – poprawił ją ksiądz Emil. – Tamta kobieta powiedziała tylko, że Marbet Grant wyjechała do swego kochanka. Z czego wynika, że Kaufman prawdopodobnie czekał na nią na Marsie.

Amanda zapytała zapalczywie:

– Skoro ksiądz wiedział, że ona jest na Marsie, po co mnie ksiądz zabrał na Lunę?

– Chciałem, żebyś przekonała się na własne oczy, że jej tu nie ma, żebyś usłyszała potwierdzenie z ust kogoś innego niż ja czy członek naszej organizacji. Żebyś uwierzyła.

– Dobrze, wierzę – odrzekła Amanda. Nadal była zagniewana, zmartwiona i zmieszana. Dorośli nie rozmawiają z dziećmi w ten sposób.

– Mimo to skłamałem – powtórzył ksiądz Emil. – Chcę cię prosić o przebaczenie.

– A nie powinien ksiądz prosić o przebaczenie swojego Boga? – Zapamiętała to z jego szalonych gadek.

– Jego także.

No naprawdę, zabawny był ten ksiądz Emil. Ojciec strasznie by się z niego natrząsał. Dziewczynka widziała powagę w oczach duchownego i to jeszcze bardziej ją zawstydzalo.

– Przebaczam księdzu – wymamrotała. – Dokąd teraz polecimy?

– Z powrotem na statek.

Nie o to pytała Amanda, lecz i tak potruchtała za księdzem. Gdy już pokonali służę i zdjęli skafandry, ksiądz Emil nieoczekiwanie powiedział:

– Idź do kambuza, Amando. Załoga chce z tobą porozmawiać.

Część mieszkalna statku składała się ze wspólnego pomieszczenia otoczonego zamykanymi kojami, które przypominały szuflady do spania, oraz z ciasnego kambuza, w którym zmieścił się stół z sześcioma krzesłami. Tam właśnie czekali na Amandę trzej członkowie załogi. Dziewczynka usiadła na jednym z krzesel, walcząc ze słabą grawitacją. Ksiądz Emil wybrał pozycję stojącą.

– Amando – odezwał się kapitan – pora porozmawiać o twoim położeniu.

Skinęła głową lekko przestraszona. Wszyscy mieli takie poważne miny. Zapamiętała nazwisko tylko jednego z nich, dowódcy. Kapitan Lewis był postawnym mężczyzną o wydatnym nosie.

– Zrobiliśmy coś dla ciebie, przywożąc cię tutaj w poszukiwaniu Marbet Grant. Teraz chcemy, żebyś ty zrobiła coś dla nas, coś, co pomoże również tobie – powiedział.

Amanda ponownie skinęła głową. Kapitan odnosił się do niej, jakby była dorosła, co zarówno ją cieszyło, jak i przerażało.

– Na własne oczy widziałaś, jak ludzie z rządu porywają twego ojca, mając na celu zniszczenie ruchu antywojennego. Należymy do tego ruchu, tak samo jak

ksiądz Emil, który uratował cię na Ziemi. Chcielibyśmy, żebyś nadała transmisję, która za pomocą satelity zostanie przekazana do wszystkich zakątków Układu Słonecznego, i opowiedziała o porwaniu doktora Thomasa Capelo.

Amanda się zdumiała.

– Ale wtedy porywacze dowiedzą się, gdzie jestem, i porwą także mnie!

– Nie zrobią tego. Dzięki transmisji cały świat pozna miejsce twojego pobytu i zwróci na ciebie oczy. Będzie ci groziło mniej niż w tej chwili. Będziesz z nami bezpieczna.

– Ale... ale ja nie wiem, kto porwał mojego tatę. Nie wiem, czy to byli ludzie z rządu. Mój tata zajmuje się fizyką na zlecenie rządu. To on rozszyfrował artefakt, który powstrzymuje Fallerów przed zniszczeniem Układu Słonecznego.

– Cudownie. Ten artefakt jest zdolny zniszczyć całą czasoprzestrzeń – skomentowała z goryczą kobieta.

Kapitan Lewis posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i rzekł wyjaśniającym tonem:

– Generał Stefanak wykorzystał twojego ojca, żeby móc dalej prowadzić tę straszną wojnę. Doktor Capelo jest genialnym i uczciwym człowiekiem, Amando, i nikt tutaj nie podaje tego w wątpliwość. Ale jest też naukowcem, a nauka i polityka to dwie różne rzeczy.

Amanda skinęła głową po raz trzeci. To była prawda. Nawet jej ojciec zwykł powtarzać, że nauka jest ponad politykę i że polityka nie dorasta nauce do pięt. Jednakże dziewczynka nie powiedziała tego na głos. Nie chciała być niegrzeczna, skoro kapitana Lewisa najwy-

rażniej bardziej od nauki interesowała właśnie polityka. Nie wypada obrażać przekonań innych ludzi, no chyba że jest się doktorem Capelo...

Kapitan Lewis mówił dalej:

– Generał Stefanak zaaranżował to porwanie, aby rzucić winę na nasz ruch. Sama słyszałaś w holowizji. Ruch antimilitarystyczny składa się z osób, które pragną zakończyć tę wojnę, którym marzy się wyłącznie pokój. A ty, Amando, czy ty też nie pragniesz pokoju? Nie pragniesz, aby ta wojna nareszcie dobiegła końca?

– Tak. – Oczywiście, że tego pragnęła. Wszyscy tego pragnęli.

– Straciłaś na wojnie matkę, prawda?

Tym razem też była w stanie tylko skinąć głową. Zaalarmowany ksiądz Emil odwrócił się do kapitana.

– Spójrz na te zdjęcia, Amando – kontynuował kapitan Lewis, pokazując jej fotografie. Zwęglone ciała leżące na wypalonej trawie, krzyczący z bólu ludzie... Amanda prędko odwróciła wzrok. – To ofiary tej wojny, Amando. Czy nie zrobiłabyś wszystkiego, aby wojna się skończyła i ludzie przestali cierpieć?

Dziewczynka znowu kiwnęła głową.

– Aby tak się stało, trzeba odebrać władzę generałowi Stefanakowi. Ludzie muszą się dowiedzieć, jakich strasznych czynów dopuścił się naczelny wódz. To on porwał twojego tatę i wmówił wszystkim, że winni są antimilitaryści. A ludzie szanują twojego ojca, Amando. Mają go za bohatera. Przecież wiesz.

– Tak...

– Ty zaś pragniesz go odzyskać. To zrozumiałe. I nadanie transmisji pomoże ci w tym. Ludzie zaczną



wywierać presję na rząd, żeby uwolnił doktora Capelo. Twój ojciec został więźniem politycznym, Amando, a to się nie godzi. Powiemy o tym całemu Układowi Słonecznemu i wtedy rząd będzie musiał wypuścić twojego tatę.

Padło za dużo słów. Amanda siedziała skołowana. Wśród narastającej paniki usiłowała poukładać to sobie w logiczną całość, zrozumieć, co właściwie chce jej powiedzieć kapitan Lewis. Coś tutaj się nie zgadzało...

Kobieta – Amanda w dalszym ciągu nie potrafiła sobie przypomnieć jej imienia – uważała, że dziewczynka waha się z innego powodu. Odezwała się więc głosem ociekającym słodyczą:

– Nie musisz się martwić tym, co powiesz na wizji, kochanie. Wszystko ci napiszemy, a ty tylko to przeczytasz.

– Ja...

– Chyba że jednak wolałabyś ułożyć tekst sama – dodał szybko kapitan Lewis, równocześnie miażdżąc kobietę spojrzeniem. – Chodzi o to, żebyś powiedziała ludziom prawdę o tym, jak agenci rządowi porwali twojego tatę.

Wreszcie Amanda zrozumiała, co jej się tutaj nie zgadza.

– Aleja nie mam pewności, czy to byli agenci rządowi! Mówiłam, że nie wiem, kto to zrobił!

– Ależ to musiał być rząd – stwierdził kapitan Lewis. – Na pewno nie był to ruch antywojenny Życie Teraz... czyli my. Nie porwaliśmy twojego taty. Dlaczego mielibyśmy to zrobić? Obecnie gromy padają na nas ze

wszystkich stron, a na co by nam to było? Przecież to tylko zniechęca ludzi do naszej sprawy.

Taaak... Chociaż chyba jednak nie. Amanda się zastanowiła i powiedziała:

– Jeżeli obarczę winą generała Stefanaka, ludzie zaczynają winić jego. A to pomoże waszej sprawie.

– No... tak. Ale twojej też. Odzyskasz ojca. Kiedy wszyscy się dowiedzą, że przetrzymuje go rząd, naciski będą tak silne, że zostanie uwolniony.

– Hmm... Tylko że ja naprawdę nie wiem, kto porwał moją tatę.

– Właśnie ci to powiedzieliśmy – rzekł grobowym głosem kapitan Lewis.

– A skąd wy wiecie? – zapytała dziewczynka.

Nareszcie znalazła się na pewnym gruncie. Przerabiała to z ojcem tysiące razy. Jakie masz dowody, Amando?... Przedstaw swoje argumenty... Na jakiej podstawie tak uważasz?... Tak działa nauka.

– Stąd, że to nie my go porwaliśmy. Jeśli nie władze, kto inny mógł to zrobić?

Amanda milczała. Nie miała pewności, że antymilitaryści nie porwali jej ojca.

Kapitan Lewis nie przedstawiał ani dowodów, ani argumentów. Nie chciała mówić tego głośno, gdyż nie byłoby to grzeczne. Kapitan Lewis poczułby się przez nią oskarżony. A przecież ona także nie dysponowała żadnymi dowodami.

Powtórzyła więc tylko:

– Naprawdę nie wiem, kto porwał moją tatę.

– Och, na miłość boską – sarknęła kobieta.

– Przykro mi, ale naprawdę nie wiem. Nie mogę rzucać oskarżeń, nie mając pewności. – Postąpiła właściwie. Ojciec chciałby, aby trzymała się faktów.

– Chcesz nam powiedzieć, że nie nadasz tej transmisji? – spytał ją kapitan Lewis.

Amandzie żołądek wywrócił się na nice. Wyraz twarzy i głos kapitana Lewisa uległy nagłej zmianie. Poczowała, że wpadła w kłopoty po uszy. Rozpaczliwie uczepiła się jedyne pewnika, wiedząc, że jej ojciec by to poparł. Powiedziała zgodnie z prawdą:

– Mówię tylko, że nie wiem, kto porwał tatę.

– Nadasz tę transmisję czy nie?

Amanda zebrała się na odwagę.

– Nie.

– Nie? – spytał groźnym tonem kapitan Lewis.

– Nie – odparła Amanda cieniutkim głosikiem.

– Po tym wszystkim, cośmy dla ciebie uczynili? Po tym wszystkim, co uczynił dla ciebie ksiądz Emil? Przecież on uratował ci życie!

Amanda odwróciła się, by spojrzeć na księdza Emila, który wciąż stał w drzwiach ciasnego kambuza. Miał pobielającą twarz. Zwrócił się do kapitana Lewisa:

– Dennis, nie tak się umawialiśmy.

– Twierdziłeś, że nada dla nas transmisję.

– Nie mogę tego zrobić! Nie wiem, kto naprawdę porwał mojego tatę! – wykrzyknęła Amanda.

Miała wrażenie, że zaraz jej Peknie głowa. Było to bardzo niemile uczucie. Z całą godnością, na jaką było ją stać, podniosła się z krzesła, przecięła niewielkie pomieszczenie i odsunawszy zasłonkę, schowała się na swojej koi. Wcisnęła twarz w poduszkę.

*Nie wiem, kto go porwał!* – powtarzała raz po raz w myślach, wiedząc, że ojciec w podobnej sytuacji twierdziłby to samo, ponieważ była to prawda oraz – przynajmniej w jej wypadku – jedyna rzecz, którą z tego wszystkiego rozumiała.

\* \* \*

Obudziły ją odgłosy zacieklej awantury i szum silników. Znajdowali się w przestrzeni kosmicznej i zwiększali ciąg. Poczowała pieczenie na karku, sięgnęła więc tam ręką, by zerwać plaster. Zapewne środek usypiający. Skąd ksiądz Emil mógł wiedzieć, że Amanda nigdy nie śpi długo po plastrach nasennych? Ojciec zwykł zawsze mawiać, że przejawia słabą reakcję na leki. Dziewczynka leżała bez ruchu, czując lekkie otępienie, i przysłuchiwała się głosom dolatującym zza zasłonki.

– ...skrupułów! – powiedział ksiądz Emil. Amanda w życiu nie słyszała takiego słowa.

– A co twoim zdaniem powinniśmy z nią zrobić? – zapytał kapitan Lewis. Jego gniewny głos sprawił, że Amanda otrząsnęła się z resztek snu. – Jeśli nie nada tej transmisji i jeśli wyjdzie na jaw, że ją mamy, zaczną nas oskarżać o porwanie ich obojga! Na Boga, tym razem nieźle namieszalesz, Emilu.

– Chciałem pomóc. Sądziłem, że nada transmisję. I pragnąłem ukryć ją w bezpiecznym miejscu.

– Och, motywy miałeś niepokalane – zaczął szydzić kapitan Lewis. – Droga do piekła i takie tam. I po cośmy cię posłuchali, ty rewolucjonisto ze szkółki niedzielnej?!

Ksiądz Emil powiedział coś, czego Amanda nie dośłyszała.

– Im dłużej jest w naszych rękach – wtrąciła kobieta – tym gorsza staje się nasza sytuacja. Nikt nam nie uwierzy, żeśmy jej nie porwali.

– Amanda opowie prawdę o kantorze, o mnie i o podróży na Lunę. To szczere dziecko – zapewnił ksiądz Emil.

– W takim razie powie też całemu światu, że próbowaliśmy ją nakłonić do nadania transmisji. Jeżeli nie zrobi tego z własnej woli... a twierdziłeś, że tak będzie, Emilu!... jeśli więc nie zrobi tego z własnej woli, i to szybko, w oczach całego świata będziemy porywaczami.

– A nie jesteśmy nimi? – zapytał ksiądz Emil.

– Nie, do diabła! Robimy wszystko, co nam każe! Teraz zabieramy ją na Marsa, żeby mogła odnaleźć wybryk natury i wycirucha rządu, czyli tę całą Marbet Grant!

– Właściwie – odezwała się znów kobieta – to dziecko wodzi za nos dowódcę statku kosmicznego. Zamiast nadać transmisję. Powinniśmy ją do tego zmusić, Dennis.

– Jak? – zapytał kapitan Lewis. – Mamy jej grozić? Czy odurzyć ją lekami? Nie uważasz, że o tym też powie później ludziom?

– Nie robi tego, jeśli wystarczająco ją postraszymy.

– Lucy, daj spokój – poprosił ksiądz Emil. – Przecież to czternastoletnia dziewczynka.

– Być może. Ale jest w stanie zaszkodzić naszemu ruchowi. Dzięki tobie – dodała z wyrzutem kobieta.

– Dennis... – Głos księdza Emila uległ nagle zmianie. – Czy to myśmy porwali Thomasa Capelo?

– O mój Boże – jęknęła Lucy. – Co za amatorzy,

– To prawda, Lucy – potwierdził ksiądz Emil. – Jestem amatorem. Jestem rewolucjonistą ze szkółki niedzielnej. Jestem na samym dole drabiny zwącej się Życie Teraz. Człowiekiem wierzącym w cele organizacji, do której należy. Właśnie dlatego nie znam odpowiedzi na pytanie, które przed chwilą zadałem, i właśnie dlatego zależy mi na poznaniu odpowiedzi na nie. Czy Życie Teraz albo którakolwiek z zaprzyjaźnionych organizacji antywojennych powała doktora Thomasa Capelo?

Amanda spłotła kurczowo palce. Co na to odpowie kapitan Lewis? Jednakże rozległ się znowu głos księdza Emila.

– Nie wiesz tego, prawda? Ja jestem u dołu drabiny, ale ty nie stoisz na jej szczycie. I zwyczajnie nie wiesz.

– Antymilitaryści nie są porywaczami – rzekł kapitan Lewis.

Amanda, nawet nie widząc wyrazu jego twarzy, domyśliła się, że mężczyzna nie jest pewny swego.

– Nawet co do tego nie masz pewności – skwitował ksiądz Emil.

Kobieta przerwała tę wymianę zdań, mówiąc:

– Obydwaj tracicie z oczu to, co naprawdę ważne. Amanda Capelo musi nadać tę transmisję, zwalając winę za porwanie ojca na agentów rządowych, i co więcej, musi to uczynić bezzwłocznie. Ty ją do tego przekonasz, Emilu. Ta mała kurewka ufa tylko tobie.

– Amanda nie jest kurewką, Lucy – zaprotestował kapitan Lewis. – Niemniej masz rację. Emilu, musisz ją przekonać, jak tylko się obudzi.

– A jeśli nie zdołam?

– Wtedy będziemy mieli poważny problem – odparł kapitan Lewis. – Jeśli ją zatrzymamy, wyjdziemy na porywaczy. Jeśli wydamy ją Marbet Grant, Amanda opowie całemu światu o tym, jak przymuszaliśmy ją, żeby zwała winę na Stefanaka. Nawet jeśli nie od razu Marbet Grant wyczyta w niej niepokój, tajemnicę, kłamstwo, prędzej czy później wydobędzie z dziewczynki prawdę. Znasz jakiegoś Wrażliwca, Emilu?

– Nie.

– A ja znam. Budź dziecko, Emilu, i zabieraj się do roboty. Użyj swego daru perswazji. Caluteńskiego.

– Chwileczkę... — powstrzymała ich Lucy, zastanawiając się na głos. – Nawet jeśli Emil przekona Amandę i ta transmisja zostanie nadana, w późniejszym czasie Marbet Grant się dowie, że to myśmy zmusili małą... I tak źle, i tak niedobrze!

– Wcale nie – zaprzeczył kapitan Lewis. – Jeżeli Amanda publicznie odwoła swoje oświadczenie, wyjdzie tylko na skołowane dziecko. Ale jeśli będzie uparcie odmawiała wygłoszenia go, ma szansę zostać bohaterką broniącą prawdy!

W gruncie rzeczy tym właśnie jest – skomentował książd Emil. – Idealistką brzydzącą się kłamstwem. Trudno uznać to za grzech.

– Och, pieprzyć grzech – burknęła Lucy. – To polityka, Emilu, a nie jakaś tam religijka. Mała musi nadać



transmisję, jak tylko otworzy oczy. I musi szczerze wierzyć, że robi to z własnej woli.

– A jeśli...

W tym momencie rozległ się basowy głos, którego Amanda wcześniej nie słyszała. Odezwał się trzeci członek załogi. Mówił z ciężkim akcentem:

– Jeśli się sprzeciwi, stanie się zbędnym balastem dla naszego ruchu. Pamiętajmy, że nikt nie wie, gdzie się podziała. Bardzo łatwo może po prostu zniknąć.

Pozostała trójka zaczęła się znów przekrzykiwać. Mężczyzna o basowym głosie uciszył kompanów.

– Głupi jesteście. Życie jednego dziecka nie ma znaczenia w obliczu istnień tysięcy dzieci, które zginą, jeżeli nie powstrzymamy Stefanaka. Skończcie z tym sentymentalizmem.

Zaległa cisza, którą przerwał dopiero kapitan Lewis.

– Salah... – zaczął, lecz wpadł mu w słowo ksiądz Emil.

– Nie pozwolę na to!

– Ani ja – poparł księdza kapitan Lewis. – Nie jesteśmy barbarzyńcami, Salah! Barbarzyńcami są nasi przeciwnicy! Nie zapominaj o tym!

Salah nie odpowiedział.

Amanda leżała jak kłoda, wyczekując. Po długiej chwili ciszy usłyszała, że ksiądz Emil wstaje i opuszcza kambuz. Wiedziała, że to on, ponieważ doleciał ją cichy pomruk modlitwy.

## 5.

*W drodze na Marsa*

Ktoś odciągnął zasłonkę. Udająca głęboki sen Amanda poczuła na szyi plaster z antidotum i udała, że się budzi. Przy koi stał ksiądz Emil.

– Amando...

Kiwnęła głową nazbyt przestraszona, aby się odezwać.

Niechlujnie odziany mężczyzna z nieporządną bródką i oczami otoczonymi siecią zmarszczek patrzył na nią bezradnie przez długą chwilę. Następnie wgramolił się na koję, uważając, aby nie dotknąć dziewczynki, i usiadł z podkurczonymi nogami, opierając się o ściankę. Amanda przybrała podobną pozycję. Siedzieli obok siebie, wpatrując się w grubą zasłonę. Nie dzieliło ich nic, a zarazem nic nie łączyło. Ksiądz Emil zaczął poruszać bezgłośnie wargami i Amanda zrozumiała, że znowu się modli.

– Amando – przemówił ponownie. – Zamierzam zapytać raz jeszcze. Nie będę cię straszył ani molestował i nie wrócę więcej do tego tematu. – Po chwili zastanowienia dodał: – Przynajmniej ja...

Amanda milczała. Palce miała ciasno splecione. Ksiądz Emil był cicho bardzo długo i Amanda pomyślała, że może wcale nie będzie rozmawiał z nią, tylko z Bogiem. W końcu się jednak odezwał, podwójnie ją zaskakując.

– Moja misja ma za zadanie ratować dusze. Skłaniać zbłąkanych, aby porzucili swoje smutne grzeszne życie i wrócili do Boga. Nazwę zawdzięcza świętej Teresie z

Lisieux zwanej Małym Kwiatkiem. Święta Teresa nie była dorosłą kobietą, lecz małą dziewczynką. Taką jak ty.

– Aha – bąknęła Amanda, poczuwszy, że wypada coś powiedzieć. Choć nie rozumiała, co ta święta ma wspólnego z nią i tym wszystkim. Poza tym lekko się obruszyła, bo nie była już małą dziewczynką. Miała czternaście lat.

– Święta Teresa straciła matkę, gdy była malutka. Tak jak ty. Kiedy wciąż była bardzo młoda, aczkolwiek nieco starsza od ciebie, straciła również ojca. W wieku piętnastu lat została zakonnica...

– Co to jest zak...

Zakonnica to kobieta, która poświęca swe życie Bogu i nigdy nie wychodzi za mąż. Święta Teresa starała się zawsze postępować właściwie, pomagać innym.

Napisała książkę o swoim życiu. Chciałbym zacytować ci dwa fragmenty i chciałbym, żebyś obydwie rozważyła.

Ksiądz Emil nie patrzył na Amandę. Siedząc tak z podkurczonymi nogami i z tą swoją nieporządną bródką, wyglądał jak dziecko, które potwornie się zestarzało, zanim zdążyło dorosnąć. Dziewczynka odwróciła głowę i wlepiała spojrzenie w niebieską zasłonkę.

– Pierwszy fragment brzmi tak... „Usilnie starałam się nie usprawiedliwiać siebie”. – Urwał na moment, po czym podjął. – Drugi jest trochę dłuższy... To właściwie modlitwa, która tak brzmi: „Panie mój i Boże, pojęłam, że każdy, kto czyni coś dla ziemskiej chwały albo żeby zdobyć poklask innych ludzi, oszukuje siebie. Albowiem jednego dnia świat cieszy jedno, drugiego zaś drugie...

Tyś jest zaś niezmienny na wieki wieków”. Rozumiesz, Amando?

– Nie.

– To znaczy, że jednego dnia ktoś może chcieć, abyś zrobiła to, a drugiego znowuż tamto, natomiast ty zawsze powinnaś postępować właściwie, nie zważając na naciski i nie szukając wymówek. Gdyż to, co właściwe, jest też wieczne. Zawsze prawdziwe.

*Fakty, pomyślała Amanda. Fakty są takie. A ksiądz Emil namawia mnie, żebym trzymała się faktów. Tata nazywał to rzetelnością naukową.*

– Rozumiem.

– To dobrze. W takim razie ponowię pytanie. Pamiętaj, że mody i przekonania przemijają. Liczy się to, co niezmienne: dobroć i pomoc innym... Święta Teresa poświęciła swoje życie, żeby nieść pomoc innym ludziom... Chodzi tylko o to, aby swoimi skromnymi siłami powstrzymać zło panoszące się na świecie. A skoro tak, czy pomożesz nam położyć kres toczącej się wojnie, nadając transmisję, w której oświadczysz, że to rząd porwał twojego ojca?

– Nie, proszę księdza. Nie mogę tego zrobić.

Ksiądz Emil zamilkł. Poruszył wargami w bezgłośniejszej modlitwie. A potem odchylił zasłonkę i ześlizgnął się z koi na podłogę.

Amanda zamarła w oczekiwaniu. Nic się jednak nie wydarzyło. Panowała kompletna cisza. W końcu z duszą na ramieniu wyjrzała za zasłonkę. Wspólne pomieszczenie było puste, a drzwi do kambuza zamknięte. Zatem tam się naradzali. Chyba że przeszli na mostek albo do ładowni.

Położyła się na koi i zamknęła oczy. Miała nadzieję, że kiedy je znowu otworzy, znajdzie się z powrotem w domu, w swoim pokoju, i będzie musiała wstawać do szkoły. Na dole Sudie będzie oglądać holokreskówki na cały regulator, a tata będzie szykował śniadanie i mamrotał coś pod nosem. W pokoju będzie się unosił zapach smażonego bekonu i drzew rosnących za oknem, i jeszcze nowej torby leżącej na podłodze. Amanda wstanie, przejdzie do łazienki, po czym zbiegnie na parter domu, gdzie Carol powitają uśmiechem na dzień dobry, Sudie pokaże jej język, a tata... Wyobrażała sobie to wszystko z zamkniętymi oczami, dopóki nie usnęła.

\* \* \*

Gdy się obudziła, na statku był środek nocy i przygaszono wszystkie światła. Amanda zerknęła na zegarek. Godzina trzecia czasu pokładowego. Przespała taką część dnia, że przebudziła się nocą.

Nie... Coś ją wyrwało ze snu. Jakieś odgłosy. Ktoś był we wspólnym pomieszczeniu. Ktoś właśnie odsuwał zasłonkę jej koi. Salah. Salah trzymający coś w dłoni.

Amanda wrzasnęła. Gwałtownie rzuciła się w dalszy kąt koi. Salah zaklął i wyciągnął rękę w jej stronę. Kopnęła go i w tej samej chwili dostrzegła, co trzyma w dłoni. Plaster. Zamierzał otumanieją lekami.

– Nie! Nie! – rozwrzeszczała się, wiedząc, że to daremne. Jej kopniak wcale nie zniechęcił mężczyzny. Salah był potężnie zbudowany i silny i powiedział do tamtych: „Bardzo łatwo może po prostu zniknąć. Życie jednego dziecka nie ma znaczenia w obliczu istnień tysięcy

dzieci...”. Ale przecież go zakrzyczeli! Ksiądz Emil i kapitan Lewis, i nawet Lucy; wszyscy na niego naskoczyli i Amanda myślała, że nic jej nie grozi... – Nie! Zostaw mnie!

Salah schwycił ją za ramię i bez trudu przyciągnął do siebie. Dziewczynka wyrznęła go prosto w twarz, co jednak nie uczyniło na nim żadnego wrażenia. „*Chce mnie zabić...*” – pomyślała.

Wtem głowa Salaha spadła z ramion.

Krew trysnęła z szyi, ochlapując sufit i Amandę. Równocześnie rozległ się przenikliwy sygnał alarmu i system pokładowy oznajmił:

– Poszycie uszkodzone. Poszycie uszkodzone. Poszycie...

Po chwili komunikat ucichł. Nanoboty cienką tymczasową warstwą ochronną załatały dziurę, która była tak mała, że Amanda nawet nie potrafiła jej dojrzeć.

– To nie wystarczy! – rzucił ksiądz Emil. Stał z pistoletem laserowym... na pokładzie statku kosmicznego nie wolno używać broni laserowej!... i otwierał jakąś szafkę. – Nie mam pojęcia, jak to trwale naprawić. A ty może wiesz?

Oczywiście, że Amanda wiedziała. Zeskoczyła z koi i szarpnęła drzwiczki jaskrawoczerwonej szafki będącej obowiązkowym wyposażeniem każdego pomieszczenia na pokładzie statku kosmicznego. Złapała przybory do naprawy, wydobyła je z opakowania, ale zaraz poślizgnęła się na kałuży krwi. Rozpaczliwie zamachała rękami, żeby się czegoś złapać. Ksiądz Emil ustawił ją do pionu. Dławiąc się z obrzydzenia, wdrapała się z powrotem na koję. Tylko gdzie jest ta dziura?...

– *Poszycie uszkodzone* – powtórzył system pokładowy ciszej. – *Należy zastąpić tymczasową warstwę ochronną latą permanentną. Poszycie...*

– Otwór jest cienki jak włos, ale długi – sapnął ksiądz Emil. – Zamachnąłem się pistoletem, żeby odciąć mu głowę, nie wiedziałem, jak inaczej na pewno...

– *Poszycie uszkodzone... Należy zastąpić tymczasową warstwę ochronną latą permanentną. Poszycie uszkodz...*

Amanda wypatrzyła wreszcie dziurę. Otwór w poszyciu pobłyskiwał czerwono od nanobotów, naprowadzając na cel. To przez tę krew trudno było go dojrzeć. Dziewczynka spryskała ściankę i kosztowne wyspecjalizowane nanoboty natychmiast zabrały się do pracy. System pokładowy przestał zrzędzić.

W zapadłej ciszy dwoje ludzi popatrzyło na siebie nawzajem.

– Ukryłem się w schowku – wyjaśnił ksiądz Emil. Akt przemocy paradoksalnie go uspokoił. Tyle się ich naoglądał w przeszłości... Spokój duchownego z kolei udzielił się dziewczynce. – Domyśliłem się, że spróbuje cię zabić, a potem pozbyć się ciała przez służę. Po wszystkim tamci nie mogliby donieść na niego władzom, gdyż to by się równało przyznaniu, że cię porwali. Tym samym sprawa byłaby załatwiona.

– G-gdzie są pozostali?

– Bez wątpienia śpią z przyklejonymi plastrami. Mnie też by uśpił, gdyby nie to, że nie mógł mnie znaleźć. Salah nie był zawodowym mordercą, raczej fanatycznym członkiem ruchu. Zapewne doszedł do wniosku, że oddaję się modlitwie w luku bagażowym albo



robię coś w tym stylu, i uznał, że zdąży ze wszystkim, zanim wrócę.

– Tyle tu krwi... – szepnęła Amanda.

– Tylko nie płacz, dziecko.

– Nie płaczę! Widzi ksiądz, żebym płakała? Ja czuję... – *Co właściwie czuję?* – Czuję obrzydzenie!

Na ustach księdza pojawił się wąły uśmiech.

– Ach tak. W takim razie łap się za szczotkę!

Posłuchała rady i na uginających się nogach przeszła do kambuza. Zanim wróciła, zniknęła głowa Salaha, a jego ciało zostało owinięte w gruby materiał zerwany z haczyków.

Ksiądz Emil rzekł:

– To nie zadanie dla dziecka. Idź wziąć prysznic, Amando, tylko nie zużyj całego zapasu wody.

Dopiero pod prysznicem zaczęła się trząść. *Tamten człowiek chciał mnie zabić! Gdyby nie ksiądz Emil... och, jakże tęsknię za ojcem! I za domem!*

Splotła ciasno palce obu dłoni i stała tak, ociekając wodą, aż drzenie ustało.

Gdy w końcu wyszła spod prysznica, wspólne pomieszczenie lśniło czystością. Nie tylko dzięki szorowaniu szczotką, lecz także dzięki nanobotom asenizacyjnym, które pożerały cząsteczki organiczne, po czym umierały i ulegały autorozkładowi. Ich szczątki też zostały posprzątane. Ciało Salaha zniknęło. Zostało gdzieś ukryte? Czy wyrzucone za śluzę? Woląła nie pytać.

Spojrzenie księdza Emila było znużone... Amanda nie widziała nigdy u nikogo tak zmęczonych oczu. Duchowny wskazał koję, ale nie tę, w której spała poprzednio.

- Połóż się spać, Amando.
- Nie zdołam zasnąć.
- Wiem. Mimo to połóż się... Już nic ci nie grozi. Nic? Co dziwne, uwierzyła mu na słowo.
- Dokąd lecimy?
- Na Kleopatrze.

Kleopatra krążyła na orbicie Ziemi, za Księżycem, i stanowiła ważną stację przesiadkową, jak również była sporym miastem.

- Chcę polecieć na Marsa i odnaleźć...
- Amando, kładź się spać! Ale to już!

Leżąc na nowej koi, dziewczynka wyczekiwała z wszystkimi mięśniami napiętymi do skoku. Wiedziała, co ksiądz Emil teraz robi. Domyśliła się ze sposobu, w jaki kazał jej iść do łóżka. Tata też zawsze mówił do niej: „Amando, kładź się spać! Ale to już!”. Po paru minutach duchowny wrócił i poczuła, że plaster nasenny lekkim pocałunkiem mówi jej dobranoc.

– Dziękuję – szepnęła. Wiedziała, że nie pośpi długo, ale nawet krótki sen jest lepszy niż żaden.

– Spij dobrze – odszepnął ksiądz Emil. – Dzielna z ciebie dziewczynka... – Pokręcił głową. – Jesteś najodważniejszym, najbardziej upartym i najmniej roztropnym dzieckiem, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Na pewno by mu odpowiedziała, gdyby nie spała już głęboko.

## 6.

### *Tunel Czasoprzestrzenny #1*

Statek Gwiezdna Kaskada opuścił Marsa w lipcu, przeszedłszy odprawę jako zwykły statek handlowy lecący na Tytana oraz okręt z emigrantami lecący z Tytana na odległą planetę o nazwie Nowa Kana. Był to potężny okręt, wycarterowany spółce Liu Wang Interplanetary zarejestrowanej w Republice Nowych Chin na Ziemi, mimo że nigdy nie przeleciał w pobliżu Ziemi ani nawet nie miał tego w planach. Dostatecznie duży, by pomieścić na pokładzie dwa statki kurierskie i dwa wahadłowce, zabierał jednorazowo osiem tysięcy pasażerów. W tym rejsie trzy czwarte stanowili amisze zamierzający zasiedlić Nową Kanę w donkiszotowskiej próbie stworzenia cywilizacji preindustrialnej po odbyciu podróży na pokładzie nowoczesnego okrętu kosmicznego. Wśród załogi przeważali Chińczycy. Ładownie pełne były pługów i kowadeł dla kolonii na Nowej Kanie obok prawie SI dla rządowej stacji geologicznej na Tytanie.

Pozostałe dwa tysiące pasażerów stanowiły mieszalinę biznesmenów, techników, naukowców, przywódców politycznych, poszukiwaczy przygód oraz bliżej niesprecyzowanej grupy ludzi trzymających się na uboczu i raczej nie rozprawiających głośno o powodach swojej podróży na obrzeża Układu Słonecznego. W większości byli to przestępcy, uciekinierzy, szpiedzy... Savoir-vivre obowiązujący na pokładzie Gwiezdnej Kaskady wymagał, aby nie kwestionować tożsamości podróżnych. Nie obowiązywał on oczywiście agentów rządowych, których zadaniem było sprawdzanie paszportów i destynacji.

Pośród niesprecyzowanej bliżej grupy znaleźli się Lyle Kaufman i Marbet Grant. Ten pierwszy podróżował pod przybranym nazwiskiem Erika Jamesa Peltiera, emerytowanego pułkownika armii dorabiającego jako konsultant do spraw ochrony. Marbet w ogóle nie figurowała w manifeście pokładowym, dzięki czemu nie musiała się posługiwać żadnym nazwiskiem, wymyślonym czy nie. Jako powszechnie znany Wrażliwiec nie mogła odbyć tej podróży jawnie. Na szczęście też nie musiała.

Na Gwiezdnej Kaskadzie znalazły się dwie małe kajuty wygospodarowane przy doku statków kurierskich. Nie wiedziała o nich większość oficerów, kapitana nie wyłączając. Szef ochrony pokładowej zlecił ich skonstruowanie, po czym wynajmował je niebotycznie drogo, a zyskiem dzielił się z tymi nielicznymi członkami załogi, którzy i tak prędzej czy później odkryliby obecność dodatkowych pomieszczeń i pasażerów na gapę. Z okazałych zysków pokrywał też inne koszty operacyjne, w tym łapówki. W spółce czarterującej okręt nikt nie miał pojęcia o nielegalnych zmianach dokonanych w konstrukcji. Taki był jeden z plusów działania poza sferą wpływów właściciela.

Marbet, której przyszło spędzić w ciasnej kabinie długą męczącą podróż do Tunelu Czasoprzestrzennego #1, ani myślała zapaść w wywołany farmaceutykami sen. Zaopatrzyła się w osobisty terminal, lekturę, ciężarki, nawet kostkę muzyczną. Kaufman wiedział, że nie zniósłby odosobnienia ciągnącego się całymi tygodniami, przerywanego wizytami stewarda siedzącego w kieszeni szefa ochrony pokładowej i odpowiedzialnego za

donoszenie posiłków. Marbet jednak nie widziała żadnego problemu. Miała kostki informacyjne z poprzedniej ekspedycji i planowała szlifowanie światańskiego.

– Bo ostatnio, jak może pamiętasz, zeszałam na powierzchnię planety tylko raz i nie miałam prawie kontaktu ze Światanami.

Kaufman pamiętał doskonale.

Nie wolno mu było kontaktować się z Marbet w czasie podróży – taka zasada obowiązywała na pokładzie Gwiazdnej Kaskady. Odgrywał swoją rolę dobrze, uczestnicząc w rozmowach z członkami załogi i pasażerami, lecz nigdy nie zagłębiając się w szczegóły osobiste. Większość osób brała go zapewne za ważniaka z kręgów przestępczych. No i dobrze.

Zresztą rozmowy rzadko zbaczały na tematy osobiste. W mesie pierwszej klasy, na korytarzach, w siłowni, dosłownie wszędzie bawiono się w zgadywanke pod tytułem „Gdzie generał Stefanak ukrył Artefakt Protektor?”. Gra toczyła się w wielu językach. Nie była niebezpieczna nawet w obecności rządowych szpiegów, ponieważ generał Stefanak przy paru okazjach oświadczył, że artefakt aktywowany przy „ustawieniu oznaczonym jedenastką” chroni Układ Słoneczny. Artefakt chronił „wszystkie ludzkie kolonie przed planetarnym atakiem, jaki Fallerowie przypuścili na system Viridiana, smażąc tyłki naszym żołnierzom i cywilom”. Taka mieszanina pompatycznej retoryki i potocznej mowy ulicy była typowa dla generała.

Zasada działania odkrytego przed dwoma laty artefaktu została rozszyfrowana przez genialnego porwanego naukowca, doktora Thomasa Capelo. Nikt z pasażer-

rów Gwiazdnej Kaskady nie miał pojęcia o choćby podstawach fizyki, której doktor Capelo użył do rozpracowania artefaktu, i nikt nie rozumiał jego fenomenu. Niemniej wszyscy wiedzieli, do czego są zdolne jego ustawienia na poziomie siódmym. Dzięki mediom nawet małe dzieci potrafiły wyrecytować następującą litanię:

Jedynka: kierunkowa fala destabilizacyjna niszcząca wszystkie atomy o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć. (I nieważne, że wedle ludzkiej matematyki jeden nie jest liczbą pierwszą; to nie ludzie konstruowali artefakt).

Dwójka: tarcza chroniąca przed falami wywołanymi przez jedynkę i trójkę.

Trójka: sferyczna fala destabilizacyjna niszcząca wszystkie atomy o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć.

Piątka: tarcza planetarna chroniąca przed wszystkimi ustawieniami artefaktu.

Siódemka: fala mogąca zniszczyć całą planetę, destabilizując wszystkie atomy o liczbie atomowej większej niż pięćdziesiąt.

Jedenastka: tarcza chroniąca cały układ gwiazdny.

Trzynastka: fala zdolna zniszczyć cały układ gwiazdny, zamieniając wytwory cywilizacji w promieniotwórczy pył.

Owże Artefakt Protektor został ukryty przez generała Stefanaka gdzieś w obrębie Układu Słonecznego, a jego lokalizacja znana była najwyżej dziesięciu osobom.

– Założę się, że w Pasie – powiedziała jakaś kobieta, oszałamiająco piękna dzięki modyfikacji genetycznej, przy stole, przy którym rozmawiano po angielsku. – Na

pewno tam. Łatwo ukryć jeszcze jeden orbitujący obiekt pośród tylu innych.

– Nie – nie zgodził się z przedmówczynią młody mężczyzna z brodą przystrzyżoną w kształt, jakiego Kaufman w życiu nie widział. Ach, ci młodocieni cywile...

W Pasie panuje ożywiony ruch. Osadnicy, handlowcy, górnicy... Moim zdaniem artefakt został ukryty pod powierzchnią którejs z ważniejszych planet. Może nawet na Marsie. W ten sposób Stefanak mógłby mieć na niego oko.

– Na co tu mieć oko? – spytała, przeciągając zgłoski, starsza kobieta obwieszona staromodnymi szmaragdami. – Przecież to automat, tak czy nie? Wystarczy ustawić go raz na jedenastkę i odtąd chroni cały układ planetarny. Nie trzeba go resetować ani nawet serwisować.

Młody mężczyzna się zaperzył.

– Nie, to prawda, ale trzeba go pilnować przed tymi pieprzonymi antimilitarystami. Ci dranie najchętniej by go oddali wrogowi.

– Och, nie wierzę w to – odezwał się inny mężczyzna, ubrany gorzej od innych, spoglądając na młodzieńca z dezaprobatą.

Do rozmowy włączyła się nastolatka podróżująca z oszałamiającą pięknnością.

– Po co go w ogóle tutaj trzymać? Dopóki Faberowie sądzą, że znajduje się w Układzie Słonecznym, dopóty spełnia swoją rolę. Na pewno nie sprowadzą tu swojego, aby się przekonać na własnej skórze. A my tymczasem możemy zabrać nasz do ich systemu gwiazdnego i zetrzeć ich w proch.



Jej matka prychnęła:

– Alva, nie masz pojęcia, o czym mówisz! Gdybyśmy zabrali nasz artefakt do ich systemu gwiazdowego i tam go uaktywnili z myślą o zniszczeniu, a oni mieliby swój ustawiony na ochronę, zniknęłaby czasoprzestrzeń! Doktor Thomas Capelo to wykazał. Naprawdę nie wiem, czego oni was uczą w tej szkole...

– Na pewno nie tego – odparła zapalczywie nastolatka – bo to nieprawda! Obydwa artefakty musiałyby być ustawione na trzynastkę. Chyba jednak ty powinnaś czytać uważniej!...

Mamie ubrany mężczyzna wtrącił się, żeby zażegnać rodzącą się sprzeczkę.

– Do czegoś takiego nigdy nie dojdzie, nigdy nie zostaną oba naraz ustawione na trzynastkę. Nawet jeśli zrobi to jedna strona, druga obroni się jedenastką. Po co miałyby choćby myśleć o trzynastce?

– Zgadzam się – oświadczył milczący dotąd mężczyzna. – To byłby całkiem poroniony pomysł.

Kaufman pomyślał, że to albo szpieg, albo dziennikarz. Marbet nie miałaby trudności z przejrzeniem go na wylot. Niemniej Kaufman po latach pracy w Radzie Obrony Sojuszu Solamego rozpoznał technikę: rzucić prowokacyjną uwagę albo jej przytaknąć i czekać na reakcję innych.

Młodzieniec z wymyślną brodą zmarszczył brwi.

– Coś takiego jest możliwe. Wyobraźmy sobie następujący scenariusz: zabieramy nasz artefakt nie do ich rodzimego systemu, lecz do jednego z granicznych i tam nastawiamy na trzynastkę, grożąc zniszczeniem całego układu planetarnego. Faberowie widzą, jak nadlatujemy,

i też ustawiają swój artefakt na trzynastkę z zamiarem unicestwienia naszej floty. Obydwa artefakty na trzynastce nadają czy co one tam robią i buuum! Już po czasoprzestrzeni.

– Ale – podchwyciła Alva, zwyczajem nastolatek całkiem inaczej traktując własną matkę i obcego chłopaka – po co Faberowie mieliby trzymać swój artefakt w jednym z granicznych systemów zamiast w rodzimym, tak jak my?

Młodzieniec uśmiechnął się do niej pod osłoną brody.

– Nie wiem. Może na przykład obawiają się negatywnych skutków ubocznych.

Dziewczyna nie dała sobie w kaszę dmuchać.

– Może ludzie obawiają się tego samego. Może nasz artefakt jest w ogóle poza granicami Układu Słonecznego.

– Generał Stefanak zapewnia, że Artefakt Protektor nas chroni.

Szpieg bądź dziennikarz wybuchnął krótkim śmiechem.

– Nie ma żadnych skutków ubocznych, panienko!

Alva spiekła buraczanego raka.

– Skąd ta pewność? – zwróciła się do niego.

– Tak mówi generał Stefanak.

– A czy mówią tak też fizycy? Doktor Capelo?

To zbytnio się ocierało o krytykę naczelnego dowództwa. Zainterweniowała matka nastolatki.

– Alvo, ty naprawdę nie wiesz, o czym mówisz. Panie Peltier, pan jest byłym wojskowym, widzę to po pana postawie. Gdzie pańskim zdaniem generał Stefanak

ukrył artefakt, abyśmy mieli z niego jak najwięcej korzyści?

Kaufman przytknął serwetkę do warg. Wiedział na ten temat nie więcej od przeciętnego obywatela. Za to miał całkiem niezłe pojęcie, gdzie znajduje się artefakt Fallerów, jednakże ta informacja była ściśle tajna. Nic z tego już go oczywiście nie obchodziło. Odszedł z armii na dobre.

– Uważam – przemówił spokojnym pewnym głosem – że generał Stefanak prawdopodobnie ukrył artefakt w Pasiu, gdzie najmniej rzuca się w oczy. – Uznał, że człowiek postawiony pod ścianą powinien się przychylić do zdania większości.

– A nie mówiłam? – zapięła piękna kobieta. Jej córka wyglądała na bliską łez.

*Dlaczego, zastanowił się Kaufman, takiej urody kobieta ma taką zwyczajną córkę? Dlaczego nie poddała swego dziecka modyfikacji genetycznej? Może obawiała się konkurencji? Ludzie są perwersyjni do granic.*

– Gdziekolwiek artefakt jest – skwitował mamie ubrany mężczyzna – stanowi asa w rękawie Stefanaka. Nikt nie waży się go odsunąć od władzy, póki dzierży kontrolę nad Artefaktem Protektorem.

– No nie wiem – powiedziała wolno starsza kobieta. – Wariatów nie brakuje. Co będzie, jeśli jacyś terroryści, szaleńcy nawet więksi niż antymilitaryści, przechwycą artefakt? Będą mogli zgodnie z własnym widzimisię zniszczyć Fallerów albo Układ Słoneczny, albo tylko grozić, że to zrobią, żądając okupu.

Alva, pomimo płacznego nadąsania, od dłuższej chwili przyglądała się bacznie staruszce. Teraz odezwała się nagle:

– Poznaję panią. Pani jest autorką holothrillerów! Nazywa się pani Ruth Pomeroy!

Staruszka uśmiechnęła się skromnie i rozmowa zeszała na holothrillery, pisarstwo, aktorstwo i aktorów, o których Kaufman w życiu nie słyszał. W pewnym momencie młodzieniec z brodą obwieścił:

– Wiecie, co słyszałem? Że przed miesiącem pasażerką na tym statku była Magdalena!

– Doprawdy? – wykrzyknęła Ruth Pomeroy. – Z niej to by dopiero była bohaterka holothrillera!

– Ha, gdyby potrzebowała pani mordercy Magdaleny – odezwał się znowu szpieg czy też dziennikarz – nie miałyby pani kłopotów z wyborem podejrzanych. Ta kobieta ma więcej wrogów niż generał Stefanak.

– Którego – dodała Ruth Pomeroy taktownie – zdaje się, zna nie najgorzej osobiście...

– Och, chyba już nie! – zaprotestowała matka Alvy. – Magdalena ma co najmniej sześćdziesiątkę. Co widać.

– Nieprawda – oburzył się brodac. – Co za figura!

– Kim jest ta cała Magdalena? – wypaliła Alva.

Szpieg lub dziennikarz zaśmiał się gromko.

– *Sic transit gloria mundi...*

Dziewczynie odpowiedziała matka.

– Nie musisz wiedzieć.

Nastolatka ostentacyjnie zwróciła się do młodzieńca z brodą.

– Co to za jedna?

Brodacz miał w nosie matczyną troskę.

– Magdalena zaczynała jako gwiazdka porno na długo przed twoimi narodzinami. Krążą słuchy, że przyszła na świat w slumsach i pazurami wydrapała sobie drogę na szczyt. Była niewiarygodnie seksowna. Jednakże zakończyła holokarierę dość dawno temu.

– Po czym stała się jeszcze sławniejsza – dorzucił szpieg czy dziennikarz. – Aczkolwiek nigdy nie była wzorem do naśladowania, panienko. Magdalena wyszła za członka rządu, który ostatecznie został stracony za zdradę. Ona jednak nawet nie została przesłuchana. Odziedziczyła majątek po mężu i zaczęła inwestować i kleić się do każdego, kto był przy władzy. W początkach wojny wzbogaciła się na wojskowym czarnym rynku. Pan powinien coś o tym wiedzieć, pułkowniku.

– Obawiam się, że to nie moja dziedzina – odparł Kaufman, który w rzeczy samej coś na ten temat wiedział.

Nigdy nie oglądał holopornosów z Magdaleną ani nie interesował się jej małżeństwami czy inwestycjami. Niemniej we współczesnym świecie, w którym rządziły kontrakty rządowe, wywiad, zmowy spółek, kontrola tuneli czasoprzestrzennych i kradzieże na wielką skalę, sprzętu wojskowego nie wyłączając, Magdalena stanowiła istny żywioł. Nikt nie wiedział, na ile jej renoma jest zasłużona, a na ile wynika z pochlebstw. Niezaprzeczalnym faktem było to, że Magdalena – która posługiwała się tylko imieniem – nieustannie się bogaciła, stała się coraz potężniejsza i bardziej niebezpieczna.

Alva spytała zazdrośnie:

– Naprawdę była taka piękna?

– O, tak... – zachwycił się brodacz, który najwyraźniej jeszcze nie pojął tej prostej prawdy, że mężczyzna nigdy nie powinien wychwalać urody jednej kobiety przed drugą. – Miała czarne włosy, ogromne niebieskie oczy, oblicze anioła. No i ta figura... Nikt inny nie ma takich piersi ani...

– Wystarczy – przerwała mu sucho Ruth Pomeroy. – Modyfikacja genetyczna skutkuje przeróżnymi dziwnymi kombinacjami cech. – To powiedziawszy, ostentacyjnie skierowała rozmowę na poprzednie tory.

Kaufman spożywał wyśmienity obiad i zastanawiał się nad tym wszystkim, co usłyszał. Oczywiście nic z tego nie było dlań nowością. Generał Stefanak osobiście – przy okazji ich jedyne spotkanie – powiedział mu o swoich zamiarach. A właściwie powiedział to Tomowi Capelo.

– *Co zamierza pan zrobić z moim artefaktem?*

*Stefanak uśmiechnął się, słysząc z ust fizyka zaimek dzierżawczy, który – o czym Kaufman był przekonany – nie wymuszał się Tomowi przypadkiem. Nie skomentował tego jednak, lecz po prostu odpowiedział:*

– *Zamierzam go zabrać do Układu Słonecznego, zainstalować w jakimś bezpiecznym i pilnie strzeżonym miejscu, po czym aktywować przy ustawieniu oznaczonym jedenastką, tym samym chroniąc Sojusz Solarny przed atakiem Obcych.*

– *Rozumiem. Zatem nie zamierza pan zabrać artefaktu do rodzimego systemu Fallerów, aktywować go przy ustawieniu oznaczonym trzynastką i usmażyć wszystkiego w promieniu setek lat świetlnych?*

– *Twierdzi pan, że to niemożliwe bez ryzykownego naruszenia ciągłości materii wszechświata.*

– *Zawsze mogę się mylić.*

– *Dlatego właśnie mamy nadzieję, że nie zaprzestanie pan prac nad swoją teorią, zdobywając coraz większą pewność w tej kwestii.*

– *A jeśli w ogóle przyjąłem złe założenie co do tego, czym jest ustawienie oznaczone jedenastką?*

– *Nie będę się powtarzał.*

*Czyżby Tom Capelo dalej „pracował nad swoją teorią”? Czyżby z tego powodu został porwany? Ponieważ jakiś aspekt odkrywczego modelu fizycznego niósł implikacje, które nie spodobały się Stefanakowi? Stefanak powitał Toma radosnym stwierdzeniem, że nie zrozumiał ani słowa z jego teorii sugerującej istnienie prawdonów. Ale po prawdzie w całym Układzie Słonecznym było może dziesięć osób, które rozumiały. – zastanawiał się Peltier.*

– *Zamyślił się pan, panie Peltier – rzekła doń modyfikowana genetycznie piękność zalotnym tonem. – Zechce pan nam zdradzić, co pana tak pochłonęło?*

– *Zastanawiałem się właśnie, co podadzą na deser – odparł Kaufman. – Mam nadzieję, że będzie to coś wykwintniejszego niż babka śmietankowa, którą uraczyli nas w porze lunchu.*

\* \* \*

Gwiezdna Kaskada bez żadnych kłopotów uzyskała pozwolenie na pokonanie Tunelu Czasoprzestrzennego #1. Sprawdzono paszporty, dokonano inspekcji ładowni,



wklepano dane do bazy danych Marsjańskiego Zarządu Tunelami Czasoprzestrzennymi. Wszystko to odbyło się najpierw podczas postoju na Tytanie, później jeszcze raz, tutaj. Zarząd pilnie nadzorował ruch w tunelach czasoprzestrzennych. To dzięki nim Mars wyrósł na potęgę Układu Słonecznego.

System tuneli czasoprzestrzennych odkryto przed sześćdziesięcioma laty. Dzięki niemu Galaktyka zaczęła przypominać spore miasto, którego dzielnice łączy sieć autobusowa z wrotami zamiast przystanków. Wystarczyło podjechać swoim autobusem do najbliższych wrot, przebyć tunel i *voilà!* – człowiek wylątał się na dworcu położonym na skraju innego układu gwiazdowego. Wróciwszy do tego samego tunelu, przedostawał się do punktu wyjścia, chyba że była to pierwsza podróż danego okrętu. Wówczas trafiało się tam, gdzie bezpośredni poprzednik. Była to więc do pewnego stopnia inteligentna sieć autobusowa, która decydowała o kierunku jazdy pasażerów.

Niektóre układy gwiazdowe posiadały trzy, a nawet cztery tunele czasoprzestrzenne, lecz Układ Słoneczny mógł się poszczycić tylko jednym. Najwyraźniej dawno wymarła obca rasa, która skonstruowała ten system, nie miała o naszym układzie planetarnym wysokiego mniemania.

Odkrycie Tunelu Czasoprzestrzennego #1 wstrząsnęło posadami borykającego się z licznymi problemami Układu Słonecznego. Zaczęto uprawiać nowe dyscypliny nauki, takie jak choćby ksenobiologia, organizować międzygwiazdne poszukiwania skarbów oraz kręcić holo filmy pod różowym czy żółtym niebem. Myśliciele

ostrzegali, że ludzkość nie jest gotowa na kolonizację wszechświata, skoro nie uporała się z kłopotami na własnym podwórku. Oczywiście nikt ich nie słuchał. Zamożni bogacili się na nowych inwestycjach; biedakom nadal powodziło się tak samo źle; na Ziemi dochodziło do kolejnych tragedii ekologicznych. Wszystko było razem nie było takie samo.

Pierwsze lata były pasmem sukcesów i porażek. Doświadczenia wykazały, że statek kosmiczny – bądź jakikolwiek inny przedmiot – umieszczony w tunelu czasoprzestrzennym po raz pierwszy przenosił się tam, gdzie udał się jego bezpośredni poprzednik. Natomiast statek kosmiczny, który skorzystał z tunelu w jedną stronę potem chciał wrócić, automatycznie przenosił się do punktu wyjścia bez względu na to, ile innych statków go poprzedzało. Jakimś sposobem – co było najczęściej używanym przez ludzi wyrażeniem, gdy przychodziło do opisywania technologii tuneli czasoprzestrzennych – każdy tunel „zapamiętywał” miejsce, w którym dany statek rozpoczął podróż. Była to kosmiczna wersja plan-szy do gry w węże i drabiny.

Mimo upływu ponad półwiecza ludzkość nadal nie wiedziała, na jakiej zasadzie działają tunele czasoprzestrzenne. Nie pomogły nawet odkrycia doktora Thomasa Capelo. Jak najbardziej fizyczne wrota unoszące się w pustce przestrzeni kosmicznej niczym gigantyczne pączki zdawały się nieprzeniknione dla nauki. Stojąca za nimi technologia była całkowicie obca. Najsensowniejsza teoria mówiła, że obiekty będące wrotami powodują splątanie w świecie makro, analogiczne do stanu splątania na poziomie kwantowym, które umożliwia oddzia-

ływanie jednej cząstki na drugą bez względu na dzielącą je odległość, tym samym likwidując wymiary wszechświata i sprowadzając czasoprzestrzeń do jednego punktu. Ale była to tylko teoria. Osiągnięcie stanu splątania w wypadku przedmiotów wielkości statku kosmicznego – pozostawiając na boku kwestię kontroli tego procesu – wydawało się nie do pomyślenia. A jednak tunele czasoprzestrzenne istniały.

Gwiezdna Kaskada zaczęła, aż konfiguracja Tunelu Czasoprzestrzennego #1 ulegnie zmianie, prowadząc do systemu Herndona, co osiągnięto, przysyłając stamtąd statek kurierski. W kosmicznym ogonku czekało także kilka innych statków. Gdy przyszła kolej Gwiezdnej Kaskady, kapitan wprowadził swoją jednostkę do tunelu. Osoby, które podróżowały w ten sposób po raz pierwszy, zgromadziły się na pokładzie obserwacyjnym, licząc na wrażenia, lecz niewiele zobaczyły, a poczuły jeszcze mniej. Po prostu znajome konstelacje widoczne z Układu Słonecznego zostały zastąpione konstelacjami systemu Herndona, po drodze ustępując na moment miejsca dziwnym ścianom tunelu czasoprzestrzennego. Dało się słyszeć chóralne rozczarowanie widzów:

– Hmmmmmmmmm...

Podróż od Tunelu Czasoprzestrzennego #1 do Tunelu Czasoprzestrzennego #32 trwała zaledwie kilka godzin. W systemie Herndona przedstawiciele Marsjańskiego Zarządu Tunelami Czasoprzestrzennymi dokonali ponownej odprawy pasażerów i ładunku, aczkolwiek znacznie pobieżniejszej. Cztery systemy dalej, za wrotami Tunelu Czasoprzestrzennego #389, urzędnicy też przeprowadzili kontrolę, mimo że na Nową Kanę wybie-

rali się tylko amisyze i nikt z dołu nie zamierzał dostać się z powrotem na pokład.

Wahadłowce przez wiele dni miały przewozić kolonistów na powierzchnię planety. Zdecydowana większość pozostałych pasażerów opuściła pokład Gwiezdnej Kaskady w poprzednich systemach. Kaufman udający się do doku statków kurierskich mijał po drodze wyłącznie odziane na czarno osoby obładowane tobołkami.

Szef ochrony pokładowej postarał się, aby wszystko przebiegło sprawnie. W doku byli obecni tylko jego ludzie. Marbet była już spakowana. Razem z Kaufmanem wsiadła do jednego z dwóch statków kurierskich, który następnie miał zostać wykreślony z inwentarza jako utracony z powodów technicznych. Statek ten zawczasu poddano daleko idącej przebudowie. Obecnie nie przypominał ani statku kurierskiego, ani wahadłowca, chociaż był swego rodzaju skrzyżowaniem tych dwóch typów jednostek kosmicznych. Mógł się poruszać w przestrzeni, aczkolwiek nieco wolniej niż statek kurierski, i był zdolny do lądowania na powierzchni planet, aczkolwiek twardszego niż w wypadku wahadłowca. Kosztowało to tyle, że Marbet Grant do tej pory się wzdrygała na samo wspomnienie.

– Na pewno dasz radę tym kierować? – zapytała Kaufmana.

– Przeszedłem odpowiednie szkolenie jeszcze jako kadet – uspokoił ją i spytał: – Cieszysz się, że to już koniec twojego uwięzienia?

– I tak, i nie. To było bardzo odprężające przeżycie. Ale tęskniłam za tobą, Lyle.

– Podszlifowałaś światłański?

– Przekonamy się, jak dolecimy. – Posłała mu uśmiech.

Kaufman zdusił obawy i opuścił dok Gwiazdnej Kaskady.

W systemie, w którym krążyła Nowa Kana, znajdowały się dwa tunele czasoprzestrzenne. Kaufman przeleciał przez drugi z nich, prowadzący do systemu Kaliguli. System Kaliguli był położoną na rubieżach bazą wojskową, którą od Świata dzielił zaledwie jeden tunel czasoprzestrzenny. Stateczek został zatrzymany natychmiast po wyłonieniu się z wrót tunelu.

– Numer lotu i dane osobowe – dobiegło ze statku patrolowego. Uwadze Kaufmana nie umknął rzucający się w oczy system uzbrojenia jednostki.

– Lot numer sześć-siedem-pięć-cztery be, jednostka cywilna, trasa z Marsa zgodnie z wykazem w drodze. Na pokładzie obecni: Erik James Peltier, pułkownik armii Sojuszu Solamego w stanie spoczynku, oraz Ellen Fineman, obywatelka Sojuszu Solarnego. Małżeństwo. Numery identyfikacyjne w drodze.

Erik James Peltier i jego żona Ellen Fineman zmarli niedawno w Hegemonii Południowoamerykańskiej, która słynęła z opóźnień w raportowaniu – szczególnie ostatnimi czasy. Kaufman nie dysponował paszportem Ellen/Marbet, jednakże w tak odległych rejonach kosmosu wojskowi bardziej ufali udzielonym na Marsie pozwoleniom na lot anizeli cywilnym paszportom. Mimo to wstrzyma! oddech.

Cisza się przedłużała. W końcu z komunikatora dobiegł znów ludzki głos:

– Pański lot jest w systemie, pułkowniku. Ale obo-  
wiązuje zakaz lądowania na Świecie. Nie mam pojęcia,  
jakim cudem...

*Pieniądże rządzą światem...* – pomyślał Kaufman, a  
na głos oburzył się teatralnie:

– Ależ mamy pozwolenia! W dokumentach wszyst-  
ko się zgadza!

– Chwileczkę, pułkowniku. Muszę to sprawdzić. Ja-  
ki jest cel waszej podróży?

– Prywatny. Moja żona jest kuzynką doktor Anny  
Sikorski, która została na Świecie po zakończeniu po-  
przedniej legalnej misji naukowej. – Sztuka kłamania  
wymaga jak najmniejszego mijania się z prawdą.

– Chwileczkę, sprawdzam informacje...

– Żołnierzu, czyżby Świat zdążył trafić na listę za-  
kazanych planet? – spytał Kaufman.

– Nie.

– I nasze pozwolenia są w najlepszym porządku?

– Tak jest, sir – odpowiedział żołnierz, automatycz-  
nie reagując na władczy ton głosu Kaufmana.

– W takim razie nie rozumiem w czym problem.

– Mam rozkaz nie przepuszczać żadnej jednostki  
poza ten tunel.

Ten służbista nie zamierzał ustąpić. Kaufman zmie-  
nił więc taktykę.

– Proszę o przekazanie tej sprawy dowódcy.

– Tak jest, sir.

Kaufman wyłączył komunikator.

– Rozgość się, Marbet. Spędzimy tu jakiś czas.

– Nie rozumiem tego. Czemu zabraniają wstępu na Świat? Przecież nic tam już nie ma. Zabraliśmy wszystko, co było do zabrania.

– Nie mam pojęcia – rozłożył ręce Kaufman. – Ale liczę na to, że raczej nas przepuszczą, zamiast zawrócić na Marsa, gdzie moglibyśmy zacząć zadawać niewygodne pytania.

Oczekiwanie trwało krócej, niż przewidywał Kaufman. Po niecałej godzinie z doku statku patrolowego wystartował stateczek kurierski i skierował się ku tunełowi.

– O co chodzi, Lyle? Co cię tak dziwi?

Kaufman nie przyzwyczyił się jeszcze do tego, że Marbet potrafi odczytać jego nastrój z mowy ciała.

– Chcą nawiązać kontakt z kimś po drugiej stronie. Nie wiedziałem nawet, że ktoś tam jest... O Boże, mam tylko nadzieję, że nie zamierzają obudzić Anny, żeby przez komunikator potwierdzić naszą historyjkę. Ellen Fineman z pewnością nie była z nią spokrewniona.

Powrócili do oczekiwania. Kaufman ćwiczył w myślach plany awaryjne na wypadek, gdyby zostali przyłapani. Rany, ale się porobi... Jednakże gdy stateczek kurierski wyłonił się z wrót po niecałej półgodzinie, odprężył się.

– Nie skontaktowali się z Anną. Opóźnienie wynosi pięćdziesiąt cztery minuty. Ciekawe jednak, z kim rozmawiali...

– Pułkownik, droga wolna.

Marbet złapała go za rękę. Odwzajemnił uścisk, po czym włączył silniki.



Ku swemu zdumieniu odkrył, że po drugiej stronie tunelu krąży Murasaki. Był to ten sam okręt wojenny, który znajdował się tam przed prawie trzema laty według kalendarza światańskiego. Tyle że wtedy bronił systemu z obcym artefaktem i naukowca pracującego nad jego rozszyfrowaniem. Czego Murasaki strzegł teraz?

Takie marnotrawstwo, polegające na zwolnieniu ze służby sprawnego okrętu wojennego w czasie, gdy toczyła się wojna, którą ludzie przegrywali, nie miało najmniejszego sensu.

– Co robi tutaj Murasaki? – Marbet wyraziła na głos jego obawy.

– Nie wiem. Ale jeżeli dowódcą jest wciąż McChesney, mamy przechłapanie. Rozpozna nas...

– Tu Murasaki – odezwał się komunikator. – Macie pozwolenie na bezpośrednie lądowanie na powierzchni Świata. Potwierdźcie swój cel.

– Planeta Świat – odparł Kaufman, usiłując zmienić brzmienie swojego głosu. Niezbyt mu to wyszło. Mimo to nadeszła odpowiedź.

– Droga wolna. Powodzenia.

– Dzięki – rzucił Kaufman, włączając pełen ciąg. Lecieli na Świat.

## 7.

*Lowell City, Mars*

Gdy Amanda Capelo się obudziła, nie znajdowała się tam, gdzie w swoim mniemaniu powinna być: na stacji Kleopatra. Ktoś wprowadził ją w głęboki sen – nie taki, jaki wywołują plastry nasenne! – na czas całej podróży na Marsa. Statek, inny, większy od poprzedniego, właśnie wylądował w kosmoporcie Lowell City.

– Nie możecie mi robić czegoś takiego bez jednego słowa! To nie fair! – krzyknęła na widok księdza Emila, który stał przy jej koi.

– To oni, nie ja – odparł krótko duchowny. – Wstawaj, Amando, masz tylko dwie godziny na rozprostowanie nóg. Dostałaś już odpowiednie farmaceutyki. No wstawaj.

– Dwie godziny? Dlaczego tylko dwie godziny?

Usiadła za szybko i zawirowało jej w głowie. Nie była przyzwyczajona do zmniejszonej grawitacji. Wcześniej tylko raz doświadczyła głębokiego snu: podczas pierwszego odcinka tamtej długiej podróży z Marsa do Tunelu Czasoprzestrzennego #1, wtedy z tatą i z Sudie. Po przebudzeniu potrzebna była fizykoterapia, a i tak człowiek chodził na drętwych nogach co najmniej przez tydzień. Amandzie się to nie podobało. Tym bardziej nie mieli prawa...

Poczuła, że włosy nie dotykają jej ramion.

Kiedy się prostowała, nie spadły kaskadą na twarz, ale też nie były związane w koński ogon ani w kok. Pomacała głowę drżącą ręką, naciągnęła jeden kosmyk... Ilyła brunetką, nie blondynką!

– Coście zrobili z moimi włosami?

– Strzyżenie i farbowanie. Nie trać czasu na błahostki. Wsta...

– Moje włosy! – zawyła. – Moje włosy! Moje włosy!

Ksiądz Emil patrzył na nią osłupiały. Po dłuższej chwili przemówił:

– Dwukrotnie groziła ci śmierć, byłaś świadkiem morderstwa, sprzeciwiłaś się potężnej organizacji, ale płaczesz nad włosami?!

– Moje włosyooooo!

– Wstawaj! Natychmiast!

Amanda wstała i zerknęła za siebie, na lśniąca ściankę koi. Mame lustro, ale i tak pokazało jakąś obcą istotę: dziewczynkę o krótkich czarnych włosach, i to z grzywką! Ubrana w granatowy jednoczęściowy kombinezon.

– Amando – spróbował ponownie ksiądz Emil, siląc się na cierpliwość – daj spokój. Jesteśmy na Marsie. Wstań i wykonaj ćwiczenia zgodnie z odpowiedziami holofizykoterapeuty, zanim znowu cię uśpię.

Właściwie wydawała się starsza w tej fryzurce. Obca, ale starsza. I trochę egzotyczna, jak Yaeko. No i przywieźli ją na Marsa, gdzie była Marbet Grant. Niedługo ją zobaczy. Wyciągnęła rękę, żeby przygładzić włosy ścięte na pazia.

Holoprojektor włączył się samoistnie. Amanda sapiąc, z wysiłkiem złapała drążek obok koi i zabrała się do wykonywania ćwiczeń przywracających sprawność mięśniom zastałym w trakcie głębokiego snu. Ksiądz Emil wyszedł, zanim zdążyła o cokolwiek go zapytać.

Wrócił, kiedy skończyła ćwiczenia i dysząc, siedziała na brzeжку koi. Bolało ją całe ciało. Ksiądz Emil przyniósł jej tacę z posiłkiem. Wygłodzona Amanda

rzuciła się na jedzenie. Chyba straciła na wadze, ale to dobrze. Podczas głębokiego snu, gdy organizm jest karmiony przez rurki, zawsze traci się na wadze. Amanda chciała być tak szczupła jak Marbet.

Ksiądz Emil jednak wychudł za bardzo. Sterczały mu wszystkie kości. Wyglądał, jakby był chory.

Ćwiczenia i kalorie usprawniły jej procesy myślowe.

– Czy znaleziono już mojego tatę?

Natychmiast wstrzymała oddech. Mogła usłyszeć, że znaleziono ojca martwego albo że go uwolniono, albo...

– Nie, dziecko. Thomas Capelo nadal jest uważany za zaginionego, a rząd nadal obwinia o porwanie nasz ruch. Zaczęły się protesty, bunty... Większość antymilitarystów musiała zejść do podziemia.

Amanda nie odniosła się do tej informacji w żaden sposób.

– Ksiądz też był pogrążony w głębokim śnie, proszę księdza?

– Nie.

Zatem wychudł tak nie dlatego, że był odżywiany przez rurki.

– Zabierze mnie ksiądz do Marbet, jak tylko będę swobodnie chodzić?

– Amando... Marbet Grant nie ma na Marsie.

Dziewczynka zamarła z widelcem uniesionym do ust.

– Musi tu być!

– Dlatego, że ty tego chcesz? To tak nie działa, dziecko.

– Ale ksiądz mówił, że ona tu jest! Co się z nią stało?

– Zniknęła. Nie, nie została porwana. Marbet Grant i Lyle Kaufman opuścili Marsa dawno temu, tuż po naszym odlocie z Ziemi. Wszystko wskazuje na to, że od dawna starali się o pozwolenie na podróż do systemu Świata. Wszystkie ich podania były załatwiane odmownie z powodu ograniczeń wywołanych wojną. Można śmiało założyć, że znaleźli nielegalny sposób, by tam polecieć.

– Ale jak...

– Och, nie bądź naiwna. My zrobiliśmy to samo. Sądzisz, że ktoś spoza naszego ruchu wie, że jesteś na Marsie? Stałaś się nielegalną imigrantką.

Amanda odsunęła tacę. Nagle całkiem straciła apetyt.

– I stanowisz nie mniejszy problem niż przedtem – kontynuował duchowny. – Jeśli ktokolwiek się dowie, że tu jesteś, zostaniemy oskarżeni o porwanie cię. Pamiętasz? To samo mówiliśmy ci trzy miesiące temu.

*Trzy miesiące temu? Lot na Marsa trwał trzy miesiące. Czyli dzisiaj jest...*

– Który dzisiaj mamy, proszę księdza? – spytała słabo.

– Trzeci lipca. Miesiąc Najświętszej Maryi Panny. Nic jej to nie powiedziało.

– Jeżeli Życie Teraz zostanie oskarżone o porwanie, a oskarżenia zostaną poparte solidnymi dowodami winy, już nie spekulacjami jak dotąd, zginą ludzie. Nie zapominaj o tym.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała, czując, że zbiera jej się na mdłości. – Och, proszę, nie mogłabym się udać do cioci Kristen? Ona mieszka w Tharsis, to tutaj, na Marsie, i...

– Nie wiem, gdzie przywódcy zamierzają cię umieścić. Nie mam na to wpływu. My troje, ja, Lucy i Dennis, otrzymaliśmy polecenie, by dostarczyć cię na Marsa i przekazać w ręce przywódców. Oni wiedzą, co będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych.

Amanda wgapiała się w niego.

– To... to ksiądz nie będzie się już dłużej mną opiekował? – Miała na myśli ochronę.

– Zabiorę cię w miejsce, gdzie poznasz przywódców naszego ruchu. Oni wiedzą, co będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych – powtórzył, unikając jej spojrzenia.

Coś tu było nie tak. Ksiądz Emil wydawał się jakiś zmieniony. Amandę ogarnął trach.

– No chodź, dziecko. Pojazd już czeka.

Dziewczynka ruszyła za nim przez statek, nie mając pojęcia, co innego mogłaby lubić. Po drodze nie spotkali ani jednego człowieka. Mogłabym uciec, pomyślała w pewnym momencie z rozpaczą. Na zewnątrz prowadziły rampy, przy których czekały pojazdy... Gdy znajdzie się na dole, będzie mogła puścić się biegiem, krzycząc swoje imię i nazwisko... Kosmoport to tłoczne miejsce. Była tutaj, w Lowell City, przy okazji wizyt u cioci Kristen. Ktoś na pewno ją usłyszy, może nawet rozpozna mimo krótkich czarnych włosów... Bez wątpienia pokazywali ją w holowiadomościach, tak jak tatę. Ktoś ją zobaczy i...

„Pojazd” okazał się napędzanym energią atomową transporterem, który czekał na nich w ładowni na pokładzie statku.

– Nie – oświadczyła Amanda. – Nie wsiądę do niego.

– W takim razie znów użyjemy farmaceutyków.

Skoro tak, czemu jeszcze tego nie zrobili? Czemu nie przenieśli jej śpiącej prosto z koi do transportera? Gdyby chcieli ją zamordować, nie brakowało po temu okazji. Z czego wynikało, że nie chcieli pozbawiać jej życia. Wszystko jednak będzie dobrze. Ksiądz Emil jej nie skrzywdzi. Powstrzymał Salaha!

Ksiądz Emil jej nie skrzywdzi, ale przywódcy ruchu Życie Teraz mogą to zrobić, a on nawet o niczym się nie dowie. Przynajmniej tak się będzie usprawiedliwiał.

– Oni mnie zabiją! – krzyknęła. – Żeby pozbyć się problemu! Zabiją mnie, jak ksiądz mnie do nich dostarczy!

– Bzdura, Amando. Nikt cię nie zabije.

– Nie ksiądz ani Lucy, ani kapitan Lewis... Ale Salah chciał mnie zabić. Co będzie, jeśli przywódcy są bardziej podobni do niego niż do księdza?

*„Bardzo łatwo może po prostu zniknąć. Życie jednego dziecka nie ma znaczenia w obliczu istnień tysięcy dzieci...”*

– Bzdura – powtórzył ksiądz Emil, nadal unikając jej spojrzenia.

Amanda poczuła, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak.

Wyrwała mu się i rzuciła pędem ku zabezpieczonym skrzyniom w drugim końcu ładowni. Ksiądz Emil



bez trudu ją złapał. Szarpała się, lecz duchowny – choć wyglądał na chorego – miał wiele siły. Parę chwil później była już związana. Miotła się na ziemi, próbując go kopnąć, gdy pętał jej także nogi w kostkach. Twarz miał poszarzałą, wokół nosa nabrzmiały purpurowe brzydkie żyłki.

– Nie, nie, pomocy! – wrzeszczała.

W ładowni poza nimi nie było żywej duszy. Duchowny zaniósł Amandę do opancerzonego transportera.

– Pojazd, ruszamy. Wrota ładowni, otworzyć się – wysapał zdyszany.

Trasa przejazdu została z góry zaprogramowana. Jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym były tu komunikatory... Amanda znów zaczęła wrzeszczeć. Może komunikatory działają w obie strony i ktoś tam ją usłyszy?

Nikt nie odpowiedział na jej wołanie. Pojazd miękko ruszył z miejsca. Dziewczynka krzyczała, dopóki nie rozboleła ją gardło.

Leżała na podłodze, a ksiądz Emil siedział na metalowym krzeselku naprzeciwko niej. Poruszał ustami w bezgłośnej modlitwie. Amanda szarpnęła się gwałtownie, usiłując go dosięgnąć nogą, a on nachylił się, jakby chciał ją odsunąć. Włożył skrawek papieru do kieszeni jej kombinezonu. Jego oczy mówiły: „*Milcz. Milcz. Milcz*”.

Przestała krzyczeć, dyszała tylko głośno i bacznie go obserwowała. On dalej mamrotał modlitwy.

Poczuła, że pojazd się zatrzymuje, i domyśliła się, że dojechali do jednej ze śluz Lowell City. Normalnie w tym miejscu sprawdzano dokumenty wszystkim pasażerom.

rom. Czy ktoś zaraz zajrzy do transportera? Nie była nawet pewna, czy wciąż ma przy sobie paszport na nazwisko Jane Verghese. Na pewno zaraz odbędzie się kontrola...

Nikt się nie pojawił. Antymilitaryści musieli mieć swoje sposoby. Transporter znowu ruszył. Amanda dowiedziała się przynajmniej jednego: pojazdy wpuszczano tylko do jednej z trzech wielkich kopuł Lowell City, tej z fabrykami i magazynami. We Wschodnim Sektorze. *A zatem to tutaj mnie przywieźli.*

Ksiądz Emil zerkał na zegarek co parę sekund. W końcu powiedział:

– Pojazd, stać. Zmiana zaprogramowanej trasy. Hasło „*Ghandi*”. – Transporter się zatrzymał. – Pojazd, otworzyć drzwi. – Drzwi się otworzyły.

Duchowny uwolnił ją z więzów kilkoma sprawnymi ruchami.

– Amando, uciekaj! Idź z Bogiem, dziecko... – Wypchnął ją za drzwi.

Nie odzyskała jeszcze pełnej sprawności ruchowej. Zachwiała się i upadła. Ksiądz Emil przyglądał się jej z transportera, w którym nagle rozbrzmiał głos dobiegający z komunikatora.

– ...zdrajco! ...było wiadomo, że nie można ci ufać!...

To znaczyło, że cały ich przejazd był monitorowany.

Amanda stała na chwilowo wyludnionej uliczce pomiędzy dwoma pozbawionymi okien budynkami. Na Marsie żadne miejsce nie pozostawało długo puste. Dziewczynka pozbierała się z ziemi i rzuciła do biegu,

co skończyło się tym, że obie jej nogi majtnęły w powietrzu, grożąc upadkiem. Ksiądz Emil wysiadł z transportera i nareszcie spojrzął jej w oczy.

Powtórzył:

– Uciekaj! Niedługo tu będą, nie wiem, ile im zajmie... – umilkł i oczy mu się rozszerzyły.

Amanda się odwróciła, aby powieść wzrokiem za jego spojrzeniem. Z budynku obok wyszła kobieta i ruszyła prosto w ich stronę. Była uzbrojona.

Jak się później wydawało Amandzie, ksiądz Emil w okamgnieniu stanął pomiędzy nią i zbliżającą się kobietą. Też miał coś w ręku. Kobieta wystrzeliła z broni. Nie rozległ się żaden dźwięk, lecz ksiądz Emil się przewrócił. Kobieta również runęła. Ktoś trzeci, przechodzień, który właśnie wyłonił się zza rogu, wrzasnął.

Krzyki przyciągnęły innych. Nagle na uliczce zaroilo się od ludzi. Ktoś pociągnął Amandę w miejsce – jak sądził – bezpieczne. Wyrzucał z siebie słowa w niezrozumiałym dla niej języku. Nadbiegali kolejni ludzie. Pojawił się policjant, a za nim dwóch żołnierzy w mundurach armii Sojuszu Solamego. Rozlegały się wołania i pytania. Znikąd wyłonił się kamerobot nagrywający dla Marsjańskiej Stacji Transglobalnej.

Amanda przecisnęła się na skraj tłumu, potem skręciła w boczną uliczkę. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Starła się kroczyć naturalnie pomimo nóg jak z waty, pomimo paniki. Ksiądz Emil zginął. Ksiądz Emil zginął. Ksiądz Emil zginął.

Zginął, pomagając jej w ucieczce.

Widziała to, co trzymał w dłoni. Czy żołnierze też to rozpoznają? Amanda nie miała pojęcia. Ona widziała

to już wcześniej i wtedy także czuła przerażenie. Może strach wspomaga pamięć? To, co ksiądz Emil trzymał w ręku, było bronią, jedną z tych, które zdobiły wszystkie strony Gniewu Bożego, maszyny chroniącej Misję „Mały Kwiatek” przy kościele Świętej Teresy.

Szła, dopóki nie zabrakło jej sił. Poruszając się zawsze z największą ludzką falą, w końcu dotarła do chodnika prowadzącego do głównej kopuły Lowell City. Chodnik, a właściwie tunel także był wykonany z piezoelektrycznego przezroczystego materiału i na tyle szeroki, by pomieścić pojazdy. Doszła nim aż do Centralnego Sektora. Tam opadła na ziemię, aby odpocząć.

Wyciągnęła z kieszeni skrawek papieru, który dał jej ksiądz Emil. Był w niego zawinięty jakiś twardy przedmiot. Na papierze odręcznie napisano:

*Idź do opactwa Ares na ul. Rho 8451. Pytaj o brata Meissela. Daj mu ten Ust. Wezwij sanie, wykup przejazd za dychę. „Panie mój i Boże, pojęłam, że każdy, kto czyni coś dla ziemskiej chwały albo żeby zdobyć poklask innych ludzi, oszukuje siebie. [...] Tyś jest zaś niezmienny na wieki wieków”.*

W środku była moneta warta dziesięć kredytów i drugi list.

Amanda złożyła papier. „Panie mój i Boże...” W dalszym ciągu uważała księdza Emila za wariata. Ale on dał się dla niej zabić. I wbrew temu, co napisał, należał do organizacji, która czyniła wszystko dla „ziemskiej chwały”. Całość była niezmiernie skomplikowana. Amanda miała dosyć komplikacji, zmieszania i strachu. Miała dosyć tego, że ją ścigają. Była bardzo zmęczona.

Jednakże zmusiła się, by wstać na nogi i przebiec chodnik do końca. W górze marsjańskie niebo pobły-skiwało różowo. Ze ścian spoglądały holoplakaty z generałem Stefanakiem. Na głównych ulicach roilo się od żołnierzy. Dziewczynkę mijaly pojazdy z platformami przewożące towary ze Wschodniego do Centralnego Sektora. Wszystko, jak to na Marsie, toczyło się jakby w zwolnionym tempie.

Lowell City składało się z trzech kopuł, z których każda była osadzona za kolistym murem wysokim na półtora metra i stanowiącym podporę dla jej szkieletu. Największa zajmowała powierzchnię około pięciu tysięcy hektarów, dwie pozostałe były o połowę mniejsze. W Centralnym Sektorze z głównej podpory strzelała w górę smukła wieża zwana „Wierzchołkiem” – stanowiła siedzibę Rady Obrony Sojuszu Solarnego. Na ostatnim piętrze urzędował generał Stefanak rządzący Marsiem.

W miejscu, gdzie chodnik łączył się z główną kopułą, był koniec trasy pojazdów. Dalej towary były przenoszone przez roboty na znacznie mniejsze pojazdy zwane saniami – jedyny środek transportu dopuszczony do użytku w Centralnym Sektorze, nie licząc pojazdów wojskowych. Sanie były dwojakiemu rodzaju: płaskie towarowe i osobowe z czterema małymi siedzeniami. Amanda wezwała te drugie, posługując się numerem bocznym, i pojazd posłusznie podjechał do niej na niewidocznych, sterowanych komputerowo szynach, które oplatały całe miasto.

– Ulica Rho osiem-cztery-pięć-jeden – powiedziała, umieszczając monetę w szczelinie płatniczej. Większość ludzi używała kredytów, ale monety pozostały w obiegu.

Miały tę zaletę, że dokonywane nimi transakcje nie dały się wyśledzić.

– Ulica Rho osiem-cztery-pięć-jeden – powtórzyły sanie i ruszyły.

Pojazd nie miał ani burt, ani sufitu, Amanda siedziała więc sztywno, pochyliwszy głowę, aby krótkie włosy możliwie najbardziej zasłoniły jej twarz. Nikt jednak nawet na nią nie patrzył.

Sanie były wyposażone w niewielki terminal audio oferujący do wyboru kilka podstawowych stacji. Dziewczynka dotknęła palcem napisu WIADOMOŚCI.

– ...ostatni niczym nie sprowokowany atak organizacji wywrotowych starających się doprowadzić do upadku rządu. Zginął katolicki ksiądz nazwiskiem Emil Fulden i marsjańska obywatelka nazwiskiem Maria Gretha Silverstein. Źródła rządowe wysuwają domysły, że do ataku doszło z powodu planowanej na ten wieczór przez generała Stefanaka akcji w parku Keplera i że... – Amanda przestała słuchać.

Wszystko pokręcili. Wszyscy wszystko przeinaczali. Przez całe życie sądziła, że dorośli wiedzą, co robią, i znają prawdę. Przez całe życie.

Nie rozplacze się. Amanda Capelo nie płacze.

Dobytując resztek sił, wysiadła na ulicy Rho 8451. Jak się okazało, pod tym adresem stał pozbawiony okien budynek z omnitworzywa z typowymi dla Lowell City czerwonymi drzwiami. Metalowa tabliczka głosiła małymi literami: OPACTWO ARES ZAKONU BENE-DYKTYNÓW.

Amanda zwróciła się do drzwi:

– Przyszedłam do brata Meissela. Przysłał mnie ksiądz Emil.

System zintegrowany nie odpowiedział.

Amanda powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą, i dodała:

– Nazywam się Jane Verghese. – Wcześniej znalazła fałszywy paszport w kieszeni kombinezonu. Zapewne umieścił go tam ksiądz Emil.

Ksiądz Emil leżący w kałuży własnej krwi na marsjańskiej ulicy...

– Wpuście mnie! – rozkazała drzwiom Amanda.

Bez reakcji. Obok przepychali się jacyś ludzie. Lowell City, podobnie jak wszystkie marsjańskie miastokopuły, było zatłoczone do granic, przez co ludzie zdawali się wchodzić sobie na głowy.

Po chwili Amanda wypatrzyła mniejszą tabliczkę po prawej stronie drzwi. Ta głosiła PROSZĘ PUKAĆ w różnych językach. To miejsce, czymkolwiek ono było, nie miało nawet systemu zintegrowanego! Dokąd też przysłał ją ksiądz Emil?

Znużona Amanda zastukała do drzwi kłykciami. Musiała uczynić to jeszcze dwukrotnie, zanim jej otworzono.

– Ja do brata Meissela...

– W jakiej sprawie pragniesz się zobaczyć z bratem Meisselem? – zapytał mężczyzna.

Amanda przyjrzała mu się bliżej. To był właściwie chłopiec, nie mężczyzna, może parę lat starszy od niej. Nosił dziwaczny, sięgający ziemi strój z szorstkiego brązowego materiału. Amanda w milczeniu podała mu list, po czym nie dbając o maniery, przepchnęła się obok



niego i wpadła do niewielkiego kamiennego przedsionka, którego większą część zajmowała ława wyciosana z czerwonej marsjańskiej skały. Z ulgą opadła na twarde siedzisko. Chłopiec zamknął ciężkie drzwi opactwa i gdzieś zniknął.

Po jakimś czasie – Amanda nie potrafiłaby powiedzieć, ile go upłynęło; biegł tutaj jakoś dziwnie – pojawił się mężczyzna, trzymając w ręku jej list. Był ubrany tak samo jak tamten chłopiec. Głos miał głęboki i spokojny.

– Witaj, Amando. Jestem brat Meissel. Tak jak obiecał ci Emil, u nas jesteś bezpieczna.

– On nie żyje – poinformowała Amanda.

– Udał się na spotkanie z naszym Panem, Jezusem Chrystusem – rzekł cicho brat Meissel. – Niech Bóg ma w opiece jego dzielną duszę. Chodź ze mną, Amando. Tu nic ci nie grozi. Nikt cię tu nie znajdzie.

Amanda ani trochę w to nie wierzyła. Mimo to wstała i chwiejnie ruszyła za bratem Meisselem, gdyż tylko to mogła zrobić. Wujek Martin i ciocia Kristen mieszkali na Marsie, ale w Tharsis, to jest po drugiej stronie planety. Amanda sama nigdy by tam nie dotarła. Ale ksiądz Emil kazał jej zatrzymać się w opactwie, obiecywał, że będzie tutaj bezpieczna. Może ten jeden raz ktoś powiedział prawdę.

## 8.

### *Świat*

Z wysokości nieba planeta wyglądała tak samo jak przedtem.

Kiedy sunęli przez atmosferę, Kaufman przyglądał się opasującemu równik jedynej kontynentowi, który teraz rósł w oczach. Dostrzegał już bujną roślinność, jeziora i morza, gdzieś góry. Bliżej powierzchni wybuchnął gejzer barw. Świat mienił się kwiatami, uprawianymi i dzikimi, porastającymi wielkie pola i małe zagoniki, karmazynowymi, kobaltowymi, różowymi i cytrynowymi, a także w kolorach, których Kaufman nie umiał nawet nazwać, aczkolwiek Światanie to potrafili. Jeszcze bliżej powierzchni zaczęły być widoczne rozsiadane tu i ówdzie osady, schludne ogrody, drogi wysypane białym piachem. Nic się nie zmieniło. W końcu wylądowali na dawnym lądowisku między górami Neury i osadą noszącą nazwę Gofkit Jemloe.

Kaufman przerwał ciszę:

- Nie sądziłem, że jeszcze zobaczę to miejsce.
- Am ja – odezwała się Marbet.
- Dzielona rzeczywistość – rzucił Kaufman. Dowcip był tak ponury, tak gorzki, że Marbet nie zareagowała. Dodał: – Myślisz, że coś z niej zostało?
- Na pewno. Mimo że jest inaczej. Ludzie są niezwykle odporni, Lyle.
- To nie są ludzie.
- Wystarczająco blisko z nami spokrewnieni – odparła, choć nie miała co do tego pewności.

Spotkała zaledwie kilku Światan, i to przelotnie. Kaufman też nie zdążył poznać wielu, no i nie miał tego wyczucia co Marbet (nikt nie miał), ale przynajmniej

widział „dzieloną rzeczywistość” w akcji. Był świadkiem, jak każda para Światan z beztroską zakładała, że postrzega daną sytuację identycznie. Ostry ból głowy towarzyszący odmiennemu postrzeganiu rzeczywistości – ból głowy, który stanowił przedmiot badań doktor Anny Sikorski – był zakodowany głęboko w mózгах Światan i stanowił efekt tysiącletniej ewolucji przebiegającej w obecności artefaktu zakopanego pod górami Neury.

Tego samego, który Kaufman kazał wydobyć, by potem przekazać go generałowi Stefanakowi. Wraz z artefaktem zniknęła kultura Światan: dzielone przekonania uwarunkowane organicznie, niemożliwość zaistnienia przemocy z premedytacją, skomplikowane zależności społeczne regulujące pracę, spółkowanie i altruizm, wszystko oparte na fizycznej niemożności odczuwania inaczej niż bliźni. Wszystko zniknęło przez niego.

Był w stanie przytoczyć z pamięci ostatnią wiadomość od Anny Sikorski.

*...ostatni raport ze Świata. Oczywiście wcale nie uważam, żeby wywarł na tobie jakieś wrażenie. Tubylcy przeżyli zniknięcie dzielonej rzeczywistości, aczkolwiek nie obeszło się bez ofiar i stresu. Infrastruktura umożliwiająca dalekosiężną komunikację, jak również handel i sprawowanie władzy zniknęły wraz z dzieloną rzeczywistością. Dochodzi do plądrowań i buntów, choć w mniejszym zakresie, niżby to miało miejsce w ludzkiej społeczności. Światanie zaczynają dbać o własne bezpieczeństwo, zamieniając osady w forty. Dzięki tobie wraz ze źródłem biologicznego mechanizmu dzielonej rzeczywistości zniknęła cywilizacja, która rozprzestrzeniła się na*

*całym globie. W jej miejsce pojawia się kultura pogranicza. Tubylcy mają szanse na przeżycie w tych warunkach wyłącznie dzięki nieprawdopodobnej żyzności Świata. Wkrótce zanikną wszelkie przejawy sztuki jako nie mające praktycznego zastosowania. Podobny los czeka manufaktury, których utrzymanie zależało od intensywnego handlu, jak również przepływ idei. Religia zapewne ulegnie rozłamom. W ciągu jednego pokolenia tubylcy zaczną żyć w odosobnionych enklawach. Tym samym rozpoczną się ich wieki średnie. Nie miej jednak wyrzutów sumienia, Lyle. Światanie sobie poradzą. Koniec raportu od zespołu pozostającego na powierzchni planety w osobach: Anny Pek Sikorski, biologa, i Dietera Peka Grubera, geologa...*

– Przestań, Lyle! – przerwała mu Marbet. – To nie była twoja wina. Zaczyna mnie nudzić ciągle powtarzanie ci tego. Lepiej sprawdź, czy zdołasz wywołać Annę.

Sięgnął po komunikator. Satelity komunikacyjne umieszczone przez ludzi na orbicie nadal tam krążyły i miały krążyć jeszcze przez długie setki lat. Tubylcy otrzymali od Ziemiaków dziewięć komunikatorów w ramach handlu, jednakże wyłącznie Anna Sikorski bądź Dieter Gruber mogli odpowiedzieć na tej częstotliwości. Kaufman pozwolił, by komunikator nadawał sygnał połączenia przez całą minutę. Nikt nie odebrał.

Nagrał więc wiadomość:

– Anno, Dieterze, jeżeli mnie słyszycie, odpowiedzcie, proszę. Tu Lyle Kaufman. To połączenie w czasie rzeczywistym. Jesteśmy z Marbet Grant na Świecie. Proszę, odbierzcie.

Marbet odezwała się łagodnym tonem:

– Idźmy w stronę osady. Światanie mogą wiedzieć, gdzie znajdziemy Annę i Dietera.

Nie zdążyli nawet się uzbroić, gdy rozległo się brzęczenie komunikatora. Kaufman odebrał natychmiast.

– Halo? Anna?

– Tu Dieter! – huknął radosny głos.

Kaufman poczuł się tak, jakby minionych dwóch ziemskich lat w ogóle nie było i jakby nigdy nie opuścił gór Neury. Wydało mu się, że słyszy znów Dietera Grubera i Toma Capelo sprzeczących się w sprawie wpływu artefaktu na umysły Swiatan. Dieter, wesoło usposobiony i mało taktowny, był potężnie zbudowanym blondynem poddanym genetycznej modyfikacji wedle czyichś przesadnych i raczej niedorzecznych wyobrażeń o wyglądzie germańskiego wojownika. Gdyby nie on, artefakt pozostałby zagrzebany w jaskini pod górami, gdzie spoczywał od pięćdziesięciu tysięcy lat.

– A, Lyle, to naprawdę ty? Wróciłeś? Anno, Anno, chodź szybko, dzwoni Lyle!

A zatem Anna Sikorski także przeżyła. Kaufmana zalała wdzięczność. Przynajmniej tych dwojga nie będzie miał na sumieniu.

– Lyle? – Głos Anny był cichszy i zdecydowanie chłodniejszy niż głos jej męża. Anna Sikorski z pobudek idealistycznych pozostała na planecie, której cywilizację zniszczyli Ziemianie.

– Tak, to ja. Jest ze mną Marbet. Wylądowaliśmy na starym lądowisku nieopodal Gofkit Jemloe. Jesteście w osadzie? Czy w domostwie Hadzila Peka Voratura?

– Nie – powiedziała prędko Anna. – Nie chodźcie w żadne z tych miejsc. Jesteśmy w innej osadzie, około pół dnia drogi pieszo od was. Nie możecie jednak... Macie jakiś pojazd naziemny?

– Nie. Tylko skrzyżowanie statku kurierskiego i wahadłowca. Ale nie poradzi sobie z podskokami na powierzchni.

– W takim razie nigdzie się nie ruszajcie. Dieter was odbierze.

– Odbierze? Ale czemu...?

– Macie się nigdzie nie ruszać – przykazała stanowczo Anna i rozłączyła się.

Marbet uważnie przyglądała się jego twarzy. Po chwili rzekła:

– Ich zdaniem narazilibyśmy się, wyruszając tylko we dwoje.

Kaufman nie odpowiedział. Podróżowanie na Świecie zawsze było dozwolone, łatwe, bezpieczne. W monolitycznej kulturze, gdzie akt przemocy krzywdził sprawcę nie mniej niż ofiarę, przemoc bywała bardzo rzadka. Kiedyś.

Wrócili na pokład. Kaufman czuł mieszaninę wstydu i pogardy. Był żołnierzem z doświadczeniem na polu walki. Oboje mieli na wyposażeniu najnowocześniejszą broń dostępną cywilom. A Anna Sikorski kazała mu siedzieć na tyłku, żeby nie wpadł w ręce teoretycznego motłochu składającego się z niskich Swiatan, którzy nigdy nie prowadzili wojen, a technologicznie zatrzymali się na etapie ręcznego wykuwania obręczy kół do rowerów. Jego nastrój, i tak dość ponury, jeszcze się pogorszył. Marbet na szczęście zostawiła go w spokoju.

Czekali przy uchylonych drzwiach. Wreszcie na horyzoncie pojawiła się rozmazana plama i zaczęła szybko się przesuwać. Okazało się, że to Dieter Gruber jadący na rowerze z silniczkami. Wkrótce był już przy nich, zeskoczył z pojazdu i zamknął obydwój w niedźwiedzim uścisku.

– *Lieber Gott!* To naprawdę wy!

– Tak – potwierdził Kaufman, wyplątując się z objęć. Nie należał do osób skłonnych do czułości. – Co ważniejsze jednak, to naprawdę ty. U was wszystko dobrze? U ciebie i Anny?

– Ja mam się doskonale. Marbet, jesteś równie piękna jak zawsze! Ale, ale... Dlaczegoście przylecieli? Czy to jakaś nowa ekspedycja naukowa?

– Nie – odparł Kaufman. – Nie ma żadnej ekspedycji.

– Przylecieliśmy wam na ratunek – rzekła przekornie Marbet. Chętnie odwzajemniła uścisk Dietera i spojrzeniem dała Kaufmanowi znać, że tryskający zdrowiem i energią Gruber z całą pewnością nie potrzebuje ratunku. – Powiedz, dlaczego odradziliście nam wizytę w Gofkit Jemloe.

Gruber natychmiast spoważniał.

– Nie mieszkamy w Gofkit Jemloe. Hadzil Pek Voratur... Nie wygląda to dobrze.

– Opowiedz – poprosił Kaufman.

Oto nadchodzi prawda... Co uczynił tej planecie?

– Hadzil Pek Voratur i jego syn Soshaf nie żyją. Zginęli z ręki maruderów wkrótce po tym, jak zniknęła dzielona rzeczywistość. Nie uwierzyli nam, kiedy mówiliśmy, że nie powinni próbować... Nieważne. Gofkit



Jemloe to teraz zbrojny obóz pod dowództwem kuzyna Peka Voratura, niebezpiecznego mężczyzny. Febina Peka Frillandifa. Ma na swoich usługach całą armię... Pamiętacie? Światanie byli nastawieni pokojowo... – jak gdyby Kaufman mógł o tym kiedykolwiek zapomnieć! – ...ale przede wszystkim byli bardzo ludzcy. Cóż, nie do końca, jak się okazało. W każdym razie po Odmianie te szumowiny, które temperowała dzielona rzeczywistość, nagle przestały czuć bat nad głową. Pek Frillandif kontroluje wszystkie osady w okolicy. Buduje swoje imperium.

Zupełnie jak Stefanak.

– A co u was? U ciebie, Anny i Enli? – zapytał Kaufman.

– Mieszkamy w osadzie Enli, w Gofkit Shamloe. Próbowali na nas napaść, ale mamy z Anną trochę broni, no i... wy przywieźliście swoją.

– Tak – potwierdził Kaufman. Minęły dwa ziemskie lata... Broń Grubera musiała być albo nadzwyczaj trwała, albo rzadko używana. Albo też miejscowy watażka próbował napaści tylko raz. – Nie mógłbyś go po prostu wyeliminować?

– Mógłbym. Tylko że Anna mi nie pozwala. – Po chwili zastanowienia Gruber dodał: – Ale ty, Lyle, to co innego. Możesz to zrobić z pokładu statku...

Kaufman rzeczywiście mógł się wzbić w powietrze i potraktować Gofkit Jemloe promieniem protonowym... Nie, właśnie że nie mógł. Osada – jeśli już nie samo domostwo – pełna była cywilów, w tym dzieci. Anna miała rację. Światanie będą musieli wypracować własne

metody radzenia sobie z despotami, których wcześniej nie znali. Po jednym watażce i tak przyjdzie następny.

Marbet oderwała wzrok od Kaufmana i zwróciła się do Grubera:

– Nie chcieliście, żebyśmy wyruszyli do was sami z powodu tych maruderów.

Gruber wyglądał na zaskoczonego.

– Nie. Wiem, że Lyle potrafi o siebie zadbać. Chodzi o coś innego... Wolałem was ostrzec, dać wam czas na przygotowanie się...

– Na co? – wpadła mu w słowo Marbet.

– Nie jesteśmy jedynymi Ziemiakami tutaj – rzekł Gruber. Pomimo swego zdumienia Kaufman zauważył, że Gruber użył światańskiego określenia oznaczającego człowieka. – Ona... *Scheisse!* Już tu są! Przed tą kobietą nie sposób uciec!

W ich stronę mknął kolejny pojazd, poruszający się tak szybko, że Kaufman właściwie zobaczył go dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż przy nich. Był to odrzutowy skimer lecący równo dwie stopy nad powierzchnią. Spory skimer, pancerny, nie do końca wojskowy, lecz najbliższy wojskowemu ze wszystkich cywilnych modeli, jakie Kaufman miał okazję widzieć. Pojazd zatrzymał się gwałtownie, otwierając równocześnie drzwi. Wyskoczyła z niego rozwścieczona kobieta.

Marbet wydała jakiś dźwięk, jednakże Kaufman nie zwrócił na to uwagi. Nie mogło być mowy o pomyłce: to ciało, ta niesamowita, choć zrujnowana twarz...

– Marbet Grant – rzekła Magdalena. – Nareszcie. Odbyłam długą podróż, żeby panią wytropić. No więc

niech mi pani powie, skoro najwyraźniej jest pani jedyną osobą, która to wie... Gdzie jest Amanda Capelo?!

\* \* \*

Kaufman wodził wzrokiem od Marbet do Magdaleny i z powrotem. Marbet przypominała rozzłoszczoną kotkę; gdyby miała futro, wszystkie włosy sterczałyby na sztorc. Magdalena powtórzyła pytanie:

– Co pani zrobiła z Amandą Capelo?

– Nic nie zrobiłam z Amandą Capelo! – wypluła z siebie Marbet. Kaufman jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie: pobudzonej, niepewnej siebie. – Nie mam pojęcia, o co pani chodzi!

– Kaufman wtrącił gładko: Marbet, nie miałem czasu ci o tym wspomnieć. Amandę porwano razem z Tomem. Dziennikarze wpadli na to dopiero dobie po porwaniu, kiedy ty przebywałaś już w swojej kajucie, więc ja... — Pod jej spojrzeniem urwał.

– Później też nie miałeś czasu, Lyle?

Zmilczał. Córki Toma Capelo nigdy go specjalnie nie interesowały; nie przepadał za dziećmi w ogóle. W trakcie wielotygodniowej podróży na pokładzie Gwiezdnej Kaskady mała Amanda zupełnie wyleciała mu z głowy. Ale raczej nie powinien w ten sposób tłumaczyć się przed Marbet.

– Rozumiem – rzekła chłodno. Zatajanie czegokolwiek przed Marbet Grant miało się z celem, czytała w nim jak w otwartej księdze. Odwróciła się od niego do Magdaleny. – Proszę mi o wszystkim opowiedzieć.

Magdalena wydawała się szczerze rozbawiona tym, co – jak jej się zdawało – zaszło między tymi dwojgiem. Obecność Wrażliwca, w mniejszym lub większym stopniu wyprowadzająca z równowagi praktycznie każdego człowieka w Galaktyce, na niej nie robiła wrażenia.

– Media doniosły, że Amanda również została porwana, jak powiedział Lyle. Tylko że wcale tak się nie stało. Moje kontakty w różnych miejscach to potwierdziły. Mimo to nie zdołałam odkryć, gdzie się podziała dziewczynka. Szukając pani, przyleciała na Lunę w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny i zapukała do drzwi mieszkania. Następnie udała się na Marsa jako pasażer na gapę na pokładzie statku należącego do ruchu Życie Teraz. Jednakże w Lowell City zniknęła. Z pewnością was szukała, tylko że zdążyliście już wyjechać.

Kaufman zaczął się zastanawiać, co jeszcze Magdalena wie o nim i o Marbet, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie wie o nich wszystko. W końcu była to Magdalena, zakulisowa gwiazda wywiadu. Grała główną rolę w licznych historiach związanych z wywiadem i choć większość zapewne mijała się z prawdą, część musiała być prawdziwa. Czego jak czego, ale umiejętności odkrywania faktów nie można było odmówić tej kobiecie.

Kaufman przestąpił z nogi na nogę. Dopiero przed chwilą zauważył, że ze skimera Magdaleny wysiadły jeszcze trzy osoby. Dwaj udoskonaleni, zmodyfikowani genetycznie mężczyźni, którzy bez wątplenia byli jej ochroniarzami, i światkańskie dziecko. Jak to możliwe, że nie widział ich wcześniej? Przecież spostrzegawczość była jego drugą naturą. Co przesłoniło mu oczy?

Natychmiast znalazł odpowiedź na to pytanie. Magdalena. Była chyba po pięćdziesiątce, twarz miała trochę pomarszczoną, spojrzenie zimniejsze niż u żołnierzy, z którymi Kaufman zadawał się w przeszłości. Jednakże jej ciało wciąż oszałamiało, emanując magnetyzmem, który z nieznanых przyczyn przepelniał powietrze wokół pewnych kobiet. Kaufman nie spotkał nigdy równie pociągającej kobiety. Wstydziły go te odczucia. Szczególnie że nie był w stanie ukryć ich przed Marbet.

Odezwał się, pragnąc powrotu na racjonalne tory.

– Dlaczego szuka pani Amandy?

Magdalena zwróciła na niego spojrzenie swych wyjątkowych oczu i znów poczuł jej rozbawienie. Ona wiedziała.

– Jest mi potrzebna do odnalezienia mego syna.

Kaufman spodziewał się różnych odpowiedzi, lecz nie takiej. Powtórzył głupawo:

– Pani syna?

– Tak. Ten, kto porwał doktora Capelo, przetrzymuje także mego syna, Laszla Damroschera.

Kaufman mógłby przysiąc, że Magdalena powiedziała to tym samym zmysłowym głosem, którym posługiwała się wcześniej, i nakazał sobie zaraz wyrzucić z głowy myśli o jej zmysłowości, jednakże Marbet najwyraźniej wychwyciła jakąś różnicę. Niewidzialne nastroszone futro wygładziło się i odtąd spoglądała na Magdalenę wyłącznie ze zwykłym żywym zainteresowaniem.

Kaufman rzucił:

– To nie najlepsze miejsce na takie rozmowy. Może przeniesiemy się do tej osady, o której wspomniał Dieter?

Gruber, zapomniany aż do tej chwili, uczynił gest, którego znaczenia Kaufman nie pojął. Magdalena zaś rzekła przyjaznym tonem:

– Nie mogłeś się doczekać i przypędziłeś tu, żeby ich ostrzec przede mną, co, Dieterze? Na szczęście droga Essa podsłuchiwała rozmowę Anny przez komunikator.

I poinformowała mnie, co się święci.

Światańskie dziecko, które wyglądało na młodą nastolatkę, podbiegło i objęło Grubera za kolana. Mężczyzna cofnął się i próbował się uwolnić z objęć, czemu Kaufman odruchowo w duchu przyklasnął, współczując Dieterowi. Niestety dziewczynka, patyczak o wciąż jasnych oczach i ciemnych szyjowłosach, czepiała się go kurczowo, paplając po światańsku. Grzebień czaszkowy miała cały pomarszczony / emocji. Kaufman zerknął na Marbet.

– Essa błaga Dietera o przebaczenie – wyjaśniła Marbet, tłumacząc. – Nie całkiem nadażam, ale zdaje się, że Pek Magdalena obiecała jej jakieś cudowne rzeczy w zamian za to, że będzie donosić... opowiadać o wszystkim... ona obiecała... a ty nie... Obiecałaś!

To ostatnie słowo padło wyraźnie pod adresem Magdaleny, która tylko wzruszyła ramionami. Marbet i Gruber byli wstrząśnięci. Kaufman, który z całej trójki jako ledyny nie znał światańskiego, zapytał poirytowany:

– Co? Co takiego obiecała tej dziewczynce? Przejazdkę statkiem kosmicznym do innych światów – odparła Marbet. – Magdaleno, przecież to niedozwolone!

– Mnie wolno więcej, niż wam się wydaje. Poza tym to bardzo przedsiębiorcze dziecko.

- Okłamałaś ją.
- Może jednak nie.

Kaufman dostrzegwał, że Magdalenie ta szermierka słowna sprawia satysfakcję. Marbet była mniej zachwycona. Gruberowi nareszcie udało się odczepić od dziecka. Essa stała teraz obok Magdaleny i na ten widok Kaufmana ogarnęło niemiłe uczucie, że obie są do siebie podobne w jakiś dziwny, nie dający się sprecyzować sposób. Postanowił wrócić do głównego tematu rozmowy.

– Marbet i ja wybieramy się do osady. Dieterze, zaprowadzisz nas tam?

– Nie ma takiej potrzeby. W skimerze znajdzie się miejsce dla was obojga. Dieter może jechać za nami na swoim rowerze.

– Pojadę z Dieterem – oznajmiła Marbet, na co Magdalena się wyszczerzyła. Kaufman nie miał wyboru. Nie znał okolicy. Wdrapał się do skimera, czując za plecami obecność podobnych do robotów ochroniarzy. Do czego dokładnie predestynowały ich modyfikacje genetyczne?

Zresztą nieważne. Przyleciał tu nie dla nich ani nawet nie dla Magdaleny, od której postanowił się trzymać jak najdalej. Przyleciał dla Światan, którym wyrządził krzywdę.

## 9.

*Gofkit Shamloe*



Wokół osady wznosiła się palisada ustawiona ręcznie z ociosanych z grubsza drzewnych pni. Dalej znajdowały się pola, na których pracowały niewielkie grupki osób. Wszędzie było pełno kwiatów. A jednak Kaufman zdał sobie sprawę, że nie potrafi ocenić, w jakim stopniu Świat się zmienił po zabraniu z niego artefaktu. Podczas poprzedniej ekspedycji ani razu nie zawitał do tubylczej osady. Widział tylko zamożne domostwo kupca Hadzila Peka Voratura, trawiaste lądowisko i krajobraz gór Neury będących schronieniem zagrzebanego artefaktu.

Za to wyraźnie zobaczył, że Anna Sikorski bardzo się zmieniła.

Zapamiętał ją jako łagodną kobietę w żadnym razie nie stanowiącą zagrożenia dla jego decyzji o zabraniu artefaktu bez względu na konsekwencje dla Światan. Była szczupła, miała długie jasne włosy, mówiła cichym głosem i brylowała nawet wśród naukowców jako wyjątkowy mózgowiec i utalentowany ksenobiolog. Natomiast kobieta, która zbliżała się doń teraz z wyraźną wrogością, była dobrze umięśniona, silna i ogorzała jak chłopka. Włosy obcięła bardzo krótko.

– Lyle.

– Witaj, Anno.

– Zatem wróciłeś. Gdzie Marbet?

– Jedzie tu z Dieterem. Pewnie niedługo będą. Anno, świetnie wyglądasz. Baliśmy się, że...

– Że umrę? Umarłam... prawie... i to więcej niż raz. Ale społeczeństwo Światan przetrwało, Lyle, wbrew tobie. Przeżyliśmy, jak widzisz.

– Pek Kaufman! – wykrzyknął ktoś z tłumu.

Kaufman obrócił się i zobaczył kobietę – tłumaczkę z domostwa Peka Voratura, dziewczynę, z którą zaprzyjaźniła się Anna. Enlę Pek Jakąś tam. Przewyższała wzrostem większość Światan i była niezdarna. Zbliżyła się z uśmiechem, niosąc na ręku małe dziecko. Po drodze zerwała z krzaka żółty kwiatek i podała Kaufmanowi.

– Oby twoje ogrody wiecznie cieszyły dusze twoich przodków!

Przypomniał sobie zwyczajową formułkę – wszystko, co umiał powiedzieć po – światańsku.

– Oby twoje kwiaty rozkwiwały w mnogości.

Anna wtrąciła sucho w ich języku:

– Powinieneś się zrewanżować kwiatem powitania.

– Dziwne, że te rytuały też przetrwały.

– Nie bierz tego za dowód, że Światan nie spotkała z twojej strony poważna krzywda. Wszystko się zmieniło. Oni podtrzymują kwietne rytuały, ponieważ teraz to jedyna dzielona rzeczywistość, jaka im została.

Enla, z tego co wiedział Kaufman, rozumiała angielski. A Anna właśnie go zbeształa przy tubylcach. Naprawdę bardzo się zmieniła.

Zawarkotał rower Grubera. Anna i Enla wylewnie przywitały Marbet i zaczęły rozmawiać z nią po światańsku. Kaufman oddał się oględzinom osady.

Niskie okrągłe chaty — Światanie uważali linie proste za szczyt brzydoty – zrobione z drewna, kryte strzechą, ustawione wokół wspólnych ognisk. Świat był żywną planetą obfitującą w zasoby naturalne, z łagodnym klimatem pozbawionym pór roku. Domy pomalowane na głęboką czerwień i purpurę – ewidentnie ulubione ko-

lory tubylców – wyposażono w wysokie łukowate okna. Wszędzie olśniewały barwami kwietne grządki, sprawiając wrażenie większej zamożności, niż w istocie można było przypisać Gofkit Shamloe. Palisada otaczała osadę tylko z trzech stron, czwarta była urwiskiem opadającym wprost ku rzece. Skomplikowany system żurawi z wiadrami dostarczał wodę na górę.

Z chat zaczęli się wysypywać mieszkańcy – głównie bardzo starzy i bardzo młodzi pozostający pod opieką tych pierwszych. Reszta pracowała w polu. Ci, na których patrzył Kaufman, wydawali się zdrowi i dobrze odżywieni, nosili proste siermiężne tuniki. Nie pamiętał, jak ubierali się kiedyś.

Enla odezwała się po angielsku:

– Chodźcie do mego domu, Peku Kaufmanie, Pek Grant, i napijcie się... – zawahała się, nie znajdując odpowiednika w obcym języku – ...i napijcie się czegoś.

– Dziękuję – odparł Kaufman.

– Pół godziny, pułkowniku – szepnęła mu na ucho Magdalena. – Potem chcę porozmawiać z panem i z panną Grant. Chodzi o ludzkie życie.

Nie odpowiedział. Magdalena oddaliła się ku innemu domowi, a oni wszyscy weszli za Enlą do jej chaty będącej, jak się okazało, jednym dużym pomieszczeniem. Kaufman zauważył, że w trzech z czterech okien nie ma szyb, dzięki czemu powietrze cyrkulowało bez przeszkód. Na wyposażenie składały się niewielkie niskie stoły i poduszki z kocami na podłodze. Dwa z równiutko złożonych koców zostały utkane z grubej przeplatanej nici i nosiły ślady podniszczenia. Pozostałe dwa

były nowe, ale cienkie. Podobne różnice widać było wśród poduszek, a nawet stolików.

– Anna powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Przed i po, Lyle. Ci, którzy muszą się bronić i walczyć o przetrwanie, nie mają czasu ani sił na zbytki takie, jak wygoda czy tym bardziej sztuka.

– Anno — powiedziała łagodnie Marbet. – Wystarczy.

– Bynajmniej. Nie widzieliście jeszcze cmentarza.

Enla zapytała głośno:

– Owocowego napoju? – W drodze do domu znalazła słowo na napitek.

Napój był lepszy niż sok owocowy, przynajmniej zdaniem Kaufmana. Miał bogaty smak, w którym mieszały się różne składniki. „Pieczywo”, które podała Enla, również było bardzo smaczne.

Gruber zwrócił się po światańsku do gospodyni, która zaśmiała się i dała kawałek pieczywa swojemu dziecku. Anna i Dieter byli tu mile widzianymi gośćmi – nie, więcej nawet: byli częścią tej społeczności.

– Enlo – odezwał się Kaufman, nie siląc się na światański – przyleciałem z Ziemi, żeby sprawdzić, jak Świat radzi sobie bez dzielonej rzeczywistości. Możesz mi opowiedzieć?

Poprawiła się na swojej poduszce, aby na niego spojrzeć. Zmarszczyła grzebień czaszkowy, jednakże Kaufman miał zbyt mało kontaktów ze Światanami, aby prawidłowo odczytać znaczenie tego gestu. Kobieta popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie dzielimy już rzeczywistości – zaczęła wolno – więc każdy tworzy własną rzeczywistość. W niektórych

miejscach, tak jak w Gofkit Shamloe, powstaje dobra rzeczywistość. Nie dla wszystkich, ale dla większości. Rozmawiamy, pracujemy, uczymy nasze dzieci i oddajemy hołd naszym przodkom. Czasami bywa trudno, gdy patrzy się na drugą osobę i zastanawia: co też sobie myśli? To bardzo dziwne.

– Nie przerywaj – poprosił, gdy zamilkła.

– W innych miejscach rzeczywistość jest zła. Dochodzi do kradzieży, które nie są takie złe, ale teraz są tacy, co żeby ukraść, zabijają właścicieli. – Grzebień czaszkowy wygiął się nienaturalnie. – A niektórzy po prostu zabijają... Może myślą, że powinni być bogatymi kupcami albo... Nie mam pojęcia, co sobie myślą. To trudne. Uczę Konfita – wskazała na dziecko – aby nie robił innym krzywdy. Ale jeśli pojawią się zabójcy, będzie musiał ich skrzywdzić. To trudne...

Ta przemowa wyczerpała i wzburzyła Enłę. Wzięła na ręce dziecko, które zaczęło się wić, jakby chciało znaleźć się z powrotem na podłodze, po czym zafrasowała się wyraźnie.

Wyřęczyła ją Anna.

Nawiązaliśmy kontakty handlowe z dwiema najbliższymi osadami. Nie dlatego, że któraś ze stron ma coś do przehandlowania, lecz ze względu na budującą więź. Mamy zapewnioną większą pulę genetyczną oraz w razie potrzeby lepszą obronę przed atakami Gofkit Jemloe. Tamci komasują siły, niewołąc słabszych, i rozszerzają swoje wpływy.

Odezwała się Marbet, pragnąc oszczędzić Kaufmanowi reszty.

– Nie chcecie wiedzieć, co słycać w Układzie Słonecznym? Jesteście odcięci od cywilizacji od prawie trzech światkańskich lat...

– *Ja!* – podchwycił skwapliwie Gruber. – Co słycać na wojnie? Co z artefaktem? I co to za bzdury, że Tom został porwany?

Marbet zaczęła opowiadać o Stefanaku, antymilitarystach, Faberach, Artefakcie Protektorze, doktorze Capelo. Enla zajmowała się dzieckiem. Kaufman wstał i wyszedł na zewnątrz, czując w środku burzę, która nie pozwalała mu usiedzieć spokojnie.

Był to błąd z jego strony. Na zewnątrz czatowała na niego Magdalena. Gdy ponownie spojrział w jej przejrzyste oczy, starzejącą się twarz, bujne kształty, poczuł nie dające się z niczym pomylić – i nieproszone – wibrowanie w łędźwiach. Tym razem nie uśmiechnęła się kpiąco. Miała inne rzeczy na głowie.

– Chodź, Lyle – powiedziała, nie bawiąc się dłużej w ceregiele i przechodząc na ty. – Musisz o czymś usłyszeć.

Kiedy nie zareagował, złapała go za rękę. Wyrwał się jej, lecz podążył za nią do innej chaty, z zewnątrz identycznej jak chata Enli. Wnętrze jednak było zupełnie inne, zawierało typowo ziemskie meble, takie jak łóżko. Ta kobieta oprócz skimera musiała mieć w pobliżu pełnowymiarowy statek. Młodziutka Essa siedziała na poduszce i polerowała miskę. Ucieszyła się na jego widok.

– Posłuchaj tego – rzekła Magdalena, uaktywniając kostkę informacyjną.

– *Tee-ego nie pwinno tu bycz. – Głos Laszla bardzo pijanego.*

– Cszego nie powinno bycz gdzieee? — Jakiś inny młody mężczyzna, tylko nieznacznie mniej pijany. — To zwykła asssteroida.

– Nie pwinno jej tu bycz – upierał się Laszlo. – Na-lej mi jeszcze bąbelków.

– Wyszły. Wychlałeś do ossstaniej kropelki, ty świ-niooo!

– Nie ma bą... hep!... belków? No to wracajmy do domu!

– To zwykła asss... Nie, to dwie asssteroidy.

– Dwie! — ucieszył się nie wiadomo z czego Laszlo.

– Ssskąd one się wzięły? Nie powinno ich bycz. Nie tu, na komputerze.

– Ża... hep!... żaden problem. Grawitacja. To ona miesza. No wiesz... Joo-owisz.

– Zestrzelmy je!

– Ta jest! – podniecił się Laszlo i znowu czknął.

– Jaką masz tu broń? Pewnie żadnej, ccco? To tylko zabawka bogatego chłoptasia, a nie żaden tam ssstatek kurierski...

– Właś... właśnie że mam broń. Tato o niii-icznym nie wie. Przemycilem.

– Z ciebie to jest numer, Laszlo!

– A jak! Hep! I mama też nie wie. O tej broni, zna-czy.

– Na pewno? Twoja ssstynna mamuśka wie niemało. Albo mało. Boże, to jej ciało... Widziałem ją w jednym ssstaiym...

– Przymknij się, Conner! – odezwał się Laszlo dziko i nagle zaczął mówić wyraźniej. – Komputer, aktywować... no, jak to było?



– System uzbrojenia, głąbie. Chryste, Laszlo, ty to musisz powiedzieć. No wiesz, aktywacja głosowa.

– Aktywować system uzbrojenia!

– Hej, właśnie dostaliśmy wiadomość z asteroidy — ożywił się Conner, również odzyskując zdolność zrozumiałego mówienia. – Ludzie! Może to jakieś dziewczyny?

– Zbliżacie się do strefy zamkniętej – rozległ się mechaniczny głos. – Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.

– Nie chcą nas tam! – poskarżył się Conner. – Strzelaj!

– Czekaj... może...

– Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.

– Pierdolone żmije! – wykrzyknął Conner. – No już, strzelaj!

– Aleja...

– Pierdolony tchórz!

– Ostatnie ostrzeżenie! Wdarliście się do strefy zamkniętej i wysokiego zagrożenia. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie albo wasza jednostka zostanie ostrzelana.

Wtem dało się słyszeć czwarty głos; ktoś wyrzucił z siebie gorączkowo:

– Do niezidentyfikowanej jednostki... SOS... Pomocy! Jestem tu więziony! Mówi Tom Capelo...

Po czym nastąpił krótki świdrujący dźwięk.

– Tom! – stwierdził Kaufman.

– A zatem to faktycznie doktor Capelo? Poznałeś jego głos?

Kaufman potaknął.

– Ale nie rozumiem, jak... to znaczy gdzie i kiedy zrobiono to nagranie...

– Trzeciego lipca, koordynaty wskazują na Pas – odparła Magdalena. – Sprawdziłam to miejsce. Obecnie nic tam nie ma. Urządzenie nagrywające miało zasięg mniejszy niż sto kilometrów. Szczegóły nagrania wskazują na dwa różne strumienie danych z dwóch różnych miejsc. Później niestety nagrywanie zostało wyłączone przez porywaczy.

Kaufman zastanawiał się gorączkowo. Tom był przetrzymywany w Pasie, prawdopodobnie w habitacie wydrążonym w jakiejś asteroidzie. Sądząc z ostrzeżeń i strzału, który po nich nastąpił, w pobliżu znajdowało się coś niezwykle ważnego. Artefakt? Ukryto go tam i pilnie strzeżono, tak samo jak Toma Capelo, po to by... No właśnie: po co? Tom miał kontynuować swoje badania? Możliwe, ale w takim razie zleceniodawcą był ktoś, kto nie zdawał sobie sprawy z różnicy pomiędzy fizyką stosowaną i teoretyczną ani nie miał pojęcia, że doktor Capelo uprawia tę ostatnią i że fizyk teoretyczny nie musi się znajdować w pobliżu fenomenu stanowiącego przedmiot jego badań, aby stworzyć równania go opisujące. Kaufman osobiście znał oficerów armii, którzy nie mieli o tym wszystkim pojęcia. Pierwotnie Tom został sprowadzony na Świat, aby rozgryźć artefakt, i uczynił to. Czegóż miał dokonać teraz?

W dodatku Magdalena przed chwilą powiedziała, że obecnie nie ma tam już ani Toma, ani artefaktu. Zostali przeniesieni. Powiedziała jeszcze...

– Co dokładnie rozumiesz przez: „później niestety nagrywanie zostało wyłączone przez porywaczy”?

– Laszlo powtórzył swój stary numer – rzekła Magdalena, odsuwając kosmyk czarnych włosów z twarzy. W granatowych spodniach i przetykanej srebrem tunice nie pasowała do wnętrza światańskiej chaty. — Chciał wymknąć się spod mojej kontroli. Robi to od czasu do czasu, znika na całe tygodnie czy miesiące. Obawiam się, że mój syn jest niedojrzały jak na swój wiek. Nawet on jednak nie mógł przypuszczać, że ten lot zakończy się pojmaniem jego i jego przyjaciela i osadzeniem ich ze słynnym doktorem Capelo.

Kaufman wpatrzył się w nią. Magdalena wierzyła w to, co mówiła. On jednak rozpoznał ton ostrzeżenia, słyszał ten charakterystyczny przeciągły wizg... Statek Laszla wyparował.

Zapytał delikatnie:

– Są jakieś przesłanki, by uważać, że Laszlo żyje?  
– Oczywiście, że Laszlo żyje. Chyba nie sądzisz, że Stefanak zamorduje Thomasa Capelo, zbawcę Układu Słonecznego, co?

– Nie, ale...

– Tam gdzie jest Capelo, jest też Laszlo – stwierdziła Magdalena.

Kaufman wejrzał w jej oczy, niebiesciejsze od szafirów, i zobaczył w nich głęboką wiarę. Magdalena była przekonana, że jej syn żyje i jest przetrzymywany razem z Tomem. Musiała w to wierzyć; każda inna wersja zdarzeń okazałaby się ponad jej siły. Kaufman miał przed sobą kogoś, kto łudził się nadzieją i był dość potężny, aby nadzieję zamienić w pewnik.

Postanowił stąpać bardzo ostrożnie.

– Czy ustaliłaś, gdzie teraz może przebywać doktor Capelo?

– Nie. Ale zapewniam cię, że próbowałam. Niestety ochrona jest ciaśniejsza niż tyłek dziewicy. Po to mi Amanda Capelo. Nie została porwana równoległe z ojcem, więc może widziała coś, co będzie jakąś wskazówką. Nawet jeśli to wtedy przegapiła...

Kaufman zaryzykował stwierdzenie:

– Ale żeby przylecieć za nią aż na Świat, i to z tak niepewnego powodu?

Magdalena się uśmiechnęła.

– Masz rację. Wysłałabym kogoś, lecz zostałam w porę ostrzeżona.

– Ostrzeżona przed czym?

– Zatem ty nic nie wiesz... Zdążyliście już pokonać tunel... Zaczęła się rewolucja. Stefanak ogłosił stan wojenny, a siły mu przeciwne próbowały pozbawić go władzy.

Kaufmana zabolął żołądek.

– Spróbowały? I co, udało im się?

Magdalena wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Zostałam ostrzeżona. Przyjaciel przesłał mi słówko. „Opuść Układ

Słoneczny. Pierce postanowił wykonać ruch osiemnastego. Zacznie się od marynarki”. No to opuściłam.

Pierce. Admirał marynarki Sojuszu Solarnego Nikołaj Pierce, zaciekły rywal Stefanaka. Jeżeli Magdalena miała takie znajomości, o jakie zawsze podejrzewał ją Kaufman, słusznie uczyniła, słuchając przyjacielskiej rady. Pierce w pierwszej kolejności zamordowałby wła-

śnie ją. Jej zakulisowe rozległe quasi-polityczne imperium wspierało Stefanaka.

– Statek kurierski dowozi mi najświeższe wiadomości. Najbliższy kurs odbędzie /a kilka dni. Tymczasem to potworne zadupie wszechświata jest miejscem równie dobrym jak każde inne, aby przeczekać zawieruchę.

„Zawieruchę...” – powtórzył w myślach Kaufman. Magdalena wyrażała się o walce o władzę nad Układem Słonecznym tak, jakby nie miało dla niej żadnego znaczenia, kto wygra. Może faktycznie nie miało. Martwiła się wyłącznie o syna. Zdaniem Kaufmana takie zaślepienie zakrawało na groteskę. Poczul się lekko wyprowadzony z równowagi.

– A jeśli ostatecznie wygra Pierce? Będziesz się ukrywać na Świecie do końca życia?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Ależ skąd. Z pewnością jednak zdajesz sobie sprawę, że w początkach każdego zamachu stanu znika mnóstwo osób. Są to tak zwane przypadkowe ofiary... A ja, jak wiesz, mam wielu wrogów. Jeśli nawet wygra Pierce, będzie musiał kiedyś przywrócić pozory porządku, a wtedy będzie mnie o wiele trudniej zabić, nic wzbudzając powszechnego zainteresowania. Ktokolwiek wygra, wrócę. Twoja zapóźniona planetka jest po prostu schroniskiem na czas burzy. No i miałam nadzieję, że Amanda Capelo przyleci z wami. Były na to szanse, wiesz... Twierdzicie jednak, że nic o niej nie wiecie?

– Nic a nic – zdołał wydusić z siebie Kaufman.

Służył pod rozkazami generała Sullivana Stefanaka, naczelnego dowódcy Rady Obrony Sojuszu Solamego. I wbrew wszystkiemu podziwiał tego człowieka. A teraz

Stefanakowi groziło odsunięcie od władzy, może nawet uwięzienie albo śmierć. Rewolucja...

– Tak, domyśliłam się tego z waszej pierwszej reakcji. Twojej i tej twojej towarzyszki, panny Wrażliwiec. Aleja go znajdzie, Lyle. Znajdzie Laszla.

Znowu skupił całą uwagę na Magdalenie. Przyjrzał jej się baczniej. Wierzyła w to bez zastrzeżeń. Odnajdzie Toma Capelo, przy którym będzie jej Laszlo. Współczucie zalało Kaufmana falą.

Na szczęście niemal natychmiast podjęła:

– Tymczasem ta mała Amanda, jeśli faktycznie została w Lowell City, ma poważne problemy. Podobnie jak reszta populacji... Esso, o co znowu chodzi?

Dziewczynka wręczyła jej nabożnie miskę wypolerowaną na wysoki połysk. Powiedziała po światańsku coś, czego ani Kaufman, ani Magdalena nie zrozumieli.

– Co znowu? – spytała zirytowana kobieta.

– Essa pyta – odezwała się zza ich pleców Marbet – kiedy wreszcie zabierzesz ją swoją metalową latającą łodzią do innych światów. Obiecałaś jej to, Enla jest świadkiem.

– Och, niedługo – rzuciła na odczepnego Magdalena.

Kaufman odwrócił się, by spojrzeć na Marbet stojącą w wejściu. Usłyszał:

– Lyle, Anna prosi cię do siebie.

Wyszedł za nią. Marbet poprowadziła go nie do chaty Anny, lecz gdzie indziej. Dom, do którego weszli, był pusty, nie licząc małego stolika, dwu zwykłych podłogowych poduszek i maty do spania, na razie zwiniętej.

– To nasze lokum, Lyle. Nie powinieneś ufać Magdalenie.

– Jak długo tam stałaś? Słyszałaś nagranie?

– Tak. – Gestem zaprosiła go, by usiadł na jednej z poduszek; sama zajęła drugą. – Ta część jest prawdziwa, jak sądzę. Magdalena szuka swego syna i szczerze wierzy, że on żyje i przebywa tam gdzie Tom.

– Laszlo nie żyje.

– Wiem.

– Spotkałaś ją już wcześniej?

– Nie.

– Co takiego wypatrzyłaś w niej przy tej okazji?

Marbet milczała przez dłuższą chwilę. W końcu się odezwała:

– Coś tam już o niej wiedziałam. Każdy Wrażliwiec w swojej pracy prędzej czy później ma do czynienia z którąś z jej korporacji. W ramach przygotowań do negocjacji z jej ludźmi oglądałam jej holonagrania i zapoznałam się z historią jej życia. Znasz ją?

– Nie.

– Urodziła się w Atlancie na Ziemi. Jej matka najprawdopodobniej była prostytutką. Na pewno wiadomo tylko tyle, że ta matka albo jakaś inna osoba zostawiła noworodka w pudełku na progu rządowej kliniki w Plumbob, najgorszym sektorze Atlanty. Nawet gliniarze boją się tam zapuszczać...

– Cały czas słucham – zapewnił Kaufman.

– Dziewczynkę adoptowała pielęgniarka tej kliniki, Catalune Damroscher, uzależniona od peenu. Nazwała dziecko May. Być może zamierzała być dobrą matką, ale skończyło się na strasznym traktowaniu May. W kar-



totekach co najmniej dziesięciu darmowych szpitali są wzmianki o biciu, podpalaniu, kopaniu... May zaczęła mówić, kiedy miała cztery latka. W wieku sześciu lat zniknęła z wszelkich kartotek. Rok później Catalune przedawkowała ze skutkiem śmiertelnym. Nie wiadomo, co May porabiała między szóstym a szesnastym rokiem życia.

– Rozumiem – bąknął Kaufman, który niczego nie rozumiał. Jakim cudem sześćioletnie dziecko przeżyło w miejscu takim jak Plumbob?

– May pojawiła się znowu w dwa tysiące sto dwudziestym piątym na plaży Karoliny Północnej. Wszystkie tamtejsze plaże są pilnie strzeżone, lecz jej jakoś udało się wdrzeć, po czym została utrzymanką pewnego bogacza, niejakiego Ameriga Daltona, na trzy czy cztery lata. Występuje w starych bazach danych jako bohaterka plotkarskich kolumn itepe. Po Daltonie zaopekował się nią Evan Kilhane, ten producent porno, chociaż może pomiędzy Daltonem i Kilhane'em byli jeszcze jacyś mężczyźni. Kilhane nadał jej imię Magdalena i umożliwił karierę gwiazdy porno. Przynajmniej zarys reszty powinieneś już znać.

– Tak – potwierdził Kaufman. Nieszczęsne dzieciństwo Magdaleny zrobiło na nim wrażenie. – Nie wiedziałem jednak, że miała syna.

– Z Bellingtonem Wace'em Arnoldem. Nieślubne dziecko. Lyle, jeśli nie przestaniesz robić tej miny, dostaniesz ode mnie w twarz.

– Jakiej miny? – zapytał, choć nie powinien był tego robić.

– Miny człowieka, który zaraz zacznie płakać nad przejechanym kotkiem. Posłuchaj mnie. Magdalena to niebezpieczna kobieta. Nie poddała syna modyfikacji genetycznej, ponieważ była na tyle zadufana w sobie, by uważać, że jej dziecko urodzi się doskonale bez niczyjej pomocy. Równocześnie pali ją wewnętrzny gniew im to, że geny, które zaowocowały jej urodą, zrujnowały jej życie.

– Wszystko to wyczytałaś w jawnych archiwach? – zapytał sceptycznie.

– Jasne, że nie – odwarknęła Marbet. – Zobaczyłam to w każdej jej zmarszczce, gdy przysłuchiwała się nagraniu. Magdalena wścieka się na Laszla za to, kim się okazał. Na niego przelała wszystkie swoje niespełnione pragnienia, wszystkie poskromione instynkty. Założę się, że w życiu nie miała prawdziwego orgazmu.

*Co za dużo, to niezdrowo.* Kaufman wstał i przeciągnął się z pozorowaną nonszalancją.

– Nie udawaj przede mną, Lyle. Jest ci równie obojętna jak niedźwiedziowi miód. Zaprzepaściła potencjał syna ciągłą kontrolą, wymówkami, niemal fizycznym tłamszeniem. Chłopak jej nienawidził i szalał za nią. Bez wątpienia nieustannie się kłócili.

– Czy to nie za dużo danych jak na jedno spotkanie? Nawet w twoim wypadku?

Marbet wgapiła się w Kaufmana. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym mniej komfortowo się czuł. Ona naprawdę potrafiła przejrzeć człowieka na wylot!

Po długiej chwili odwróciła się, rzucając przez ramię:

– Trzeba ściągnąć tu nasze rzeczy ze statku. Nie pozwól, aby May Damroscher okręciła cię sobie wokół małego palca, Lyle. Tę kobietę trawia niezwykle silne uczucia. A ty nie jesteś dla niej równym przeciwnikiem.

**10.**

*Lowell City, Mars*

Opactwo Ares zakonu benedyktynów było najdziwniejszym miejscem, jakie w całym swoim życiu widziała Amanda. Wszyscy byli tu bardzo mili, ale co do jednego sprawiali wrażenie wariatów.

Pierwsze kilka dni spędziła w łóżku przerażona i wycieńczona. Brat Meissel przynosił jej jedzenie i przysiadawał na brzeжку jej łóżka, co wprawiało ją w zażenowanie, bo miała na sobie tylko czyjaś starą tunikę zamiast koszuli nocnej, a poza tym od dawna się nie kąpała i bardzo możliwe, że pachniała niezbyt ładnie. Brat Meissel opowiadał o wierze i modlitwie, i poddawaniu ducha próbie, dopóki Amanda nie udała, że zasnęła; wtedy „ksiądz” odchodził. Później faktycznie zapadała w sen, lecz budziły ją koszmary o ojcu i o księdzu Emilu.

Któregoś razu raptownie przerwała bratu Meisselowi, by zapytać:

- Dlaczego ludzie umierają?
- Chodzi ci o księdza Emila – stwierdził.
- Tak. On... on...
- Umarł, by ocalić ci życie. To chciałaś powiedzieć?

– A nie jest tak? – odpowiedziała pytaniem Amanda całkiem skołowana.

– Nie – odparł brat Meissel. – Ksiądz Emil umarł ku większej chwale Bożej.

Nie przekonało to Amandy, która na własne oczy widziała, jak ksiądz Emil pada na ziemię zastrzelony, gdy próbował ją bronić. Tata twierdził, że ludzi spotyka śmierć, ponieważ wysiadają im telomery, no i natura nie potrzebuje ich dłużej po tym, jak skończył się okres, w którym mogli się rozmnażać. Nie było to specjalnie pocieszające, ale przynajmniej logiczne.

– Dusza księdza Emila jest już na łonie Boga – dodał brat Meissel.

Amanda nie miała na to żadnej kulturalnej odpowiedzi, toteż zmilczała. W dalszym ciągu nie wiedziała, czemu ksiądz Emil musiał umrzeć. Był dobrym człowiekiem. Nie zasłużył na to, aby wykrwawić się na ulicy.

Po paru dniach dała o sobie znać jej wrodzona odporność – dziewczynka wstała z łóżka i zaczęła się rozglądać za holowizorem. Nie znalazła żadnego. Ku nieopisanemu zdumieniu odkryła, że na terenie całego opactwa nie ma ani jednego terminalu! Nie ma terminalu! Nigdy wcześniej nie przebywała w miejscu pozbawionym terminalu.

– Tutaj nie zwracamy sobie głowy marnościami tego świata – rzekł jej brat Meissel, nerwowo poprawiając powłóczysty brązowy strój. – Coś takiego jak terminal niepotrzebnie by nas odrywało od naszego powołania. Mamy jednak telewizor płaskoekranowy do odbie-

rania pilnych wiadomości. Każę go dla ciebie ustawić w refektarzu.

Amanda zapytała ze sceptycyzmem:

– Skoro nie macie tu terminalu, skąd możecie wiedzieć, kiedy włączyć ekran, żeby odebrać pilną wiadomość?

– W refektarzu, Amando – powtórzył cierpliwie brat Meissel. – Tylko tam.

Dziewczynka oddała się eksploracji opactwa i jego licznych „komnat”. Każde pomieszczenie było nazywane komnatą, chociaż wszystkie nosiły oddzielne nazwy, jakich Amanda nigdy nawet nie słyszała: refektarz, kaplica, sień, chór, piwnica... Każda komnata służyła określonemu celowi i wszystkie osoby w niej pracujące oddawały się jednemu konkretnemu zadaniu, zawsze o tej samej porze dnia. Nigdzie nie było pokoju ogólnego, salonu, miejsca rozrywek. A mimo to nikt nie wydawał się nieszczęśliwy.

W ogóle było tam mało ludzi, szczęśliwych czy nie. Ogółem siedemnastu braci, z czego czternastu nigdy nie opuszczało opactwa, przenigdy. Amanda była wstrząśnięta, kiedy to usłyszała. Wyłącznie brat Meissel i brat Wu mogli wychodzić na zewnątrz, na zakupy czy do banku, i żyć normalnie. Opactwo było „klauzurą”, jak jej powiedziano. Jeszcze jedno niezrozumiałe słowo. Chłopiec, który Amandzie otworzył drzwi, był z kolei „postulantem”.

Bracia głównie śpiewali i przygotowywali posiłki. Trzy razy dziennie brat Meissel i brat Wu wynosili wielkie kadzie zjedzeniem, które ugotowali inni bracia, do zewnętrznej „kraty”. Krata przynajmniej przypominała

zwykłą kratę, składała się z poprzecznych stalowych prętów wyglądających jak gałązki i listki i w tej części budynku oddzielała czternastu braci klauzurowych, którzy zamieszkiwali komnaty między nią a dolnym łukiem piezoelektrycznej kopuły tego sektora miasta.

Między murem opactwa a ścianą kopuły była wolna przestrzeń, szeroka może na stopę. Tam składowano niebiodegradowalne odpady, takie jak połamana sprężyna łóżka, zbędne w danej chwili plastikowe skrzynki czy koło, którego losów Amanda nie potrafiła się nawet domyślić. W trakcie swoich eskapad dziewczynka przetrząsała składowisko śmieci, a czasami wyglądała za mur. W oddali, za grubą wielowarstwową powłoką kopuły, czerwieniły się skały Marsa.

W pomieszczeniu za kratą zjawiał się tłumek głodnych ludzi. Brat Meissel i brat Wu obsługiwali ich, krążąc między ciasno ustawionymi stoliczkami. Przestrzeń na Marsie była kosztowna. Po posiłku część najedzonych zostawała, żeby wysłuchać pieśni śpiewanych przez braci.

Amanda wołała myśleć, że tak naprawdę po to tutaj przychodzą.

Bracia zasiadali „na chórze” za kratą i śpiewali tak, jak Amanda w życiu nie słyszała. Były to piękne, chodzące za człowiekiem melodie, chociaż nie towarzyszył im akompaniament żadnych instrumentów ani synchronizatorów. Śpiew gregoriański – wyjaśnił Amandzie brat Meissel. Dźwięki niosły niezrozumiałą dla dziewczynki intensywność, jak gdyby były czymś więcej niż tylko muzyką.

– To nasza modlitwa – powiedział brat Meissel. – Śpiewanie godzinek. Twoja ignorancja jest zdumiewająca, Amando.

Śpiewali sześciokrotnie w ciągu dnia, chociaż ludzie z zewnątrz przychodzili tylko trzykrotnie. Pory śpiewania nosiły specjalne nazwy: laudes, tertia, sexta, nona, vesperae, completorium. Niektóre odbywały się nocą i w tych Amanda nie mogła uczestniczyć. Brat Meissel utrzymywał, że dziewczynce w jej wieku potrzeba dużo snu. Chodziła więc na wszystkie te, na które mogła, mimo że śpiewy były po łacinie. Nie interesowały jej słowa, tylko melodie.

Amanda przez cały czas trzymała się po właściwej stronie kraty. Bracia wiedzieli, że tam jest, chociaż nikt inny na Marsie nie miał o tym pojęcia. Brat Meissel zapewniał ją, że nikt jej tutaj nie znajdzie. Nikt nigdy do nich nie zachodził.

– Skąd macie pieniądze na jedzenie i ubrania? – zapytała jak zwykle praktyczna Amanda, zauważywszy, że nikt nie płaci za posiłki ani za słuchanie muzyki („*To nie przedstawienie, Amando*”). Brat Meissel wyjaśnił jej, że opactwo otrzymuje wsparcie z Ziemi.

– Dlaczego?

– Dla większej chwały Bożej.

Najwyraźniej telewizor płaskoekranowy także pochodził z Ziemi. Stał na topornym stole w dalszym końcu refektarza („*Aha! To zwykła stolówka!*”, skwitowała Amanda). Pozwolono jej oglądać wiadomości wyłącznie przez wzgląd na jej ojca i tylko wtedy, gdy refektarz był pusty. Siadywała na krańcu twardej pozbawionej oparcia ławki z omnitworzywa przewidzianej dla czterech osób,



rękoma obejmując się za kolana skryte pod luźnymi spodniami, które uszył dla niej brat Meissel, i chłoneła oczami awatary, słynne osobistości i prezenterów ciągle mówiących o porwaniu doktora Thomasa Capelo, mimo że upłynęło już tyle miesięcy.

– W dalszym ciągu żadnych wieści o losach znanego fizyka, który rozpracował Artefakt Protektor i został porwany...

– Zniknął jak kamfora, tak? Nikt nie ma bladego pojęcia gdzie. Nie...

– Obywatele Układu Słonecznego, dopóki nie zapakuje powszechne bezpieczeństwo, potworności takie jak zniknięcie...

– ...organizacje terrorystyczne tego typu! Chcą nas zaprzedać wrogowi! Nie zawahają się przed niczym, nawet przed porwaniem uczonego takiego jak doktor Capelo, byle zdyskredytować...

– Zdrajcy wojenni...

– Kolaboranci...

– Nie spoczniemy, póki doktor Capelo nie wróci do...

– Doktor Capelo i jego córka, czternastoletnia Amanda...

– Nagroda za jakiegokolwiek informacje mogące pomóc w...

Amanda bez końca wspominała tamtą noc. Widziała potężnego blondyna w sypialni ojca, mężczyznę czekającego przy samochodzie, swojego ojca kroczącego nie-naturalnie pomiędzy kolejnymi dwoma... Nic, co zapamiętała, nie odpowiadało na pytanie, kim byli ci ludzie ani dlaczego po niego przyszli.

Pewnego razu Amanda natrafiła na krótki wywiad z macochą, która była bardzo blada i bardzo roztrzęsiona. Carol powiedziała tylko, że akurat była z Sudie u swoich rodziców, kiedy to się stało, po czym zwróciła się z apelem do wszystkich ludzi na Ziemi i wszędzie indziej: jeśli mają jakiegokolwiek informacje mogące pomóc w ustaleniu, co spotkało jej męża i pasierbicę, prosi, ażeby się skontaktowali z numerem komunikatora podanym na dole ekranu.

– Amando, wystarczy – orzekł w końcu brat Meissel. – Dość się naoglądałaś. Brat Killian potrzebuje twojej pomocy w kuchni.

Brat Meissel wierzył, że praca uszlachetnia. Amanda zabrała się do ucierania w móżdżerzu wyhodowanych na Marsie ziół, którymi przyprawi się syntetyczną soję.

Posiłki w opactwie były sycące, lecz mdłe. Niejednokrotnie Amandzie aż ciekła ślinka na myśl o pomarańczy czy cukierku. Kiedyś nawet przyśniły się jej cytryny.

Po dwóch tygodniach pobytu Amandy Capelo w opactwie zmienił się ton wiadomości. Nie wspomniano już ojej ojcu ani o niej. Mówiono wyłącznie o generale Stefanaku.

Amanda pobiegła do gabinetu brata Meissela i zastukała do drzwi.

– *Mater Dei...* Co się stało, dziecko?

– W wiadomościach podali, że w Lowell City wybuchła rewolucja! To tutaj! Teraz!

Brat Meissel zamarł. Po chwili powiedział:

– Już idę.

Udał się za nią do refektarza i przez chwilę słuchał wiadomości. Amanda widziała, że równocześnie porusza wargami w bezgłośnie modlitwie.

– Co się dzieje, bracie? Co to wszystko znaczy?

– Nie jestem pewien, Amando. Te przekazy są dość niejasne.

– Ale mówią o walkach na zewnątrz!

– Tak.

– Co zrobimy?

– Na razie – odparł spokojnie brat Meissel – odśpiewamy tercję. Wyłącz ekran, Amando.

– Ale...

– Wyłącz. Jest pora tercji.

Jednakże gdy śpiew – który Amanda także zaczęła nazywać „śpiewaniem godzinek” – dobiegł końca, brat Meissel pozwolił jej znowu włączyć telewizor i tym razem wszyscy obejrzeliby wiadomości. Nawet stareńki, na wpół głuchy brat Killian wyszedł z kuchni, żeby dołączyć do braci skupionych przed ekranem. Wszyscy więc wysłuchali najnowszego komunikatu.

– Doszły nas słuchy o niezwykle ważnym wydarzeniu – obwieścił starszawy prezenter w ludzkiej formie, preferowanej w opactwie. Amanda wołała szpanerskiego awatara o pseudonimie Stix, jednakże nigdy nie wyraziła na głos swojej opinii. – Nasi wrogowie, tak zwani Faborowie, podjęli próbę przekroczenia Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden i dotarcia do Układu Słonecznego. Wskutek zdrady wysoko postawionych urzędników Marsjańskiego Zarządu Tunelami Czasoprzestrzennymi trzema wrogimi jednostkami udało się przebyć tunel, lecz dzięki czujności okrętów armii Sojuszu Solarnego

pod dowództwem generała Stefanaka zostały one zniszczone, zanim poczyniły jakieś szkody.

– O mój dobry Panie Boże – jęknął brat Wu i przeżegnał się.

– W reakcji na próbę ataku generał Stefanak ogłosił tymczasowy stan wojenny do momentu wykrycia i ukarania osób odpowiedzialnych za narażenie ludzkości na to potworne niebezpieczeństwo. Od tej chwili wszystkich mieszkańców Lowell City obowiązuje godzina policyjna. Nikomu nie wolno przebywać na ulicy między ósmą wieczorem i szóstą rano. Dla wzmożenia bezpieczeństwa żołnierze będą przeszukiwać budynki, aby sprawdzić, czy nie ukrywają się w nich wrogowie Sojuszu Solarnego. Wzywa się obywateli do udzielenia służbom wszelkiej pomocy mającej na celu ochronę naszych domów i rodzin. Przed paroma minutami generał Stefanak wydał następującą odezwę...

Z ekranu zniknął prezenter zastąpiony przez zwalistą postać Stefanaka. Bary generał miał tak szerokie, że rozpierały mundur na ramionach, zza kołnierzyka i mankietów wylewały mu się fałdy ciała, a jego głowa była całkiem łysa. Sudie, ilekroć widziała go w holoprojektorze, zasłaniała sobie twarz, tłumacząc, że boi się na niego patrzeć. Amanda naśmiewała się z siostry, teraz jednak musiała jej przyznać rację. Generał Stefanak był przerażający.

– Mieszkańcy Lowell City, korupcja toczy nasz rząd głęboko. Zapoczątkowałem proces wykorzeniania zła i...

Głuchy odgłos zatrzęsł pomieszczeniem. Bracia rozejrzeli się dokoła.

– Co to? – zakrzyknęła Amanda.

Brat Meissel odpowiedział spokojnie:

– Zapewne przypomnienie o godzinie policyjnej.  
Bracie Wu, bądź tak dobry i sprawdź to...

Stareński brat Killian zwrócił się do brata Meissela:

– To dziecko...

– Wiem – przerwał mu brat Meissel. – Jeszcze nie teraz.

Brat Wu wrócił.

– Na zewnątrz panuje spokój. Ale pojawiło się sporo żołnierzy.

– Stan wojenny – rzucił brat Meissel. – Rozpoczną się rewizje.

– Co pocniemy? – zawołał brat Kawambe, łątwo wpadający w uniesienie, lecz niezbyt lotny.

– Zaśpiewamy nieszpory. Już prawie czas.

– Ale jeżeli Fullerowie wrócą z artefaktem... tamten fizyk mówił coś o zniszczeniu czasoprzestrzeni... jeżeli Faberowie wrócą przez tunel do Układu Słonecznego...

– W tunelu nie było żadnych Faberów – wyjaśnił spokojnie brat Meissel. – To tylko pretekst, dzięki któremu generał Stefanak mógł zaprowadzić stan wojenny i dobrać się do skóry swoim wrogom w Radzie Obrony. Uspokój się, bracie Kawambe. Amando, pozwól na słówko.

Bracia zaczęli zajmować swoje miejsca na chórze. Amanda czując ucisk w piersi, oderwała spojrzenie od ekranu.

– W nadchodzących tygodniach – zwrócił się do niej brat Meissel – opactwo zostanie poddane rewizji, prawdopodobnie więcej niż raz. Być może żołnierze wedrą się za kratę, aczkolwiek zrobię wszystko, aby ich

odwieść od zbezczeszczenia świętości klauzury. Kiedy jednak przyjdą, będziesz musiała się ukryć. Pokażę ci gdzie. Słyszałaś o siedemnastowiecznej „księżej dziurze”?

– Nie – odrzekła Amanda.

– Doprawdy nie wiem, co zawiera twój software do historii... Chodź ze mną, proszę.

„Księża dziura” okazała się kryjówką, do której się wchodziło, odsunawszy jeden z paneli na ścianie wolnej celi, jak bracia nazywali swoje ciasne sypialenki. Brat Meissel pokazał dziewczynce, gdzie przycisnąć panel, żeby się otworzył i zamknął. Przestrzeń była wystarczająco obszerna, by pomieścić dwie osoby, trzy w razie konieczności, wszakże większość miejsca zajmował skafander z ciężkimi butami, hełmem i olbrzymim zbiornikiem na tlen.

– Na co to?

– Na wszelki wypadek. Popatrz, tu są drugie drzwi. Prowadzą na zewnątrz, do składowiska odpadów. – Pokazał, jak je otwierać i zamykać.

– Na wypadek czego?

– Na wypadek, gdyby Pan Bóg sprawił, że ktoś będzie tego potrzebował.

Tak zazwyczaj rozmawiało się z bratem Meisselem, który lubił używać tego rodzaju sformułowań i takiego tonu. Nie dopuszczającego dyskusji. Amanda rzekła buńczucznie:

– Mój tata zawsze powtarza, że nie należy wysuwać twierdzenia, którego nie można wyrazić jasno ani słowami, ani liczbami.

– Jestem pewien, że to prawda – rzekł niezrażony brat Meissel. – Jeszcze jedno, Amando. Jeśli będziesz musiała tutaj się ukryć i czas ci na to pozwoli, chciałbym, abyś zabrała ze sobą kielich.

Kielich, cały ze złota, był trzymany za ołtarzem i używany podczas „odprawiania mszy”. Bardzo się podobał Amandzie. Ponoć stanowił najświętszy przedmiot na terenie opactwa. Dziewczynka się zawahała.

– Ale... ale czy żołnierze nie zorientują się, że zniknął? I nie domyślą się, że gdzieś tu jest kryjówka?

– Czy żołnierze nie zorientują się, że zniknął kielich? Chyba żartujesz, dziecko. Nie zapomnij, o co cię prosiłem.

– Nie zapomnę – obiecała Amanda.

Nie chciała na tym skończyć – pragnęła opowiedzieć bratu Meisselowi o swoim strachu, spytać go, jaki los czeka opactwo, poszła jednak po rozum do głowy. Wróciła do ekranu i pozwoliła, by bracia zaśpiewali nieszpory bez jednego słuchacza.

## 11.

### *Lowell City*

Brat Meissel nie miał racji – żołnierze nie przeprowadzili rewizji opactwa. Amanda domyślała się dlaczego. Byli nazbyt zajęci przejmowaniem kontroli nad miastem.

Na pierwszy ogień poszła holostacja, do tej pory pozostająca w prywatnych rękach. Pracownicy nadawali



do ostatniej chwili, rejestrując nawet własne zdziwienie na widok żołnierzy admirała Pierce'a biorących w posiadanie stację, która obejmowała swym zasięgiem całego Marsa i większość Pasa, a także przesyłała pakiety danych na Ziemię, Tytana i do Tunelu Czasoprzestrzennego #1. Żołnierze byli kulturalni. Poprosili pracowników o opuszczenie stacji. Gdy ci usłuchali, ich miejsce zajęli mundurowi.

– Od teraz będziemy oglądać tylko to, co zechcą nam pokazać – stwierdził brat Wu.

Jednakże brat Wu również nie miał racji. Gdy naza jutrz rano Amanda cichutko wyszła ze swojej celi, zastała wszystkich braci zgromadzonych przed ekranem. Widniała na nim tablica informacyjna z napisem, pozbawiona nawet podkładu dźwiękowego.

TA STACJA ZOSTAŁA PRZEKAZANA W RĘCE LUDU POD PROTEKTORATEM NOWEGO MARSJANSKIEGO DEMOKRATYCZNEGO RZĄDU TYMCZASOWEGO.

WKRÓTCE WZNOWIMY NADAWANIE.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie... – pomodlił się głośno brat Meissel.

Zdumiona Amanda powiodła spojrzeniem od niego do ekranu.

– Co to oznacza? – zapytała, lecz nie uzyskała odpowiedzi, dopóki modlitwa zaintonowana przez brata Meissela, a podchwycona przez pozostałych braci, nie dobiegła końca.

– To znaczy, że frakcja admirała Pierce'a przejęła stację – wyjaśnił jej brat Meissel. – Ci ludzie utrzymują, że generał Stefanak nie jest w stanie wygrać wojny z

Fallerami. Takie jest ich usprawiedliwienie dla insurekcji. Walki zapewne toczą się już w całym mieście.

– Walki? Przecież prowadzimy wojnę z Fallerami, nie z admirałem Pierce'em!7- Z ust niemowląt... – rzucił ktoś.

– Ale mój tata... mój tata zawsze powtarzał, że pod marsjańską kopułą nie da się walczyć! Jest zbyt duże ryzyko, że naruszy się powłokę.

– Wszystko zależy od rodzaju broni. Bracie Wu, a ty dokąd?

– Na zewnątrz, sprawdzić, co się dzieje.

– Zostań z nami. To, co cesarskie, nas nie interesuje. Musimy oddawać Bogu, co boskie. Niebawem pora jutrzni.

Brat Wu wskazał w milczeniu na Amandę.

– No dobrze – uległ brat Meissel. – Tylko uważaj na siebie, Shing.

– Będę uważał.

Podczas gdy bracia śpiewali jutrznię, Amanda siedziała przed ekranem, czekając, aż obraz się zmieni. Zanim to się stało, wrócił brat Wu. Pucółowatą twarz miał zeszywniałą z napięcia.

– Doszedłem tylko do końca ulicy Sigma – zaraportował dziewczynce, jedynej osobie obecnej w refektarzu.

– Trwają walki o kontrolę nad systemami podtrzymywania życia.

Widziałem, jak żołnierze Pierce'a celują z broni laserowej do oddziałów Stefanaka, które... Patrz! – Wskazał ręką ekran.

– ...wysiłki mające na celu powstrzymanie wyżywkaczy przed odcięciem dopływu wody i powietrza w

mieście. Do zwycięstwa doszło o godzinie szóstej zero /ero i możemy z przyjemnością donieść, że systemy podtrzymywania życia przeszły w ręce wyzwolicieli. Nasz dowódca, admirał Pierce...

Amanda przestała słuchać. Gapiła się na ekran, który ukazywał młodego żołnierza Sojuszu Solarnego przecinanego na pół promieniem lasera. Obraz momentalnie i chwiejnie, jakby kamerę trzymała niewprawna ręka – zmienił się, lecz Amanda zdążyła to zobaczyć.

*Jej matka pochylona nad zbiornikiem z rybami i jednostka Fallerów nieoczekiwanie spadająca z nieba... wrzaski i krzyki, wszakże nie jej matki, która już leżała rozplątana od barku do biodra z wyrazem zaskoczenia na uroczej twarzy; i jej ojciec biegnący i wołający coś; i krew matki na kamieniach przy zbiorniku kapiąca do wody; i ryby...*

*Salah odsuwający się od jej koi, głowa spadająca mu z ramion w fontannie krwi...*

*Ksiądz Emil leżący na ulicy...*

– Amando – powiedział ktoś łagodnie – idź do księżej dziury.

*Krew kapiąca do...*

– Amando. Natychmiast idź do księżej dziury. – Brat Meissel wrócił niepostrzeżenie.

– Tak – wysapała dziewczynka. – Dobrze. Ale wy...

– Żadnych ale. Idź tam i włóż skafander.

To przywołało ją w pełni do rzeczywistości.

– Skafander? Dlaczego?

– Dlatego, że tak ci każę. – Po chwili ustąpił. – Na wypadek, gdyby doszło do uszkodzenia kopuły.

– Musieliby całkiem zwariować, żeby zrobić coś takiego! – krzyknęła i zaraz zdała sobie sprawę, że powtarza słowa swego ojca.

– Myślę, że oni są szaleni. Kiedy jednak zginie generał Stefanak...

– Chcą zamordować generała Stefanaka? – spytała Amanda.

To było jak próba zamordowania Słońca. Generał Stefanak dzierżył ster Sojuszu Solamego przez całe jej życie. Był taką samą stałą jak światło czy powietrze.

Obraz na ekranie, w dalszym ciągu chwiejny, a chwilami także niewyraźny, ukazywał żołnierzy strzegących Wierzchołka. Amanda bez trudu rozpoznała budynek; każdy obywatel Sojuszu Solamego go rozpoznawał. Była to kwatera główna generała Stefanaka, wznosząca się pod najwyższym punktem kopuły Lowell City i zarazem stanowiąca szczyt podpory ochronnej. Na oczach dziewczynki zaczęli padać żołnierze broniący Wierzchołka. Nikt do nich nie strzelał, nikt nie używał nanosieci, wszyscy mieli na sobie pełną zbroję bojową. A mimo to padali.

– Co... co... – wyjąkał brat Kawambe.

Kiedy skończyli śpiewać i wrócili do refektarza? Amanda niczego nie zauważyła.

– Wykorzystują zmodyfikowane genetycznie wirusy, które uniemożliwiają oddychanie – wyjaśnił brat Meissel.

Amanda wciągnęła powietrze do płuc; nie mogła się powstrzymać. Wirusy modyfikowane genetycznie były nielegalne. Istniało ryzyko, że wymkną się spod kontroli i unicestwią całą populację. Tata utrzymywał, że da się

je zaprojektować metodami inżynierii genetycznej tak, aby po określonej liczbie replikacji ginęły, ale skąd można mieć pewność, że te zastosowane na Marsie są właśnie takie? A jeśli nawet, kto się ich nawdycha, zanim gen śmierci się uaktywni? Kto już się ich nawdychał? Brat Meissel? Brat Wu? Amanda?

Żołnierze broniący Wierzchołka na pewno.

– Amando, idź już – ponaglił ją brat Meissel.

Uścisnęła wszystkich braci po kolei, tracąc cenny czas, lecz nie dbała o to. Za murami opactwa narastał hałas. Ludzie biegali, krzycząc. Zaczęła się panika.

Dziewczynka pobiegła do kryjówki, drżącymi palcami wcisnęła panel we właściwych miejscach, wyciągnęła skafander na zewnątrz. Tu było go łatwiej włożyć niż w środku. Słyszała szum dolatujący z ulicy. Nagle zagłuszył go inny dźwięk, bliższy. Śpiew. Bracia wrócili do śpiewania godzinek.

„*Ale to nie pora żadnej z godzinek!*” – pomyślała oszalała ze strachu. Zresztą nieważne... Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie zna tej pieśni, nigdy wcześniej jej nie słyszała.

– Dies irae, Dies Ula...

Nałożyła hełm i śpiew umilkł. Jak wszystkie inne dźwięki.

Chciała wrócić do kryjówki, lecz uświadomiła sobie, że w hełmie chroniącym ją przed wirusami niczego nie usłyszy ani nie zobaczy. Nie będzie miała pojęcia, co się dzieje. Jeżeli opactwo zacznie przeszukiwać żołnierze, nic jej nie uprzedzi o ich nadejściu.

A żołnierze nie jej będą szukać. Generał Stefanak i admirał Pierce walczą o kontrolę nad Lowell City. Amanda Capelo ich nie interesuje.

Stawiając ciężko stopy w ochronnym obuwiu skafandra, wróciła do serca opactwa. Na chórze bracia klęczeli na swoich miejscach i śpiewali. Amandzie przemknął nagle przez głowę filmowy obraz: postać w pełnym skafandrze z hełmem tupie pomiędzy rzędami rozśpiewanych księży. Czyste wariactwo.

Zatrzymała się przy bracie Meisselu, zastanawiając się, jak ma się do niego odezwać, nie zdejmując hełmu. Nie musiała nic mówić. Bez słowa przeszedł za ołtarz i wrócił z kielichem, który następnie jej wręczył. Amanda podreptała z powrotem do kryjówki.

Znalazłszy się w środku, otworzyła drugie sekretne drzwi i wyłoniła się na składowisku odpadów przy betonowej ścianie, w której zakotwiczone były podpory kopuły. Przestrzeń tę – gdzie elementy konstrukcyjne schodziły nisko, nie pozwalając człowiekowi na pozycję wyprostowaną – powszechnie wykorzystywano jako wysypiska czy magazyny. Niezręcznie trzymając kielich przed sobą, zgarbiona dziewczynka okrążała tyły budynków. Gdy w końcu dotarła do miejsca, gdzie ktoś zapobiegawczo oddzielił wysypisko murkiem, znalazła wąski zaułek pomiędzy nieledwie przylegającymi do siebie ścianami. Tamtędy wyszła na ulicę – niecałą przecznicę od jednej z ośmiu śluz Centralnego Sektora.

Moment później kopuła zapadła się na jej oczach.

Wojskowy statek kurierski przemknął w górze. Gdyby wystrzelił wiązkę protonową, całe miasto dosłownie by wyparowało. Użył jednak lasera, zamiatając

po piezoelektrycznej kopule promieniem i długim na pół kilometra chirurgicznym cięciem przeszywając powłokę, podpory, budynki, przedmioty i ludzkie ciała, które stały mu na drodze.

Podpory puściły i runęły.

Amanda rzuciła się ku najbliższej śluzie. Nie słyszała huku walącej się kopuły ani syren, które z pewnością zawyły, dając znać o uciekającej atmosferze. Dla niej wszystko odbyło się w ciszy. Szyby bezgłośnie pękały w oknach. Ludzie otwierali usta i milcząco krzyczeli. Ci, którzy tak jak Amanda mieli na sobie skafandry, śpieszyli ku śluzie, przepychali się w jej najwęższym miejscu i pędzili dalej w panicznej ucieczce. Amanda biegła, dopóki nie zaczęło jej palić w płucach i nogi jej nie zmiękły. Wtedy opadła na czerwony grunt i spojrzała za siebie, na Lowell City.

Miasto wyglądało jak połówka przezroczystej plażowej piłki przekłuta z jednej strony. Dziewczynka znajdowała się teraz zbyt daleko, by widzieć szczegóły. Dostrzegała tylko wklęsniętą z boku kopułę i połamane czubki podpór strzelające w poranne niebo. Wszyscy, których tam знаła, nie żyli albo właśnie umierali.

Czy brat Meissel i pozostali bracia zdołali dotrzeć do jednej z mniejszych kopuł? Wydawały się nietknięte. Nie, z pewnością nawet nie spróbowali. Nie opuścili swych miejsc na chórze, za kratą, która miała ich chronić przed światem zewnętrznym. I śpiewali. *Di es irae, Dies ii la...*

Dziewczynka stłumiła szloch. Nie rozplacze się, nie. Podniosła się i zaczęła iść z wzrokiem utkwionym przed siebie. Słyszała tylko własne głośne dyszenie. Dopiero



po dziesięciu minutach uzmysłowiła sobie, że wciąż trzyma w rękach złoty kielich, relikw opactwa Ares zakonu benedyktynów na Marsie.

\* \* \*

Marsjański grunt, który wydawał się tak równy, gdy patrzyło się z kopuły, okazał się pokryty regolitem, ogromnymi głazami i jeszcze większymi skałami. Między nimi biegały postaci w skafandrach, uwijały się wahadłowce komunikacji publicznej, prywatne pojazdy, skimery. Wszystkie poruszały się w tym samym kierunku. Amanda także, na zasadzie owczego pędu. Gdy ujrzała na horyzoncie zarysy statków, zrozumiała, że wszyscy kierują się do kosmoportu. Zanim tam dotarła, zobaczyła start pierwszego statku.

Nawet o tym nie wiedząc, opuściła Lowell City służą najbliższą kosmoportowi. Miała więc przewagę nad resztą uciekających. Centralny Sektor zamieszkiwało czterdzieści tysięcy osób. Większość zginęła – udusiła się lub zamarzła na niehumanym zimnie. Niektórym udało się przedostać śluzami do dwu mniejszych kopuł. Każdy, kto miał dostęp do skafandra, uciekł na zewnątrz pieszo lub jakimś pojazdem i teraz zmierzał w stronę kosmoportu, śpiesząc się, by zdążyć, zanim wyczerpie się zapas powietrza.

Amanda szła przed siebie odrętwiała, nie mając pojęcia, co innego mogłaby zrobić. Była młoda i sprawna. Dotarła do kosmoportu, zanim zdążył odlecieć ostatni cywilny statek. Jednostki podrywały się w górę kolejno,

uciekając przed kłębiącym się tłumem. Ludzie walczyli ze sobą, by dostać się na pokład.

Były to sceny tak przerażające, że Amanda wzdrygała się pomimo odrętwienia. W kompletnej ciszy postaci w skafandrach z kulistymi hełmami wyskakiwały z pojazdów i pędziły do wahadłowców i statków kurierskich. Okręty wojskowe dokujące w innej części kosmoportu były otoczone kordonem uzbrojonych robotów, które zabijały każdego człowieka nie znającego kodów dostępu. Zamożni cywile wstukiwali prywatne kody otwierające im drogę do własnych statków, pó czym byli odpychani przez motłoch marzący o ucieczce za wszelką cenę. Niektórzy bogacze mieli broń; napastnicy padali spętani nanosiecią lub z przedziurawionymi skafandrami. Część osób stała na uboczu, najwyraźniej zdając sobie sprawę z beznadziejności położenia i czekając na nieuniknione. Amanda zobaczyła nawet dwoje ludzi niosących niemowlę w miniaturowym skafandrze. Dziecko tutaj...

Sapnęła z wrażenia i odwróciła wzrok. Nie miała dokąd pójść. Nie czekał na nią żaden statek. Brakowało jej sił, by wywalczyć sobie drogę na pokład, zresztą nie walczyłaby, nawet gdyby była silniejsza. Wiedziała, że umrze. Tyle ludzi zginęło... Ksiądz Emil i brat Meissel, i brat Wu, i łatwo ulegający ekscytacji, lecz przygłupi brat Kawambe... i jej ojciec. Jej ojciec także najprawdopodobniej zginął.

Amanda usiadła tam, gdzie stała. Nawet przez skafander czuła chłód marsjańskiego gruntu. Siedziała i czekała na śmierć, i miała tylko nadzieję, że nic nie poczuje.

Później nie potrafiła powiedzieć, ile czasu tak przesiedziała. Może zaledwie kilka minut – scena na tle statków nie uległa zmianie. Jednakże pupa niemal jej odmarzła. Ktoś zamajaczył w jej polu widzenia. Podniosła głowę, lecz niczego nie zobaczyła za przyciemnionym wizjerem hełmu stojącej nad nią osoby.

Postać w skafandrze dotknęła kielicha, który Amanda nadal trzymała w dłoniach.

Następnie przyjrzała się uważniej Amandzie, której wizjer był przezroczysty.

I aż się wyprostowała. Złapała Amandę za rękę i pociągnęła w górę. Dziewczynka zachwiała się, lecz po chwili już biegła za tym, kto ją holował za sobą, ku najodleglejszej części kosmoportu. Kiedy zbliżali się do skoczka, stojący przy nim człowiek zamachał dziko rękami. Tłumek otaczający pojazd był niewielki, może dlatego, że skoczek nie dawał nadziei na oderwanie się od powierzchni Marsa. Mimo wszystko był to tłum i Amanda biegnąc, zobaczyła z przerażeniem, że gestykujący człowiek przestaje machać i strzela z pistoletu laserowego do kogoś, kto usiłował sforsować rampę. Śmiałek padł jak długi.

Amanda przemknęła obok strażnika, który wycelował także w nią. Wszakże człowiek, który ją tu przyholował, nie wypuścił jej ręki i strażnik nie wystrzelił. Moment później Amanda wbiegła po rampie, drzwi zamknęły się za nią. Bez tchu padła na pokład i zerwała z głowy hełm, który nagle zaczął ją dusić; czuła, że skoczek odrywa się od powierzchni Marsa.

Podniosła spojrzenie. Z góry patrzyła na nią para nastolatków. Niewysoka śniada dziewczynka i chyba

przewyższający ją wzrostem chłopiec. Drugi chłopiec, w skafandrze, ale bez hełmu, pilotował skoczka. Ten pierwszy dyszał równie ciężko jak Amanda, najwyraźniej to on ją tutaj przyciągnął. Miał kłopoty z odzyskaniem oddechu, Ale nawet zgięty wpół i świszczący wydawał jej się piękny.

Nieznajoma dziewczynka powiedziała coś w języku, którego Amanda nie знаła. Jej ton jednak nie pozostawiał cienia wątpliwości: była wściekła. Pilot zaśmiał się i coś odpowiedział. Jedną ręką uczynił szybki sieczący gest.

Zdyszany chłopiec zaczął się powoli prostować. Rozwścieczona dziewczynka podjęła przerwana tyradę. Chłopiec nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w Amandę.

– *Christos...* to naprawdę ty? A-man-da Capelo!

Dziewczynka przestała wyrzekać i tylko spoglądała w oszołomieniu. Nawet pilot się obrócił. Amanda nie wiedziała, co ze sobą począć. Ze strachu zrobiło się jej jeszcze zimniej.

W końcu wysoki chłopiec odezwał się zrozumiale, aczkolwiek kalecząc słowa:

– Witać na pokładzie, A-man-da Capelo. Cieszyć się, że ty żyć.

Amanda bezradnie potrząsnęła głową.

– Ja w Mars widzieć twój tata! Witać na pokładzie!

\* \* \*

Byli Grekami, jak powiedział jej Konstantin. Ortodoksyjnymi Grekami, co nic zupełnie jej nie mówiło.

Konstantin Ouranis, ten wysoki chłopiec, który ocalił jej życie, zatrzymał się przy niej z początku wyłącznie dlatego, że miała kielich ważny w religii, której nie wyznawała ani nawet nie rozumiała. Kiedy jednak spojrzął w jej wizjer, rozpoznał w niej dziewczynkę z wiadomości. Konstantin miał osiemnaście lat, urodził się w Salonikach i słyszał o dokonaniach jej ojca. Sam chciał zostać fizykiem. Przyleciał na Marsa, żeby spytać Martina i Kristen Blumbergów, czy przypadkiem nie mają jakichś nieopublikowanych prac doktora Capelo.

Wszystko to wyjaśniło się w bólach, opornie, podczas gdy Amanda i Konstantin toczyli nierówny bój ze wspólnym językiem. Pilot wylądował na równinie pokrytej czerwonym regolitem. Razem z wciąż zagniewaną dziewczynką przysłuchiwał się z napięciem, jakby wielka uwaga pomagała im lepiej zrozumieć Amandę.

– Oni nie znać angielski – wyjaśnił Konstantin. – Ja mieć angielski tylko rok w szkole.

– Ale i tak mówisz lepiej niż ja po grecku – rzekła wstydliwie Amanda.

Konstantin rozpromienił się cały.

Jego siostra miała na imię Demetria. Pilot, najstarszy z tej trójki, dwudziestoletni, nazywał się Nikos Papandrea i był chłopakiem Demetrii. Oboje siedzieli pochyleni do przodu i wodzili bystrym wzrokiem po twarzach rozmawiających.

Konstantin zapytał Amandę:

– Ty być skąd?

– Z Lowell City – odparła. – Mieszkałam w opactwie.

– Przepraszam?

Amanda poszukała prostszych słów.

– Mieszkałam z księżmi. Msza, godzinki. – Nagle ją olśniło.' Mieszkałam w domu Boga.

– Wspaniale! – wykrzyknął Konstantin. Może jego software do nauki języka pochodził z Wielkiej Brytanii... – W domu Boga... – zawahał się. – Ukrywać się?

– Tak, ukrywałam się. Przed ludźmi, którzy porwali... którzy zabrali mojego ojca.

– Tak, tak – pokiwał głową Konstantin i przetłumaczył Demetrii i Nikosowi, który przeżegnał się podobnie jak brat Meissel.

Brat Meissel...

– Oni zginęli, prawda? Wszyscy księża z domu Boga?

– Zginęli. Tak. – Konstantin ujął ją za rękę. Pod jego dotykiem Amandzie przeszedł gwałtowny prąd po kręgosłupie. – Przepraszam.

– Dziękuję. Byli dla mnie bardzo dobrzy.

– Wspaniale – powiedział cicho Konstantin. – Dobre ludzie... Ty ukrywać się w domu Boga. Twój ojciec, doktor Thomas Capelo, też ukrywać się# domu Boga?

– Nie. Nie wiem, gdzie jest mój ojciec. Nie zostaliśmy porwani., Nie zostaliśmy zabrani razem. Widziałam, jak go zabierają.

– Widziałaś, jak zabierają twój ojciec? Kto?

– Nie wiem!

Nikos rzucił coś ostro i Konstantin zaczął tłumaczyć. Potem Nikos mówił coś długo.

– Nikos mówić, złe ludzie zabrać twój ojciec. Może... zginąć. A może nie.

– Mój ojciec nie mógł zginąć! – zaprzeczyła stanowczo Amanda. Wiem, że nie zginął. Na pewno jest im potrzebny. To najlepszy fizyk w całej Galaktyce! Tylko dlatego go porwali!

– Przepraszam?

Amanda spróbowała wyrażać się jaśniej.

– Mój ojciec żyje. Żli ludzie, którzy go zabrali, potrzebują go. Jako fizyka...

– A, fizyka – powtórzył Konstantin nabożnie. – Doktor Thomas Capelo!

Amanda pokiwała głową. Chyba doszło do impasu. Nagle zdała sobie sprawę, że cała rozmowa jest o niej. Zarumieniła się ze wstydu.

– A ty, Demetria i Nikos też mieszkaliście w Lowell City?

– Demetria i ja mieszkać w Grecji. Ziemia. My odwiedzać Mars. Nikos mieszkać w Lowell City z ojciec.

Nikos parsknął i wykonał bardzo niegrzeczny gest, na jaki ojciec Amandy nigdy by nie pozwolił w swoim towarzystwie.

– Nikos nie lubić ojciec bardzo – przetłumaczył Konstantin.

Amanda była wstrząśnięta.

– Ale... ale czyjego ojciec był w Lowell City? Kiedy kopuła się zapadła?

– Ojciec być w mała kopuła. Może zginąć, może nie. Nikos obojętny.

– Ale... – Umilkła, usiłując to zrozumieć. Nikosowi było obojętne, czyjego ojciec przeżył czy nie. – Ale... nie możecie się z nim skontaktować albo coś?



Konstantin odezwał się po grecku do Nikosa, który odpowiadając, powtórzył niegrzeczny gest. Amanda znowu się zaczerwieniła. Konstantin zwrócił się do niej:

– Ojciec skontaktować się z Nikos kiedyś, może. To... – zatoczył ręką, obejmując kabinę skoczka, jakby szukał słowa. – Jak mówić?

– Skoczek.

– Tak. Wspaniale. Jen skoczek być ojciec. Ojciec chce skoczek kiedyś.

Ojciec Nikosa zateśni do swojego skoczka, ale nie do syna. Nie, Konstantin na pewno się myli. Albo przesadza, tak jak przesadzała Yaeko, gdy mówiła, że nienawidzi swojej matki. Yaeko często kłóciła się z matką, ale przecież nie nienawidziła jej. Nikos i jego ojciec być może nie przepadali za sobą, z pewnością jednak nie życzyli sobie śmierci. To niemożliwe. Amanda postanowiła na wszelki wypadek zmienić temat.

– Dokąd teraz polecimy?

Konstantin przetłumaczył jej pytanie i wywiązała się dłuższa dyskusja po grecku. Demetria chciała coś powiedzieć, lecz – ku wielkiemu zaskoczeniu Amandy – Konstantin zwrócił się do siostry ostrym tonem, całkowicie innym niż ten, którym rozmawiał z nią. Demetria natychmiast umilkła i spuściła oczy. Nawet Nikos zdawał się słuchać Konstantina, co było dziwne, bo Nikos był starszy, no i znajdowali się na jego statku. Czy też raczej na statku jego ojca.

Wreszcie Konstantin spojrzał znowu na Amandę.

– Lecimy tam, gdzie ty chcesz. Ukrywać się. Tak?

Amanda się zamyśliła. *Dokąd chciałabym polecieć? Marbet Grant opuściła Marsa... ale też nie była jej już*

*potrzebna. Jej ojca porwał generał Stefanak albo ruch antymilitarystyczny, ale ani jeden, ani drugi nie był już chyba przy władzy. Jeżeli admirał Pierce wygrał walki, powinnam być bezpieczna. On nie ma powodu śledzić mnie, Amandy ani obserwować domu cioci Kristen w Tharsis. Admirał Pierce nie należał do spisku, przez który porwano mojego ojca. Ale czy na pewno wygrał walki? Może górą jest jednak generał Stefanak?...*

– Konstantin, możesz włączyć radio? Zobaczmy, kto wygrał: admirał Pierce czy generał Stefanak.

Chłopiec zrozumiał – zapewne tylko nazwiska i słowo „radio”. Powiedział coś do Nikosa, który włączył wiadomości. Były nadawane po angielsku; na Marsie nie mieszkało wystarczająco wielu Greków, żeby opłacało się przekazywać wiadomości po grecku.

– ...wielkie zwycięstwo nad wojskowym reżimem, który ostatnio zaprowadził stan wojenny. Admirał Pierce zniósł godzinę policyjną, dzięki czemu ocaleni mogą rozpocząć odbudowę Lowell City. Po śmierci Sullivana Stefanaka stanowisko naczelnego dowódcy Rady Obrony Sojuszu Solarnego obejmie admirał Pierce...

Amanda przestała słuchać. Zatem generał Stefanak zginął. Dziwnie się czuła, wiedząc o tym. Odkąd pamiętała, stał u steru władzy. Odniosła takie wrażenie, jakby nagle zawiodła grawitacja.

– Co mówić?

Amanda wyjaśniła wyraźnie i powoli:

– Wygrał admirał Pierce. Teraz jest naczelnym dowódcą ROSS.

– Admirał Pierce! – podchwycił Nikos i nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. Amanda nie miała pojęcia dlaczego.

– Admirał Pierce robić dobrze na interes mojego ojca – ucieszył się Konstantin.

– Jakie interesy prowadzi twój ojciec?

– Różne. Jeden: transport Ziemia-Mars. Duży transport. Ouranis Corporation – dodał z dumą.

Amanda w życiu nie słyszała o takiej firmie, co jednak nie było dziwne. Jej ojciec uważał prowadzenie interesów za nudne i nieistotne w porównaniu z uprawianiem nauki.

Konstantin tymczasem mówił dalej:

– Mój ojciec nie lubi Nikos za Demetria. Demetria nie chce słuchać.

– Och – bąknęła Amanda. Poczowała się nagle nieswojo. Czy i jej ojciec kiedyś... gdy spodoba jej się jakiś chłopiec, na przykład Konstantin... ale Konstantin chce być naukowcem, więc chyba nie będzie z tym problemu... Zarumieniła się na te myśli.

– Gdzie ty chcesz lecieć, A-man-da Capelo? – powtórzył pytanie Konstantin.

– Do Tharsis. Możemy tam polecieć? Mam tam ciocię i wujka. Mogłabym z nimi zostać.

– Przepraszam?

– Ciocia. Siostra mojego ojca. W Tharsis.

– Siostra doktora Thomasa Capelo, tak – powiedział Konstantin. – Na Tharsis. Ja chcę tam polecieć, zapytać o pracę doktora Thomasa Capelo. Wspaniale.

Nikos o coś zapytał. Konstantin odpowiedział, powtarzając słowa „Tharsis” i „doktor Thomas Capelo”. Nikos wzruszył ramionami i uruchomił silniki.

– Dlaczego on robi, co mu każesz? – zapytała Amanda nieśmiało Konstantina. Właściwie nie była to jej sprawa. Mimo to chłopiec nie poczuł się urażony.

– Nikos nie mieć pieniędzy. Demetria być dziewczyna. Kiedyś ja mieć pieniądze mój ojciec – odparł radośnie i brutalnie Konstantin.

Amanda nie wiedziała, jak zareagować. Pierwsza fala wdzięczności przeminęła i teraz dziewczynka czuła się niezręcznie. Czy Konstantin naprawdę przyleciał na Marsa, żeby wypytać ciocię Kristen o niepublikowane prace jej ojca? Czy wymyślił to na poczekaniu, spotkawszy ją w kosmoporcie? Sporo wiedział o doktorze Capelo. Czy wiedział o nim także coś, o czym nie mówił na głos?

Przedtem nigdy tak się nie zachowywała, nie podawała w wątpliwość motywów działania każdego napotkanego człowieka.

Wtem Konstantin podał jej rękę i podniósłszy Amandę z podłogi, usadził na fotelu skoczka. Pod dotykem jego palców, ciepłych i złocistych, zapomniała o wszelkich wątpliwościach.

## 12.

*Gofkit Shamloe*

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Kaufman nie ujrzał już więcej zagniewanego oblicza Anny Sikorski. Ani też nie zobaczył łagodnej ksenobiolożki, którą poznał na pokładzie okrętu Alan B. Shepard. Obecna Anna była dziarska, kompetentna i skupiona raczej na codziennych potrzebach aniżeli na zagadnieniach naukowych. Rozprawiała o osiach wozów, dziecięcych chorobach, zbiorach owoców drzewa żeli, dzikibach, które zaczęły dawać mniej mleka. Nie mówiła nic o wychwycie zwrotnym transponderów ani o zjawiskach kwantowych zachodzących w mózgu.

– Nie rozumiem tego – powiedział Kaufman do Marbet. – Przecież tak ją zajmowało działanie układu nerwowego. Wysunęła własną teorię na temat dzielonej rzeczywistości, wskazała na jej mechanizm i wpływ artefaktu na mózgi Swiatan...

– Ona nie wybiera się z powrotem, Lyle – rzekła Marbet.

– Tak mówi?

– Nie musi nic mówić.

– Nie zamierza wrócić do Układu Słonecznego? Nigdy?

– Nie. Jej życie jest teraz tutaj.

Zatem przebył taki kawał drogi w nadziei na odkupienie choć części winy i ocalenie kogoś, kto wcale nie chce być ocalony. Jeżeli Anna tu zostanie, zostanie i Dieter. Misja Kaufmana okazała się bezcelowa.

Nie tylko w odniesieniu do Anny i Dietera, ale też w odniesieniu do planety. Mijał dzień po dniu, a on nie widział ani zniszczonej, cofniętej w rozwoju do barbarzyńskich czasów kultury, jakiej się spodziewał, ani też kul-

tury niezmienionej zabranieniem artefaktu, jaką zobaczyć miał nadzieję. Stał oko w oko z pełnymi pragmatyzmu, jakoś tam radzącymi sobie Światanami, którzy oddawali się codziennym zajęciom mającym zapewnić im przetrwanie (osie kół, hodowla dzikibów), nie zarzucając życia duchowego obracającego się wokół kwiatów.

– Ty odchwaść tę grządkę allabeniriby – zwróciła się do niego Marbet – a ja zabiorę się do tamtej z padzalibą.

Kaufman wydał wszystkie swoje oszczędności i większość tego, co uciulała Marbet, złamał prawo i podróżował nielegalnie, ryzykując uwięzienie w razie odkrycia – a wszystko to na nic. Jego obecność tutaj była całkowicie zbędna. Świat ani nie rozkwitł, ani nie podupadł; po prostu dalej istniał. Kaufman nie był w stanie pomóc w żaden sposób, nie licząc wypielenia grządki allabeniriby. Ukłękął i zaczął wrywać chwasty.

– Jutro na ołtarzu będzie ich potrzebne całe mnóstwo – oznajmiła Marbet, energicznie rozprawiając się z intruzami wokół padzaliby. – To kwiaty gościnności, wiesz.

Nie tak wyobrażał sobie pokutę za krzywdę uczynioną Światu.

– Lyle, nie wrywaj tego. To nie chwast, tylko roślina.

– Och, przepraszam. – Nie, nie tak to sobie wyobrażał... – Dziwne, że Enla pozwala nam zajmować się kwiatami. Warzywami, rozumiem. Ale darzonymi taką nabożnością kwiatami?

Marbet odparła cicho:

– Pozbądź się goryczy, kochany.

Wiedziała. Jak zwykle wiedziała. Kaufman naprawdę się starał. Jednakże po odejściu z armii miał problemy z tożsamością. Przestał być żołnierzem, którym był przez całe życie. Najwyraźniej nie był też zbawcą, bo ocalenie okazało się zbędne. Nie był nawet nauczycielem ani dyplomata, gdyż Światanie nie potrzebowali nauczycieli ani dyptomatów. Podobne myśli były mu obce, albowiem przez większość życia skupiał się na zadaniu do wykonania, nie zastanawiając się wiele nad powodami ani skutkami. Teraz jednak nie mógł przestać myśleć o tym, kim jest i co robi.

Nie podobało mu się to.

Światanie jasno postrzegali czynności, które wykonywali. Dziecko Enli miało przejść jakąś ceremonię i wszyscy w osadzie energicznie się do niej przygotowywali. Kaufman domyślił się, że ceremonia niegdyś miała coś wspólnego z okrzyknięciem członka wspólnoty „rzeczywistym”, lecz odkąd zabrakło dzielonej rzeczywistości, przestała nieść takie znaczenie. Może teraz były to zwykłe chrzciny. Kaufman nie pamiętał, jak nazywa się dziecko Enli. A może dostanie imię dopiero jutro? A w ogóle to chłopiec czy dziewczynka?

Czemu poświęci resztę życia?

– Świetnie – pochwaliła Marbet. – Przejdźmy teraz do trifalitiby.

– Przypomnij mi jeszcze raz, kiedy jest ta ceremonia?

– Jutro. To szalenie ekscytujące, prawda? Konfit skończy trzy latka według światkańskiej rachuby.

Konfit. Tak nazywa się dziecko. Kaufman w dalszym ciągu nie pamiętał, jakiej jest ono płci.



Anna wyszła do nich zza palisady. Sprawiała wrażenie rozżłoszczonej.

– Marbet, Lyle, czy któreś z was widziało Esse?

– Nie – odparła Marbet. – A co, znowu gdzieś przepadła?

– Ta dziewczyna ma większe zdolności do migania się od pracy niż ktokolwiek, kogo znam. Enla kazała jej utłuc trochę kari i upiec chleb na jutro, a ona oczywiście nawet nie zaczęła.

Marbet wyprostowała się znad grządki i przeciągnęła.

– Jak to się stało, że Enla jest odpowiedzialna za Esse?

– To długa historia. W skrócie wygląda to tak... Essa była służącą w domostwie Hadżila Peka Voratura, a po Odmianie wylądowała razem z nami, bo nie miała nikogo innego. Doprowadza Enlę do szaleństwa.

– I w dodatku chce polecieć do innych światów – dodała lekkim tonem Marbet.

– Magdalena nigdzie jej nie zabierze-ucięła Anna. – Złożyła jej obietnicę tylko po to, żeby namieszać.

Usłyszawszy wzmiankę o Magdalenie, Kaufman zaczął energiczniej wrywać chwasty.

Anna tymczasem narzekała:

– Postępowanie Magdaleny jest wystarczająco zwa-riowane bez zabierania młodej Światanki w podróż kosmiczną. Dlaczego tutaj została, skoro już wie, że nie możecie jej pomóc w odnalezieniu Amandy Capelo? Do tego codziennie gdzieś znika. Dokąd jeździ skimerem? Z całą pewnością nie zwiedza Świata, który jej wcale nie interesuje, co dała bardzo jasno do zrozumienia.

– Nie – zgodziła się Marbet z Anną. – Magdalena traktuje Świat jak poczekalnię.

– Poczekalnię? – zdziwiła się Anna. – A na co czeka?

Marbet zerknęła na Kaufmana, który odpowiedział:

– Na Marsie być może wybuchła rewolucja. Stefanak mógł stracić władzę, ponieważ wielu ludzi uważa, że nie prowadzi wojny z Fallerami wystarczająco agresywnie. Magdalenę łączą z nim silne więzy, zarówno zawodowe, jak i osobiste. Z tego względu potrzebne jej miejsce, gdzie mogłaby przeczekać do czasu, aż sytuacja w Układzie Słonecznym się unormuje, a ona będzie mogła wykorzystać zebrane informacje z pożytkiem dla siebie. Statek kurierski ma przywieźć wieści, jak tylko jakieś będą.

Marbet dodała cicho:

– A bezczynność nie przychodzi jej łatwo.

– Nawet ja to czuję w jej obecności-przyznała Anna.

– To istny wulkan grożący wybuchem. Dla ciebie, Marbet, to musi być o wiele bardziej nieprzyjemne...

Marbet zmieniła temat.

– Jak idą przygotowania do jutrzejszej ceremonii?

– Doskonale. Właśnie dlatego was szukałam. Lyle, potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy? – zdziwił się Kaufman, wstając.

Anna miała poważniejszą minę niż zazwyczaj.

– Na kwietną ceremonię Konfita przybędą mieszkańcy dwu sąsiednich osad. To niezwykle ważne, ponieważ jak ci wiadomo, po Odmianie osady uległy izolacji. Światanie boją się siebie nawzajem, gdyż bez dzielonej rzeczywistości nie umieją radzić sobie z obcymi.

Jednakże ja, Dieter i Kalin staramy się nawiązać choćby stosunki handlowe z Gofkit Mersoe i Gofkit Tramloe. Światanie mają smykałkę do handlu. No i jutro te dwie osady przyślą swoich przedstawicieli na kwietną ceremonię Konfita.

Anna urwała; wydawała się zażenowana. Kaufman czekał. Nie miał pojęcia, na czym ma polegać jego pomoc. Przecież nawet nie znał światańskiego.

– To może być wielki przełom, Lyle. Jednakże wyłącznie pod warunkiem, że gościom uda się odbyć bezpieczną podróż w obie strony. Maruderzy zdążyli się zorganizować, ich ataki są przemyślane. Dwie grupy osób podróżujących od osady do osady z żywnością i prezentami to łakomy kąsek. Jeńcy zostają niewolnikami i pracują przymusowo na dawnych polach Peka Voraturra, zapewniając dostatek watażkom. Oni... Zresztą nieważne. W każdym razie Dieter z samego rana wybiera się na swoim rowerze do Gofkit Mersoe, żeby eskortować gości. Ma nanosić, broń laserową... powinno mu się udać.

– Czym dysponują watażkowie? – zapytał Kaufman.

– Mają noże, dzidy i pałki. Nie wynaleźli jeszcze łuku ani strzał, dzięki Bogu. Problem polega na tym, że Dieter się nie rozerwie, nie może być w dwóch miejscach naraz. Ty z pewnością jesteś uzbrojony, Lyle. Pojedziesz do Gofkit Tramloe po naszych gości?

Aż się zawstydził swojej radości z tego, że znowu jest przydatny.

– Oczywiście.

– Dziękuję. Chciałbyś ściągnąć broń ze statku?

– Nie. – Dieter zapewniał go, że zamknięty na cztery spusty i pozostawiony sam sobie statek będzie bezpieczny za perymetrem elektronicznym. – Ale Anno...

– Tak?... Spójrzcie, tam jest ta bezużyteczna dziewucha, za tamtymi krzakami! Ezzo! Chodź tu zaraz!

– Anno – powtórzył Kaufman. – Statek jest wyposażony w broń z prawdziwego zdarzenia. Mógłbym przelecieć nad domostwem Voraturów i rozwiązać wasz problem raz na zawsze.

Przykuł tym uwagę Anny. Zagniewanej Anny o oczach twardych jak diament.

– Nie, Lyle, dziękujemy. Nie chcemy nauczyć Świata przemocy jeszcze większej niż ta, którą już posługują się przez nas. Magdalena proponowała nam to samo. Jej też podziękowaliśmy.

– Dlaczego nie poprosiliście Magdaleny o pomoc przy eskortowaniu gości? – spytał Kaufman. – Jest tu dłużej niż my, a kwietną ceremonię planujecie od wielu tygodni.

– Nie zamierzam o nic prosić Magdaleny – rzekła Anna hardo, a Kaufman się zastanowił, czy Dieter reaguje na Magdaleny tak samo jak on. Marbet oczywiście znalazły odpowiedź na to pytanie, Kaufman wolał jej jednak nie pytać. Anna dokończyła: – Odwzajemnia się za żywność i wodę wystarczająco sownie. Gofkit Shamloe nie chce od niej nic więcej.

A, zatem stąd się wzięły te ładniejsze poduszki w chacie Enli.

– Będę potrzebował przewodnika do Gofkit Shamloe – stwierdził Kaufman. – I może jeszcze...

Anna go nie słuchała. Gorączkowo łajała Essę, która podeszła do nich, trzymając coś w zaciśniętej pięści. Kaufman z potoku światkańskich słów wychwycił wyrazy „Enla” i „kari”.

Essa, ani trochę nie skruszona, rozwarła pięść. Na jej dłoni spoczywała małeńka kostka informacyjna oraz jeszcze mniejsze opakowanie.

– Skąd to masz? – zainteresował się Kaufman.

Essa pokazała palcem Annę. Marbet przetłumaczyła Kaufmanowi:

– Rozpracowała, jak rozebrać na czynniki pierwsze swój komunikator. Zdaje się, że to w większości obudowa. I trochę bebeczków. Nadal działających.

Kaufman nie miał śmiałości spojrzeć na Annę. To za jego sprawą dziewięć komunikatorów trafiło do rąk Światan podczas poprzedniej ekspedycji – pomimo zaciekłych protestów Anny. Zasięg tych komunikatorów był ograniczony do Świata w przeciwieństwie do urządzeń Anny, Kaufmana i prawdopodobnie Magdaleny. Ich sprzęt był w stanie nawiązać kontakt z osobami krążącymi na orbicie tunelu czasoprzestrzennego, przy czym opóźnienie wynosiło pięćdziesiąt cztery minuty.

– W czym posiadaniu jest pozostałe osiem aparatów? – zapytał Kaufman.

– Z kim kontaktuje się Essa?

– Z nikim – odparła Anna krótko. – Pozostałe osiem komunikatorów zostało na terenie domostwa Voraturów. Być może używają ich maruderzy. Essa ma dość rozumu w głowie, żeby nie nawiązywać kontaktu z nimi.

Kaufman najchętniej odebrałby dziewczynie komunikator. Byłoby to jednak igranie z ogniem. Światanie

mieli dość dziwne podejście do kwestii własności. Tolerowali kradzież, lecz nie konfiskatę. Może dlatego, że nigdy nie stanowiła naruszenie dzielonej rzeczywistości? Anna najwyraźniej hołdowała teraz światąskim przekonaniom.

– Skoro Essa z nikim się nie kontaktuje – odezwała się przytomnie Marbet – skąd wiadomo, że jej komunikator wciąż działa?

– Nie wiadomo – odrzekła Anna.

Kaufmanowi, byłemu wojskowemu, wystarczył rzut oka na oba przedmioty, by zyskać pewność, że są jak najbardziej sprawne.

Anna odprowadziła Esę, aby zajęła się wreszcie tłuczeniem kari na chleb. Mar – bet, mając dość pielenia, poszła z nimi. Zanim Kaufman zdążył wrócić do wyrywania chwastów, zobaczył zbliżającą się Magdalenę.

– Lyle?

– Słucham.

W świetle dnia kobieta wydawała się starsza niż przy blasku gwiazd. Jednakże nadal poruszała się ze sprężystością młodej dziewczyny.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że nie mam jeszcze żadnych wiadomości z tunelu. Mój informator z Marsa twierdził, że atak na Stefanaka został zaplanowany na wczoraj... – Jak gdyby Kaufman mógł o tym zapomnieć!

– Wciąż jednak nie wiadomo, czy się powiódł czy nie. Pomyślałam, że wolałbyś być poinformowany.

O tym, że nie ma żadnych wiadomości? Kaufman potrafił przejrzeć fortel, zwłaszcza gdy stawał z nim oko w oko. Mimo to odparł:

– Tak, dziękuję.

– Idziesz na tę jutrzejszą imprezę?

Czyli o to jej chodziło. Magdalena nie została zaproszona. Ale zaraz, to niemożliwe. W osadzie wszystko odbywało się kolektywnie, był to relikwyt epoki dzielonej rzeczywistości. Każdy mieszkaniec automatycznie był gościem ceremonii. A Magdalena mieszkała w osadzie. *Ergo...*

– Tak – odpowiedział. – Mam eskortować przedstawicieli Gofkit Tramloe.

– Trafiła ci się służba obywatelska, co? – rzuciła, deprecjonując jego zadanie. – Cóż, może to faktycznie konieczne. Ale powiedz mi jedno. Czy temu dzieciakowi trzeba dać prezent? Nie chciałabym popełnić gafy.

Kaufman przypatrzył się kobiecie. Dostrzegał sarkazm, a pod nim... jeszcze więcej sarkazmu? Czy też Magdalena pytała, bo naprawdę chciała się tego dowiedzieć? Nie potrafił jej rozszyfrować, mimo że przez parędziesiąt lat miał do czynienia z politykami i wojskowymi, i szefami firm, którzy zawsze zatajali swoje rzeczywiste cele. Przestał się dziwić, że Magdalena stanowi taką niebezpieczną siłę. Była groźniejsza od przeciętnego generała. Mieszanina podstępności, inteligencji i urody.

Urody?

Tak. Nieprzerwanie. Pomimo wszystko.

Postanowił wziąć jej pytanie za dobrą monetę.

– Wydaje mi się, że prezent będzie jak najbardziej na miejscu. Marbet i ja zamierzamy obdarować dziecko.

– Czym?

Kaufman zrozumiał, że Magdalena wie, iż nie ma bladego pojęcia o planach Marbet. Posłała mu znaczący



uśmieszek i oddaliła się wdzięcznie. Choć nie powinien był tego robić, odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

\*\*\*

*Mogłabym go mieć, pomyślała Magdalena. Aczkolwiek wymagałoby to trochę zachodu. Przyzwoici mężczyźni z początku się opierają. A może nie mogę mieć Kaufmana, może dochowałby jednak wierności tej swojej pannie Wrażliwiec. Dawno temu taka niepewność i takie wyzwanie podnieciłyby ją. Teraz jej zdaniem nic nie było warte wysiłku.*

Oczywiście nikt jej nie rozumiał, nie tak dogłębnie. Wszyscy mieli ją za drapieżcę, zimną rybę. A ona usilnie podtrzymywała tę iluzję – ażeby lepiej ukryć swoje prawdziwe ja. Tylko to, co dobrze ukryte, było bezpieczne.

Przez całe życie pragnęła wyłącznie bezpieczeństwa.

Po to były jej potrzebne pieniądze, po to byli potrzebni mężczyźni, po to były potrzebne niekończące się sekretne układy. Dlaczego ci głupcy nie potrafią pojąć takich prostych rzeczy? Tylko władza daje bezpieczeństwo. Kiedy ma się wystarczająco dużą władzę, można stawić czoło każdemu zagrożeniu. W efekcie jest się bezpiecznym.

Dorastając, Magdalena nigdy nie czuła się bezpieczna, ani przez sekundę. Matki nie pamiętała, jeśli nie liczyć mdlącego uczucia strachu i wspomnienia gigantki, która bez końca ją raniła. Samo imię tamtej kobiety wy-

starczało, żeby po karku przebiegały jej zimne ciarki. Catalune...

May Damroscher nie czuła się bezpieczna nawet przy Sualeen Harris, mimo że Sualeen była jedynym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek kochała – do czasu pojawienia się Laszla. Sualeen mieszkała po sąsiedzku z May i Catalune. Spostrzegła, że sześćioletnia May często cierpi, i przyjrzała się jej siniakom, oparzelinom i skaleczeniom. Nie wezwała policji; w tamtej okolicy nikt tego nie robił. Po prostu poinformowała Catalune, że odtąd May mieszka z nią i że jeśli Catalune choćby zbliży się do niej, zginie. Catalune wiedziała, że Sualeen Harris nie żartuje. Zrzekła się adoptowanej córki i nigdy więcej jej nawet nie zobaczyła.

Sualeen Harris miała rozległą rodzinę o niesprecyzowanym pokrewieństwie i niezidentyfikowanym pochodzeniu etnicznym. Wszyscy jej krewni byli chodzącymi dowodami na wojnę genów: czarni, biali, Latynosi, Azjaci, Hindusi... Niektórzy byli przestępcami, inni nie; jedni byli mniej ubodzy od drugich; ci potrafili pisać i czytać, tamci znów nie bardzo. Ale wszyscy – pilnowani przez trzymającą ich twardą ręką Sualeen – byli mili dla May. Gdy May ukończyła dwunasty rok życia, Sualeen ustawiła w szeregu wszystkich mężczyzn w rodzinie – od jedenastolatka do siedemdziesięcioletnia – i zapowiedziała im, że jeśli choćby palcem tkną May, mogą się pożegnać z życiem. Podobnie jak Catalune przed sześciu laty, wiedzieli, że z Sualeen nie ma żartów, i nawet ci, którzy chciwie łypali na powiększające się piersi May, zaczęli odwracać wzrok. Sualeen najbardziej ze wszystkiego w swoim głodnym, chłodnym i prawie

martwym życiu żałowała tego, że nie stać jej na rzeźbione granitowe nagrobki dla nieżyjących krewnych. Usiłowała na nie zaoszczędzić, ale pieniądze zawsze były potrzebne na coś innego: a to na nowe niemowlę, a to na kaucję, a to na łapówki dla glin, a to na smo. Sualeen często odbywała czterogodzinną podróż pociągiem za miasto na ogromny cmentarz komunalny, gdzie użalała się nad zmarłymi krewnymi, których wyróżniały tylko numery na tanim omnitworzywie. Gdy dopadł ją rak nie reagujący na żadne farmaceutyki, wiedziała, że sama też skończy jako numer na tanim omnitworzywie.

Dwa dni przed śmiercią, leżąc w cuchnącym od potu pokoju i wijąc się z bólu, wezwała do siebie May.

– Uciekaj... May... uciekaj...

– Dokąd, Sualeen? – zapytała May.

– Uciekaj... tam, gdzie są bogaci mężczyźni. I tak położą na tobie łapy, moja miła... i tak.

Wyrwij dla siebie jak... jak najwięcej.

May nie dopytywała o szczegóły. Domyślała się ich.

– Pieniądze... za domem... pod drzewem...

– Kocham cię – powiedziała May po raz pierwszy i ostatni w życiu.

– Uciekaj...

May nie uciekła. Była przy Sualeen, gdy ta zapadła w śpiączkę, gdy umierała i gdy była składana do grobu. Na cmentarzu czekał na nią prosty nagrobek z omni – tworzywa z anonimowym numerem. Dwa dni później w domu Sualeen jeden z wujków zgwałcił May.

May leżała spokojnie, nie walcząc, wiedziała bowiem, że byłoby to daremne. Zabolało ją, podłogę zbrukała krew. Po wszystkim wujek, czując mieszaninę

wstydu i buntu, ani na nią nie spojrzął, gdy podciągał spodnie i wytaczał się za drzwi. May miała wtedy szesnaście lat.

Podciągnęła własne majtki. Jej ciało krzyczało – od pochwy po podstawę czaszki. Nie wytarłszy krwi z podłogi, wyszła za dom – rosło tam jedno jedyne drzewo, które usychało na niewiadomą zarazę – i kopała widelcem, dopóki nie znalazła pudełka z żałośnie małą sumą pieniędzy. Wystarczyło na bilet do Karoliny Północnej i na monokini już na miejscu.

Zbliżyła się do strażnika pilnującego elitarniej plażowej enklawy, którą widziała odtworzoną na holofilmach. Oczy strażnika rozszerzyły się, potem zwężyły w szparki. May się uśmiechnęła. Mimo że pochwa wciąż ją bolała, pozwoliła strażnikowi zrobić z nią, co chciał, w zamian za wpuszczenie na plażę. May zauważyła, że po wszystkim strażnik miał na twarzy taki sam wyraz jak wujek, gdy z nią skończył.

May wkroczyła na plażę i zaczęła się wolno przechadzać wzdłuż brzegu, szukając muszelek. Tak poznała Ameriga Daltona, trzeciego mężczyznę, który w nią wszedł w ciągu doby. May zagryzła wargę i wytrzymała. Potrzebowała Ameriga Daltona, już wtedy wiedząc, że będzie tylko pierwszym z wielu.

Pośród których nie znajdzie się Lyle Kaufman. Przynajmniej na razie, zdecydowała teraz.

Zmierzając do prymitywnej chaty, Magdalena odpędziła owada. Dwaj ochroniarze, na których zwracała taką samą uwagę jak na powietrze, szli jej śladem i gdy znalazła się w środku, zajęli postereunek przed wejściem.

Magdalena usiadła na jednej z żalonych tubylczych poduszek i raz jeszcze spróbowała odegnać rozpacz.

Laszlo. Gdzie on może być? Kto go porwał? Jaki wpływ będzie miał zamach stanu przeprowadzony na Marsie – o ile ta dupa wołowa Pierce faktycznie go przeprowadził – na losy porwanego Laszla i doktora Capelo?

Doskonale wiedziała, że Laszlo to jej... jakże wyraził to tamten profesor przed iluż to już laty?... czyjaś tam pięta. Jakiegoś Greka. Jedyne słaby punkt.

Miała tyle związanych z nim radosnych wspomnień. Laszlo wdrapujący się jej na kolana z zabawką: „Patrz, mama!”. Laszlo zaśmiewający się na widok szczeniaczka. Laszlo mówiący z niezrównanym zachwytem czterolatka: „Jaki mamy dzisiaj ładny dzień!”.

Laszlo w późniejszych latach... Nie. Te wspomnienia nie były już tak radosne. Wszyscy nastolatki są trudni; dość spojrzeć na tę Światankę, Essę. Laszlo po prostu przechodził okres dojrzewania, z którego jakoś nie mógł wyrosnąć. Ta jego wyprawa okaże się tylko jeszcze jedną przyprawiającą ją o obłęd okrutną „ucieczką” od matki. Wszelako może tym razem Laszlo nauczy się czegoś dzięki swojej niefortunnej przygodzie: został porwany i od miesięcy jest przetrzymywany gdzieś ze sławnym fizykiem. A Laszlo nie cierpi pęt i nie przepada za nauką.

Kiedy porywacze przyszli po obydwóch, aby przenieść ich w bezpieczniejsze miejsce – Magdalena czyniłaby dokładnie to samo na ich miejscu – Laszlo z pewnością myślał, że oto nadchodzi wolność. Najwyższa pora, żeby jedno sobie zapamiętał: wyłącznie jego

matka może go uwolnić. Może po tym zacznie bardziej doceniać życie, które mu z takim trudem stworzyła. Tak, cała ta sprawa może wyjść Laszłowi na dobre.

Podniesiona na duchu Magdalena zgrabnie podniosła się z poduszki. Musiała znaleźć odpowiedni prezent dla tego światańskiego urwisa Enli. Co można podarować dziecku prymitywnych Obcych? W dodatku nie była w stanie złożyć zamówienia w domu wysyłkowym z zabawkami dla dzieci FAO Schwartz z siedzibą na Marsie. Cóż, z pewnością znajdzie coś odpowiedniego na swoim statku. I tak zbliżała się pora rutynowej wizyty.

*Strzeliła palcami, dając ochroniarzom znak, że wybierają się na przejażdżkę skimerem.*

### 13.

#### *Gofkit Shamloe*

Nazajutrz rano Kaufman w towarzystwie męża Enli, Kalina, popedałował do Gofkit Tramloe, aby eskortować gości na kwietną ceremonię.

– Na pewno umiesz jeździć na rowerze? – zapytała Marbet minionego wieczoru, gdy leżeli w swojej chacie objęci.

– Tej umiejętności ponoć się nie zapomina.

– Ponoć.

Kaufman zaśmiał się cicho.

– Nie potrafisz jeździć na rowerze, prawda? Nigdy nie miałaś okazji się nauczyć...

Marbet potaknęła. Po chwili dodała:

– Boże, ale tu ciemno. Przywykłam do Luna City, tam nigdy nie zapadają kompletne ciemności. Na Ziemi zresztą także. Brakuje mi świateł miasta.

Kaufman miał do czynienia z tak gęstym mrokiem na wojnie. Wolał jednak nie rozmawiać z Marbet o tamtych doświadczeniach. Poza tym nieprzenikniona ciemność nie przeszkadzała mu z jeszcze jednego powodu. Czasami wydawało mu się, że Marbet przenika go wzrokiem na wylot, poznając najskrytsze myśli na podstawie mimiki, gestów czy tonu głosu. W mroku, gdy kochali się w całkowitym milczeniu, traciła tę zdolność. A Kaufman – choć bardzo się starał zapanować nad sobą – miał przed oczami Magdalenę, kiedy pieścił Marbet.

A teraz sprawdzał broń i wsiadał na rower. Kalin również był uzbrojony – w nanosieć i wysokiej mocy pistolet laserowy. Anna nie wiedziała o tym ostatnim, nie wyraziłaby zgody. Jednakże Kaufman nie zamierzał ruszać do boju – o ile można tak było nazwać potyczkę z przeciwnikiem uzbrojonym w dzidy – mając przy sobie adiutanta wyposażonego tylko w nanosieć. Zasięg nanosieci był znacznie mniejszy niż zasięg rzuconej dzidy. A Kalin był najbardziej opanowanym i najłagodniejszym Świataninem, jakiego Kaufman widział. Mimo że Kalin nie posługiwał się językiem angielskim, a Kaufman światkańskim, udało im się z powodzeniem przeprowadzić szkolenie w zakresie podstawowych funkcji pistoletu laserowego. I Kaufman, mający doświadczenie w ocenie przydatności żołnierzy, zaufał mu.

Kalin przez dłuższą chwilę przykładał dłonie Enli do swojego brzucha, po czym puścił jej ręce i wsiadł na



rower. Kaufman pocałował Marbet i za moment obaj już pedałowali w stronę Gofkit Tramloe, zostawiając za sobą osadę pogrążoną w przygotowaniach do kwietnej ceremonii mimo bardzo wczesnej pory. Zapachy szykowanego jedzenia jeszcze długo dolatywały ich nozdrzy. Mieszkańcy pokrzykiwali do siebie, ponad głosy wszystkich przebijał się podekscytowany piskliwy śmiech Essy. Dieter udał się do dalej położonej Gofkit Mersoe już wcześniej.

Było wyraźnie widać, że droga łącząca obie osady jest mało używana. Choć nieutwardzona, w przeszłości musiała być mocno eksploatowana, ponieważ grunt wciąż sprawiał wrażenie solidnie ubitego. Obecnie chwasty porastały trakt kępkami – gdzieniegdzie tak gęstymi, że Kaufman i Kalin musieli zsiadać z rowerów i prowadzić je. Okalająca pobocza roślinność stanowiła świetną kryjówkę dla chcących przypuścić atak. Kaufman zachowywał ostrożność i co parę sekund sprawdzał odczyty czujników ciepła, wszakże jedyne, co rejestrowały urządzenia, to obecność przypominających króliki światańskich frebów.

Kaufmana zalewały wrażenia wzrokowe i nie po raz pierwszy zdumiewała go tutejsza obfitość kwiatów. Nikt nie uprawiał przydrożnych grządek, a mimo to eksplodowały barwami i woniami setek gatunków. Kawalek dalej, za pozostawionymi samym sobie przydrożnymi grządkami, pleniły się dziko rosnące kwiaty. Gdyby maruderom okupującym dawne domostwo Voraturów faktycznie udało się wywołać wojnę na Świecie, byłaby to wojna toczona wśród kwiatów. Krew na allabeniribie...

Jakże łatwo by było rozprawić się z mącicielami. Wystarczyłby jeden precyzyjny strzał z broni protonowej. I Kaufman od razu poczułby się mniej winny. Wszelako postanowił zachować się zgodnie z życzeniami Anny. Ona w przeciwieństwie do niego zamierzała spędzić tu resztę życia.

Dotarli do Gofkit Tramloe bez przeszkód. Na miejscu Kalin wygłosił przydługą mowę do siedmiorga osób wybierających się z nimi, po czym doszło do wymiany kwiatów. Kaufman w tym czasie trzymał się na uboczu, wiedząc, że tubylcy nie przywykli do widoku Ziemiaków. Po zniknięciu dzielonej rzeczywistości nawet mieszkaniacze obcej osady wydawali im się dziwni.

Dzieci spoglądały na gości z układka, zza krzewów i murków. Tę osadę także otaczała palisada.

Podróż powrotna była znacznie wolniejsza, gdyż odbywała się pieszo. Tak jak zostało ustalone, Kaufman i Kalin zostawili rowery w Gofkit Tramloe. Dwoje Światan było starych. Kobieta w gruncie rzeczy była sędziwa: z pomarszczonej skóry jej twarzy wyzierały lśniące czarne oczy – ponoć taki gość stanowił wielki zaszczyt dla Gofkit Shamloe („Przybędzie matka babki!” – wykrzyknęła podekscytowana Enla, co jednak nic nie powiedziało Kaufmanowi). Staruszka jechała na prymitywnym wozie ciągnionym przez dwóch silnych młodych mężczyzn, pogodna i majestatyczna pośród kwiatów, żywności, butelek i prezentów wiezionych do Gofkit Shamloe. Kaufman miał tylko nadzieję, że wiekowa Światanka nie wyzionie po drodze ducha.

Umieścił Kalina na przedzie orszaku, sam zaś kroczył z tyłu za wszystkimi. Gdyby miało dojść do ataku,

był on bardziej prawdopodobny w drodze powrotnej – więcej łupów, więcej niewolników. Tubylcy śpiewali, hałasując bardziej, niżby Kaufman sobie życzył, ponieważ przez to odpadała możliwość wysłedzenia obecności przeciwnika na słuch. Nikt ich jednak nie zaatakował. Nikogo też nie spotkali, dopóki nie znaleźli się w zasięgu wzroku mieszkańców Gofkit Shamloe, którzy wysłali im naprzeciw oficjalną delegację.

Kaufman zrozumiał, że coś się stało, ledwie ujrzał Annę wśród witających.

Nie potrafił rozszyfrować min Światan, wszakże wyraz twarzy Anny wyraźnie świadczył o wzburzeniu. Czyżby coś przytrafiło się Dieterowi? Kaufman przebiegł w myślach dostępne mu opcje na wypadek porwania przez watażkę z Gofkit Jemloe, mimo że nie wyobrażał sobie, jak by miało dojść do porwania eskortowanej grupki gości, skoro Gruber również był dobrze uzbrojony.

– Chodzi o Essę – szepnęła mu Anna, gdy orszak zbliżył się do osady. – Nigdzie nie możemy jej znaleźć!

– Czy to nie normalne w jej wypadku? – zapytał Kaufman.

– Essa nie zniknęłaby akurat dzisiaj. Za nic nie chciałyby przegapić najbardziej interesującego dnia od roku.

– Co mam według ciebie zrobić? – Kaufman nie krył irytacji.

– Nie wiem. Enla bardzo się zdenerwowała. Ona...

– Czy ktoś sprawdził u Magdaleny? Essa zdaje się nią zafascynowana. Może po prostu do niej poszła.

– Lyle, Magdalena jest gościem na kwietnej ceremonii. Wszyscy są obecni, wszyscy z wyjątkiem Essy. Spójrz, jest też Dieter... – Na horyzoncie od strony Gofkit Mersoe widoczny był tuman kurzu.

Anna i Kaufman, idąc na końcu pierwszego orszaku, dotarli do osady. Wszystko tak zsynchronizowano, aby powitanie gości z Gofkit Tramloe odbyło się, zanim nadciągną goście z Gofkit Mersoe. Kaufman skonstatował, że niewiele się to różni od admiralskiej inspekcji.

Za palisadą jego przekonanie jeszcze się umocniło. Wspólna część osady wyglądała inaczej. Grunt zasłały poduszki i niskie stoliki. Chaty obwieszono girlandami z kwiatów. Talerze wyłożone jedzeniem nieomal przesłoniły długi stół rozstawiony na kozłach pod nieobecność Kaufmana. Mieszkańcy Gofkit Shamloe, odziani w starannie zachowane stroje sprzed Odmiany, siedzieli rzędami na pniach powalonych na obrzeżu łąki, dzieci wydawały się nienaturalnie sztywne i spokojne. Stary muzykant, Solor Pek Raumul, przygrywał cicho.

Kaufman spostrzegł Marbet i Magdalенę stojące obok siebie za ostatnim rzędem siedzących mieszkańców. Marbet, niezwykle niziutka, miała na sobie suknię, którą Kaufman już wcześniej widział – tę z cienkiego zielonego materiału, który zmięty stanowił pakiecik nie większy od jego pięści i ważący najwyżej trzy uncje. Wyglądała w niej przepięknie. Natomiast Magdalena... Na cholerę kobiecie przebywającej na wygnaniu czy czymś przypominającym wygnanie tego rodzaju strój? Ciekawe, czy na kwietną ceremonię dziecka Enli ubrała się tak z szacunku czy dla kpiny.

Suknia przynajmniej po części była hologramem wyświetlanym na ciężkiej tkaninie w fantastycznej feerii barw zmieniających się nawet przy całkowitym bezruchu właścicielki. Wysadzana była klejnotami – prawdziwymi lub nie, być może również holograficznymi albo czymś, co tylko miało przypominać kamienie szlachetne. Góra sukni, z mocno wyciętym dekoltem, opinała piersi i talię, po czym płynnie przechodziła w sztywny długi dół. Magdalena spięła błyszczące loki na czubku głowy, którą przyozdobiła dodatkowo klejnotami. Wargi i powieki miała złote. Nosiła się prosto, tak że Marbet – o dobrą stopę od niej niższa – nagle całkiem straciła na znaczeniu. Kaufman odwrócił spojrzenie.

Enla i Kalin, rodzice dziecka mającego przejść kwietną ceremonię, zwracali się w długiej przemowie do przybyłej matki babki, nadal zajmującej miejsce na wozie wyładowanym różnymi dobrami. Kaufman pogodził się w duchu z myślą, że czeka go wiele godzin śpiewów, kwiatów i rozmów w języku, którego nie rozumie. Gdy zaświergotał komunikator Anny, oboje aż się wzdrygnęli.

– Co u... Dieter doskonale wie, że nie powinien teraz przeszkadzać, chyba że stało się coś złego – powiedziała Anna. Schowała się za Kaufmanem, wyciągnęła komunikator i włączyła odtwarzanie nagranej wiadomości. Okazało się, że nadawcą nie był Dieter.

– ...mają mnie och przyjdźcie szybko znowu mnie skrzywdzą przyjdźcie... – brzmiała wiadomość.

Essa.

Kaufman się rozejrzył. O dziwo, nikt inny nic nie usłyszał. Złapał Annę za rękę i nie puszczał, dopóki między dwiema chatami nie oddalili się na tyły osady.

– Czy komunikator Essy ma lokalizator?

– Tak. Ona jest na terenie domostwa Voraturów. Och, Lylel...

Kaufman zastanawiał się gorączkowo.

– Potrzebny mi Dieter i dwóch Światan. Młodych opanowanych mężczyzn, którzy potrafią wykonywać rozkazy. Kalin będzie dowodził obroną Golkit Shamloe, dostanie ode mnie więcej broni. Ale wyślijcie czujki, bo Essa z pewnością powie porywaczom, co się tutaj dziś dzieje. Nie zdoła się powstrzymać. Potrzebny mi też skimer Magdaleny. Weź Dietera na stronę, jak tylko tu dotrze, i każ mu niespostrzeżenie dołączyć do mnie przy skimerze. Ja obejdem chaty ogródkami i porozmawiam z Magdaleną.

– Lyle, nie możecie zniknąć obaj z Dieterem! Zaczyna się ceremonia!

Ujął ją za obie ręce.

– Anno, tamci pragną informacji na temat osad. Być może złączą torturować Essę. Myślę, że jestem w stanie wkroczyć do akcji i uwolnić ją, nie tracąc nikogo z naszych. Ale muszę działać szybko.

Anna skinęła głową. Kaufman wiedział, że znajdzie mu dwóch godnych zaufania młodych Światan i przyśle do niego Dietera. Zaczął się skradać wzdłuż brzegu rzeki i już w pół drogi natknął się na Magdalenę, co niespecjalnie go zdziwiło. Z pewnością słyszała brzęczenie komunikatora Anny i widziała, jak oboje się wycofują. Niewiele uchodziło uwagi tej kobiety.

Wyglądała niesłychanie nie na miejscu na tle tych prymitywnych drewnianych chat, stąpając po światłańskim odpowiedniku szorstkiej trawy, ubrana w oszałamiającą pobłyskującą klejnotami suknię, z wyeksponowanym pełnym biustem. Kaufman pokrótce opowiedział jej o ostatnich wydarzeniach.

– Potrzebny mi twój skimer.

– Polecę z tobą.

– Nie. To akcja czysto wojskowa, nawet jeśli o małym zakresie. Nie zamierzam cię niańczyć.

– Jak zapewne wiesz, akcja przerodzi się w handlową, gdy tylko napędzisz strachu tubylcom. Ja pilotuję albo nici z twojego lotu.

Kaufman ugryzł się w język. Nie miał czasu na sprzeczkę.

– Zgoda. Czekaaj na mnie przy pojeździe.

Tą samą drogą wrócił do Anny. Czekala już na niego przy palisadzie z dwoma mężczyznami. Jeden był młody i potężnie zbudowany, drugi w średnim wieku i drobniejszy, ale z oponką na brzuchu.

– To Solin Pek Harbutin i Kamifol Pek Narfitatin. Z Kamifola jest dobry negocjator.

– Świetnie. Skieruj do nas Dietera, jak tylko się pojawi. Musisz też odciągnąć Kalina od ceremonii i przyprowadzić go tu prędko.

Anna zrobiła oburzoną minę, lecz zawróciła do osady. Kaufman dobył pistoletu laserowego i zaczął pokazywać tubylcom, jak się nim posługiwać. Obydwaj zdawali się wystraszeni, lecz z determinacją śledzili ruchy Kaufmana, odbierając niemy instruktaż.



Kiedy Anna sprowadziła Kalina, Kaufman wyjaśnił mu, gdzie rozstawić czujki i jak bronić osady przed atakiem, gdyby doszło do najgorszego. Anna tłumaczyła jego słowa. Na podstawie długości jej wypowiedzi domyślił się, że dodaje też coś od siebie, nie interweniował jednak, nie chcąc tracić czasu.

Magdalena podleciała skimerem bliżej osady. Zdążyła się przebrać i teraz zamiast olśniewającej sukni miała na sobie szary kombinezon, aczkolwiek wyszukaną fryzurę pozostawiła niezmienną. Dwaj Światanie trzymali się od niej tak daleko, jak pozwalało ciasne wnętrze pojazdu. Jako że na pokładzie było miejsce dla sześciu osób, a jedno siedzenie zarezerwowano dla uwolnionej Essy, Magdalena musiała zostawić swoich ochroniarzy. Być może uznała, że Kaufman i Gruber zapewnią jej wystarczające bezpieczeństwo. Po krótkiej chwili, która jednak wszystkim bardzo się dłużyła, pokazał się Dieter.

– Lyle! Co planujesz, jak chcesz ją odbić? *Scheisse*, ci dranie...

Kaufman kazał mu się zamknąć i wyłuszczył swój plan. Magdalena tymczasem już poderwała skimer i nadała mu maksymalną prędkość. Najwyraźniej wiedziała, gdzie leży Gofkit Jemloe. Światanie trzymali się kurczowo poręczy, lecz nic nie mówili. Kaufman pochwalił ich w duchu za odwagę. Zastanowił się, jak sam by się zachował, gdyby przyszło mu współpracować z Obcymi, na przykład z Faberami. Jakoś nie potrafił sobie tego wyobrazić.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Magdalena, gwałtownie hamując.

Kaufman podejrzewał, że kobieta świetnie się bawi. Gdy otworzyła drzwi, czterej mężczyźni wypadli na zewnątrz.

Kaufman brał udział w akcjach na dwu planetach i księżycu. Służył pod rozkazami genialnej strateg, pułkownik Syree Johnson. Uczestniczył w negocjacjach, które uchroniły Pas od odłączenia się od Sojuszu Solamego w 2159 roku. Przekonał generała, żeby wysłać na Świat ekspedycję w celu odkopania i rozszyfrowania Artefaktu Protektora. W porównaniu z tym wszystkim jakieś tam negocjacje z maruderami nie były godne wzmianki. Potrwają dwie minuty i równie dobrze mógłby je przeprowadzić w pojedynkę. Poniewczasie zawstydził się zakrojonych na szeroką skalę przygotowań.

Dieter zakrzyknął po światkańsku, by porywacze uwolnili dziewczynkę imieniem Essa. Bez odpowiedzi. Kaufman ustawił laser na maksymalną moc i jednym zamaszystym ruchem ściał wierzchołek bramy wejściowej. Ze środka dobiegły jakieś odgłosy, ale nikt się nie pokazał. Wtedy Kaufman strzelił, celując niżej. Posypało się drewno i kamień. Wewnątrz znowu rozległy się hałasy. Minutę później brama uchyliła się na trzydzieści centymetrów i przez szparę przepchnięto Esse.

Dziewczynka potknęła się, zerwała na równe nogi i chwiejnie podbiegła do skimera. Kaufman spodziewał się, że zobaczy na jej ciele rany – przez komunikator krzyczała: „...mają mnie och przyjdźcie szybko znowu mnie skrzywdzą przyjdźcie...”. To, że szła o własnych siłach, dobrze wróżyło. Dieter wybiegł jej na spotkanie i złapał ją na rękę, podczas gdy Kaufman osłaniał go z

broni laserowej. W końcu wszyscy wsiedli z powrotem do skimera.

Jedno ramię Essy zwisało pod dziwnym kątem. Miała złamaną rękę, ale to nie wszystko. Na przedramieniu lśniły trzy oparzenia. Essa była spuchnięta od płaczu, wykrzywiła twarz z bólu. Dieter sięgnął do kieszeni i po chwili w dole twarzy przykleił dziewczynce plaster.

– Środki przeciwbólowe od Anny... Myślę, że zdołam nastawić kość, zanim wrócimy. Esso, trzymaj się!...

Dziewczynka zaczęła się śmiać i coś paplać. Środek przeciwbólowy zadziałał. Kaufman był świadkiem podobnej reakcji na polu bitwy: nagłej euforii na ustąpienie bólu i zagrożenia. Żołnierzy jednak szkolono, aby nie poddawali się euforii. Essa nie miała w zwyczaju ukrywać swych uczuć.

Dieter mówił:

– Opowiada, że złapali ją przed świtem niedaleko Gofkit Shamloe, na polu kari... Nie ruszaj się, *verdamm!*

Kaufman rzekł sucho:

– Spytaj ją, co robiła sama na polu kari przed świtem.

Dieter przetłumaczył odpowiedź dziewczynki, która niestrudzenie podskakiwała na swoim siedzeniu, nie zwracając uwagi na złamaną rękę, odkąd przestała jej doskwierać.

– Twierdzi, że chciała wypróbować swój komunikator, sprawdzić, czy pozostałe osiem, które dostali od nas Światanie, wciąż działają. Włączyła pełen zakres częstotliwości... co tak naprawdę oznacza zakres przydzielony

im pierwotnie przez nas... po czym nagle poczuła, że ktoś ją łapie i ciągnie w stronę domostwa Voraturów. Porywacze przeszukali ją, ale ona zdążyła... Ezzo, uspokój się!

– Wprowadź ją w stan snu – rzucił Lyle, podając Gruberowi inny plaster. Niemiec się zawahał, ale gdy Essa nagle zaczęła się drzeć na cały głos, przykleił jej plaster usypiający. Dziewczynka momentalnie opadła na fotelu. W młej dla ucha ciszy Kaufman zapytał: – Co jeszcze mówiła?

– Tylko to, że ją przeszukali, ale zdążyła ukryć komunikator w szyjwłosach. Zadawali jej wiele pytań o Gofkit Shamloe: skąd mamy dostawy, jaką bronią dysponujemy, a kiedy nie odpowiadała, robili jej krzywdę. Nie mam pojęcia, ile im w końcu powiedziała.

– Wszystko – stwierdził Kaufman. Nie miało to większego znaczenia. Odwrócił się do Magdaleny i kazał jej startować.

Kobieta stała w bezruchu, gapiąc się na rękę Essy. Złamanie, oparzenia... Kaufman przyjrzał się dziecku ponownie, niczego innego jednak nie zauważył. Marbet utrzymywała, że Magdaleny spotkały o wiele gorsze rzeczy, ł jeśli plotki nie kłamały, przyczyniła się do straszniejszych krzywd. W takim razie dlaczego...

Zrozumiał dopiero po dłuższej chwili. Essa była dzieckiem. Spoczywała bezbronna w fotelu skimera, z brzydko oparzoną gładką skórą i połamanymi młodymi kośćmi. Została porwana. Tak jak Laszlo. Który – w co jego matka za wszelką cenę chciała wierzyć – żył i nie odniósł żadnych obrażeń z rąk porywaczy.

– Magdaleno... – zaczął łagodnym tonem Kaufman.  
– Magdaleno, wracamy do Gofkit Shamloe.

Sądził, że trzeba będzie powtórzyć polecenie, jednakże kobieta zajęła miejsce za sterami i uruchomiła silniki. Wszyscy zapięli pasy. Kaufman obrócił się do Dietera.

Gruber odezwał się pierwszy.

– Magdaleno... *bitte*... lecimy w niewłaściwym kierunku.

Kaufman poderwał się z fotela. Za późno jednak. Magdalena już zawróciła, kierując się na domostwo Voraturów, i wystrzeliła. Promieniem protonowym – jak do cholery udało jej się przemycić broń protonową na pokład cywilnej jednostki?! Dawne domostwo Voraturów zniknęło. Wyparowało.

– *Lieber Gott!* – zakrzyknął Dieter.

Dwaj tubylcy popatrzyli na siebie strachliwie. Kaufman złapał Magdalенę za ramiona i odwrócił ku sobie.

– Nie dałem rozkazu, by to zrobić!

– Ja nie przyjmuję rozkazów od nikogo. – Tamto nieobecne spojrzenie gdzieś zniknęło, zastąpił je chłód tak dojmujący, że Kaufman aż się wzdrygnął. – Od teraz te żałosne osady nie będą musiały niczym się martwić. Nic im nie grozi.

Obróciła się ku panelowi sterowania i obniżyła lot do normalnej wysokości.

Kaufman usiadł na swoim miejscu. Cóż, Magdalena miała rację. Gofkit Shamloe i inne osady, od niedawna nawiązujące kontakty handlowe, odtąd będą bezpieczne. Jedyne, co Kaufman musi teraz zrobić, to przekonać

Annę, że nie miał nic wspólnego z tym atakiem. Annę i wszystkich mieszkańców trzech osad.

Gdyby dzielona rzeczywistość nadal istniała, Ziemianie zostaliby okrzyknięci bezzwłocznie nierzeczywistymi. Ale dzielonej rzeczywistości już nie było – dzięki niemu. Światanie nie poczują rozdzierającego bólu głowy dlatego, że doszło do tej masakry. Kaufman nie spodziewał się jednak, że uczynek Magdaleny przekona Światan do Ziemian. Anna starała się pokazać tubylcom, że Ziemianie są łagodni. Tymczasem Enla, Kalin i wszyscy pozostali pomyślą, że nawet Ziemianie, z którymi mają bezpośrednio do czynienia, bywają jednak groźni, zdradzieccy, niegodni zaufania i nieprzewidywalni.

W gruncie rzeczy będzie to prawda.

Zaświergotał komunikator. Kaufman w pierwszej chwili pomyślał, że to urządzenie Essy nadal ukryte w jej gęstych brudnych, skołtunionych szyjowłosach. Wszakże odezwał się komunikator Magdaleny. Kobieta umieściła w uchu wtyczkę połączenia osobistego i wysłuchała wiadomości. Zanim nagranie – sądząc z tego, że Magdalena nie powiedziała ani słowa – się skończyło, dolecieli do Gofkit Shamloe i wylądowali.

– To był mój informator – rzekła cicho Magdalena do obu Ziemian. – Właśnie dotarł z systemu Kaliguli. Zamach stanu się powiódł. Generał Stefanak nie żyje, połowa Lowell City leży w gruzach, a Radzie Obrony Sojuszu Solarnego przewodzi admirał Pierce.

– Co... – zaczął Kaufman, lecz Magdalena nie dała mu skończyć.

– Do tej pory z pewnością zapanował jaki taki spokój. Natychmiast ruszam w stronę tunelu. Możesz polecieć ze mną, żeby przejąć równocześnie Thomasa Ca – pelo. Masz dziesięć minut na podjęcie decyzji, czy ze mną lecisz czy nie.

## 14.

*Tharsis,*  
*Mars*

Skoczek został zaprojektowany do pokonywania krótkich tras na powierzchni Marsa, nie zaś liczącej dziesięć tysięcy kilometrów podróży z Lowell City do Tharsis. Pojazd przypominał – zdaniem Amandy – zdeformowany samolot. Był zbudowany z ultralekkiego plastiku i wyposażony w ogromne skrzydła, konieczne w wypadku lotów w rozrzedzonej atmosferze, oraz niewielki kadłub, którego większość zajmowały zbiorniki paliwa i sprzęt służący do przystosowywania atmosfery wewnętrznej. Zarówno oddychanie, jak i spalanie paliwa były uzależnione od mieszanki ściśle określonych proporcji ciekłego tlenu ze zbiorników i dwutlenku węgla zasysanego z atmosfery Marsa. Mimo to konieczne były postoje na uzupełnienie paliwa. W zwykłych okolicznościach pojazd zabierał na pokład cztery osoby o normalnej wadze.

– Lot... dwa dni – poinformował Amandę Konstantin – bo...



Znajomość angielskiego słownictwa zawiodła go kompletnie, tak że musiał sobie pomóc gestykulacją.

– Musimy lecieć zygzakiem – podpowiedziała Amanda, a chłopak skwapliwie przytaknął.

– Żeby... paliwo, rozumiesz. Wspaniale.

Pierwszego dnia Amanda słuchała nadawanych po angielsku wiadomości. Trudno było się w tym wszystkim połapać. Na czele Rady Obrony Sojuszu Solamego stanął admirał Pierce – tyle było jasne. Wyglądało jednak na to, że w niektórych miejscach nadal trwają walki. Przynajmniej według serwisów, które nieoczekiwanie się zaczynały, kończyły i pojawiały znowu na całkiem innej częstotliwości. Inne serwisy twierdziły, że cały Układ Słoneczny z ulgą powitał zmianę na szczytach władzy i zastąpienie Stefanaka kimś, „komu leży na sercu dobro ludu i kto ma szczerzy zamiar wygrać tę potworną wojnę”. Na Ziemi powstał – lub nie powstał – ruch oporu przeciwko admirałowi. Pas z całą pewnością się bronił, no ale placówki w Pasie zawsze były wierne generałowi Stefanakowi. Z kolei jeszcze inny serwis podał, że udało się zidentyfikować „wrogi element” w Pasie i że obecnie „legalnie wybrani przedstawiciele popierają admirała Pierce’a i jego wysiłki mające na celu odniesienie zwycięstwa w wojnie z Fallerami”.

Było to strasznie pokręcone. Amanda nasłuchiwała wieści godzinami, podczas gdy Nikos leciał do następnej kopuły na Marsie, lądował i szedł załatwić tankowanie. Słuchałaby radia bez końca, gdyby Konstantin nie zarządził w pewnym momencie:

– Koniec wiadomości, A-man-da!

Byli w pojeździe sami. Nikos i Demetria wysiedli, żeby uzupełnić zapasy paliwa i jedzenia.

– Teraz ty mówić mnie – dodał, wyłączając radio.

Amanda pomyślała, że to bardzo niegrzecznie z jego strony – przecież nawet jej nie zapytał o pozwolenie – lecz mimowolnie odwzajemniła uśmiech, którym ją obdarzył. Jego równiuteńkie zęby porażały bielą na tle czerwonych warg i miodowobrazowej cery.

– My znaleźć doktor Capelo – rzekł Konstantin i gdy powiedział to na głos, Amanda uwierzyła, że odnalezienie jej ojca jest możliwe. – Ja myśleć bardzo dobrze na doktor Capelo. I na jego praca. Patrz!

Włączył podręczny komputer i wywołał spis. Amanda przyglądała się przewijanym jeden po drugim tytułom artykułów jej ojca, zarówno po angielsku, jak i zapewne po grecku. Konstantin wybrał jeden z nich i stworzył.

– Patrz... Doktor Capelo o Artefakt Protektor. Jedyńka: kierunkowa fala destabilizacyjna, prawo odwrotnej proporcjonalności, mały zasięg, niszczy atomy o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć.

– Mówisz po angielsku znacznie lepiej, kiedy opowiadasz o fizyce – zauważyła Amanda.

– To fizyka – potaknął chłopiec. – To doktor Capelo. Patrz!... Dwójka: tarcza chroniąca przed jedyńką i trójką. Trójka: destabilizacja, fala, prawo odwrotnej proporcjonalności, mały zasięg. Piątka: tarcza jednej planety. To Artefakt Protektor. Siódemka: destabilizacja jednej planety, liczba atomowa większa niż pięćdziesiąt. Jedenastka: tarcza jeden układ gwiazdny. Trzynastka: destabilizacja jeden układ gwiazdny. Viridian.

– Wiem – wtrąciła Amanda.

Konstantin zignorował ją i mówił dalej:

– Dwa Artefakt Protektor w jednym układzie gwiazdnym... koniec materia czasoprzestrzeni. Patrz! – Pokazał teatralnie palcem na widniejący na wyświetlaczu tekst po grecku, całkowicie niezrozumiały dla Amandy. Co najmniej połowę linijek zajmowały równania.

– Czy ty chcesz powiedzieć, że rozumiesz artykuły mojego taty na temat Artefaktu Protektora? Serio?

– Ja fizyka też znać. Nie fizyka doktora Capelo. Mała fizyka. Ja próbować... Patrz!

Wyświetlił coś innego, co Amandzie powiedziało tyle samo co poprzedni tekst. Potrafiła jednak bez trudu odczytać wyraz twarzy Konstantina.

– To twoja praca? Zajmujesz się tym samym co mój tata?

– Mała fizyka – powtórzył uroczyście Konstantin. – Bardzo mała. Przestrzenie Calabiego-Yau. Transformacje.

Amanda nie potrafiła dociec, czy „mała fizyka” według Konstantina to fizyka pomniejsza czy też zajmująca się zagadnieniami kwantowymi. Nie była również w stanie zrozumieć greckiego tekstu upstrzonego równaniami matematycznymi, na który z taką dumą wskazywał chłopiec. Wiedziała jednak, że jej ojciec doszedł do tego, co się dzieje z promieniem protonowym, który trafia w okręt Fallerów wyposażony w tarczę.

Na ile orientowała się Amanda, dochodziło do zmiany prawdopodobnej drogi, po której mknie wiązka – protony wpadały do przestrzeni Calabiego-Yau, gdzie

ich energia była spożytkowana do przetworzenia tego maciupkiego wymiaru. Dziewczynka wiedziała też, że gdyby oba artefakty – ludzi i Fallerów – znalazły się w tym samym układzie gwiazdnym i zostały ustawione na trzynastkę, trójwymiarowy wszechświat także uległby przetworzeniu. Fala rozeszłaby się z prędkością światła, odmieńając cząstki elementarne i zabijając życie. Amanda zdawała sobie sprawę, że jej ojciec dokonał tego odkrycia. Było to jednak wszystko, co wiedziała.

Pomyślała, że Konstantin jest najmądrzejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek poznała.

Zapytała zawstydzona:

– Chodzisz do klasy z poszerzoną fizyką?

– Ja chodzić do uniwersytet z fizyką.

Konstantin jest studentem!

– Jesteś na pierwszym roku?

– Tak. Pierwszy rok: angielski, historia... Ale fizyka... fizyka podyplomowa. Doktor Claude Dupuis.

– Mój tata kiedyś o nim mówił. To ktoś bardzo sławny.

– Doktor Capelo, tak – potwierdził Konstantin. – My znaleźć doktor Capelo. Ja i ty. I ja poznać doktor Capelo.

– Tak, oczywiście, że go poznasz. Bardzo bym tego chciała... – Ku swemu wielkiemu zażenowaniu Amanda poczuła, że się rumieni.

– Ty bardzo ładna, A-man-da – rzekł z powagą Konstantin. – Ja pocałować cię?

– Nie!

– Dobra. Kiedyś może. Lubię cię mnóstwo.

– No... ja ciebie też lubię – wymamrotała Amanda, czując się nagle ogromnie niezręcznie.

Na szczęście właśnie wtedy wrócili Nikos i Demetria, wciskając się do kabiny z pojemnikiem gorącego jedzenia.

\*\*\*

Jak zwykle były śpiewy. Jakimś cudem w śnie Amandy bracia śpiewający godzinki na Marsie wymieszali się z porwaniem jej ojca na Ziemi, tak więc kiedy generał Stefanak wrzucał doktora Capelo do czarnego samochodu, w powietrzu unosił się śpiew gregoriański: *Benedictus, Deo gratias...* „*Nic się nie bój*” – mówił do niej ksiądz Emil, kiedy stała jak przykuta obok okna w sypialni ojca. – „*Bóg raczy wiedzieć. Albo admirał Pierce*”. Gdy odwróciła się oburzona od okna, zobaczyła, jak tryska z niego krew, plamiąc żółtą matczyną sukienkę.

– A-man-da – rzekł łagodnie Konstantin. – A-man-da, ty nie spać teraz. Nie spać.

Budząc się, złapała go za ramię. Nikos i Demetria chrapali na swoich miejscach. Niebo na zewnątrz pojazdu jaśniało, zmieniając barwę na głęboki odcień porannego różu. W środku skoczka brzydko pachniało. Cała czwórka od dwóch dni nie zdejmowała skafandrów.

– G-gdzie jesteśmy?

Konstantin się wyszczerzył.

– W Tharsis. Wieczór przylecieć. Ty spać. Patrz!

Pokazał na horyzont. Amanda dostrzegła odbłaski – to lśniły metalowe podpory kopuły. Zaparkowali w kosmoporcie Tharsis. A pod kopułą była ciocia Kristen i

wujek Martin, którzy powiedzą jej, co powinna dalej zrobić. Dorośli znów przejmą kontrolę.

– Ty nie płakać, A-man-da!

– Ja nigdy nie płacę!

– Kobiety płakać – oświadczył z wielką pewnością w głosie Konstantin. – Mężczyzny nie płakać.

Amanda zmarszczyła czoło i podniosła się ze swojego miejsca.

– Możemy już iść? Zbudzisz Nikosa i Demetrię?

– Nikos nie iść z ty i ja. Oni tutaj. Ojciec chceć skoczek. Bardzo zły. Przylecieć na Tharsis.

– A Demetria?

– Demetria pójść z nami! – rzucił wstrząśnięty Konstantin. – Ona nie zostać z Nikos tutaj!

Amanda sięgnęła po hełm. Skoro ojciec Nikosa przylatywał po swojego skoczka, wołała ulotnić się jak najszybciej. Przed paroma dniami Konstantin skontaktował się przez radio z własnym rodzicem, aby go zapewnić, że oboje z siostrą są bezpieczni. Mimo że Amanda nie знаła ani słowa po grecku, domyśliła się z tonu, że Konstantin wyrażał się czule.

Jednakże i tak wydawało jej się dziwne, że ojciec Konstantina pozwala mu włóczyć się po Marsie i nawet ciągać wszędzie siostrę. I nieważne, że Konstantin miał już osiemnaście lat! Jej tata w życiu by się na coś takiego nie zgodził. No i jeszcze ten ojciec Nikosa, zagniewany o zabranie skoczka, ale bynajmniej nie zmartwiony, że syn zniknął. Było to naprawdę dziwaczne. Okazywało się, że na świecie jest więcej dziwów, niż Amandzie się wydawało, zanim ta straszna historia się zaczęła.

Konstantin obudził Demetrię, która gniewnie protestowała. Brat uciszył ją jednym ostrym słowem. Czy Konstantin ma nad siostrą władzę tylko dlatego, że jest chłopcem? Przecież Demetria jest od niego niewiele młodsza. Amanda postanowiła, że mimo wszystko nie zapyta o to, nawet jeśli będzie mogła się dogadać z Konstantinem bez problemów.

Cała trójka wyszła przez służbę na równinę. Słońce właśnie wschodziło nad horyzontem, kontury tarczy wydawały się wyraziste przy tak rozrzedzonej atmosferze. Amandzie i jej przyjaciółom udało się złapać wahadłowiec do Tharsis, gdzie żołnierze zażądali paszportów. Amanda zdążyła pokazać Konstantinowi podrobiony paszport, który dostała od członków ruchu antymilitarystycznego... kiedy to? Zaledwie przed paroma miesiącami, chociaż jej się zdawało, że minęły lata. Salah ani Lucy nie nawiedzali jej we snach, robił to wyłącznie ksiądz Emil i dobrzy braciszkanie. Brat Meissel... „Nie, nie wolno ci o tym myśleć! – nakazała sobie. – Myśl o cioci Kristen i o gorącej kąpieli”.

– My znaleźć twoja ciocia? – zapytał Konstantin już pod kopułą. – Ale gdzie?

Tharsis było znacznie mniejsze od nawet najmniejszych pomocniczych kopuł Lowell City. Nie jeździły tam sanie. Ulice biegingy od czterech bram do centralnego placu. Apartament cioci Kristen i wujka Martina znajdował się na uboczu, na trzecim piętrze jednego z najstarszych budynków tego miasta. Rozciągał się stamtąd spektakularny widok. Tylko że z tej bramy, przez którą weszli, było tam najdalej. Nawet o tak wczesnej porze



na ulicach roilo się od śpieszących dokądś ludzi. A Amandzie zależało, aby nikt jej nie rozpoznał.

– Chodźmy tędy – powiedziała do Konstantina i złapała go za rękę.

Powiodła ich zaułkami we właściwą stronę. Maleńka winda – klatka schodowa zajęłaby za dużo miejsca – zawiozła ich na trzecie piętro. Amanda zapukała do drzwi.

Przez jeden krótki moment utraty kontaktu z rzeczywistością pomyślała, że usłyszy brata Meissela. Zaraz wszakże pojęła, że już nigdy nie będzie jej dane go usłyszeć.

Konstantin zapytał:

– Twój wujek nie mieć ZISYDO?

Oczywiście, że wujek Martin miał zintegrowany system domowy. Amanda naprawdę straciła kontakt z rzeczywistością przez kilkutygodniowy pobyt w opactwie. Ocknęła się teraz i powiedziała:

– ZISYDO, proszę otworzyć drzwi. Tu Amanda Capelo, głos do sprawdzenia.

– *Witaj, Amando* – odrzekł ZISYDO, otwierając drzwi.

Wujek Martin, który nie miał mocnego snu, musiał usłyszeć wcześniejsze pukanie. Wybiegł z sypialni, przewiązując szlafrok w pasie, i stanął jak wryty.

– O mój Boże!

– Martin? Co się dzieje?... – za nim z sypialni wypadła ciocia Kristen. – Amanda! Och, Amanda, dziecko...! – Porwała dziewczynkę w objęcia i przytuliła mocno, po czym odsunęła na długość ramienia, aby

sprawdzić, że to naprawdę ona, i znowu ją uściskała. – Amanda!... – W końcu zaczęła płakać.

Ciocia Kristen była taka podobna do taty. Miała identyczną śniadą twarz. Amanda poczuła, że serce jej się ściska.

Wujek zapytał szybko:

– Amando, czy jest z tobą Tom? Co się stało? Skąd się tu wzięłaś?

– Doktor Capelo nie być tutaj – odpowiedział Konstantin. – Ja mieć tylko Amanda.

Wujek Martin wpatrzył się w niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Coś ty za jeden?

– Konstantin Ouranis.

– Ouranis? Chwileczkę... To ty próbowałeś się skontaktować z Tomem w sprawie związanej z fizyką? A potem przysłałeś wiadomość, że złożysz wizytę Kristen tutaj, na Marsie?...

– Fizyka, tak – potwierdził Konstantin. – Wspaniale. Moja siostra Demetria.

Demetria wdzięcznie skłoniła głowę.

– Amando – poprosił wujek spokojnie jak zawsze – opowiedz nam o wszystkim.

Dziewczynka wreszcie skończyła się do nich tulić. Pomyślała, że pewnie brzydko pachnie. Nie kąpała się od całych trzech dni! Oczywiście ciocia i wujek byli zbyt mili, aby zwrócić jej uwagę, ale mimo wszystko... Spróbowała zapomnieć o brzydkich zapachach i skupić się na faktach. Tyle ich było!

– Zaczynij od tamtej nocy, kiedy doszło do porwania – podsunął wujek.

– Najpierw zaparzę kawy, Martin – zaproponowała ciocia.

Demetria – po raz pierwszy i ostatni w obecności Amandy – rozpoznała angielskie słowo.

– Kawa! – zawołała tak ekstatycznie, że Konstantin aż zmarszczył brwi, Amanda zaś wybuchnęła głośnym śmiechem.

\*\*\*

Kawa i ciasto, i wyjaśnienia. Amandę zaczęło drapać w gardle, zanim dobiegła do końca opowieści o wszystkim, co ją spotkało. Ciocia przez cały czas trzymała ją za rękę. Och, jak dobrze było tutaj być!

Wujek podsumował:

– A zatem pomyślałaś, że skoro generał Stefanak, który być może... powtarzam: być może... porwał twojego ojca, stracił życie i władzę, powinnaś wyjść z ukrycia i przyjechać tutaj?

– Tak – skinęła głową Amanda i zamarła. Coś w tonie jego głosu, a może w słowach ją zaniepokoiło. – A nie powinnam?

– Nie wiem. Ostatnimi czasy nic nie jest pewne. Bez wątpienia dojście do władzy admirała Pierce'a nie zaowocowało uwolnieniem twojego ojca. Amando, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zatrzymasz się na jakiś czas u naszych przyjaciół...

Przerwał mu komunikat zintegrowanego systemu domowego.

– Goście. Żołnierze armii Sojuszu Solarnego. Żądają natychmiastowego wpuszczenia.

– O Boże – jęknęła ciocia Kristen. – Martin, powiedz im, że jej tu nie ma!

– Nie wydaje mi się, aby to miało pomóc – odparł cicho wujek.

Nie mylił się.

Do środka wpadli trzej żołnierze. Dwaj poruszając się szybko, zajęli miejsca po obu bokach Amandy. Trzeci, oficer, zwrócił się do wujka Martina:

– Doktorze Blumberg, jestem major Harper z ROSS. Bratanica pańskiej żony Amanda Capelo wkroczyła do tego apartamentu przed kwadransem.

– Tak – potwierdził wujek.

– Przypuszczam, że jej pojawienie się było dla państwa zaskoczeniem.

– Tak. O co właściwie chodzi, majorze?

– Czy to pierwsze państwa spotkanie z panną Capelo od dnia jej zniknięcia drugiego kwietnia czasu ziemskiego?

– Sądzę, że pan wie to najlepiej – odpowiedział cicho wujek. – Czego pan chce od bratanicy mojej żony, majorze?

– Admirał Pierce pragnie wyrazić radość, że pannie Capelo nic się nie stało. Czy ma pan jakieś informacje na temat miejsca obecnego pobytu jej ojca, doktora Thomasa Capelo?

– Nie. Podobnie jak Amanda.

– Admirał Pierce pragnie z nią porozmawiać. Mam rozkaz przewieźć ją do Lowell City.

– Ale ja dopiero stamtąd przyjechałam! – krzyknęła Amanda.

Major Harper zwrócił się do niej sztywno:

- Proszę z nami.
- Nie! Nigdzie nie jadę! Gdzie jest mój tata?
- Mamy nadzieję, że wspólnie się tego dowiemy – rzekł major, co zdziwiło nawet wujka.
- Chce pan powiedzieć – krzyknęła znowu Amanda
- że nie wiecie, gdzie jest mój tata?!
- Panno Capelo – przemówił z cierpliwością w głosie oficer – sytuacja jest skomplikowana, a mnie nie wolno udzielać żadnych informacji.
- Amanda zadarła brodę.
- Nigdzie się nie ruszę bez cioci i wujka.
- Oczywiście.
- To również stanowiło dla wszystkich zaskoczenie. Amanda postanowiła wykorzystać swoją przewagę.
- I Konstantina – dodała szybko. – On jest... fizykiem.
- Major Harper zrobił sceptyczną minę. Konstantin wystąpił naprzód.
- Konstantin Ouranis. Ojciec Stavros Ouranis. Ja z A-mand-da.
- Stavros Ouranis? – Jakiś błysk pojawił się w oczach majora. – Czy on wie, gdzie pan jest?
- Tak, tak. On to lubić.
- Ale... panie Ouranis, mam wyraźne rozkazy, aby pana w to nie mieszać.
- Konstantin zmarszczył brwi. Amanda zrozumiała, że chłopiec nie przywykł, aby mu odmawiano. Major ujął Amandę pod łokieć. Zaczęła iść, zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje.
- Ale... muszę się najpierw wykapać!

– Przykro mi, to niemożliwe – rzekł major Harper, aczkolwiek pozwolił gospodarzom przebrać się ze szlafroków w kombinezony.

Amanda powiedziała do Konstantina:

– Zostań tutaj. Jestem pewna, że ciocia i wujek nie będą mieli nic przeciwko temu.

Postaram się wrócić jak najszybciej... Jak długo zostanę w Lowell City, majorze?

Major tylko się uśmiechnął.

– Po prostu zostań tutaj z Demetrią, dobrze?

– Wspaniale – zgodził się Konstantin, posłał jej promienny uśmiech i lekko dotknął jej ramienia.

Amanda ponownie się przeraziła, że może brzydko pachnieć. Och, jakże potrzebowała kąpieli!

Żołnierze wyprowadzili ją do windy i zabrali z powrotem do Lowell City.

## 15.

### *Świat*

– Musisz zdecydować się teraz – rzekła Magdalena do Kaufmana, który nie widział powodu tego nagłego pośpiechu.

Spędziła na Świecie pewien czas. Jej żądanie, aby podjął decyzję natychmiast, było tylko pokazem siły: wskakuj na pokład, pókim dobra.

Nie pozwolił jednak, aby irytacja zaważyła na jego decyzji.

– Lecę z tobą. Pozwól mi tylko ściągnąć Marbet. – Ruszył do drzwi skimera. Magdalena kiwnęła głową i uniosła znów komunikator, zapewne po to, aby kazać ochroniarzom zabrać najniezbędniejsze przedmioty z jej chaty i zameldować się przy pojeździe. Jednakże zanim zdążyła nawiązać połączenie, Kaufman przyszpilił ją do konsoli rozdzielczej. – Wybacz, ale potrzebuję więcej czasu, niż jesteś skłonna mi dać. Nieznacznie więcej, Magdaleno, ot, tyle, żeby porozmawiać z Anną.

Miała dość rozumu, żeby nie krzyczeć ani nie szarpać się; nic z tego by jej nie pomogło. Kaufman skrepował jej ręce za plecami, po czym przywiązał ją do umocowanego na stałe siedzenia.

– Lyle... – odezwał się Dieter. – Na pewno dobrze to przemyślałeś?

– Nie chcę, żeby odleciała bez nas. Każ dwóm tubylcom wrócić na ceremonię i po cichu poprosić Annę i Marbet, żeby przeszły na wschodnią stronę palisady.

Dieter przetłumaczył prośbę. Obydwaj Światanie prędko opuścili pojazd, marszcząc silnie grzebienie czaszkowe. Kaufman zostawił Magdalenę ze śpiącą Essą, sam zaś w towarzystwie Dietera udał się pod palisadę.

– Lyle, co ty... – wypaliła Marbet na ich widok. – Kwietna ceremonia jest w samym środku!

– Gdzie mogą być ochroniarze Magdaleny? To ważne.

– W jej chacie, tak myślę. Kazała im tam siedzieć, dopóki nie skontaktuje się z nimi przez komunikator. Niespecjalnie interesują ich miejscowe zwyczaje.

– To dobrze. Marbet, posłuchaj... Rewolucja na Marsie powiodła się. Stefanak nie żyje,



Pierce jest u władzy, a Magdalena zamierza bezwzględnie udać się w stronę tunelu. Uważam, że dzięki niej może nam się uda odnaleźć Toma. Ona ma znajomości, o jakich my moglibyśmy tylko pomarzyć. Musimy się zdecydować od razu.

Marbet patrzyła na niego.– Kiedy nasza misja przestała dotyczyć ratunku dla Anny, Dietera i całego Świata, a zaczęła mieć coś wspólnego z Tomem?

– Nie jesteśmy w stanie pomóc Światowi – odrzekł Kaufman. – Nie mamy tu nic do roboty. Czyżbyś uważała inaczej?

– Zawsze byłam tego zdania – powiedziała Marbet. – Nie byłam tylko pewna, czy ty kiedykolwiek sobie to uświadomisz. Ale co do drugiego powodu... uratowania Anny i Dietera... – odwróciła się do obojga.

– My zostajemy – oświadczyła Anna. – Wasze przybycie niczego nie zmieniło. Teraz tu jest nasz dom.

– Dieterze? – spytał Kaufman.

– *Ja*, zostajemy – potaknął Gruber. I objął żonę ramieniem.

Marbet przypomniała sobie o czymś.

– Lyle, nie możemy zostawić tu tych dwóch ochroniarzy! To by nie było w porządku. Bez względu na to, jak bardzo pomocni okazaliby się w bronieniu Gofkit Shamloe przed maruderami.

Kaufman i Dieter wymienili spojrzenia. Kaufman uznał, że pozwoli, aby Dieter opowiedział Annie, co Magdalena uczyniła watażce z dawnego domostwa Vora – turów. W oczach Grubera błysnęło sarkastyczne „Dziękuję ci bardzo!”. Nie padło jednak żadne słowo protestu.

– Skoro oboje zostajecie, na pokładzie znajdzie się miejsce dla ochroniarzy Magdaleny. Pozwolę jej skontaktować się z nimi ze skimera. A zatem, Dieterze...

– Pozwolisz jej? – wtrąciła Anna podejrzliwie. – Jak to?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Dieter opowie ci później. Żegnaj, Anno. Odwalasz tu kawał doskonałej roboty, naprawiając to, co ja popsuję.

Jej pociągła pospolita twarz złagodniała. Na głos jednak Anna powiedziała tylko:

– Uważaj na siebie, Lyle. I ty także, Marbet.

Dieter zamknął ich oboje w niedźwiedzim uścisku. Kaufman jakoś to wytrzymał, zdążył się przyzwyczaić do sposobu bycia Grubera, po czym zwrócił się do Marbet:

– Pięć minut. Zabierz tylko ubrania i sprzęt. Nie chciałbym, żeby ochroniarze Magdaleny dotarli do skimera przed nami. Postaraj się, żeby tubylcy cię nie widzieli, i...

Anna wpadła mu w słowo.

– Wytłumaczę wszystko Enli. Ale teraz muszę już wracać na ceremonię.

Moment później już jej nie było. Oddalała się zdecydowanym zamaszystym krokiem, przez co zwiewny wyszywany strój, który miała na sobie, wydawał się zbroją bojową.

„Anna Sikorski – bez związku zauważył w myślach Kaufman – to prawdziwie szczęśliwa kobieta”.

Dieter ruszył za żoną. Marbet również zdążyła już się udać do chaty. Kaufman wrócił więc do Magdaleny.

– Odlecimy za parę minut – rzekł pojednawczo. – Marbet już tu idzie, Anna i Dieter zostają na Świecie. Czy jeśli cię rozwiążę i pozwolę ci skontaktować się ze swoimi gorylami, każesz im rozedrzeć mnie na strzępy?

Magdalena przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Co będzie, jeśli powiem „tak”?

– Oni zostaną na Świecie, a ty nadal będziesz związana.

– No dobra. Nie każę im cię rozgnieść na miazgę. Wierzysz mi?

– Nie wierzę w twoje obietnice, jeśli o to ci chodzi, ale też nie sądzę, żebyś życzyła mi śmierci czy chciała pozostawić mnie na tej planecie. Prędzej czy później ci się przydam.

– Niby jak?

– Sam jeszcze nie wiem. Ale znamy różne osoby, mamy różnych sprzymierzeńców, możemy nakłonić różnych ludzi do spłacenia dawnych długów wdzięczności. Opłaca ci się zaprzepaścić taką szansę tylko dla przyjemności ukarania mnie? Wylecisz góra kwadrans później, wiesz. No i zawsze będziesz mogła nasłać na mnie tych swoich goryli. Kiedy twój karnecik nie będzie tak pełen jak teraz.

Magdalena się zaśmiała.

– Był z ciebie niezły negocjator wojskowy, co?

– Wciąż jest – rzekł Kaufman aluzyjnie.

– Przecież mógłbyś polecieć do tunelu własnym statkiem.

– Należy być w centrum wydarzeń. Tom i Laszlo...

– Kaufman poczuł wyrzuty sumienia, wymieniając imię jej syna, wszakże było to jedyne czułe miejsce Magdale-

ny. Nie mógł przebierać w środkach. Potrzebował kontaktów Magdaleny, ażeby odnaleźć Toma. Gdyby poleciał własnym statkiem, pewnie by mu uciekła.

– Zgoda, Lyle – powiedziała w końcu Magdalena, wymawiając jego imię z intonacją Marbet, jakby prześmiewczo. – Wezwę swoich goryli, nie mówiąc im, że mnie skrupowałeś. No, rozwiąż mnie teraz.

Zrobił to, zerknąwszy najpierw na zewnątrz, aby się upewnić, że Marbet jest tuż-tuż. Magdalena była zdolna odlecieć bez niej. Marbet właśnie wyłoniła się zza palisady, wciąż ubrana w powłóczystą suknię, niosąc naręcze ich rzeczy.

Magdalena połączyła się przez komunikator z ochroniarzami. Kaufman pochylił się, by rozwiązać śpiącą Essę. Zamierzał ułożyć ją na zewnątrz; Anna przyjdzie po dziewczynkę zaraz po zakończeniu ceremonii.

– Zostaw ją tu, gdzie jest – odezwała się Magdalena. – I nie patrz tak na mnie, Lyle. Nie masz nic do gadania w tej sprawie. Essa leci z nami. Obiecałam jej to, prawda?

– Nie możesz! Ona jest Światanką! Nie rób tego tylko po to, żeby dopiec mnie!

– Pochlebiasz sobie. Powiedziałam, zostaw ją.

– Nie.

– Właśnie że tak, Lyle. Włóż, Rory. Zaraz odlatujemy.

Ochroniarze znaleźli się przy skimerze równocześnie z Marbet. Starszy wsiadł pierwszy, miażdżąc spojrzeniem Kaufmana, który nie miałby przy nim najmniejszej szansy. Mężczyzna był udoskonalony genetycznie,

prawdopodobnie wspomagany również sztucznymi elementami. Magdalena się uśmiechnęła.

Młodszy z goryli i Marbet nadeszli objuczeni dobrem wszelakim.

– Rzućcie wszystko w kącie i siadajcie, startujemy – oznajmiła Magdalena.

– Ale... Essa! Lyle... – zaczęła Marbet i natychmiast wylądowała na podłodze, gdy Magdalena włączyła ciąg.

Wahadłowiec był zaparkowany dziesięć kilometrów dalej, pośrodku pustego pola. Choć znajdował się na widoku, chronił go perymetr elektroniczny, a Magdalena najwyraźniej się nie przejmowała, że ktoś może zobaczyć statek kosmiczny. Kaufman zamrugał ze zdziwienia. Jednostka była nie mniejsza niż wojskowy wahadłowiec udostępniony na cele poprzedniej misji. Ekspedycja przybyła wtedy na Świat okrętem wojennym Sojuszu Solamego. Na czym u licha przyleciała Magdalena?

– Startujemy bezzwłocznie – poinformowała wszystkich Magdalena. – Rory, ukryj skimer. Zabezpiecz wszystko w środku, zajmiemy się tym później. Kendai, przenieś dziecko i wepnij w uprząż.

Nawet jeśli młodszy ochroniarz zdziwił się, słysząc rozkaz, nie pokazał tego po sobie.

Marbet jednak ponownie zaprotestowała:

– Magdaleno, nie możesz. Lyle...

– Lyle nie ma z tym nic wspólnego – rzekła Magdalena, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. – Ty zresztą też. Essa leci z nami.

Stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

– Essa nie przeżyje poza tą planetą. Zna tylko Świat. Dlaczego to robisz?

– Patrzcie, patrzcie, co za przenikliwość – parsknęła Magdalena. – Skąd wiesz, że Essa nie ma zdolności adaptacji do życia poza rodzimą planetą? Ona chce polecieć w kosmos. Uważasz, że zmodyfikowana dzięki inżynierii genetycznej superwoman powinna podejmować decyzje za biedne zacofane dziecko Obcych? To kolo-nializm w czystej postaci.

– Zabierasz ją wyłącznie po to, żeby utrudnić życie mnie i Lyle’owi – oznajmiła Marbet. – Widać to w każdej twojej zmarszczce.

– Czemu nie zapytasz o zdanie Essy? – rzekła słodkim głosem Magdalena. – Kiedy się obudzi, oczywiście... Na miejsca. Odpalamy, Rory. Lepiej dobrze się przypnij, Wrażliwczu.

– Lyle!...

– Nic nie mogę zrobić – odparł Kaufman, wiedząc, że Marbet nigdy nie kazałaby mu tego przyznać na głos, gdyby nie była tak zdenerwowana. Mimo to unikał jej wzrokiem, dopinając uprząż.

Za sterami zasiadła Magdalena. Podczas wznoszenia się w atmosferze na pokładzie panowała całkowita cisza. Essa przespała cały lot. Kaufman przyglądał się, jak Świat zostaje w dole. Zielony, bujny i... jaki? Skazany – powiedziałby jeszcze tydzień temu. Obecnie wił się ze wstydu na nieuzasadnione poczucie wyższości. Nie był niszczycielem światów. Nie był nawet ratownikiem zagubionych w przestrzeni kosmicznej ludzi. Anna, Dieter i Świat świetnie sobie radzili pomimo niego i bez niego.

A jednak zmienił bieg ich losów. Nie był zatem ani niszczycielem, ani zbawcą, ani obojętną siłą; był czymś

innym, czymś nie nazwanym, wymykającym się terminologii, bliżej nie sprecyzowanym. On, Lyle Kaufman, który chlubił się ślepym wykonywaniem rozkazów i brakiem przemyśleń na ich temat.

Ale to się zmieniło.

Lyle Kaufman patrzył w dół, na znikającą piękną planetę, i miał szczerą nadzieję, że już nigdy nie zobaczy Świata ani nie postawi na nim nogi.

\* \* \*

Statek Magdaleny okazał się jednostką wielkości okrętu klasy Thor. Trzydziestoosobowa załoga, ocenił fachowo Kaufman. Podejrzanie wyglądające konstrukcje zdobiły dziób i rufę; okręt musiał być wyposażony w rozleglejszy system uzbrojenia, niż przepisy dopuszczały w wypadku jednostek cywilnych. Nazwa – jak zauważył kpiąco Kaufman – brzmiała Sans Merci.

– Zaiste „Piękna Pani”... – mruknęła pod nosem Marbet, cytując Keatsa. Kaufman nie zrozumiał aluzji, ale zmilczał.

Ledwie wahadłowiec zadokował, Magdalena gdzieś zniknęła. Kaufman domyślił się, że próbuje nawiązać łączność z Murasakim. Z tego, co wiedział, okręt wojenny nadal z niewyjaśnionych powodów krążył na orbicie tunelu. Magdalena musiała uzyskać jego zgodę, aby wlecieć do tego systemu. W przeciwnym razie nie byłoby jej tutaj.

Dwa lata temu pułkownik Ethan McChesney z wywiadu wojskowego Sojuszu Solamego dowodził okrętem Murasaki i jako podwładny generała Stefanaka był



szefem projektu, w którego efekcie pierwszy żywy Fal-ler dostał się w ręce ludzi. Pierwszy i jak dotąd jedyny. Ten, z którym Marbet w bólach nawiązała kontakt. Ten sam, który koniec końców zginął na pokładzie okrętu ludzi.

Czy McChesney wciąż dowodzi Murasakim? Cze-mu w ogóle Murasaki tu jest? I jakie znajomości ma Magdalena, skoro udało jej się bezkarnie go minąć?

Kimkolwiek był znajomy Magdaleny, z pewnością znacznie ucierpiał wskutek zamachu stanu na Marsie. Pozycja Magdaleny – dobrej przyjaciółki świętej pamięci Sullivana Stefanaka – również poniosła szkodę. Nic dziwnego, że Magdalena była taka zmartwiona.

Wszelako dwie i pół godziny później, gdy pojawiła się na pokładzie obserwacyjnym, nie wyglądała już na tak bardzo zmartwioną. Kaufman i Marbet otrzymali w przydziale ciasną czterokojową kajutę. Kaufman uloko-wał Essę na jednej z koi, wychodząc z założenia, że dziewczynka powinna zostać z Marbet, z którą przy-najmniej będzie mogła porozmawiać, zamiast zdać się na łaskę Magdaleny, owej „Pięknej Pani *sans merci*”.. Drzwi kajuty prowadziły na korytarzyk wiodący do ka-biny Magdaleny z dwiema przylegającymi kajutami jej ochroniarzy, mesą odrębną od kantyny dla załogi, a na-wet oficerów oraz pokładem obserwacyjnym, wygodnie umeblowanym i ze wspaniałym widokiem na gwiazdy.

Magdalena wkroczyła do swego królestwa dziar-skim krokiem. Kaufman rozmawiał z Marbet przyciszo-nym głosem, zdając sobie sprawę, że większe znaczenie od tego, co powiedzą, ma to, co zostanie przemilczane. Marbet była nim rozczarowana – pozwolił Magdalenie

porwać Esse, opuścił Świat na jej statku zamiast na własnym, nie wiedział, dokąd zmierza. Na ratunek Tomowi? Gdzie? Jak? Trzy miesiące wcześniej sam twierdził, że nie ma sensu szukać Toma.

Tak, ale to było wtedy, gdy w swoim mniemaniu miałem zadanie do wykonania na Świecie – nie powiedział Tom.

Czy teraz jego zadaniem jest odnalezienie doktora Thomasa Capelo?

Kim się okaże, jeśli nie znajdzie doktora Thomasa Capelo?

– Wszystko będzie dobrze – rzuciła Magdalena z kpiącym uśmiechem. Granat kombinezonu sprawił, że jej oczy zaczęły przypominać szafiry. – McChesney pozwoli nam pokonać tunel bez inspekcji. Nigdy się nie dowie, że miałam na pokładzie dwoje pasażerów na gapę.

– Co będzie potem? – zapytała Marbet ostrym tonem.

Ku zdziwieniu Kaufmana otrzymała odpowiedź.

– McChesney na tym zadupiu Galaktyki nie ma pojęcia o sytuacji politycznej w Sojuszu Solarnym. Dostaniemy się do systemu Kaliguli. Wszędzie tam, gdzie działa wojsko, mam swoje kontakty. Pierce nie zdążył zmienić dowództwa odleglejszych placówek, przynajmniej tak myślę. Niewątpliwie jednak panuje tam gorąca atmosfera. Ludzie, których znam, mogą być w niebezpieczeństwie. Prawdopodobnie da się... załatwić to i owo.

Kaufman domyślił się, że uśmiech Magdaleny skierowany jest do niego, byłego wojskowego. Celowo nadając głosowi rozbawione brzmienie, odparł:

– Magdaleno, chyba nie sugerujesz, że nie jestem świadom korupcji w szeregach armii Stefanaka? Takie założenie byłoby poniżej twojej godności.

– I twojej również, Lyle. Ale możesz sobie nie здаwać sprawy z rozległości korupcji. Ty miałeś zawsze czyste ręce, prawda? Zupełnie jak McChesney. Obydwaj byliście oddani Sullivanowi.

Kaufman w życiu nie słyszał, aby ktoś używał imienia generała. Nie zapytał, dlaczego McChesney – rzekomo brzydzący się korupcją – w ogóle się zadawał z Magdaleną. Wolał tego nie wiedzieć.

– Wojna z Fallerami ani trochę cię nie interesuje, co? – odezwała się nagle Marbet. – Chyba że w grę wchodzi zyski.

– Wszechświat jest zły do szpiku, Wrażliwczu.

W korytarzu rozległ się odgłos czyichś lekkich kroków. Moment później na pokład obserwacyjny wpadła Essa, wciąż ubrana w odświętną pstrokatą tunikę. Zobaczyła przezroczystą ścianę z widokiem na czerń pustki kosmicznej usianej gwiazdami oraz – w jednym rogu – małą niebiesko-zieloną kulę Świata. Zamarła w pół kroku.

– Ezzo nie bój się... – Marbet zaczęła wstawać. – My...

Essa powiedziała coś po światańsku. Kaufman przypomniał sobie, że już raz wcześniej była w kosmosie, kiedy Anna zabrała dziewięcioro Światan na pokład okrętu Alan B. Shepard.

Marbet kojącym tonem odpowiedziała jej również po światańsku.

– Kosmos! – rzekła Essa po angielsku.

Przypadła do nóg Magdaleny i wpatrzyła się w nią z uwielbieniem oczyma równie roziskrzonymi jak gwiazdy. Grzebień czaszkowy miała tak zmarszczony, że przypominał suszoną śliwkę.

Kaufman zrozumiał, że znowu się pomylił. Essa ani się nie bała, ani nie czuła się nie na miejscu.

– Kosmos! Essa! – powtórzyła dziewczynka.

Magdalena rzuciła kpiące spojrzenie na Marbet i roześmiała się serdecznie.

## 16.

### *Tunel Czasoprzestrzenny #438*

Statek Magdaleny potrzebował czterech dni na dotarcie do tunelu. Podróż odbywała się przy przyśpieszeniu wynoszącym prawie dwa g, co sprawiało, że mało kto czuł się komfortowo. Większość członków załogi pozostawała w pozycji siedzącej. Tylko Essy wszędzie było pełno.

Dziewczynka zaglądała we wszystkie zakamarki okrętu. Pewnego razu zagniewany oficer przywłókł ją na pokład obserwacyjny, ciągnąc za jedno chude ramię.

– Ta Obca była w maszynowni!

Kaufman nawet nie przeprosił; nie czuł się odpowiedzialny za poczynania Essy.

Jakimś cudem odpowiedzialność za dziewczynkę spoczęła na Marbet. To ona spędzała codziennie długie godziny, ucząc dziecko języka angielskiego.

– Ona jest bardzo inteligentna, Lyle, ale zarazem nieustraszona jak nikt, kogo znam. Nie boi się niczego, może wyłączając sytuacje bezpośrednio zagrażające jej życiu. Przez to jest tak podatna na zranienia wszelkiego rodzaju. Co my z nią pocniemy?

– Nie sądzę, aby to było nasze zmartwienie. Magdalena się nią zajmie.

– Wiesz, że to nieprawda – odparła cicho Marbet. – Zbrodnią byłoby zostawić takie dziecko w rękach tej kobiety.

– Marbet, nie wiem, czy po powrocie do Układu Słonecznego nie wyjdzie na jaw, że posługiwałem się podrabianym paszportem. Być może zostanę postawiony w stan oskarżenia. Jeśli nawet do tego nie dojdzie, skąd mogę wiedzieć, gdzie będziemy mieszkać i jak będę zarabiał na życie? Nie uważasz, że obarczanie mnie odpowiedzialnością za dziecko Obcych to lekka przesada?

– Tak, zgoda. Ale jak słusznie napomknęła Magdalena, wszechświat jest zły do szpiku. Essa jest pod naszą opieką. – Urwała na moment. – A przynajmniej pod moją.

Kaufmanowi nie spodobało się to, co usłyszał.

– Chcesz powiedzieć, że po powrocie na Marsa, Lunę czy gdziekolwiek indziej nie będziemy razem?

– Skądże. Chcę tylko powiedzieć, że przyszła pora na podjęcie kilku decyzji, a ty zwlekasz z tym. Płyniesz z prądem, mimo że robi się coraz nieprzyjemniej. Mógłbyś choć znaleźć sobie coś do roboty na okręcie, Lyle.

Marbet odwróciła się i wyszła. Kaufman dopiero teraz usłyszał wołanie Essy z pokładu obserwacyjnego.

Skierował się do kabiny Magdaleny i zapukał do drzwi. Na korytarzu przed nimi siedział Rory, którego Kaufman postanowił zignorować.

– Słucham – rozległo się z wnętrza kabiny.

– To ja, Lyle. Mogę wejść?

Elektroniczny zamek kliknął zapraszająco.

Pomieszczenie okazało się przestronne i luksusowo urządzone. Magdalena spoczywała na wielkim łożu, słuchając melodii z kostki muzycznej. Miała na sobie granatowy kombinezon pod kolor oczu i czarne włosy luźno rozpuszczone na poduszce. A niech to, jest ode mnie starsza o dziesięć, może nawet piętnaście lat, nie powinna robić na mnie takiego wrażenia! Ani zdawać sobie z tego sprawy... Marbet nie myliła się co do niego: uczucia miał wymalowane na twarzy.

Odezwał się z rozdrażnieniem:

– Chciałbym mieć nieograniczony dostęp do okrętowej biblioteki. I chciałbym wiedzieć, czy czasopisma naukowe są do niej regularnie zgrywane.

Magdalena lustrowała go wzrokiem przez chwilę.

– Dłaczego?

– Zamierzam przejrzeć czasopisma z zakresu fizyki z minionego półrocza, jeśli to możliwe.

– Czyżbyś znał się na fizyce? – zapytała z uśmiechem.

Kaufman nie zmienił tonu głosu. Cieszyło go, że w przeciwieństwie do Marbet ta kobieta nie potrafi odczytać jego myśli na podstawie mowy ciała.

– Nie rozumiem strony matematycznej – przyznał – ale są jeszcze idee i wnioski, a także artykuły napisane przystępnym językiem na potrzeby wykształconych laików, zwłaszcza w odniesieniu do przełomowych odkryć.

– Na przykład jakich?

– Nie wiem. W tym właśnie rzecz. Skoro chcesz, abym pomógł ci znaleźć Toma... i Laszla... muszę się dowiedzieć jak najwięcej o porywaczach i ich motywach. Być może porwanie miało związek z pracą Toma.

Magdalena zmarszczyła brew.

– Jestem pewna, że policjanci i dziennikarze już dawno na to wpadli.

– Niewykluczone. Mimo to chciałbym przejrzeć te czasopisma. – Żeby czymś się zająć.

~ Zgoda. Wydam systemowi instrukcje, abyś zyskał dostęp. Biblioteka jest zabezpieczona skanerami siatkówki. Wiedz jednak, że... na wypadek gdybyś chciał przełamać dodatkowe zabezpieczenia... w bibliotece pokładowej nie znajdziesz niczego osobistego.

– Nie interesują mnie twoje osobiste sprawy! – warknął i zaraz tego pożałował. Znowu punkt dla niej.

Zmusił się do podziękowania Magdalenie, która odpowiedziała tym wyprowadzającym go z równowagi kpiącym uśmiechem.

Niech ją wszyscy diabli.

\*\*\*

Kaufman nie mógł korzystać z terminalu w kajucie – Marbet spędzała tam za dużo czasu, ucząc Essę angielskiego i leżąc na swojej koi (która z powodu Essy nie



mogła być ich koją). Przyspieszenie powodujące zwiększone ciężenie było szczególnie uciążliwe dla Marbet, która wiele lat mieszkała na Lunie, potem pół roku spędziła na Marsie i krótko przebywała na Świecie, gdzie ciężenie wynosiło zero koma dziewięć ziemskiego. Dlatego kiedy tylko mogła, kładła się. Kaufmana, z natury energicznego mężczyznę, irytował jej ciągły widok w pozycji horyzontalnej, jego zdaniem sugerującej lenistwo. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jest dla Marbet niesprawiedliwy.

Drugi terminal, do którego miał dostęp, znajdował się na pokładzie obserwacyjnym. Magdalena wyposażyła swój okręt w najpełniejszą wersję komercyjnego systemu bibliotecznego, dzięki czemu aktualizacja następowała na bieżąco, pod warunkiem że okręt znajdował się w odpowiednim sektorze przestrzeni. Jako że Sans Merci pokonał Tunel Czasoprzestrzenny #438 w sierpniu, materiały obejmowały wszystko to, co zostało opublikowane do tego czasu. Kaufman zasiadł w wygodnym fotelu, opierając duże dłonie na poręczach, i przez następne trzy dni z pomocą komputera śledził myśli Toma Capelo wyrażone w jego publikacjach.

Kaufman nie był fizykiem z wykształcenia, jednakże od zawsze przejawiał fascynację tą dziedziną wiedzy. A ponieważ był na miejscu, kiedy Tom formułował swoją przełomową teorię na temat prawdopodobieństwa, od tamtej pory starał się być na bieżąco przynajmniej w odniesieniu do niej. Przyglądał się więc, jak teoria ewoluuje, z jakimi oporami ze strony innych naukowców się spotyka, w jaki sposób potwierdzają ją jeszcze inni

uczeni, jakie zastrzeżenia są wysuwane itede, itepe – cały dyskurs naukowy z dobrodziejstwem inwentarza.

Tak naprawdę teorią doktora Capelo fascynowali się wszyscy mieszkańcy Układu Słonecznego, nawet ci, którzy nie odróżniali protonów od protein. Z tą teorią, jak wiadomo, wiązało się odkrycie tarcz Fallerów, dzięki którym Obcym nie była straszna żadna ludzka broń. Co ważniejsze zaś, to ona umożliwiła skonstruowanie Artefaktu Protektora broniącego Układ Słoneczny przed usmażeniem.

Kaufman wiedział, że to ostatnie nie do końca jest prawdą. Artefakt działałby bez względu na to, czy ludzie rozszyfrowaliby stojącą za nim fizykę czy nie.

Tom Capelo wyjaśnił, dlaczego artefakt działa, jednakże dla Rady Obrony Sojuszu Solamego od tego, dlaczego działa, o wiele bardziej interesujące okazało się to, jak działa. Żołnierze to nie fizycy ani nawet inżynierowie. Chcieli, aby Capelo odkrył, do czego służy każde ustawienie artefaktu. I Tom tego dokonał. Ale przy okazji odkrył też, dlaczego poszczególne ustawienia służą do tego, do czego służą.

Z tego, co rozumiał Kaufman, Thomas Capelo udowodnił – zarówno na modelu, jak i za pomocą wzorów – istnienie cząstki, którą ochrzcił „prawdonem”. Każdy prawdon, tak jak wszystkie cząstki elementarne, jest zbudowany z maleńkich rozedrganych niteczek oraz jest plamą prawdopodobieństwa. Istnieje na poziomie kwantowym, w tym tyglu kotłujących się energii, który nazywamy światem kwantów, gdzie cząstki elementarne bez końca zmieniają położenie, rozpadają się i tworzą na

nowo, biorą się z energii otaczającej je próżni i znowu znikają.

Prawdony jest cząstką pośredniczącą, tak samo jak grawiton jest cząstką pośredniczącą w wypadku grawitacji, a gluon w wypadku oddziaływań silnych. Jest nośnikiem prawdopodobieństwa. W znanym nam wszechświecie to prawdopodobieństwo decyduje o tym, że droga, jaką porusza się dany obiekt, jest wypadkową wszystkich dróg – drogą wynikającą z kwadratu amplitudy funkcji falowej; drogą zapewniającą najmniejszy opór dzięki wygięciu przestrzeni ku masie. To masa sprawia, że przestrzeń się wygina; przestrzeń natomiast pozwala masie się poruszać.

Tymczasem, jak wiadomo fizykom już od dwustu lat, tak naprawdę cząstka obiera wszystkie możliwe drogi. Zatem wiązka protonów wystrzelona z okrętu mknie do celu na skróty, ogródkami, a nawet objazdem przez Galaktykę Andromedy. Jak się da. W tym przez zwinięte wymiary czasoprzestrzeni, różności topologiczne. Wiazka protonów pokonuje te przestrzenie Calabiego-Yau niezliczone razy, ponieważ ich wymiary są takie malutkie, i za każdym razem wraca do punktu wyjścia. Ostatecznie jednak wypadkowa tych wszystkich okrężnych dróg daje drogę zapewniającą najmniejszy opór, albowiem prawdziwy jest nośnikiem prawdopodobieństwa, które – tak jak grawitacja – obowiązuje dosłownie wszędzie.

Duża masa potrafi zakrzywić przestrzeń do ekstremum, dzięki czemu jest możliwe powstanie czarnych dziur. Artefakt Protektor, ów dziwny relikw po przekra-

czającej ludzkie wyobrażenie starożytnej rasy, zakrzywia prawdopodobieństwo.

Artefakt skupia prawdony i wystrzeliwuje ich ogromną liczbę w stronę nadlatującej wiązki cząstek, podobnie jak laser skupia fotony i „strzela” nimi. Tym samym artefakt zagina prawdopodobieństwo, tak samo jak ogromna masa zakrzywia grawitację. Potrzebna do tego energia jest jak najbardziej dostępna: moc siły, której nośnikiem jest cząstka pośrednicząca, jest odwrotnie proporcjonalna do napięcia niteczek, a jak już wcześniej wyliczył Capelo, niteczki zarówno prawdonu, jak i tym bardziej protonu charakteryzuje bardzo niskie napięcie. Ta energia jest powodem zaistnienia nowej – w normalnych warunkach prawdopodobnej, lecz nie niemożliwej – drogi, której prawdopodobieństwo teraz wynosi sto procent. I tak wiązka protonów zamiast do celu trafia do zwiniętego wymiaru wszechświata, przestrzeni Calabiego-Yau.

Tam – nie mogąc ot, tak sobie „zniknąć” (czego zabrania zasada zachowania energii) – energia wprowadzona do tego wymiaru, energia, której przedtem tam wcale nie było, robi jeszcze coś. Doprowadza do pewnej transformacji, do zmiany kształtu maleńkiego zwiniętego wymiaru. Nie wpływając w żaden sposób na nasz trójwymiarowy wszechświat. Energia powstaje w wyniku czegoś w rodzaju rozdarcia, a potem – żeby zacerować to rozdarcie – przestrzeń Calabiego-Yau zmienia kształt, co matematycy przewidywali od momentu odkrycia samych różnicowości topologicznych. Właśnie to określa się mianem transformacji.

Ogromna energia potrzebna do zmiany prawdopodobnej drogi wiązki, do zmiany drgań jej niteczek, równa się dokładnie energii netto pokaźniejszych prawd – nów po odjęciu energii utraconej na wzbudzenie kwantowe. Nowa energia drgań równa się dokładnie energii potrzebnej na transformację zachodzącą w jednym z wymiarów przestrzeni Calabiego-Yau. Fragment tego wymiaru ulega rozwinięciu, a następnie ponownemu zwinięciu, lecz w nieco odmienny kształt, zupełnie jak w wypadku skomplikowanego origami. Wszystkie równania się zgadzają, wynikają jedne z drugich w sposób naturalny i właściwy.

Jednakże jest tego cena.

W trakcie transformacji zmianie ulegają także masy poszczególnych cząstek – energie ich niteczek. Maleńkie rozedrgane niteczki, które tworzą protony (zawsze plamy prawdopodobieństwa), wpadają w rezonans. Cząstka przestaje być protonem i staje się czymś innym, jakąś nową cząstką. W gruncie rzeczy materia na tym najgłębszym poziomie przez cały czas jest manifestacją prawdopodobieństwa. A prawdopodobieństwo właśnie uległo zmianie.

Gdy zastosować te same równania do trójwymiarowego wszechświata, cena okazuje się jeszcze wyższa.

Energia prawdopodobieństwa w wypadku obu artefaktów była olbrzymia. Wystarczająca, aby przeprowadzić we wszechświecie znanym człowiekowi to samo, co mniejsze jej ilości robiły ze zwiniętymi wymiarami: zapoczątkować transformację zdolną odmienić ich kształt. Odbyłoby się to identycznie jak w wypadku

rozmaitości topologicznej, to znaczy poprzez rozdarcie materii czasoprzestrzeni.

Z tym że w przestrzeniach Calabiego-Yau dochodziło do minimalnego rozdarcia, które równocześnie było naprawiane dzięki energii powstającej w efekcie zmiany prawdopodobieństwa. W trzech znanych człowiekowi wymiarach nie było wystarczająco dużo energii, aby taka naprawa była możliwa. Z tego powodu rozdarcie by się poszerzało, aż kształt wszechświata we wszystkich wymiarach – obecnie będący kulą o promieniu piętnastu miliardów lat świetlnych – przeszedłby coś w rodzaju transformacji topologicznej.

Jednakże wzorce drgań niteczek budujących czasoprzestrzeń są ściśle uzależnione od wymiarów, w których te niteczki drgają. Nie od rozmiaru wymiarów, lecz od ich kształtu. Gdyby do transformacji doszło we wszechświecie trójwymiarowym, zmiana drgań doprowadziłaby do powstania innych cząstek elementarnych. Czasoprzestrzeń zaczęłaby się zmieniać z prędkością światła.

I wyginęłyby wszystkie żywe istoty – ludzie, Faberowie, bakterie, wirusy i odtworzone dzięki zachowanemu materiałowi genetycznemu słonie.

Tyle Kaufman rozumiał, przynajmniej powierzchownie. Teraz zaś próbował prześledzić następne prace Thomasa Capelo i innych uczonych na temat równań prawdopodobieństwa i wynikających z nich implikacji. Szukał czegoś – czegokolwiek – co mogłoby go doprowadzić do porywaczy doktora Capelo, którzy chcieli, aby naukowiec pochylił się nad pewną kwestią, bądź

przeciwnie, pragnęli go powstrzymać przed opublikowaniem wyników jakichś badań. \

Niczego takiego nie znalazł.

Jedynie, czego się dowiedział z masy równań i z ciężkostrawnych artykułów w czasopismach naukowych oraz z natchnionych sensacyjnych doniesień zwykłej prasy, to że w teorii doktora Thomasa Capelo widnieje poważna luka. Mianowicie teoria nie brała pod uwagę splątania kwantowego w świecie makro. Splątanie w świecie makro było powszechnie uznawanym wytłumaczeniem działania tuneli czasoprzestrzennych. Capelo wszakże nie powiązał prawdopodobieństwa – odkrytej przez siebie piątej siły wszechświata – ze splątaniem kwantowym. Niektórzy fizycy postrzegali to jako ułomność tak fundamentalną, że przekreślała ona całą teorię doktora Capelo. Inni uczeni uważali tylko, że teoria wymaga dopracowania i rozwinięcia. Wszelako Capelo nie zgadzał się z żadną z tych opinii, czemu dał wyraz w pewnym wywiadzie.

Kaufman aż podskoczył w fotelu, gdy zobaczył na ekranie pociągłą śniadą twarz o jak zwykle poirytowanym wyrazie. Tom Capelo nie znosił głupców. Odpowiedział na zadane pytanie, że owszem, nie wziął pod uwagę splątania kwantowego.

I nie, nie sądzi, aby to umniejszało znaczenia jego teorii. Bynajmniej nie pośpieszył się z publikacją wyników, zważywszy, że otrzymał wyraźne polecenie od generała Stefanaka oraz że wszystkim naukowcom wiadomo, jak doskonale żołnierze znają się na fizyce teoretycznej.



Kaufman uśmiechnął się mimowolnie. Stary dobry Tom...

Nawet to jednak nie przybliżyło go do odkrycia, dlaczego Capelo został porwany. Może faktycznie ruch antimilitarystyczny potrzebował czegoś znacznego i medialnego, aby postawić Stefanaka i jego reżim w złym świetle? A może to Stefanak potrzebował czegoś znacznego i medialnego, aby postawić ruch antimilitarystyczny w złym świetle?

Być może również winny był ktoś całkiem inny, ktoś, komu zależało na okupie, lecz kto nie potrafił doprowadzić sprawy do końca.

Być może Tom nie żył, podobnie jak Stefanak.

Kaufman niczego nie osiągnął, za to stracił trzy długie dni. Choć właściwie czy miał coś innego do roboty?

– Lyle! – rozległ się krzyk w dole korytarza. Wołała go Marbet. – Lyle, chodź prędko!

Marbet nigdy nie krzyczała. Kaufman zerwał się z fotela pomimo zwiększonego ciężenia i niezgrabnie pobiegł w stronę kajuty.

\* \* \*

Magdalena pomyślała, że za dużo czasu spędza, polegując w łóżku. Nie chodziło o ciężenie. Była w stanie znieść ciężenie, była w stanie znieść swych żalonych pasażerów, była w stanie znieść McChesneya, a także – gdy już dotrą do systemu Kaliguli – tego drania Hofsettera. Nie potrafiła się jednak uporać z własnym strachem.

Co będzie, jeśli mimo wszystko nie odnajdzie Laszla? Dwóch ludzi mogło jej to uniemożliwić: admirał Pierce i Laszlo we własnej osobie.

Nie spodziewała się, że Stefanak zginie. Popełniła błąd w kalkulacjach, przeceniła siłę jego władzy. Sullivan Stefanak na czymś się poślizgnął, w przeciwnym razie taki brutal jak Pierce nigdy by nie zwieńczył sukcesem swego *coup d'état*. Powinna była przewidzieć taką ewentualność i przygotować się na nią. Powinna była poczynić stosowne kroki. A tymczasem dała ciała. Ten cały Pierce był zdolny do przetrzymywania Laszla w nieskończoność, by zmusić ją do płaszczenia się, tańczenia jak jej zagra i oddania tego, czego w innych okolicznościach w życiu by nie oddała takiemu dupkowi jak on. No dobrze, jeśli przyjdzie do płaszczenia, będzie się płaszczyć. Byle tylko nie trwało to latami.

Najbardziej oczywiście bała się o syna. Potrafiła sobie z łatwością wyobrazić scenariusz, w którym najbardziej zaufani pomocnicy Stefanaka tracą głowę tuż po zamachu. Pozbyliby się każdego balastu, w tym Laszla. Po czymś takim Laszlo gdzieś by się ukrył, uniemożliwiając matce pomoc, której tak potrzebował i której nie potrafił przyjąć. Odnalezienie go mogłoby zabrać całe lata, w razie gdyby zdążył wypłacić znaczące środki z konta któregoś z rodziców i przyszykować kryjówkę. Podczas gdy ona wlokła się przez Galaktykę z powrotem do Układu Słonecznego.

Jednakże pobyt na Świecie też był konieczny. Pierwsze chwile tyranii zazwyczaj bywają najgroźniejsze. Pierce mógł zechcieć się jej pozbyć, co w ogólnym zamieszaniu przyszłoby mu bez trudu. Teraz, gdy już się

pogodził ze swymi ograniczeniami, a jej znajomi zdążyli odzyskać wpływy, Magdalena miała większą szansę na rozegranie tej sytuacji tak, aby nie skończyć jako anonimowa ofiara zamachu stanu.

Ale Laszlo...

„Muszę z tym skończyć. Użalanie się w niczym mi nie pomoże...” Magdalena nie cierpiała ludzi, którzy nic, tylko się użalają; nie cierpiała słabeuszy. W tym wszechświecie jedynie aktywność przynosiła skutki i ustawiała innych do pionu. Niewiele osób to rozumiało – lecz o dziwo znalazł się pośród nich pułkownik Kaufman, poza tym postępujący zawsze zgodnie z regulaminem.

Magdalena zwalczyła ociążałość ciała i grawitację i przerzuciła długie nogi za krawędź łóżka. Usiadła i w tej samej chwili usłyszała czyjś krzyk.

Pełniący straż na korytarzu Rory natychmiast otworzył drzwi, sięgając po broń.

– Nic mi nie jest, Rory. To Marbet Grant. Chodź ze mną!

Tak szybko, jak pozwalały jej ołowiane nogi, Magdalena pokonała korytarz. Drzwi do kajuty były już otwarte na oścież i właśnie wpadał przez nie do środka Lyle Kaufman, podczas gdy Marbet Grant krzyczała:

– Lyle, chodź prędko!

Magdalena wepchnęła się do kajuty za Rorem, który robił za jej żywą tarczę. Jednakże wewnątrz nie było nic, przed czym trzeba by kogoś bronić – tylko dziewczynka Obcych leżąca na podłodze i trzymająca się za głowę.

– Co się stało? Co jej się stało? – dopytywała Magdalena. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Zaczęło się przed jakąś półgodziną – opowiadała szybko Marbet Kaufmanowi. – Jak daleko od tunelu jesteśmy?

– Około godziny lotu. Marbet, jesteś pewna?...

– Naturalnie! – Uklęknęła na podłodze obok Essa, po czym wzięła ją na ręce i zaczęła szeptać jej na ucho po światańsku. – Patrz. Właśnie jej powiedziałam, że ma na imię Essa i przebywa na dużej metalowej latającej łodzi, a ja jestem Marbet... Widzisz?

Dziewczynka przestała krzywić się przeraźliwie. Jej łysa czaszka się wygładziła. Essa czepiała się kurczowo Marbet, słuchając, lecz już nie wyglądała na cierpiącą.

– A teraz – odezwała się znowu Marbet – patrz uważnie... Boże, nie chcę tego zrobić, ale musisz się przekonać na własne oczy.

Ponownie zaczęła szeptać po światańsku. Dziecko spojrzało na nią z konsternacją, po czym jego grzebień czaszkowy zaczął się marszczyć. Pół minuty później Essa trzymała się obiema rękami za głowę, najwyraźniej cierpiąc wielki ból.

– Powiedziałam jej – wyrzucała z siebie słowa Marbet – że wracamy na Świat, że ty i ja nienawidzimy się i że kwiaty są nieistotne podczas handlu. No i spójrz...

– Spójrz na co? – włączyła się Magdalena, lecz oboje znowu ją zignorowali. Kobieta zrobiła zaciętą minę. Jak oni śmiały traktować ją jak powietrze?

Kaufman rzekł zmienionym głosem:

– Nadal nie rozumiem, jak to możliwe. Dzielona rzeczywistość występowała wyłącznie w obecności artefaktu. W polu, które artefakt generował wokół Świata...

– Tak – potwierdziła Marbet i powtórzyła z emfazą:  
– Tak!

Kaufman zamarł.

– McChesney – wykrztusił.

– Wybrany osobiście przez Stefanaka do misji z Fallerem – przypomniała Marbet. – To chyba świadczy o dużym zaufaniu. W dodatku nadal tu jest.

– Alan B. Shepard przybił do doku Murasakiego, żeby przejąć zapasy – powiedział wolno Kaufman. – Byłem wtedy w brygu, ale usłyszałem o tym od strażnika. Do dokowania doszło po tej stronie tunelu.

– McChesney nadal tu jest!

Kaufman i Marbet wpatrywali się w siebie nawzajem do chwili, aż Essa zakwiliła. Marbet pochyliła głowę i wymówiła do dziecka parę kojących słów.

– O czym wy oboje bredzicie? – zażądała odpowiedzi Magdalena. – Co się stało temu dziecku?

– Doświadczyła dzielonej rzeczywistości. Znowu.

– No i? Co to znaczy?

Kaufman spojrzał na Magdalenę po raz pierwszy, odkąd wpadła za nim do kajuty. Zobaczyła w jego oczach wyrachowanie. Przemówił z namysłem, dokonując w myślach kalkulacji i otrzymując wynik.

– To znaczy, Magdaleno, że Essa ponownie znalazła się w polu prawdopodobieństwa, w którym spędziła całe dotychczasowe życie. To znaczy, że szalona teoria Dietera Grubera dotycząca ewolucji mózgu Światan jest prawdziwa. To znaczy, że Artefakt Protektor nie jest

ukryty w Układzie Słonecznym, gdzie kontrolę nad nim sprawowałby Stefanak czy Pierce. Artefakt jest tutaj, na pokładzie okrętu Murasaki.

## 17.

### *Tunel Czasoprzestrzenny #438*

Magdalena odpowiedziała odruchowo:

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to nie ma sensu. Stefanak umieścił artefakt w Układzie Słonecznym ustawiony na jedenastkę, żeby chronić cały system gwiazdny przed Fallerami.

– Tego nie możesz wiedzieć – sparował Kaufman. – Nikt nie wie tego na pewno. To była rzekomo ściśle tajna akcja.

– Ale czemu Stefanak miałby zrobić z artefaktem coś innego? To by nie miało sensu!

– Owszem, miałoby... Wiesz co, Magdaleno, chyba usiądę. To ciężenie mnie dobija.

Opadł ciężko na koję. Po chwili wahania Magdalena uczyniła to samo. Rory pozostał obok niej w pozycji stojącej, czego nawet nie zauważyła. Ochroniarz to nie człowiek. Marbet Grant na podłodze tuliła małą Świątanę, która chyba już doszła do siebie, aczkolwiek sądząc z wyrazu jej głupawej otoczonej szyjowłosami twarzyczki, nadal cieszyła się atencją Wrażliwca.

Kaufman podjął:

– Stefanak nie musiał umieszczać artefaktu w Układzie Słonecznym, aby powstrzymać Fallerów przed ściąganiem tam ich artefaktu i usmażeniem nas. Wystarczyło mu przekonać wroga, że tak się stało. Wiemy, że Fallerowie przechwytyją fale elektromagnetyczne, w tym transmisje naszych najdalej wysuniętych placówek, dzięki czemu wiedzą o nas znacznie więcej niż my o nich. A przez dwa ziemskie lata we wszystkich ludzkich mediach było głośno na temat Artefaktu Protektora ukrytego gdzieś w obrębie Układu Słonecznego. Przy założeniu, że artefakt Obcych znajduje się w ich rodzimym systemie.

– To nadal nie trzyma się kupy – pokręciła głową Magdalena. – Zastanów się... Stefanak nie miał żadnego powodu, aby w taki sposób wodzić za nos Fallerów... i ludzi. Nie miał powodu, aby umieścić artefakt na tym zadupiu zamiast w Układzie Słonecznym.-A właśnie że miał – skontrował Kaufman. – Ekspedycja na Świat nie składała się wyłącznie z fizyków. Anna jest ksenobiologiem. I wykazała, że mózgi Świa – tan przez pięćdziesiąt tysięcy lat ewoluowały w obecności silnego pola prawdopodobieństwa generowanego przez artefakt zagrzebany pod powierzchnią planety i ustawiony permanentnie na jedenastkę. Dzięki temu powstała tak zwana dzielona rzeczywistość.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że zarówno w wypadku pierwszej, jak i drugiej ekspedycji na Świat oprócz oficjalnego raportu był też nieoficjalny, którego nie opublikowano, ponieważ zabrakło twardych dowodów. Jednakże doświad-



czyłem tego zjawiska osobiście i opowiedziałem o wszystkim Stefanakowi.

Magdalena sarknęła.

– Ty opowiedziałeś Stefanakowi?

– Przy naszym pierwszym i ostatnim spotkaniu. Przewodniczył komisji, która miała ustalić, czy zasłużyłem na sąd wojenny. Okazało się, że nie zasłużyłem, więc i o tym nie ma wzmianki w oficjalnych przekazach. Zaskoczona?

– Nie pogrywaj ze mną... Czego takiego doświadczyłeś w obecności artefaktu?

Wyraz twarzy Kaufmana uległ zmianie. Magdalena rozpoznała minę człowieka, który właśnie przypomniał sobie coś, o czym wolałby zapomnieć. Marbet także przyglądała mu się uważnie. Zazwyczaj Magdalena nie zwracała sobie głowy umiejętnościami Wrażliwców, tym razem jednak zastanowiła się, co takiego Marbet widzi, czego ona, Magdalena, nie dostrzega.

– Doświadczyłem wpływu artefaktu na ludzki mózg. Gdy był jeszcze zakopany, udałem się z doktorem Capelo i z Gruberem do jaskiń. I poczułem w głowie pustkę. Kompletną. Gdyby nie wyciągnęli mnie stamtąd, szarpiąc za linę, stałbym przykuty do miejsca, dopóki bym nie zginął z głodu.

– Pierdoły – podsumowała Magdalena. – McChesney z całą załogą tkwi na pokładzie okrętu rzekomo w obecności artefaktu i jakoś nie zgłupiał. Rozmawiałam z nim dzisiaj rano. Mówisz, że Essa wyczuła pole, ale my czujemy się świetnie...

– To nie tak. Pole prawdopodobieństwa nie jest jednolite. Ma kształt toroidu... czegoś w rodzaju pączka z

dziurką. Dieter i ja zareagowaliśmy w najgrubszej części pola. A po Światance, przewodniczce pierwszej wyprawy, w ogóle nic nie dało się poznać. Ona dorastała w obecności tego pola. Jej mózg sobie z nim radził.

– Nie masz dowodów...

– Wiem, co czułem – przerwał jej Kaufman. Jego spokój i głębokie przekonanie powiedziały kobiecie, że pułkownik nie kłamie. Naprawdę doświadczył tego, o czym przed chwilą opowiedział. Z równym opanowaniem kontynuował: – Stefanak wiedział o polu prawdopodobieństwa. Gruber napisał o tym w swoim raporcie, a ja opowiedziałem ustnie. Kiedy artefakt jest włączony na jedenastkę, czyli chroni cały system gwiazdny przed wszelką bronią, generuje toroidalne pole, które czyści ludzkie mózgi. Przypuszczam, że to nie spodobało się Stefanakowi. Miałby przepchnąć nie poznany do końca, wpływający na ludzkie umysły artefakt przez system tuneli czasoprzestrzennych, również stanowiących dla ludzkości tajemnicę, i do tego zainstalować go w Układzie Słonecznym? Zapewne o tym nie wiesz, ale wcześniej większy artefakt eksplodował przy próbie przepchnięcia go przez wrota tunelu czasoprzestrzennego przez okręt wojenny, co skończyło się śmiercią wszystkich na pokładzie i unicestwieniem samego artefaktu.

Zamilkł na chwilę. Czyżby wspominał Syree Johnson? Żołnierze potrafią być tacy sentymentalni...

– Zatem – ocknął się – po co Stefanak miał ryzykować, skoro nie było takiej potrzeby? Osiągnął ten sam efekt polityczny, wmawiając wszystkim, że artefakt jest ukryty w obrębie Układu Słonecznego.

Marbet dodała gwałtownie:

– Artefakt z łatwością zmieściłby się do luku towarowego okrętu takiego jak Murasaki. Ma tylko dwadzieścia pięć metrów średnicy.

– I nie ma żołnierza lojalniejszego niż McChesney. To wysoki stopniem oficer wywiadu Rady Obrony Sojuszu Solamego.

Magdalena zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Kaufman mógł mieć rację. Dobrze знаła Sullivana Stefanaka – ten mężczyzna chełpił się swoim umysłem. Nigdy nie pił, nawet prywatnie, w trakcie łózkowych igraszek, ponieważ nie chciał przyćmić jasności myślenia. Bardzo możliwe, że był niechętny pomysłowi, aby sprowadzić do Układu Słonecznego coś, co otępi ludzi. Nawet gdyby otępienie miało dotknąć wyłącznie osoby znajdujące się w określonych miejscach „toroidu”. A może zwłaszcza wtedy, skoro zasięg działania pola nie był wyraźnie określony. Z pewnością też nie chciałby stracić artefaktu w eksplozji, co ponoć spotkało tamten pierwszy, o którym Magdalena nigdy przedtem nie słyszała...

Czy więc Kaufman mówił prawdę? Tak. Magdalena nie była Wrażliwcem, ale znała się na ludziach.

Zatem jeśli Stefanak faktycznie upchnął artefakt na pokładzie Murasakiego... Ale Stefanak nie żył.

– Pierce nie ma pojęcia, gdzie jest artefakt – stwierdziła. – Gdyby to wiedział, już by tu był, żeby zabić McChesneya i przejąć kontrolę. Od zamachu stanu dzieli nas wiele dni. Zdążył przylecieć statek kurierski, było więc wystarczająco dużo czasu, by przysłać z systemu Kaliguli oddział z rozkazem odbicia artefaktu.

– Na to wygląda – zgodził się z jej oceną sytuacji Kaufman.

Marbet jednak nie była przekonana.

– Skąd wiecie, że admirał Pierce nie zostawił McChesneya i artefaktu w spokoju z tych samych pobudek co Stefanak?

Magdalena zaśmiała się pogardliwie.

– Nie znasz Ethana McChesneya. Ani Nikołaja Pierce’a. Nie, Pierce z całą pewnością nie wie, gdzie szukać artefaktu.

– Przynajmniej na razie – dorzucił Kaufman. – Pytanie brzmi: co my mamy zrobić z tą wiedzą?

Magdalena natychmiast udzieliła odpowiedzi:

– Trzeba porozmawiać z McChesneyem. Artefakt to najważniejszy element przetargowy w całej Galaktyce.

Laszlo!

Marbet wstała, zostawiając Esse siedzącą na podłodze.

– Ale o co chcesz się targować, Magdaleno? Albo ty, Lyle? Nie rozumiem, co byście mieli osiągnąć.

Magdalena przewróciła oczami. No tak, czego innego można się spodziewać po niemądrym Wrażliwcu, dla którego liczą się tylko emocje, a plany nie mają żadnego znaczenia? Ludzie tacy jak Marbet Grant nie pojmują, że trzeba mieć silne karty, zanim usiądzie się do gry. Aczkolwiek w tym wypadku Magdalena od dawna wiedziała, o co toczy się gra.

Laszlo. Już niedługo. Znowu będą razem.

Najwyraźniej jednak Kaufman miał inne zamiary.

– Nie chodzi o to, co chcemy osiągnąć – powiedział powoli. – Pragniemy odnaleźć Toma, ale bardzo możli-

we, że Pierce nie wie, gdzie on jest, podobnie jak nie ma pojęcia o tym, gdzie znajduje się artefakt. Dlatego uważam...

Magdalena nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nawet jeśli Pierce nie wie, gdzie są Capelo i Laszlo, zmotywujemy go, mówiąc, że mamy Artefakt Protektor!

– My go nie mamy – sprostowała oziębłe Marbet. – Ma go McChesney.

Magdalena zbyła ją śmiechem.

– Na jedno wychodzi. Ethan nie jest głupcem. Pewnie sra ze strachu, zastanawiając się, co ma zrobić, skoro jego szef nie żyje, a Pierce przymierza się do zneutralizowania całego wywiadu.

– Nie wydaje mi się... – zaczęła Marbet.

– Bądź cicho! – Kaufman odezwał się tonem tak ostrym, że Magdalena aż spojrzała na niego zdziwiona. – Pozwól mi dokończyć.

– Kończ zatem – rzekła Magdalena. Nigdy dotąd nie była świadkiem sprzeczki tych dwojga. Nagłe uciszenie Marbet Grant z jakiegoś powodu sprawiło jej satysfakcję.

– Uważam – podjął przerwana myśl Kaufman – że nie jest ważne to, co my chcemy zrobić z artefaktem, tylko to, co zechce z nim zrobić Pierce. Magdaleno, zdaje się, że miałaś z nim do czynienia na stopie prywatnej. Ja znam go z armii, z czasów, gdy służyłem w ROSS. Pierce to nie Stefanak, Generał Stefanak pomimo wszystkich swoich wad był człowiekiem rozsądnym. Potrafił skalkulować ryzyko i korzyści. Ale...

– Jasne, że potrafił – wtrąciła zjadliwie Magdalena.  
– Właśnie dlatego przegrywamy wojnę z Faberami.

Kaufman nie zwrócił na nią uwagi.

– Ale Pierce to całkiem inna para kaloszy. Nie tylko lubi ryzyko, on jest zapalonym hazardzistą. Niektórzy mają go za szaleńca. Wydaje mi się możliwe, że... – urwał nagle.

Jednakże obydwie kobiety domyśliły się, co chciał powiedzieć.

– Wydaje ci się – podchwyciła Magdalena – że Pierce jest zdolny zabrać artefakt do rodzimego systemu Faberów i włączyć go na trzynastkę. Z zamiarem unicestwienia całego układu planetarnego. Przy założeniu, że i oni trzymają swój artefakt poza własnym systemem. Lub że nie rozumieją konsekwencji włączenia obu artefaktów w obrębie jednego systemu. Czy też że to rozumieją, ale skoro my włączymy nasz, oni nie włączą swojego i wszechświat jednak przetrwa.

– Tak – pokiwał głową Kaufman. – Moim zdaniem Pierce jest nieprzewidywalny. A twoim?

Magdalena zamknęła oczy. Prawda i tak ich dopadnie. Laszlo...

– Tak – przemówiła w końcu. – Moim zdaniem również.

Zapadło milczenie. Ciszę przerwała Essa, która odezwała się łamanym angielskim:

– My lecieć teraz? W tunel? W więcej gwiazd?

Marbet przyciągnęła Światankę do siebie. Nikt nie odpowiedział.

– My lecieć teraz? W tunel? W więcej gwiazd? – powtórzyło dziecko. – Essa chcieć więcej gwiazd!

– Sądzę – rzekł Kaufman – że najpierw powinniśmy porozmawiać z McChesneyem.

## 18.

### *Lowell City, Mars*

W Lowell City roilo się od żołnierzy noszących czapki z zielonymi paskami.

Amanda przytuliła się do wujka Martina. Nie udało jej się porozmawiać na osobności z nim ani z ciocią – major Harper i jego podwładni trzymali się blisko nich przez cały lot do Lowell City i później, podczas jazdy z kosmoportu. Kopułę już naprawiono, lecz część budynków wciąż leżała w gruzach. Niektóre budowle ocalały i tylko ziały pustymi oczodołami okien. Wszędzie pełno było żołnierzy w tych czapkach z zielonymi paskami.

– To emblemat Armii Wolności – wyjaśnił major Harper. Zapewne przyłapał ją na gapieniu się. Amanda spiekła raka. – Niedługo miasto będzie w pełni funkcjonalne, bez ani jednego wroga.

Amanda pomyślała, że wrogami są Fallerowie.

Strażnicy przy bramie wpuścili ich do głównej kopuły, gdzie czekał pojazd. Wozy wojskowe, jedyne dopuszczone do ruchu w Centralnym Sektorze, były na tyle wąskie, że mieściły się w uliczkach Lowell City, przez co mogły zabierać najwyżej cztery osoby. Amanda bała się, że major Harper zechce ją rozdzielić z ciocią i wujkiem, jednakże zostawił swoich podwładnych. Samo-



chód powiózł jego, Amandę, ciocię Kristen i wujka Martina do Wierzchołka.

Tam też byli żołnierze w czapkach z zielonymi paskami.

– Panie majorze...

– Słucham, Amando.

– Czy mogłabym wziąć prysznic przed spotkaniem z admirałem Pierce'em. Proszę...

Major obrócił głowę, aby na nią spojrzeć, i Amanda zauważyła, że mężczyzna mięknie.

– Tak, myślę, że to będzie możliwe, o ile zmieścisz się w kwadransie.

– O tak! Tyle mi wystarczy! Dziękuję!

Pamiętała jednak, że w Tharsis major twierdził, że nie mają ani chwili do stracenia.

Sądziła, że ciocia z nią zostanie, tymczasem pokierowano nią delikatnie, lecz stanowczo ku drzwiom na trzecim piętrze i zostawiono za nimi samą. Znalazła się w czymś w rodzaju pokoju gościnnego – pomieszczenie było niewielkie, choć dość wygodne i miało przylegającą łazienkę. Amanda się zawahała. Jej ojciec zawsze powtarzał, że każdy centymetr kwadratowy Wierzchołka znajduje się pod ciągłą obserwacją. Dziewczynka nie była pewna, czy ktoś jej nie zobaczy, kiedy zdejmie ubranie. Na samą myśl zrobiło się jej gorąco.

Ostatecznie postanowiła wziąć prysznic w bieliźnie, zasłaniając piersi rękoma na tyle, na ile się dało. Po kąpieli zdjęła mokre majtki pod osłoną wielkiego puchatego ręcznika przewiązanego w pasie i w ten sam sposób włożyła spodnie. Chociaż resztę stroju miała brudną, i tak poczuła się o niebo czystsza. Ale zapach własnych

skarpetek odstręczył ją do tego stopnia, że wzięła buty na boso stopy. Tworzywo niemile ocierało jej pięty.

Na toaletce w pokoju znalazła grzebień i szczotkę. Doprowadziła włosy do porządku i po raz pierwszy od wielu tygodni przejrzała się w lustrze. Aż sapnęła głośno z wrażenia. Na głowie miała odrosty jasnych włosów! kontrastujące z czarną farbą, którą ksiądz Emil zaaplikował jej wraz ze strzyżeniem na pazia podczas lotu... jak dawno temu?... parę miesięcy, aczkolwiek Amandzie zdawało się, że długie lata. Wyglądała teraz jak jakieś dziwadło albo kompletna idiotka.

I Konstantin taką ją oglądał!

Rozległo się pukanie do drzwi. Amanda odłożyła szczotkę i otworzyła majorowi Harperowi.

– Gotowa? W takim razie proszę za mną.

– Gdzie jest ciocia i wujek?

– Rozgościli się w przydzielonej kwaterze. Wkrótce znowu ich zobaczysz.

– A nie mogliby pójść ze mną do admirała Pierce'a?

Major nawet na to nie odpowiedział, tylko ujął ją pod łokieć i rażno poprowadził ku windzie. Amanda poczuła, że serce zaczyna się jej tłuc o żebra, utrudniając oddychanie.

Mijając szeregi żołnierzy, dotarli wreszcie do sali na szczycie Wierchołka.

– Panna Capelo, sir.

– Świetnie. Proszę nas zostawić samych, majorze.

Major Harper zasalutował, po czym Amanda znalazła się sam na sam z naczelnym dowódcą Rady Obrony Sojuszu Solamego.

W porównaniu z wizerunkiem generała Stefanaka utrwalonym przez lata za pomocą holowizji admirał Pierce wydał jej się drobny, aczkolwiek niezbyt niski. Niewątpliwie był szczupły i miał wyjątkowo chude dłonie o długich palcach. Amanda zwróciła na nie szczególną uwagę. Była zbyt zdenerwowana, by przyglądać się otoczeniu; zarejestrowała tylko potężne biurko, rząd ściennych ekranów i wspaniały widok na Lowell City leżące u stóp admirała Pierce'a oraz rozciągające się w dali czerwone marsjańskie równiny.

– Dziękuję za wizytę – rzekł szarmancko admirał. Jakby Amanda miała w ogóle wybór!

Admirał Pierce miał niski melodyjny głos, co ją zdziwiło. Wyobrażała sobie, że będzie toporniejszy. Być może znowu zrobiły swoje wspomnienia o Stefanaku.

– Wiem, że wiele przeszłaś w ostatnim czasie. I domyślam się, że najgorsza ze wszystkiego była obawa o ojca.

Dziewczynka skinęła głową, czując nagle, że ma ściśnięte gardło.

– Doskonale cię rozumiem. Z tego, co słyszałem, doktor Capelo jest nie tylko genialnym fizykiem, ale również wspaniałym ojcem. Chcę, abyś wiedziała, że jestem w stałym kontakcie z twoją macochą i siostrą, nad którymi roztoczyłem opiekę.

Amanda ponownie kiwnęła głową.

– Wykazałaś się dotąd wielką dzielnością. Pragnę cię poprosić, żebyś i teraz nie traciła ducha. Mamy podstawy uważać, że generał Stefanak porwał twojego ojca. Nie znamy motywu, chociaż podejrzewamy, że chodziło o zrzucenie winy na antymilitarystów, co miało postawić

skorumpowany reżim w lepszym świetle. Rzeczywiście padły takie oskarżenia. Wierz mi, zależy nam na znalezieniu twego ojca nie mniej niż tobie. Nauka musi być ponad politykę, jeśli ma wywiązywać się ze swojej roli.

– To samo mówił zawsze mój tata – wypaliła Amanda. Rozluźniła się nieco. Admirał Pierce wydawał się całkiem miły, sprawiał wrażenie kogoś, kto ją rozumie.

– Twój ojciec to mądry człowiek. Problem w tym, że nie wiemy, gdzie ukrył go Stefanak. Nie, nie patrz tak na mnie... sytuacja nie jest beznadziejna. Moi najlepsi oficerowie wywiadu właśnie przeglądają tajne akta wojskowe, przesłuchują złapanych zdrajców i robią co się da, by znaleźć twego ojca.

Mówiąc, podszedł bliżej. Skrzyżował smukłe dłonie na piersi.

– Ale potrzebujemy twojej pomocy. Naszym zdaniem tylko parę osób wiedziało o miejscu ukrycia doktora Capelo. Jak dotąd nie udało nam się ich zidentyfikować. A od tego zależy powodzenie poszukiwań. Właśnie ci ludzie doprowadzą nas do twego ojca. Rozumiesz?

– Tak, ale... Jakże ja mogłabym pomóc?

Złożone dłonie drgnęły lekko. Amanda przyglądała się im jak zahipnotyzowana.

– Och, oczywiście, że możesz. Możesz uczynić coś niezwykle ważnego, jeśli tylko jesteś na to gotowa. Jesteś gotowa, Amando?

– Tak!

Długie chude palce, wciąż splecione, zadrgały mocniej.

– Z pewnością pamiętasz coś z tamtego wieczoru drugiego kwietnia. Patrzyłaś przez okno na piętrze...

„Skąd on to wie?” – zdumiała się Amanda.

– ...i być może utkwiał ci w pamięci jakiś szczegół, nieważne jak drobny. Znak szczególny któregoś z porowaczy albo ton głosu, albo charakterystyczny sposób zachowania. Coś tak drobnutkiego, że nawet o tym nie wiesz... Amando, czy mówi ci coś określenie „iniekcja Pandyi”?

Zdumienie Amandy jeszcze wzrosło.

– Słyszałam je w holofilmach. Ale nie miałam pojęcia, że to coś prawdziwego!

Admirał Pierce się uśmiechnął. Jego palce nieprzerwanie drgały. Amanda zmusiła się, aby oderwać od nich wzrok.

– Och, tak... Iniekcja Pandyi jest jak najbardziej prawdziwa, chociaż nie tak pełna dramatyzmu jak na holofilmach. W gruncie rzeczy to zastrzyk prosto w mózg omijający BBB, czyli barierę krew-mózg. W jego trakcie podaje się selektywny aktywator komórkowy. To znaczy...

– Wiem, co to selektywny aktywator komórkowy! – przerwała mu z oburzeniem Amanda, która przecież zamierzała zostać biologiem.

– Świetnie. Jesteś nie tylko dzielna, ale i bystra, młoda damo. Zatem wiesz, że substancja, o której mówimy, zawiera związek chemiczny intensyfikujący kaskadę enzymów biorących udział w procesie zapamiętywania i odtwarzania informacji.

– Element odpowiedzi na c-AMP w połączeniu z długotrwałą potencjalizacją.

Tym razem admirał Pierce się zdumiał, za to Amanda poczuła ukłucie wstydu.

Jej ojciec zawsze powtarzał, że wyłącznie przeciętniacy popisują się swoją wiedzą.

– Naprawdę jesteś bystra... Domyślam się zatem, że rozumiesz mechanizm działania iniekcji Pandyi polegający na wyłączeniu większości kory mózgowej poza obszarami odpowiedzialnymi za pamięć długotrwałą oraz na wyostrzeniu tej ostatniej do tego stopnia, że człowiek przypomina sobie każdy najdrobniejszy nawet szczegół zapamiętany przy jakiejś okazji. W tym detale, o których ludzka świadomość nie ma pojęcia, w przeciwnym razie byłaby przeładowana nieistotnymi drobiazgami. Czy więc jesteś gotowa przyjąć iniekcję Pandyi, aby przypomnieć sobie fakty z nocy porwania mogące pomóc w odnalezieniu twego ojca?

Admirał Pierce naprawdę był miły. Pełen troski i taki taktowny... Amanda nie patrzyła na jego palce. Kiwała zamaszycie głową.

– Tak! Jestem gotowa na wszystko!

– Dobra z ciebie córka i wielka patriotka! – ucieszył się admirał Pierce, co jednak dało Amandzie do myślenia, jako że jej ojciec zawsze powtarzał: „Patriotyzm to frazes, którym szafują ludzie chcący dorwać się do władzy”.

Wszelako admirał już zdążył wezwać jakiegoś innego mężczyznę, który odprowadził Amandę do drugiego pomieszczenia z przygotowaną leżanką, stołem laboratoryjnym i kilkoma osobami w kitlach.

– Od razu? – zapytała dziewczynka. – Zrobimy to od razu?

– Leż spokojnie – poinstruowała ją kobieta, uśmiechając się ciepło.

– Będzie bolało? Po co te wszystkie rurki?

– Nic nie poczujesz – zapewniła kobieta i nie skłamała.

Ktoś przyłożył Amandzie plaster do karku, po czym dziewczynka straciła czucie od szyi wzwyż. Robię to dla taty, pomyślała mgliście i natychmiast umocniła się w przekonaniu, że postępuje właściwie. Oczywiście, że tak!... Do tego jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze. Była przeszczęśliwa!... A po chwili już spała.

\*\*\*

– Amando...

Jeszcze pięć minutek... Ale budzik już dzwonił, a ona nie mogła się spóźnić do szkoły, bo dziś były urodziny Yaeko. Amanda kupiła koleżance cudowny prezent i chciała zrobić jej niespodziankę...

– Amando. Obudź się, kochanie.

Odzyskała świadomość nagle i od razu spróbowała usiąść, ale coś było nie tak z jej ciałem. Nie usłuchało wydanego polecenia i dziewczynka opadła z powrotem na plecy.

– Nie próbuj się ruszać, kochanie. Masz czasowo upośledzone mięśnie. Po prostu sobie leż... – To była ciocia Kristen.

Amanda odwróciła głowę zdumiona, ile wysiłku ją to kosztuje. Czuła nie tylko słabość ciała. Miała też sucho w ustach. Kiedy oblizwała wargi, poczuła smak krwi.



Ciocia otarła jej twarz, uniosła głowę na własnym ramieniu i przytknęła do warg szklanę z wodą. Amanda zaczęła pić. Bardzo ją to wyczerpało.

– Niech ich wszyscy diabli! – zakłęła ciocia. – Nie, Martinie, mam gdzieś, kto może nas usłyszeć! Powinni byli przynajmniej nawadniać ją na bieżąco.

– Zabieg z iniekcją Pandyi nie powinien trwać tak długo – rzekł wujek, który chyba również nie przejmował się tym, kto może ich usłyszeć.

– Co... co się stało? – wychrypiała Amanda.

– Byłaś nieprzytomna całą dobę, skarbie. Ale nie bój się, szybko dojdiesz do siebie. Masz chrypkę od mówienia na głos przez zbyt długi czas.

Amanda się zdziwiła. Naprawdę mówiła przez dwadzieścia cztery godziny? O czym? Spróbowała się skupić i wreszcie ostatnie wydarzenia zaczęły do niej powoli wracać. Coś takiego także widziała w holofilmach. Po iniekcji Pandyi nie zapominało się wszystkiego. Czarny charakter zazwyczaj był przerażony tym, ile wyjawiał pozytywnemu bohaterowi.

– Oni pytali... o...

– Prosiłam cię, żebyś leżała bez ruchu i nic nie mówiła, skarbie – powtórzyła ciocia tonem, który Amanda знаła aż za dobrze. To nie były przelewki. Przymknęła się więc.

Jednakże myśleć mogła, ile chciała. Ludzie w kitalach pytali ją nie tylko o porwanie. Kazali jej opisać wszystkie swoje kroki i opowiedzieć o każdym człowieku, jakiego spotkała od przylotu do Kosmoportu Waltona na Ziemi do pojawienia się majora Harpera. Mówiła im więc o księdzu Emilu i poszukiwaniach Marbet Grant

na Lunie, i o nieudanej próbie zabicia jej przez Salaha, i o braciszkach z opactwa, i nawet o Konstantynie... Poczuli, że się czerwieni. Co takiego im powiedziała o Konstantynie?

– O co chodzi, dziecko? – zapytała ciocia. – O czym sobie pomyślałaś?

– Czy... czy oni już wiedzą, gdzie jest... tata?

– Nic nam nie mówią – odparła ciocia gniewnie. – Usłyszeliśmy tylko, że bardzo im pomogłaś i że możemy cię już zabrać do domu.

– Do domu?

– Do Tharsis, nie na Ziemię. Chcą, żebyś na razie została na Marsie.

– Potencjalny materiał medialny – wtrącił chmurnie wujek.

– Ciii! – rzuciła ciocia i Amanda nie wiedziała, czy zwraca się do niej czy do męża.

Spróbowała przypomnieć sobie coś więcej. Mówiła i mówiła, i mówiła... opowiedziała im wszystko o Konstantynie!... a ludzie w kitlach nachylali się nad nią.

I zadawali jej pytania, mnóstwo pytań, zwłaszcza o Marbet Grant...

Powiedziała im, że Marbet Grant chciała wrócić na Świat!

To miał być ich sekret. Marbet wyznała jej swoje plany w zaufaniu wiele miesięcy temu, gdy Amanda pytała, czy nie mogłaby przyjechać z wizytą w czasie ferii zimowych...

– To świetny pomysł, Amando, ale może mnie tutaj nie być.

– *A dokąd się wybierasz?*

– Jeszcze nie wiem.

– *Załóżę się, że z powrotem na Świat. Żeby odwiedzić doktor Sikorski i doktora Grubera, i Enłę.*

– *Powinnaś zostać Wrażliwcem, Amando... Ale zatrzymaj tę informację na razie dla siebie, dobrze? W dzisiejszych czasach niełatwo podróżować poza Układ Słoneczny.*

– Możesz mi zaufać, Marbet!

Poczuła się taka dorosła, gdy Marbet zawierzyła jej swój sekret. A teraz wszystko wypaplała, zdradziła przyjaciółkę... czy może być coś gorszego? Kiedy Juliana wypaplała Yaeko sekret Thekli – że Thekla lubi Miszę Czuprikowa – omal nie rozpadła się ich przyjaźń.

Ludzie w kitalach pytali ją też o podróż na Świat i o pracę jej ojca, mimo że to było całe lata temu. A także – co jeszcze dziwniejsze – o podróż powrotną ze Świata do Tunelu Czasoprzestrzennego #438 z artefaktem na pokładzie. Dosłownie zasypali ją pytaniami na ten temat: jak długo lecieli, co mówili pasażerowie, ile czasu trwał postój przy doku Murasakiego... Aż do tej pory Amanda nawet nie pamiętała, że przybili do innego okrętu. Tymczasem ci ludzie ją o to wypytywali. Dziwne, bardzo dziwne...

Najdziwniejsze zaś było to, że admirał Pierce nie chciał im powiedzieć, czy już wiadomo, gdzie jest jej tata. Przecież po to pozwoliła sobie zrobić ten okropny zastrzyk! A admirał Pierce wydawał jej się taki miły!...

– Ja nic... nie rozumiem – zachrypiała.

Wujek Martin roześmiał się gorzko.

– Nikt nic nie rozumie, Amando. W obecnej sytuacji możemy zrobić tylko jedno: zabieramy cię do domu. Może później dowiemy się czegoś więcej.

Do domu, do Tharsis... Czy Konstantin wciąż tam jest? Czy na nią czeka? Amanda obróciła głowę, żeby spojrzeć na ciocię. Mięśnie miała z każdą chwilą silniejsze, czuła się też lepiej. Zauważyła, że na ramionach ma przyklejone różne plastry.

– Ciociu?...

– Słucham, kochanie.

– Zanim udamy się do domu, mogłabym... pójść do fryzjera?

\*\*\*

Admirał Pierce nie odstawił ich do Tharsis. Nawet się z nimi nie pożegnał. Za wizytę podziękował im major Harper; odprowadzając ich do drzwi, poinformował, że są już wolni.

– Całe szczęście, że jest tu filia mojego banku – mruknął wujek Martin.

Zameldowali się w Lowell Hilton. Żołnierze w czapkach z zielonymi paskami zeskanowali im siatkówki, po czym rozplłynęli się cali w uśmiechach. W ogóle wszyscy byli dla nich bardzo mili. Amanda pomyślała, że to pewien postęp w stosunku do generała Stefanaka.

Wujek przyłapał ją na tym, że odwzajemnia uśmiech, i rzekł:

– Można nosić na ustach uśmiech i być łotrem.

Powiedział to tak, że nawet Amanda się domyśliła, że są to słowa kogoś sławnego. Nie poprosiła jednak o

wyjaśnienie. Wujek Martin niegdyś wykładał literaturę, co zdaniem ojca Amandy znacząco się przyczyniło do wzrostu zachorowań na cytaty.

Tata! Zobacz go znowu, jak tylko admirałowi Pierce'owi uda się go odnaleźć! Poczwała lekkość i wolność, jakich nie doświadczyła od bardzo dawna.

Wujek od razu zasiadł przed hotelowym terminalem, żeby zorganizować ich jutrzejszą podróż do Tharsis, a ona poszła na zakupy z ciocią. Nareszcie mogła zmienić przepocone śmierdzące ubranie! Kupiła sobie spodnie i tunikę w kolorze jasnoniebieskim, i parę drobniaków na czas pobytu w Tharsis. Odwiedziła też fryzjera, który przyszytył jej włosy i zrobił dekoloryzację po czarnej farbie. Na koniec zmienił lekko odcień jej włosów – z naturalnego i raczej mdłego, przypominającego pszenicę, na bardziej złocisty. Amanda przyglądała się swemu odbiciu z szerokim uśmiechem na twarzy. Znowu była ładna.

– Dziękuję, ciociu!

– Coraz bardziej przypominasz swoją mamę, skarbie.

– Tata nigdy o niej nawet nie mówi.

– Wcale mnie to nie dziwi. Tom pozwala sobie na bardzo ograniczoną gamę uczuć.

Amanda się zdziwiła. Mało kto krytykował jej ojca... o ile to była właśnie krytyka. Ciocia odzywała się do niej w taki sposób, jakby były rówieśniczkami. Postanowiła zaryzykować i spytała:

– Czy poza wyglądem też przypominam mamę?

Ciocia się uśmiechnęła.

– Stanowisz mieszaninę cech, skarbie. Odziedziczyłaś opanowanie i optymizm po matce oraz rozsądek i odwagę po ojcu. Jesteś po prostu sobą.

– Kocham cię, ciociu.

Kristen ją przytuliła.

– Możemy porozmawiać o tym chłopcu, któremu kazałaś u nas zostać?

Amanda znowu się zaczerwieniła.

– Uratował mnie po zawałeniu się kopuły w Lowell City... opowiadałam ci już.

Mimowolnie zerknęła w górę, ale kopuła znowu była cała i nienaruszona. Kto mógł jednak ufać, że zostanie taka na zawsze? Amanda najchętniej wróciłaby na Ziemię, gdzie wszędzie dało się oddychać powietrzem. Poza tym Konstantin był na Marsie tylko z wizytą...

Ciocia przypatrywała się jej z uwagą.

– Rozumiem – odparła, nie tając lekkiej kpiny. – Cóż, wydaje się dość miłym chłopcem.

– On jest miły! I wiesz co? Chce zostać fizykiem, jak tata! Jest naprawdę bardzo inteligentny.

– Inteligencja nie powinna wadzić – rzekła ostrożnie ciocia.

– Myślisz, że tata go polubi? Kiedy już admirał Pierce znajdzie tatę?

Kristen zatrzymała się w pół kroku. Stały pośrodku placu w dzielnicy handlowej, otoczone przez towary w dużej mierze importowane na Marsa skądinąd. Ciocia rozejrzała się, aby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Dopiero potem powiedziała:

– Kochanie, wiem, jak bardzo ci zależy na odzyskaniu taty. Wszyscy tego pragniemy. Chciałabym jednak,

abyś była przygotowana na ewentualność, że admirał Pierce nam go nie odda. Amandzie pociemniało w oczach.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że tata może już nie żyć?

– Tak, to też jest możliwe. Albo admirał Pierce znajdzie go żywego, lecz nie uwolni ze znanych tylko jemu powodów.

– Ale on mówił...

– Wiem, co mówił, skarbie. I wiem, że go polubiłaś. Podobało ci się, z jaką uprzejmością traktują nas żołnierze na jego rozkaz. Musisz jednak zrozumieć, że pod tą pełną czaru powłoką kryje się bardzo niebezpieczny człowiek, znacznie groźniejszy niż generał Stefanak. Zamierzałam ci to wytłumaczyć, zanim zabrali cię na rozmowę, ale major Harper nie odstępował nas ani na krok, nie dając mi szansy. Nie jesteś już dzieckiem, Amando, widzisz, co się dzieje na Marsie. Byłaś naocznym świadkiem niektórych wydarzeń...

Kolana ugięły się pod Amandą. Mimo to poprosiła równym głosem:

– Powiedz mi wszystko.

Ciocia rozejrzała się ponownie, sprawdzając, czy nikt nie znalazł się w zasięgu głosu.

– Ci, którzy sprzeciwiają się admirałowi, znikają. Stefanak zachowywał równowagę pomiędzy pragnieniem władzy a pozorami sprawiedliwości, choć w razie konieczności był gotów poświęcić sprawiedliwość dla władzy. Pierce zdaje się dbać wyłącznie o władzę. Odkąd porwano twojego ojca, utrzymujemy kontakt z jego kolegami. Wszyscy zostali poddani przesłuchaniom, a



powtarzające się pytanie dotyczyło tego, nad czym mógł pracować Thomas Capelo i jaki jego praca miała związek z artefaktem i nowoczesną bronią. Jeden z naukowców, doktor Ewing, nie wrócił z takiego przesłuchania.

Amanda mgliście pamiętała doktora Ewinga.

– Taki wysoki z ryżą bródką? – zapytała niepewnie.

– Tak. Nie był szeroko znany, do tego miał marsjańskie obywatelstwo, przez co jego zniknięcie nie odbiło się większym echem. Nikt nie wie, czemu zniknął.

– Może jest z tatą?

– Może. A może coś podczas przesłuchania poszło nie tak... Niektórzy ludzie są uczuleni na iniekcję Pandyi. Dlatego musisz być bardzo, bardzo ostrożna. Ojciec Konstantina Ouranisa popiera admirała Pierce'a. Interesy... tak, z tym kolorem ci do twarzy, ale zmiana jest dość duża, nie sądzisz? – Dotknęła włosów Amandy. Właśnie przechodził obok nich jakiś żołnierz.

Gdy je minął, Kristen nie podjęła przerwane wątku. Złapała Amandę za rękę i powtórzyła szeptem:

– Musisz być bardzo ostrożna, kochanie. Nigdy nie krytykuj admirała w obecności swoich nowych przyjaciół. Pamiętaj.

Amanda nie wypuszczała dłoni cioci, kiedy wracały do hotelu. Wystarczyło pięć minut, żeby obraz sytuacji uległ całkowitej zmianie. Wszystko przez to, co powiedziała jej ciocia. Mimo to Amanda rozumiała jej pobudki. Tata zawsze twierdził, że faktom należy stawiać czoło. Amanda nie miała nic przeciwko faktom.

Tylko czyby nie mogły czasem, tak dla odmiany, być dobre?

Ciocia powiedziała jej też, że opanowanie i optymizm odziedziczyła po matce, natomiast po ojcu – rozsądek i odwagę. W życiu nie usłyszała od nikogo czegoś równie miłego. Powzięła decyzję, że nie zawiedzie żadnego z rodziców. Pozostanie opanowana, pozostanie optymistycznie nastawiona do świata i pozostanie rozsądna. Taka właśnie będzie.

Właściwie taka już była.

Zamyśliła się. Spróbowała odtworzyć w pamięci wszystko, co powiedziała Konstantinowi i co on jej powiedział, a także wszystko, co wyznała pod wpływem iniekcji Pandyi i co usłyszała od cioci Kristen. Zamierzała stawić czoło faktom, przeanalizować je i wyciągnąć wnioski. Nauka polega na sortowaniu danych, mawiał jej ojciec.

Pół godziny później – ciocia uszanowała jej potrzebę milczenia – Amanda miała już wszystko poukładane na tyle, na ile się dało. Nadal jednak nie rozumiała jednego: czemu ludzie w kitlach tyle pytań poświęcili podróży na Świat sprzed trzech lat? A zwłaszcza podróży powrotnej – ze Świata do Tunelu Czasoprzestrzennego #438 – w czasie której mieli na pokładzie artefakt. Przecież to stare dzieje. Dlaczego tak bardzo interesują admirała Pierce’a i jego podwładnych?

Nie potrafiła wymyślić na to odpowiedzi.

Wujek poinformował je w progę:

– Mam bilety na jutrzejszy rejs o szóstej rano...  
Amando, wyglądasz szalowo.

– Dziękuję – odparła dziewczynka z nieobecną miną.

Coś tu jej się nie zgadzało...

## 19.

### *Na pokładzie okrętu Murasaki*

Lyle i Marbet stali w sali konferencyjnej na pokładzie okrętu wojennego Rady Obrony Sojuszu Solamego, biorąc udział w pierwszej pyskówce w życiu Kaufmana.

Początkowo reagowali spokojnie, aczkolwiek z napięciem, pragnąc przekonać to drugie za wszelką cenę. Gdy przybili do doku Murasakiego, naburmuszony – i dobrze uzbrojony – żandarm wojskowy przyprowadził ich do tego pomieszczenia. Drugi żandarm powiódł Magdalенę w przeciwnym kierunku. Kaufman, który spodziewał się powitania ze strony komandora, a może nawet samego Ethana McChesneya, zaczął protestować, jednakże ponury żołnierz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Teraz Kaufman stwierdził;

– Gdyby nie Magdalena, nie wpuszczono by nas w ogóle na pokład. Jej McChesney ufa, a nam nie.

– W takim razie dorównuje ci głupotą, Lyle. Ta kobieta nie jest godna zaufania. To widać z każdej jej zmarszczki, z każdego gestu. Magdalena ma gdzieś, czy artefakt jest na pokładzie i do czego może zostać użyty. Nie obchodzi jej, że Stefanak zginął, a przy władzy znalazł się Pierce... chyba że ma to wpływ na jej prywatne plany i na jej interesy. A nie zapominaj, że Stefanak był jej kochankiem!

To z jakiegoś powodu rozgniewało Kaufmana bardziej niż cała reszta.

– Nie możesz tego wiedzieć!

– Owszem, mogę i wiem – odparła chłodno Marbet.

– Tak samo jak to, że chętnie zamieniłbyś się z nim na miejsca. Boże, Magdalena jest stara i zużyta, a ty wiesz wokół niej, jakby była rozpaloną suką w rui!

– Jeśli do tego sprowadza się twoja przeceniana „wrażliwość”, cieszy mnie, że nie posiadam tej zdolności.

– Nie posiadasz żadnej zdolności, gdy idzie o rozumienie ludzi! Jesteś równie zaślepiony jak każdy facet opętany pożądaniem. Magdalena wykorzystuje ciebie i wykorzystuje McChesneya. Który przynajmniej nie tryska testosteronem. Mam nadzieję, że nie...

– Ja twoim zdaniem tryskam testosteronem?

– Tak!– Jesteś pewna, że to twoja słynna „wrażliwość”, a nie zwykła zazdrość? – zapytał Kaufman i natychmiast tego pożałował.

Przekroczył pewną granicę, z czego zdał sobie sprawę po fakcie, i naraził się na odpowiedź, która miała nieuchronnie nadejść. Kulturalna rozmowa dwojga cywilizowanych ludzi była przeszłością.

– Zazdrość, Lyle? Doprawdy pochlebiasz sobie. Od lądowania na S wiecie byłeś jeszcze mniej seksualnie pociągający, niż na ogół ci się wydaje. Użalałeś się nad sobą i koncentrowałeś na sobie, i robiłeś z siebie głupca, ilekroć ta kobieta przeszła obok. Nie mogłam być bardziej daleka od zazdrości, gdyż warunkiem zazdrości jest pożądanie. A ty wzbudzałeś we mnie taką samą na-

miętność jak kocur, który liże na przemian swoje rany i swojego kutasika!

Marbet zrobiła minę, jakby też się zapędziła. Co w istocie się stało. Kaufman wiedział, że są słowa, których nie da się cofnąć ani zapomnieć. Pozostają w pamięci na zawsze, zatruwając związek. Nie bez powodu Lyle Kaufman nigdy się nie ożenił.

Marbet zdawszy sobie sprawę z tego, co zrobiła, zakryła dłonią usta.

– Wybacz, Lyle. Nie powinnam była tego mówić.

Nie sprostowała jednak swoich słów.

– Skupmy się na chwili obecnej – odrzekł sztywno.

– McChesney lada moment przejdzie przez te drzwi, wysłucha Magdaleny, ciebie i mnie i podejmie decyzję. Lepiej, żebyśmy mieli spójną wizję tego, co naszym zdaniem trzeba uczynić.

– Trzeba przewieźć artefakt do Układu Słonecznego, gdzie powinien znajdować się od początku, chroniąc ludzkość w ustawieniu na jedenastkę. Trzeba poinformować o tym wszystkie systemy znajdujące się w zasięgu komunikacji radiowej. Jeśli narobimy odpowiednio dużo zamieszania, Pierce’owi pozostanie tylko jedno: przyjąć artefakt na Marsie i traktować nas jak bohaterów, którzy odkryli i naprawili błędy Stefanaka.

– To jedna z możliwości – rzekł Kaufman.

– Podsluchują nas, prawda? – zapytała nagle Marbet. – Dlatego masz taką minę!

Kaufman nie miał pojęcia, jaką robi minę, i było mu wszystko jedno.

– Oczywiście, że nas podsluchują – odparł zirytowany. – Nie rób z siebie naiwniaczki.

– No to po co w og...

– Nie zrozumiesz – uciął, tym samym wyrównując głupi, niepotrzebny i anty – konstruktywny rachunek, zamiast powiedzieć jej o oficjalnych nagraniach i o praktykowanej przez wojskowych sztuce zamieszczania na nich swoich poglądów. Na wszelki wypadek. Nie wyjaśniając tego, utracił szansę na odbudowanie relacji między nimi. Ale to wszystko przez nią. Ech, kobiety...

Kiedyś Kaufman nie dałby się tak łatwo sprowokować. Cała jego kariera wojskowego negocjatora na tym się opierała.

Otworzyły się drzwi sali konferencyjnej i do środka weszli McChesney i Magdalena, która kończyła coś mówić.

– Skoro gra i tak jest skończona... – uśmiechnęła się znacząco do Kaufmana.

*O Boże, oboje ich podsłuchiwali i słyszeli, co Marbet powiedziała o namiętności.*

McChesney rzucił szorstko:

– Włączyłem pole Faradaya. Możemy porozmawiać otwarcie.

Pułkownik Ethan McChesney spędził w wywiadzie całe zawodowe życie, odkąd wstąpił do wojska. To on był głową projektu, dzięki któremu pojmano pierwszego żywego Fallera i umożliwiono Marbet próbę nawiązania kontaktu z Obcym. Szefował kilku projektom specjalnym opracowanym w sztabie generała Stefanaka i na ile orientował się Kaufman, wszystkie zostały przeprowadzone kompetentnie, kompleksowo i dyskretnie – oraz na tyle moralnie, na ile to możliwe w wypadku wywiadu. To ostatnie zwłaszcza czyniło zeń skarb w oczach

Sullivana Stefanaka, który z moralnością był na bakier. Kiedy dosiada się wichrów historii, dobrze mieć zakotwiczony mocno punkt odniesienia na wypadek, gdyby okazał się potrzebny.

Wszelako z tych samych powodów teraz stanowił zagrożenie dla admirała Nikołaja Pierce'a. McChesney był lojalnym, aż nazbyt dobrze poinformowanym agentem odsuniętego od władzy przeciwnika politycznego. Pierce musiał jak najszybciej zaordynować mu iniekcję Pandyi, wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji i jak najskuteczniej się go pozbyć. Jak dotąd nie uczynił tego wyłącznie z tej przyczyny, że nie miał pojęcia, gdzie McChesney – szef superhipertajnego projektu specjalnego znanego tylko paru osobom – fizycznie przebywa. Oczywiście było tylko kwestią czasu, kiedy się tego dowie. Ktoś z wąskiego grona prędzej czy później puści farbę.

McChesney wiedział o tym wszystkim równie dobrze jak Kaufman, może nawet lepiej. McChesney strasznie się zmienił. Gdy Kaufman widział go ostatnio, przed dwoma ziemskimi laty, Ethan McChesney był eleganckim zwawym mężczyzną o zgrabnej budowie ciała i lśniących ciemnych włosach przypominających futro wydry. Tymczasem wychudł i nabrał niezgrabnych ruchów; nawet jego włosy straciły połysk. Poświęcił życie dla organizacji, która obecnie czyhała na jego życie. Niektórych ludzi zdrada boli bardziej niż śmierć.

Wszyscy czworo zasiedli teraz przy jednym końcu dużego stołu konferencyjnego z omnitworzywa. Kaufman wypchnął z myśli swoją sprzeczkę z Marbet i skoncentrował się na chwili obecnej.



– Zaczniemy od przyjrzenia się faktom, zgoda? Artefakt Protektor znajduje się na tym okręcie, Ethanie. Wiemy to z całą pewnością. – Nie dodał, że odgadli to na podstawie zachowania rozhisteryzowanej nieletniej Światanki.

McChesney nie próbował zaprzeczać.

– To prawda. Artefakt jest na pokładzie, odkąd go przywieźliście przed dwoma laty według ziemskiej rachuby. Na wyraźny rozkaz generała Stefanaka został przeniesiony z Alana B. Shepada, kiedy uzupełnialiście zapasy. Wiedziałem o tym tylko ja i komandor Chand.

Kaufman postanowił zmienić taktykę. Wyglądało na to, że nie będzie musiał wyciągać informacji siłą. McChesney sprawiał wrażenie człowieka uszczęśliwionego tym, że nareszcie może zrzucić kamień z serca. Lyle odezwał się więc ze współczuciem, starając się jednak nie przesadzić z dozą emocji w głosie.

– I od tamtej pory cała odpowiedzialność spoczywa na tobie.

– Tak. Nie było nawet rotacji załogi, co oczywiście wzbudza uzasadnione pytania, chociaż nikt nie może na to nic poradzić. W ciągu ostatnich dwóch ziemskich lat, póki nie pojawił się statek Magdaleny u wrót tunelu, mieliśmy tylko jeden wcześniejszy kontakt.

To znaczyło, że McChesney siedzi tu dwa lata całkowicie odcięty od cywilizacji. Tunel czasoprzestrzenny mogły pokonać wyłącznie materialne przedmioty, nie fale nie niosące wiadomości. Do tego McChesney otrzymał zakaz kontaktowania się z placówką w systemie Kaliguli, a i stamtąd nikt nie przyleciał do niego. Załoga okrętu Murasaki równie dobrze mogła zaginąć w akcji, co

zresztą zapewne usłyszeli bliscy marynarzy i żołnierzy. Kaufman przestał się dziwić skwaszonej minie żandarma z doku.

– Czyli nie miałeś pojęcia, że siła frakcji Pierce’a rośnie, ani o tym, że Stefanakowi coś grozi?

– Nie miałem bladego pojęcia o niczym.

– A o zamachu kiedy się dowiedziałeś?

– Wtedy, gdy pojawił się statek Magdaleny... Jesteśmy starymi przyjaciółmi – dodał McChesney. Kaufman siłą woli powstrzymał się od rzucenia spojrzenia na Marbet. – Nie mogłem jej wpuścić na pokład, ale miała najnowsze holoprzekazy i przesłała mi je.

„*W zamian za to, że pozwoliłeś jej wylądować na planecie*” – pomyślał Kaufman. *Nie, musiało być coś jeszcze.* Czekał na ciąg dalszy.

Pałeczkę przejęła Magdalena.

– No dalej, Ethanie, możesz im powiedzieć wszystko. Kiedy się dowiedziałeś, że Stefanak prawdopodobnie pójdzie na dno, poprosiłeś mnie, abym znalazła na tej planet – ce miejsce, gdzie można by ukryć artefakt przed Pierce’em na wypadek najgorszego.

Kaufman poczuł zdziwienie. Czegoś takiego się nie spodziewał. Uznał jednak, że to trzyma się kupy. McChesney znał Pierce’a jak zły szeląg i wiedział, że ten w przeciwieństwie do Stefanaka jest zdolny wykorzystać artefakt ustawiony na trzynastkę: zabrać go do rodzimego systemu Fallerów i tam spróbować usmażyć wroga, nie dbając o zagrożenie dla całego wszechświata.

McChesney jakby dla potwierdzenia powiedział:

– Pierce’a znam z dawien dawna. Różnili się ze Stefanakiem. Stefanak był dobrym żołnierzem. A Pierce nie

słucha nikogo, kogo nie chce słuchać. On byłby w stanie to zrobić, Lyle.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekł z powagą Kaufman.

– Poza tym – wtrąciła Magdalena – prawda jest taka, Ethanie, że gdybyś musiał uciekać, byłoby ci o wiele łatwiej zrobić to bez artefaktu. Którego nawiasem mówiąc, w tej chwili szuka cała armia Sojuszu Solamego.

McChesney był za dobrze wyszkolony, aby się obruszyć na zarzut prywaty. A może był na to za uczciwy. W końcu nikomu nie uśmiecha się umierać. McChesney nie zamierzał też udawać, że Murasaki mógłby się skutecznie bronić. Jeden okręt wojenny przeciwko siłom przysłanym tutaj przez tunel z Układu Słonecznego nie miałby żadnych szans.

Magdalena kontynuowała:

– Jak już powiedziałam Ethanowi, znalazłam odpowiednie miejsce na Świecie. Nie w górach Neury, skąd go wykopaliście, bo jak wiadomo, tam właśnie zaczną poszukiwania. Mówię o podwodnej jaskini na pewnej dalekiej wyspie, wystarczająco dużej i wystarczająco odległej. Marbet mogłaby przekonać tubylców, żeby zachowali milczenie.

„Do tego codziennie gdzieś znika. Dokąd jeździ skimerem?” – pytała retorycznie Anna, opowiadając o pobycie Magdaleny w Gofkit Shamloe.

– Doskonale – odparł McChesney. – Nie mogłem lądować na Świecie wcześniej, ponieważ gdyby siły Pierce’a pojawiły się po tej stronie tunelu i nie zastały Murasakiego na orbicie, udałyby się w pościg, weszły na pokład siłą i rozprawiły się z załogą. A ja jestem odpo-

wiedzialny za moich ludzi. Uznałem, że lepiej zaryzykować, mając nadzieję, że Pierce'owi nie uda się tak szybko mnie namierzyć, i poczekać na powrót Sans Merci ze Świata. Artefakt może polecieć statkiem Magdaleny. Przy pewnej dozie szczęścia nikt nigdy nawet się nie dowie, że tu był. Przelot Sans Merci nie został odnotowany w dzienniku pokładowym Murasakiego. Ludzie Pierce'a przeszukają okręt, przesłuchają ludzi, ale oczywiście nikt nic nie powie nawet pod wpływem farmaceutyków. O artefakcie wiem tylko ja i komandor Chand. A komandor Chand wedle manifestu pokładowego zmarł przed czterema miesiącami z powodu nagłego zatrzymania akcji serca.

– Chand poleci ze mną do tunelu – podchwyciła Magdalena. – Bo chyba nie sądziłeś, Lyle, że wrócę z artefaktem na Świat?

Kaufman nie zwrócił na nią uwagi.

– A co z tobą, Ethanie?

McChesney odparł bez zająknienia:

– Pierce wie, że mam powody go unikać... powody inne niż artefakt.

Samobójstwo. Dwaj żołnierze długo patrzyli sobie w oczy. Zaiste, niektórych ludzi zdrada boli bardziej niż śmierć.

Kaufman rzekł wreszcie:

– To chyba najlepszy plan, Ethanie. Wspomniałeś jednak o dwóch problemach...

– Tak. – McChesney zerknął na Magdalенę i coś przelotnego w jego spojrzeniu zaalarmowało Kaufmana. Siedząca obok niego Marbet również wyprostowała się na krześle. McChesney zaczął wolno mówić: – Drugim

problemem jest doktor Thomas Capelo, który przebywa na pokładzie Murasakiego.

Kaufman nigdy jeszcze nie był tak zaskoczony. Ale zaraz uznał, że taki ruch też miał sens. Umieszczono Toma tam, gdzie artefakt, żeby...

– A Laszlo? Gdzie jest Laszlo?

– Kto? – zapytał McChesney.

Magdalena zerwała się na nogi, przewracając krzesło. Kaufman nie mógł się zdobyć na to, aby spojrzeć jej w twarz.

– Laszlo Damroscher! Mój syn! Był z doktorem Capelo!

– Z doktorem Capelo nie było nikogo, Magdaleno – rzekł McChesney.

– Kłamiesz! Laszlo tu jest!

McChesney był tyleż zdumiony co zaniepokojony.

– Skądże... Na pokład wprowadzono samego doktora Capelo. I to znacznie później niż artefakt... zaledwie przed paroma miesiącami. On...

– Oddaj mi mojego syna! – powiedziała Magdalena głosem ostrym jak potłuczone szkło.

Kaufman wstał.

– Magdaleno... Skoro pułkownik McChesney zapewnia, że go tu nie ma, znaczy, że go nie ma. Ludzie Stefanaka...

– Jeżeli mnie okłamujesz, Ethanie, wytnę ci wątrobę, wiesz, że to zrobię. Chcę osobiście przeszukać każdy centymetr kwadratowy tego okrętu.

Kaufman uczynił gest, którego Magdalena nie mogła zobaczyć. „Pozwól jej, Ethanie”. McChesney skinął głową dopiero po dłuższej chwili.

– Magdaleno, jeśli chcesz, możesz przeszukać okręt. Najpierw jednak usuń statek kurierski z Sans Merci i pozwól zamiast niego załadować artefakt. Sans Merci z artefaktem na pokładzie musi wyruszyć w drogę bezzwłocznie. Potem obaj z pułkownikiem będziemy ci towarzyszyć w trakcie przeszukiwania Murasakiego. Potem, Magdaleno – powtórzył z naciskiem.

– Negocjator do samego końca, co, Lyle? – spytała z cieniem dawnej ironii. Nie potrafiła jednak utrzymać maski, była na to zbyt zdenerwowana. – Zgoda... ładujcie ten cholerny złom.

McChesney wyjaśnił cierpliwie:

– Musisz sama wydać rozkazy załodze. Niech twoi ludzie ustawią statki równolegle burtami.

Magdalena ani drgnęła. Kaufman ujął ją za ramię i delikatnie pociągnął w stronę drzwi. Strząsnęła jego rękę, lecz posłusznie wyszła za McChesneyem, zostawiając Kaufmana i Marbet samych.

– Kiedy Magdalena pęknie, zechce roztrzaskać całą Galaktykę – stwierdziła Marbet.

– Wiem.

– Jesteś pewien, że jej syn nie żyje?

– Na tyle pewien, na ile to możliwe, kiedy nie jest się naocznym świadkiem. Opowiadałem ci przecież o transmisji. To był głos Toma. Moim zdaniem Stefanak stworzył pozory trzymania artefaktu w Pasie, żeby jego wrogowie coś znaleźli, jeśli już zaczną szukać. Uważam też, że z powodów znanych tylko sobie przeniósł tam Toma. Ale gdy Laszlo przypadkiem się napatoczył, generał postanowił umieścić Toma gdzie indziej. Nie pytaj

mnie dlaczego, bo nie wiem. Być może będzie wiedział Tom...

– Nawet nie zapytaliśmy, czy możemy się z nim zobaczyć! – wtrąciła Marbet.

Była to prawda. Rozgoryczony Kaufman odparł:

– Magdalena tak bardzo...

– Wiem. Słuchaj, Lyle... Ona nie jest całkowicie zdrowa psychicznie. Nie możesz na niej polegać bez względu na to, jak potrzebna ci się wydaje. Zresztą po co w ogóle ci ona, skoro Toma już znaleźliśmy?

– Marbet, nie praw mi kazań. Daj pomyśleć.

Jej zielone oczy pociemniały.

– Nie wiedziałam, że nie wolno mi wyrażać własnego zdania. Nie krępuj się, powiedz, czego jeszcze mi nie wolno, a co powinnam. Mam zabrać artefakt na Świat, żeby... jak ujęła to Magdalena... przekonać tubylców do zachowania milczenia?

– Skądże. Wszyscy czworo musimy opuścić system Świata, zanim pojawią się tutaj siły admirała Pierce'a... o ile się pojawią. I musimy zabrać Toma. Całe szczęście, że na statku Magdaleny jest miejsce dla sześciu osób. Nasz został na Świecie. Załoga Sans Merci będzie go musiała zniszczyć, na wypadek gdyby Pierce wysłał swoich ludzi na powierzchnię planety. A teraz chodźmy już do Toma.

Marbet nawet nie wstała.

– Nie zapomniałeś o czymś?

– O czym?

– O tym, że jest z nami Essa.



O Boże, faktycznie zapomniał o światańskim dziecku. Od samego początku przysparzało wyłącznie kłopotów.

– Nie udawaj obrażonego Lyle – rzekła kwaśno Marbet. – Gdyby nie Essa, nawet byś nie wiedział, że artefakt jest na pokładzie Murasakiego.

Kaufman zachował spokój.

– Essa może wrócić statkiem Magdaleny. Jej miejsce jest na Świecie. Idziesz porozmawiać z Tomem czy nie?

Wstała bez słowa i ruszyła za nim.

Tymczasem obie jednostki ustawiły się w przestrzeni równoległe do siebie. Przy połączonych dokach towarowych nie można było zobaczyć, co jest przenoszone z pokładu na pokład. W ten sam sposób przed dwoma laty umieszczono artefakt na pokładzie Murasakiego. Kaufman znajdował się wtedy na pokładzie okrętu Alan B. Shepard. Teoretycznie był odpowiedzialny za ekspedycję, której celem było wydobycie, zbadanie i przewiezienie artefaktu do Układu Słonecznego – nikt się jednak nie zająknął w jego obecności o tym, że artefakt został na pokładzie Murasakiego. Nieoczekiwanie Kaufman zapragnął zobaczyć go na własne oczy.

McChesney i Magdalena już stali w utworzonej wspólnej przestrzeni towarowej. Członkowie załogi Sans Merci przepychali platformę na kółkach ze spoczywającym na niej w metalowym pierścieniu artefaktem. Obiekt wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Kaufman widział go ostatnio. Brudnoszara powierzchnia kuli przypominała metal, choć tak naprawdę była wykonana z jakiejś alotropowej odmiany węgla podobnej do zna-

nych ludziom fulerenów. Rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż „równika” znajdowały się wypukłości – było ich siedem i każda do pewnego stopnia przywodziła na myśl brzeg krateru. W zagłębieniu z kolei tkwiły dwa guziczki. Każdą wypukłość opisywały liczby pierwsze, aczkolwiek tajemniczy budowniczowie najwyraźniej uważali za liczbę pierwszą również jedynek: jeden, dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście i trzynaście złożone z grup kropek.

W celu uaktywnienia danego oznaczenia należało wcisnąć oba guziczki naraz. Zespół Kaufmana – pod naukowym przywództwem Thomasa Capelo – przetestował ustawienia oznaczone jedyneką, dwójką i trójką. Piątka uaktywniła się samoistnie na przestrzeni minionych pięćdziesięciu tysięcy lat za sprawą kawałka skały, który na stałe wcisnął obydwie guziczki wewnątrz tego dołka. Tym samym – przynajmniej zdaniem Syree Johnson – zapewniając Światu ochronę przed destrukcyjną falą, która usmażyła resztę systemu. A także – to już była opinia Anny Sikorski i Dietera Grubera – wywołując pole prawdopodobieństwa o naturze kwantowej, które doprowadziło do wykształcenia u Światan mechanizmu dzielonej rzeczywistości.

Ustawienia oznaczone siódmką, jedenastką i trzynastką zostały rozpracowane wyłącznie teoretycznie, na gruncie matematyki wyższej, przez doktora Thomasa Capelo. Nigdy ich nie przetestowano. Chyba że za test uznać wykorzystanie artefaktu przez Fallerów w systemie Viridiana przy ustawieniu zapewne na siódmkę i napromieniowanie całej ludzkiej populacji tamtej kolonii. W efekcie zginęły miliony osób.

Kaufman wyciągnął rękę i dotknął artefaktu.

– Daje do myślenia, co? – odezwała się Magdalena.  
– Przez cały ten czas porządni obywatele Sojuszu Solamego sądzili, że artefakt chroni ich, ustawiony na jedenastkę. A Stefanak, nic nikomu nie mówiąc, trzymał go tutaj. Jak myślisz, Lyle, dlaczego? W końcu też jesteś wojskowym...

– Nie wiem – odparł Kaufman. Powrócił kpiący ton głosu Magdaleny, jednakże oczy kobiety błyszczały niczym potłuczone szkło, a jej mięśnie były tak napięte, że z pewnością odczuje skutki jeszcze tego samego wieczoru. Kaufman zwrócił się do McChesneya: – Ethanie, chciałbym się zobaczyć z Tomem Capelo.

McChesney spojrział na niego ponurym wzrokiem.

– Jak tylko skończymy tutaj i wyślemy Sans Merci w drogę.

Kaufman się nie upierał. Ukrycie artefaktu, żeby Pierce nie położył na nim łapy, było w obecnej chwili priorytetem. Kaufman nie zapytał też, co McChesney powiedział – a raczej co zamierza powiedzieć – załodze statku Magdaleny. Potrafił się tego domyślić. Ludzie McChesneya pozostaną na Świecie „dla własnego bezpieczeństwa” – być może długie lata. Dowiedzą się, co ich czeka, dopiero gdy znajdą się na powierzchni planety i usłyszą rozkaz, że mają się ukryć w górach Neury bądź w osadach. Żołnierze Pierce’a będą mieli kłopot ze znalezieniem trzydziestu osób, zwłaszcza że nikt im nie powie, czego mają szukać. Statek Magdaleny dogodnie spłonie w atmosferze.

Prawdopodobnie tylko kapitan i pierwszy oficer znali plan. Bez wątpienia jednak układ, jaki zawarła z

nimi Magdalena, okaże się wart wieloletniego przymusowego wygnania.

– Na pokładzie Sans Merci – zwróciła się Marbet do McChesneya – przebywa światańska dziewczynka. Wahadłowiec musi ją dostarczyć pod wskazane przeze mnie koordynaty.

– Światańska dziewczynka?

– To długa historia – włączył się Kaufman. McChesney na szczęście nie zapytał o szczegóły.

Ani też nie przejął się uwagą rzuconą po chwili przez Marbet:

– Zdajecie sobie sprawę, że przywracacie Światu dzieloną rzeczywistość?

Dzielona rzeczywistość... Nawet Kaufman nie uświadamiał sobie tego aż do tej chwili, zabrakło mu czasu na refleksję. Och, Anno!... A ty tak się namęczyłaś, żeby stworzyć podwaliny społeczeństwa, które będzie funkcjonowało bez dzielonej rzeczywistości! Enla, Kalin, cała wioska otoczona przez świeżo wyciosaną palisadę...

Ale to sprawa drugorzędna. Anna Sikorski sobie poradzi. Świat sobie poradzi. A Kaufman miał na głowie dobro całej Galaktyki.

Ustawienie oznaczone trzynastką – zdaniem doktora Capelo – mogło doprowadzić do rozerwania materii cząsteczkowej znanego wszechświata.

Kaufman nie potrafił się doczekać, kiedy McChesney zabierze go do Toma.

20.

*Na pokładzie okrętu Murasaki*

– Mój Boże, nadciąga kawaleria. A może raczej dzikusy... hm, Lyle?

– Witaj, Tom – rzekł Kaufman, dziwiąc się, jaką radość sprawił mu widok doktora Capelo. Całymi miesiącami oglądał jego twarz w holowizji; całymi miesiącami zastanawiał się, czy słynny fizyk żyje czy zginął. A tymczasem teraz Thomas Capelo stał przed nim we własnej osobie. Chudy, zgoda, ale przecież Tom zawsze był szczupły. A do tego pełen energii. I wściekłości.

– Co ty tu kurwa robisz? Co ja tu kurwa robię? Przyleciałeś, żeby przekazać mi nowe rozkazy od generalissimusa Stefanaka?

– Nie, jestem tutaj prywatnie – odparł Kaufman, wiedząc, że od czegoś musi zacząć.

– Co z moją rodziną?

Kaufman się zawahał. Jednakże w wypadku Thomasa Capelo sprawdzało się tylko mówienie prawdy; wszystko inne zbyt drogo kosztowało w konsekwencji.

– Twoja żona i młodsza córka mają się doskonale. Amanda, jak się zdaje, zniknęła. Mieliśmy nadzieję, że jest z tobą.

Capelo poszarzał na twarzy.

– Nie... Nawet nie było jej w domu, kiedy mnie porwali.

– Wygląda na to, że była. W wiadomościach mówiono, że urwała się z pływania. Koleżanki twierdziły, że poszła do domu. Nie ma żadnych dowodów na to, że

została porwana razem z tobą. Zresztą gdyby tak się stało, byłyby tutaj, prawda? Nie padły też żadne żądania okupu ani żądania polityczne. Skoro nikt jej nie porwał, moim zdaniem została w domu, po czym gdzieś się ukryła. – Kaufman miał szczerą nadzieję, że to prawda.

Thomas Capelo zrobił się mniej szary.

– Amanda to niezwykle pomysłowa dziewczynka.

– Wierzę ci – potaknął Kaufman. Zdecydował się już na strategię i zamierzał zrzucić Tomowi na głowę wszystko naraz. – Musimy porozmawiać. Wiele się wydarzyło i mamy podstawy podejrzewać, że artefakt zostanie użyty w ustawieniu na trzynastkę w rodzimym systemie Fallerów.

– Nikt nie jest aż tak głupi. Nawet Stefanak. – Stefanak nie żyje. Zamachu stanu dokonał Nikołaj Pierce.

– Pierce? Ten facet jest obłąkany jak rekin chory na syfilis!

Kaufman w życiu nie słyszał cenniejszej charakterystyki.

– Owszem. Dotąd nie wiedział, że artefakt jest ukryty tutaj, na pokładzie Murasakiego... A ty wiedziałeś?

– Jasne, że wiedziałem. Jak sądzisz, po co ściągnęły mnie tu łachudry Stefanaka? Żołnierze nie mają bladego pojęcia o nauce. Myśleli, że fizyk teoretyczny musi być tam, gdzie badany obiekt, żeby pisać swoje równania. Sarinsen miał dużo szczęścia, że nie musiał dla nich pracować nad teorią czarnych dziur...

– Czym kazali ci się zajmować? – spytała go Marbet.

– Wpływem artefaktu na funkcjonowanie ludzkiego mózgu. Stefanak wołał nie ściągać artefaktu do Układu

Słonecznego, na wypadek gdyby groziło to powstaniem sieczki w głowach jego żołnierzy. Nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia, jak by zdołał zauważyć różnicę. Witaj, Marbet. Witaj, Ethanie. Nadzorca we własnej osobie, jestem zaszczycony...

A zatem to dlatego tutaj tkwił artefakt – i Tom. Nie to jednak było w tej chwili najważniejsze.

– Artefakt jest już w drodze powrotnej na Świat – oznajmił fizykowi Kaufman. – Pierce dotychczas nie miał o niczym pojęcia, najwyraźniej Stefanak traktował tę informację jako wysoce poufną. Prędzej czy później jednak się dowie, a wtedy zacznie go szukać. Naszym zdaniem zechce usmażyć rodzimy system Fallerów. Musimy temu zapobiec.

Capelo przez moment tylko się na niego gapił.

– Proszę, proszę, zrobili się z was Prometeusze na opak. Wiecie, o czym mówię. Ale co będzie, jak Pierce pojawi się tutaj i odkryje naszą wesołą grupkę?

– Właśnie dlatego zmywamy się stąd. Natychmiast. Zabierz wszystko, co mogłoby pomóc w identyfikacji, i...

– Nie ma tego wiele. Porywacze nie dali mi czasu na zabranie albumu rodzinnego.

– ...i wykasuj w systemie okrętowym wszystkie ślady po sobie. Bezzwłocznie.

– Już się robi. Nie zamieniaj się w dyktatora, Lyle. Pozwolisz, że zapytam, jak się stąd zmyjemy? Czyżby pułkownik McChesney łaskawie udostępnił nam statek i postanowił patrzeć w drugą stronę? A nie powinien... Do diabła, kto to taki?



Do pomieszczenia wparowała Magdalena, odsuwając Marbet z przejścia. McChesneyowi udało się pozbyć jej na chwilę, niestety tylko na chwilę. Kaufman sam usunął się z drogi. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby samo jej dotknięcie mogło oparzyć. Nigdy nie widział u nikogo takiego spojrzenia: pełnego rozpaczy, strachu, żalości.

– Czy mój syn jest z panem? Laszlo Damroscher? Mój syn?

Jej pytanie – będące na poły żądaniem, na poły błaganiem – stąpiło sarkazm typowy dla Thomasa Capelo, który także nie wiedział, gdzie podziewa się jedna z jego córek.

Doktor Capelo odpowiedział łagodnie:

– Nie, proszę pani, nie ma tu pani syna. Z tego, co wiem, nie ma tu niczyjogo syna. Jestem tutaj przetrzymywany od miesiący, samotnie, a wcześniej odbyłem długą podróż przez Galaktykę, również w samotności. Przykro mi.

– Był z panem! Pan z nim rozmawiał!

Kaufman za późno się spostrzegł, że nadciąga tsunami. Postanowił ratować sytuację w ostatniej chwili.

– Magdaleno...

– Posłuchaj tego! – Wyciągnęła z kieszeni kostkę informacyjną, tę samą, której Kaufman wysłuchał na Świecie.

Rozległy się głosy dwóch pijanych młodych głupich mężczyzn.

– *Tee-ego nie pwinno tu bycz. – Głos Laszla, bardzo pijanego.*

– *Czszego nie powinno bycz gdzieee? – Jakiś inny młody mężczyzna, tylko nieznacznie mniej pijany. – To zwykła asssteroida.*

– *Nie pwinno jej tu bycz – upierał się Laszlo. – Na-lej mi jeszcze bąbelków.*

– *Wyszły. Wychlałeś do osstaniej kropelki, ty świ-niooo!*

– *Nie ma bą... hep!... belków? No to wracajmy do domu!*

– *To zwykła asss... Nie, to dwie asss tero idy.*

– *Dwie! – ucieszył się nie wiadomo z czego Laszlo.*

– *Ssskąd one się wzięły? Nie powinno ich bycz. Nie tu, na komputerze.*

– *Za... hep!... żaden problem. Grawitacja. To ona miesza. No wiesz loo-owisz.*

– *Zestrzelmy je!*

– *Ta jest! – podniecił się Laszlo i znowu czknął.*

– *Jaką masz tu broń? Pewnie żadnej, ccco? To tylko zabawka bogatego chłopta – sia, a nie żaden tam ssst-tek kurierski...*

– *Właś... właśnie że mam broń. Tato o niii-icznym nie wie. Przemyciłem.*

– *Z ciebie to jest numer, Laszlo!*

– *A jak! Hep! I mama też nie wie. O tej broni, zna-czy.*

– *Na pewno? Twoja ssstynna mamuśka wie niemało. Albo mało. Boże, to jej ciało... Widziałem ją w jednym ssstarym...*

– *Przymknij się, Conner! – odezwał się Laszlo dziko i nagle zaczął mówić wyraźniej. – Komputer, aktywować... no, jak to było?*

– System uzbrojenia, głąbie. Chryste, Laszlo, ty to musisz powiedzieć. No wiesz, aktywacja głosowa.

– Aktywować system uzbrojenia!

– Hej, właśnie dostaliśmy wiadomość z asteroidy – ożywił się Conner, również odzyskując zdolność zrozumiałego mówienia. – Ludzie! Może to jakieś dziewczyny?

– Zbliżacie się do strefy zamkniętej – rozległ się mechaniczny głos. – Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.

– Nie chcą nas tam! – poskarżył się Conner. – Strzelaj!

– Czekać... może...

– Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.

– Pierdolone żmije! — wykrzyknął Conner. – No już, strzelaj!

– Ale ja...

– Pierdolony tchórz!

– Ostatnie ostrzeżenie! Wdarliście się do strefy zamkniętej, wysokiego zagrożenia. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie albo wasza jednostka zostanie ostrzelana.

Wtem dało się słyszeć czwarty głos; ktoś wyrzucał z siebie gorączkowo:

– Do niezidentyfikowanej jednostki... SOS... Pomocy! Jestem tu więziony! Mówi Tom Capelo...

Po czym nastąpił krótki świdrujący dźwięk.

– O mój Boże – jęknął Capelo. – To ja, zanim mnie przenieśli. Miałem nadajnik małego zasięgu. Ci, co mnie trzymali, nie mieli bladego pojęcia, jaki sprzęt jest mi potrzebny do pracy. Żałuję, że nie poprosiłem o wyrzut-

nię promieni protonowych. Pewnie też by mi dali. Kiedy na ekranie pojawił się statek kurierski, bez trudu pokonałem zabezpieczenia asteroidy i przesłałem wiadomość...

– Wiadomość, przez którą przechwycono tamten statek, zgadza się? Tyle już wiemy. – Kaufman mówił podniesionym głosem, stojąc za Magdaleną i dając znaki Tomowi.

Nie spodziewał się, że jego podstęp zadziała: Capelo potrafił być skupiony na sobie, a Magdalenie nie można było odmówić przenikliwości. Okazało się jednak, że jego obawy nie miały podstaw. Z jakiegoś powodu – być może za sprawą współczucia – doktor Capelo stanął na wysokości zadania. Natomiast intelekt Magdaleny przyćmiła niechęć do poznania prawdy. Co tylko potwierdzało niestabilny stan jej zdrowia psychicznego.

– Tak – podchwycił Capelo – moja wiadomość sprawiła, że pojmano tamten statek. Ale jego pasażerowie nigdy do mnie nie dołączyli. Zapewne... zapewne zabrano ich gdzie indziej.

Magdalena skurczyła się w sobie pod wpływem rozczarowania.

– Domyśla się pan dokąd? Ma pan jakiegokolwiek podejrzenia?

– Nie. – Spojrzenie Toma przepełnione było współczuciem.

– W takim razie odlecimy niezwłocznie. Muszę skontaktować się z moimi informatorami w systemie Kaliguli, zanim Pierce podstawy w ich miejsce swoich ludzi. Ethanie, odprowadź mnie do wahadłowca. Dokto-

rze Capelo, bardzo się pan przydał... – Magdalena wypadła na korytarz.

– Co u diabła... – zaczął Capelo.

– Opowiem ci później – odparł Kaufman. – Faktycznie musimy się pośpieszyć i faktycznie potrzebujemy jej informatorów. Wiesz w ogóle, kto to jest?

– Nie.

– Magdalena.

– Nic mi to nie mówi. – Capelo wzruszył ramionami.

Kaufman po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak bardzo oderwani od życia są naukowcy.

– Mniejsza o to. Ruszaj się, Tom.

Capelo stwierdził głucho:

– Jej syn nie żyje.

– Wiem. Ruchy...

– Idę, idę. Chociaż jeśli naprawdę odesłaliście artefakt na miejsce, a Pierce nie ma pojęcia, gdzie go szukać, pośpiech nie jest aż tak konieczny, jak myślisz. Kiedy doszło do zamachu stanu?

– Jakiś tydzień temu.

– Zastanów się, Lyle. Gdyby przeżył ktokolwiek z tych, którzy wiedzieli o miejscu przetrzymywania artefaktu i mnie, Pierce już dawno byłby tutaj. Skoro szuka po omacku, znalezienie tropu zajmie mu miesiące. Jak niby miałby wpaść na to, gdzie Stefanak ukrył artefakt? System tuneli czasoprzestrzennych jest tak skomplikowany...

– Być może masz rację. Nie podzielam jednak twojej wiary w przypadek.

– Nie przypadek, Lyle. Prawdopodobieństwo. To moja dziedzina, jak chyba pamiętasz. Moja działka, moje dzieło, moje dziecko, mój...

Przerwało mu wycie alarmu.

– Co się dzieje? – zapytała Marbet. – Lyle, co to...?

Kaufman przypadł do terminalu, wstukał uniwersalny kod dający dostęp oficerom znajdującym się poza mostkiem i wpatrzył się w ekran z danymi.

– Lyle?

– Zaatakowano nas – rzucił Kaufman. – Ludzie, nie Faberowie. Cztery okręty przybywające z systemu Kaliguli.

– Siły admirała Pierce’a.

Magdalena także usłyszała wycie alarmu. Wyrwało ją z rozpacz, za co była w pewnym sensie wdzięczna.

Laszla nigdy nie było z doktorem Capelo. Straciła tygodnie na wytropienie naukowca i jego córki, wszystko na próżno. Pomimo tylu wysiłków nadal nie miała pojęcia, gdzie ten drań Stefanak uwięził jej syna. Musiała zaczynać od nowa.

Powinna jak najszybciej skontaktować się ze swoimi informatorami w systemie Kaliguli. Major Hofsetter, zawiadujący ruchem w tunelach czasoprzestrzennych, umożliwił jej wycieczkę przez Tunel Czasoprzestrzenny #438 na Świat, nie informując o niczym swej przełożonej. Oczywiście nie zrobił tego chętnie. Jednakże Magdalena знаła od podszewki jego brudne interesy na wojennym czarnym rynku, dzięki którym spał się jeszcze bardziej, zarabiając miliony – po prawdzie dzięki współpracy z jedną z podstawionych korporacji Magda-

leny. Przyparty do muru Nate Hofsetter nie miał więc wielkiego wyboru.

Co ważniejsze, czystki po zamachu raczej na pewno go nie osiągną. Natomiast ani Hofsetter, ani Pierce nie mieli pojęcia, że Magdalena jest świadoma przepływu zysków z interesów tego pierwszego do kieszeni tego drugiego. Hofsetter mógł się czuć bezpiecznie. A dowódca systemu Kaliguli, pani generał Donnor, prawdopodobnie już nie żyła. Pozostała lojalna wobec Stefana. „*Krzyżak na drogę*” – pomyślała Magdalena. Nie cierpiała tej suki.

Hofsetter rzecz jasna nie będzie wiedział, gdzie jest Laszlo, jednakże jeśli naciśnie go wystarczająco mocno, może się okazać, że zna kogoś, kto ma dostęp do informacji o projektach specjalnych. Wiedziała, że sukces będzie ją sporo kosztował.

Przeklęty Laszlo! Dzieci nigdy nie rozumieją, ile kłopotów sprawiają swoim rodzicom. Laszlo nie był tu wyjątkiem. Jak już go znajdzie, da mu do wiwatu. Jak już go znajdzie... jak już go znajdzie... Ale Capelo powiedział...

Jej niezachwiana pewność omal runęła. Lecz właśnie wtedy rozległ się sygnał alarmu.

Zostali zaatakowani! Żołnierze Pierce'a przedostali się tu z systemu Kaliguli!

O Boże... Wzięła się w garść. Cóż, znaczy to tylko, że będzie musiała rozpocząć negocjacje wcześniej, niż zamierzała. Być może na pokładzie jednego z atakujących okrętów jest Hofsetter. A jeśli nawet go nie ma, zdoła się z nim skontaktować.



Ale pozostali – Kaufman, Grant, Capelo i McChesney – już są trupami.

Magdalena przebiegła korytarzem do sali konferencyjnej, czując, że wycie alarmu rozdziera jej bębenki w uszach. Rory i Kendai trzymali się blisko niej. Wpadła za drzwi i zastała na miejscu samego Kaufmana. Capelo zapewne oddalił się z McChesneyem. Po namyśle Magdalena doszła do wniosku, że doktorowi Capelo jednak nic nie będzie. Pierce go wykorzysta, pokaże wszystkim słynnego fizyka porwanego przez złego Stefanaka i uwolnionego przez siły dobrego admirała przywracające porządek w Galaktyce.

Rzuciła w pośpiechu do Kaufmana;

– Idź na mostek, głupcze. Trzymaj się przy Tomie Capelo. Tylko tak zdołasz się uratować. Jeżeli cię ochroni, jeżeli zapowie, że wygada prasie, jak to cię brutalnie zamordowali żołnierze Pierce’a, zostawią cię przy życiu. Będą musieli. No dalej, idź tam!

– Czekałem na ciebie – rzekł spokojnie Kaufman. – Nie rozegramy tego w ten sposób, Magdaleno. Tom i Marbet już się ukryli. Masz nikomu nie mówić, że tu byli. Proszę...

– Nie mówić...

– Nic ci nie przyjdzie z wyjawienia im obecności Toma i Marbet na pokładzie. Zupełnie nic. Tobie nie podadzą serum prawdy. Przynajmniej na razie. Przecież wiesz, co tu robisz.

Magdalena nagle sobie przypomniała, że w tym pomieszczeniu zostało włączone pole Faradaya. Ich rozmowa nie była nagrywana, nikt jej nawet nie mógł słyszeć.

– Lyle, jesteś głupszy, niż myślałam. Dostaniesz iniekcję Pandy i, tak samo jak McChesney i Chand.

Pokręcił głową.

– Nie, jeśli wezmą mnie za zwykłego marynarza.

– Sprawdzą manifest pokładowy.

– Być może. Wtedy rzeczywiście będą mnie mieli. Sądzę jednak, że im głównie chodzi o artefakt. Gdy go znajdą, odlecą razem z nim. Bo nie wydaje mi się, żeby Pierce miał zamiar go przechowywać tutaj wzorem Stefanaka.

„*Oczywiście, że nie...*” – pomyślała Magdalena. Na głos zaś powiedziała:

– A McChesney i Chand...

– Nic już nie powiedzą. – Wyraz twarzy Kaufmana nie zmienił się ani na jotę.

Magdalena zrozumiała. Komandor Chand uznał, że nie może się z nią zabrać, skoro prosto z Murasakiego wybiera się w otwartą misję. Zarówno Ethan McChesney, jak i Prabir Chand nie żyli.

Odparła nieswoim głosem:

– Ethan od dłuższego czasu był już martwy.

– To prawda – przyznał Kaufman, – Nastąpił kolaps moralnego środka jego wszechświata.

– W wypadku niektórych ludzi cały świat opiera się na jednej jedynej rzeczy. Gdy ta rzecz się wali, niebo spada im na głowę. Słabeusze – prychnęła pogardliwie.

Kaufman przyglądał się jej uważnie. Dostrzegła w jego oczach coś, co niezbyt jej się spodobało.

– No dobra, Lyle. Zastosuję się do twego planu. Jak słusznie wykazałeś, nic mi nie przyjdzie z doniesienia na was. A zatem nigdy nawet nie widziałam ciebie ani dok-

tora Capelo, ani sławnej radej panny Wrażliwiec. Powodzenia.

Obróciła się na pięcie i wyszła, kierując się na mostek. Tam dojdzie do przejścia. Musiała się przygotować. Wkrótce padnie pytanie, dlaczego artefakt zmierza w stronę planety na pokładzie jej statku. („McChesney wydał taki rozkaz”). Trzeba będzie wyjaśnić, skąd się w ogóle wzięła w systemie Świata. („Sprawy służbowe”. W razie konieczności poda kilka żenujących szczegółików). Nade wszystko czekał ją ciąg dalszy poszukiwań.

Wbrew sobie poczuła ożywienie w całym ciele. Podchody, spiski, zapędzanie przeciwnika w kozi róg. W tym była najlepsza. To było jej życie. A teraz znowu znalazła się w grze.

## 21.

### *Na pokładzie okrętu Murasaki*

Postarawszy się o współpracę Magdaleny – w stopniu takim, na jaki było ją stać – Kaufman przedostał się do pralni pokładowej. McChesney wyposażył go wcześniej w odpowiednie kody. Za ciężkimi drzwiami roboty uwijały się, piorąc i prasując mundury i pościel, równie obojętne jak zawsze pomimo wycia alarmu. Nawet gdyby doszło do eksplozji rozrywającej okręt na strzępy, w schowku czekałyby czyściutkie mundury.

Kaufman przebrał się w mundur zwykłego marynarza. Załoga spędziła razem dwa lata i znała się na wylot,

jednakże komandor Chand poinformował zawczasu oficerów, którzy z kolei mieli przekazać rozkazy dalej. Milczenie żołnierzy było gwarantowane. Takie było ostatnie życzenie komandora.

Nie myśl o Chandzie ani o McChesneyu. Skup się... Kaufman wiedział, że nie wygląda jak marynarz, nie chodzi jak marynarz. Będzie się musiał sporo napocić.

Biegiem ruszył na dolny pokład. Czterej członkowie załogi jednego ze stanowisk bojowych obrzucili go nieufnym spojrzeniem, lecz zrobili mu miejsce bez gadania. Byli uprzedzeni o jego nadejściu. Kaufman wyszarpnął skafander bojowy z wnęki i naciągnął go szybko na siebie. Wiele czasu upłynęło, odkąd ostatnio dowodził drużyną. Pomyślał jednak, że pamięta, co robić – i bardzo dobrze, ponieważ tamci czterej tylko czekali na jego błąd. A on wolał, żeby byli po jego stronie.

– Mówcie mi Armbruster, jeśli będziecie musieli się do mnie zwracać bezpośrednio. Zapamiętam to sobie. Zapamiętam wszystko.

Twarze im pojaśniały. Jeden, odważniejszy od reszty, odezwał się:

– Sir, czy my...

– Armbruster! Po prostu Armbruster!

– Przepraszam, sir... Armbruster. Czy my się poddamy bez walki?

– Tak. Alarm był tylko na wszelki wypadek.

– Ale to przecież okręty Sojuszu! – przemówił inny marynarz. – Nic nie rozumiem!

Naturalnie, że nic nie rozumieli. Nie mieli kontaktu z Układem Słonecznym przez dwa ziemskie lata i nie

wiedzieli, że na pokładzie znalazł się artefakt. Kaufman był gotów prehandlować dumę oficera za życie.

– W Układzie Słonecznym doszło do rewolucji – powiedział szybko i cicho.

– Generał Stefanak zginął, a...

Któryś z marynarzy wciągnął ze świstem powietrze.

– ...a władzę przejął admirał Pierce. Te okręty przysłał, żeby za wszelką cenę przejąć Murasakiego. Nie sądzę jednak, aby miało dojść do otwarcia ognia. – Mam taką nadzieję, poprawił się w myślach. – Alarm był tylko na wszelki wypadek. No ale teraz już koniec rozmów.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, s... Armbruster. Czy gdy się już poddamy, będziemy mogli wrócić do domu?

– Pewnie tak.

Marynarze pozostaną marynarzami. Dla większości z nich nie miało znaczenia, kto stoi na czele Sojuszu Solamego. Znacznie bardziej istotne było, czy dostaną przepustkę. Kaufman to rozumiał. Zresztą wrogiem powinni być Faberowie, nie inni ludzie.

Znienacka umilkło wycie alarmu.

– Cała załoga na pokład główny – obwieścił zintegrowany system pokładowy.

– Bez wyjątku. Najpierw jednak odłożyć broń.

– Cała załoga? Nawet mechanicy? – jęknął jeden z marynarzy. – Jezusie Planetarny...

Pokład główny, występujący na każdym okręcie wojennym, był pustym obszernym pomieszczeniem wykorzystywanym w sytuacjach, gdy należało zebrać w jednym miejscu wszystkich marynarzy i wszystkich oficerów. Przy takich okazjach nie dałoby się tam wcisnąć szpilki. Poza tym odbywało się na nim przyjmowanie

dygnitarzy, wyświetlanie holofilmów i wszystko inne wymagające przestrzeni. Teraz Kaufman przeciskał się między marynarzami w szyku, garbiąc ramiona i zwieszając lekko głowę. Sądząc ze spojrzeń, jakie otaczający go ludzie posyłali żandarmom, zorientował się, że ci zjawili się z okrętu wojennego, który przycumował do Murasakiego. Rzuciło się w oczy to, że żandarmi byli dobrze uzbrojeni.

Kiedy stawili się już wszyscy, jedna ze ścian rozjaśniła się, ukazując mostek. Stał tam komandor w mundurze galowym z oficerami po obu bokach. Nigdzie nie było ani śladu Magdaleny.

– Do całej załogi. Mówi komandor Blauman. Nieniejszym przejmuję dowództwo na pokładzie Murasakiego zgodnie z rozkazami Rady Obrony Sojuszu Solarnego. Komandor Chand i pułkownik McChesney zostali zwolnieni ze swych stanowisk i uznani za zdrajców. Obecnie są już w drodze do Układu Słonecznego, gdzie czeka ich sąd wojenny.

Kaufman raczej poczuł, niż zobaczył, że załoga wokół niego szemra ze zdziwienia.

– Domyślam się, że to dla was szokująca wiadomość po dwóch latach spędzonych tutaj w odcięciu od świata. W tym czasie ludzkość zapragnęła wzmóc wysiłki mające na celu wygranie wojny z Fallerami. Zdrajcy, którzy hamowali starania innych, zostali wyeliminowani, pomiędzy nimi znalazł się największy zdrajca i tchórz, generał Stefanak. Pod rozkazami admirała Pierce'a armia i marynarka Sojuszu Solarnego będą toczyć bój z Obcymi z całą koncentracją, na jaką je stać, dzięki czemu zwycięstwo jest bliskie. Nasz rodzimy system i

wszystkie kolonie już niedługo będą całkowicie bezpieczne.

Ktoś zakrzyknął i paru marynarzy podchwyciło wiwaty, aczkolwiek dość niemrawo. Reszta po prostu stała oszołomiona.

– Załoga tego okrętu sprawdziła się w długiej służbie, wydatnie przyczyniając się do ostatecznego zwycięstwa ludzkości. Mając to na uwadze, zarządzam bezwzględne zastąpienie obsady Murasakiego zmiennikami przybyłymi z systemu Kaliguli. Zwolnieni ze służby marynarze zostaną odesłani do Układu Słonecznego w ramach przyśpieszonej rotacji, a następnie otrzymają nowe przydziały. Wszyscy jak tu stoicie powinniście być w domach nie później niż za dwa tygodnie.

Tym razem wiwaty były szczerze i donośne. Marynarze spoglądali na siebie radośnie. Kaufman zauważył, że stojąca przed nim kobieta stepuje w miejscu, pozostając w pozycji na baczność.

– Na razie wzywam was do podjęcia przerwanych obowiązków. Rotacja obejmie także oficerów, z których część zostanie zastąpiona jeszcze dziś. Nowo przydzieleni oficerowie sekcji przedstawiają wam szczegóły. Rozejść się. – Ekran pociemniał.

Marynarze rzucali się sobie w objęcia, poklepywali się po plecach albo wyczyniali dzikie figle. Tylko nieliczni mieli zamyśloną minę czy zmarszczone czoło, zastanawiając się nad implikacjami tych nagłych zmian. Ogół cieszył się perspektywą rychłego powrotu do domu.

Kaufman opuścił pokład główny, wtopiwszy się w rozgadaną grupkę. Na korytarzu zwalniał kroku, aż zo-



stał najpierw w tyle, a potem zupełnie sam, po czym korzystając z kodów udostępnionych mu wcześniej przez McChesneya, dostał się do sekcji okrętu z systemami podtrzymywania życia.

Była to najlepsza kryjówka. Systemy były w pełni automatyczne, ich funkcjonowanie monitorowano dzięki zewnętrznym ekranom, a człowiek interweniował wyłącznie w razie problemów. Kaufmana czekało najważniejsze zadanie w całej karierze. Podtrzymanie życia. Tak. Co za ironia. Oby nie okazała się wisielczym humorem.

*Bezszelестnie zamknął za sobą elektroniczny zamek drzwi.*

## 22.

### *Na pokładzie Murasakiego*

W środku znajdowały się różnorakie urządzenia, przewody, skrzynie, kadzie, a nawet zepsute roboty. To tutaj oczyszczano wodę i powietrze na potrzeby całego okrętu. Kaufman zanurkował pod zawieszonymi nisko grubymi rurami i wyminął wydającą tajemnicze buczenie maszynię. W dalekim rogu Capelo i Marbet siedzieli na ławie, opierając się plecami o ścianę. Marbet obejmowała kolana rękami.

- Wszystko dobrze? – powitała go.
- Na razie tak – odparł.

Usiadł z dala od Marbet, po drugiej stronie Toma Capelo. Ich kłótnia, która straciła znaczenie w obliczu późniejszych wydarzeń, mimo wszystko kładła się na nich cieniem.

– Co teraz? – dopytywał Capelo. – Jesteśmy jak szczury, które nawet nie mogą opuścić okrętu po linach. Zastanawiałeś się, co będzie dalej?

Kaufman odpowiedział pytaniem na pytanie:

– A czy ty zbliżyłeś się do rozwiązania kwestii splątania kwantowego w świecie makro?

– Słucham? – Capelo wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. – Zamierzasz uciąć sobie pogawędkę na ten temat w tych okolicznościach?

– Przed paroma tygodniami przeczytałem, że ostatnio pracowałeś nad dopasowaniem splątania kwantowego w świecie makro do swojej teorii pola prawdopodobieństwa. Splątania takiego, z jakim mamy do czynienia w tunelach czasoprzestrzennych. Rzeczywiście tym się zajmowałeś?

– Upraszczając wszystko, tak – przyznał Capelo. – Dlaczego jednak chcesz o tym rozmawiać właśnie teraz?

– Przyszło mi do głowy – rzekł wolno Kaufman – że porwano cię ze względu na twoją bieżącą pracę.

Capelo wydał odrażający odgłos.

– Niemożliwe, Lyle. Moja bieżąca praca jest tak teoretyczna i ezoteryczna, że żaden wojskowy by się nią nie zainteresował. Jej wyniki nie miałyby praktycznych zastosowań... nie dałoby się niczego skonstruować ani rozpirzyć, nie dałoby się też nikogo zabić ani wysadzić z siodła na szczytach władzy. Mówiłem ci już: Stefanak kazał mnie porwać, ponieważ bał się sprowadzić do

Układu Słonecznego artefakt, który być może oddziałuje w jakiś sposób na ludzki mózg. W każdym razie zamierzał się z tym wstrzymać, dopóki nie uzyska ode mnie paru błyskotliwych teorii.

– Wpadłeś na chociaż jedną? – zainteresowała się Marbet.

– Gdzie tam — wzruszył ramionami Capelo. — Ly-le, jak my się stąd wydostaniemy? Oddaję się w twoje sprawne wojskowe ręce.

– Zaczekamy na Magdalenę – odparł Kaufman.

– Też mi strategia.

Do pewnego stopnia Capelo miał rację, jednakże Magdalena naprawdę była im potrzebna. Zanim na pokład wszedł komandor Blauman, Kaufman poskładał do kupy plan, który miał więcej słabych punktów niż nadgniłe jabłko, ale w tak krótkim czasie nie dało się wyślić nic sensowniejszego...

– Co tam się właściwie dzieje? – przerwała jego zamyślenie Marbet.

– Nowy komandor zwołał całą załogę i nakreślił sytuację. Marynarze wrócą do domów. Szczęśliwi i rozproszeni raczej nie będą zadawali niewygodnych pytań. To samo spotka młodszych oficerów. Murasaki z pewnością zostanie wycofany z systemu Świata, jak tylko Blauman odzyska artefakt, co bez wątpienia właśnie czyni. Magdalena zawróci swój statek, nie będzie miała innego wyjścia. Jeśli tego nie zrobi, z łatwością go przechwycą.

– A gdyby tak wysadzić Sans Merci z artefaktem na pokładzie? – zapytała Marbet.

– Nie sądzę, aby artefakt można było zniszczyć – rzekł Capelo. – Obronił się przed każdą bronią, z jakiej w niego wymierzaliśmy. Czego niby mielibyśmy użyć?

– Wiesz jednak, co Pierce zamierza! Zaciągnie artefakt do rodzimego systemu Fallerów i tam ustawi na trzynastkę! W celu unicestwienia całego układu planetarnego!

– Właśnie dlatego tak nam śpieszno do Układu Słonecznego, nieprawdaż? – odparł Capelo bez cienia zwykłego dla niego sarkazmu. – Na miejscu powiadomimy o wszystkim media i Pierce będzie miał związane ręce. Przy takim szumie medialnym nie odważy się przeprowadzić swojego planu z obawy, że Faberowie o wszystkim się dowiedzą i odpowiednio ustawią swój artefakt.

– Nie – zaprzeczył Kaufman. – Wcale nie o to nam chodzi.

Capelo i Marbet wpatrzyli się weń pytająco.

– Długo się nad tym zastanawiałem. I doszedłem do wniosku, że nie mamy dość czasu, aby statkiem Magdaleny dostać się do Układu Słonecznego, zanim Pierce zaciągnie artefakt do rodzimego systemu Fallerów.

– Mielibyśmy przewagę, gdybyśmy uciekli z tej puszki jeszcze dziś – upierał się Capelo. – Ludzie Pierce’a muszą najpierw odzyskać artefakt z pokładu statku Magdaleny, a potem postarać się o wszystkie zatwierdzenia i pozwolenia dotyczące lotu przez system tuneli czasoprzestrzennych, który tonie w biurokracji.

– Stąd do rodzimego systemu Fallerów jest tylko pięć skoków – wtrącił Kaufman.

– A do Układu Słonecznego?

– Osiem. Do tego Magdalena ma pozwolenie na podróż zaledwie do systemu Artemidy. Blauman chce się jej stąd pozbyć, ale nie zamierza jej pozwolić na powrót do domu, zanim Pierce nie dokona swego bohaterskiego czynu.

– Cóż – bąknął Capelo. – I tak mielibyśmy przewagę...

– Posłuchajcie mnie uważnie oboje – przerwał mu Kaufman. – Dobrze sobie wszystko przemyślałem. To się nie uda. Tym razem nie będą czekać na zatwierdzenia i pozwolenia. Pierce przeprowadzi akcję od razu, jak tylko odzyska artefakt. To był atak z zaskoczenia, czy wy tego nie widzicie? A powodzenie ataku z zaskoczenia zależy od szybkości działań i ich precyzji, uczą tego na podstawowym szkoleniu wojskowym! Pierce postawi Sojusz Solamy przed faktem dokonanym. „Patrzcie! Wojna dobiegła końca! Faberowie zostali unicestwieni!” Natomiast masz rację co do biurokracji, Tom. My jesteśmy uzależnieni od zdolności przekonywania Magdaleny, która musiałaby wynegocjować pozwolenie na co najmniej pięć skoków. Nie mówiąc o tym, że po drodze ktoś mógłby nas zidentyfikować, a nawet zabić. Ani o tym, że będąc już w Układzie Słonecznym, zaraz za wrotami Jedynki, musielibyśmy czekać na przedstawicieli mediów i później przekonać ich najpierw do tego, że nie jesteśmy szaleńcami, a potem do naszej teorii o admirałach. No i trzeba jeszcze dodać czas potrzebny na przesłanie pakietów informacyjnych na Marsa i Ziemię... To się nigdy nie uda. Nie zdążymy i już.

– W takim razie jesteśmy bezradni – stwierdziła Marbet. – Nie możemy ani odebrać artefaktu ludziom

Pierce'a, ani poinformować mediów o jego zamiarach. Poza tym... czy Faberowie nie mają swego artefaktu ustawionego na jedenastkę? To by ochroniło ich układ planetarny i tym samym mielibyśmy sytuację patową.

Capelo sarknął.

– Przecież wiemy, że te skurczybyki wożą swój artefakt po całym wszechświecie – cie. Usmażyli system Viridiana, prawda? Może teraz lecą z nim gdzie indziej, planując kolejny atak? Pierce w tym czasie mógłby się podkraść do ich rodzimego systemu i zniszczyć go. – Do jego głosu zakradła się gorycz. – Czy to by było takie złe? W końcu Faberowie to nasz wróg. Zabijają nas milionami...

Marbet położyła mu dłoń na ramieniu współczującym gestem.

Kaufman stłumił zniecierpliwienie. Żadne z nich nie miało pełnego obrazu sytuacji. Oboje jednak byli mu potrzebni. Marbet, Tom, a nawet nieprzewidywalna Magdalena – przynajmniej do czasu.

– Tom, gdyby chodziło tylko o usmażenie rodzimego systemu Faberów, nikt by się nie przejmował. Ale ty ze wszystkich ludzi najlepiej rozumiesz, co się stanie z materią wszechświata, jeśli użyjemy artefaktu ustawionego na trzynastkę w systemie Faberów, jeśli ich artefakt będzie tam ustawiony tak samo.

– Zawsze jest szansa, że go tam nie będzie albo że będzie ustawiony inaczej – utrzymywała Marbet. — Było nie było, wiedzą, co grozi wszechświatowi... Sami nam to powiedzieli, pamiętasz? Może więc nie będzie eskalacji.

– Pozwolą nam wygrać? Akurat!... – Capelo ponownie sarknął. – Zastanów się, kobieto. Faberowie nie chcą nawet nawiązać kontaktu, żeby nam powiedzieć, o co toczy się ta wojna. Nie biorą jeńców. Nie trafiają do niewoli. Ustawią artefakt jak trzeba i zabiorą nas ze sobą do grobu. Aczkolwiek nie od razu... Pamiętaj, że fala, która rozedrze materię trójwymiarowej czasoprzestrzeni, będzie się poruszać z prędkością światła.

Marbet odparła z powagą:

– No to miejmy nadzieję, że Faberowie trzymają swój artefakt ustawiony na jedenastkę w rodzimym systemie. Dojdzie do pata, ale to wszystko.

– To nie tak... Wy tego nie rozumiecie...

– Doprawdy? – zirytował się Capelo. – A co tu jest do rozumienia? Zabójcza siła spotka się z niezłomną obroną. Wszyscy rozejdą się do domów. My też, chyba że Magdalena porzuci nas gdzieś w wielkiej pustce.

Kaufman pomyślał o wszystkim, co mogło im stanąć na przeszkodzie, a było tego niemało. „Szybkość działań i precyzja” – powiedział przedtem Tomowi Capelo. Tymczasem ta sytuacja stanowiła odwrotność ataku z zaskoczenia. Cechowały ją pośpiech, desperacja, ogromne ryzyko; efektem miało być najbardziej pyrrusowe zwycięstwo w historii wszechświata. Nie było jednak alternatywy. Ani czasu.

– Mój plan jest inny. Nie zapominajcie, że nie znacie całości informacji dostępnych wojsku. Magdalena niebawem po nas przyjdzie, więc słuchajcie uważnie. Część z tego, co powiem, jest ściśle tajna, nie przeznaczona dla waszych uszu.

– Ojej – zakpił Capelo. – Czuję się zaszczycony.



– Nie wiecie między innymi, że jeden z tuneli odchodzących od systemu Kaliguli, Tunel Czterysta Trzydzieści Siedem, wiedzie do systemu Allenby’ego. Tamtędy przylecieliśmy; nie ma innej drogi na Świat. System Allenby’ego jest jałowy. Trzy gazowe giganty, żadnych ludzi, żadnych Faberów. W sporym oddaleniu, a tak naprawdę nietypowo daleko od pierwszych wrót znajdują się drugie. Właśnie dlatego wspomniany tunel odkryto dopiero po pewnym czasie. Mowa o Tunelu Dwieście Dziesięć prowadzącym z systemu Allenby’ego do systemu Artemidy, który również pokonaliśmy.

– Robisz nam wykład z historii? – zapytał Capelo.

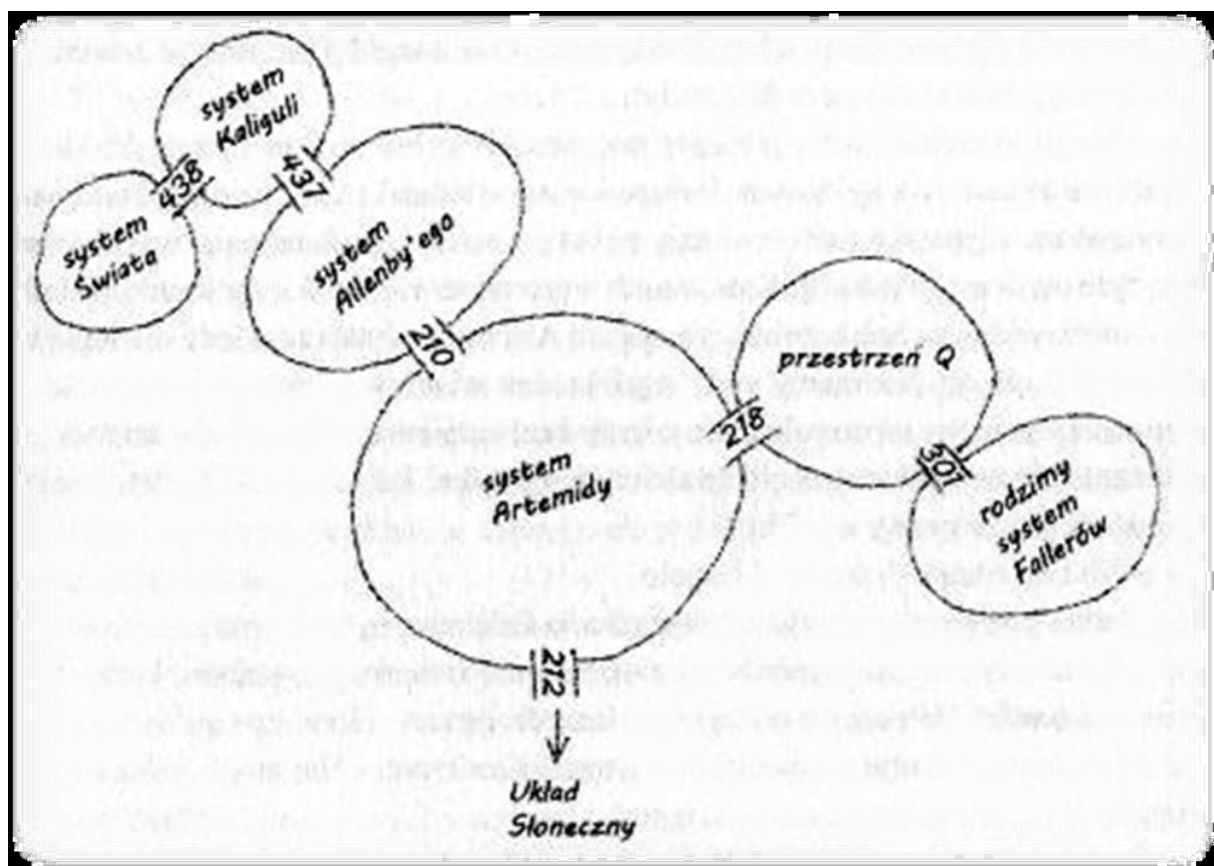
Kaufman puścił mimo uszu jego sarkazm. Wiedział, że to jedyna obrona fizyka przed strachem.

– System Artemidy jest rozległy: skolonizowana planeta, skolonizowany księżyc, stacja kosmiczna i mnóstwo żołnierzy Sojuszu Solamego. Często się tam tankuje przed dalszą drogą, co myśmy też uczynili. W systemie Artemidy jest aż pięć tuneli, dzięki czemu to ważne miejsce przesiadkowe. Jednym z tych tuneli powinniśmy polecieć do Układu Słonecznego. Oczywiście system Artemidy to potencjalny cel dla wroga, dlatego też, jak się powszechnie uważa, stacjonuje tam tyle wojska. Ale jest też inny powód obecności naszej armii. Otóż inny z tuneli, Dwieście Osiemnastka, pozostaje nieużywany i nierekonfigurowany. To zapewne drugi najlepiej strzeżony punkt w Galaktyce, zaraz po wrotach Jedyńki w Układzie Słonecznym.

Marbet odezwała się cichym głosem:

– Dwieście Osiemnastka wiedzie bezpośrednio do rodzimego systemu Faberów, prawda?

– Nie, nie bezpośrednio – odrzekł Kaufman. – To by było zbyt niebezpieczne. Prowadzi do nie mającego nazwy systemu zaklasyfikowanego do kategorii Q, w pełni jałowego i z tylko dwoma tunelami. Pierwszy z nich to Dwieście Osiemnastka, a drugi Trzysta Jedyńska. I właśnie ten wiedzie prosto do rodzimego systemu Faberów. Narysuję wam to...



Przejechał palcem po podłodze, jednakże na powierzchni nie było ani grama kurzu. Przekłęte urządzenia sprzątające zasysające powietrze... Milcząca jak głaz

Matbet wyciągnęła z kieszeni kombinezonu podręczny komputer i wręczyła go Kaufmanowi, który naszkicował niezdarnie:

Następnie Kaufman – świadom wagi ujawnianej informacji – powiedział:

– Mamy z Fallerami umowę, na mocy której trzymamy się z dala od systemu Q.

Capelo aż się wyprostował.

– Umowę? O czym ty mówisz? Przecież oni nigdy nie nawiązali z nami kontaktu!

– Zgadza się. Chodzi o cichą umowę. Stoczyliśmy tam cztery bitwy. Zależało nam na zatrzymaniu ich w obrębie rodzimego systemu. Ta sztuka się nie udała. Fallerowie pojawili się w systemie Viridiana i wymietli tam wszystkich ludzi, z czego wynika, że ich rodzimy system ma co najmniej dwa tunele, a nie tylko wspomniany Tunel Trzysta Jeden. Wszystkie bitwy stoczone w systemie Q przegraliśmy. Co gorsza, walcząc z tylko jednym okrętem. Na którego pokładzie znajdował się artefakt włączony na dwójkę.

– Mieli tarczę. Żadna broń z naszego arsenału nie mogła im uczynić krzywdy.

– Otóż to. I Faberowie wykańczali nas sukcesywnie.

– Kaufman umilkł na moment. Rada Obrony Sojuszu Solarnego utraciła wtedy wielu dobrych żołnierzy. Niektórych z nich znał osobiście. – Po czwartej przegranej zaprzestaliśmy przechodzenia przez Dwieście Osiemnastkę.

Capelo przyglądał się szkicowi.

– Ale dlaczego Faberowie nie przedostali się nim do systemu Artemidy? Gdyby mieli na pokładzie swego

okrętu artefakt ustawiony na dwójkę, nic by im nie groziło. Nie bylibyśmy w stanie ich powstrzymać. A oni mogliby przełączyć artefakt na trzynastkę i załatwić system Artemidy.

– Mogli to zrobić, lecz z jakiegoś powodu ich wybór padł na system Viridiana. Zdaniem dowództwa był to test. Faberowie nie wiedzieli, że użycie artefaktu ustawionego na trzynastkę unicestwi cały układ planetarny, podobnie jak my do czasu nie byliśmy tego świadomi. Ktoś u nich wysunął teorię, ktoś inny ją udowodnił... Być może później chcieli zniszczyć system Artemidy. Tylko że wtedy dosięgła ich informacja, że my też mamy swój artefakt. Jak wiadomo, śledzą nasze przekazy. Nie mamy pojęcia, jak to robią, ale wiemy bez wątplenia, że wychodzi im to lepiej niż nam. My nawet nie rozszyfrowaliśmy ich języka. Tak czy owak Faberowie dowiedzieli się, że mamy artefakt.

– No i co z tego? – warknął Capelo.

Marbet pierwsza zrozumiała tok myślenia Faberów.

– Uznali, że możemy przylecieć z nim do ich rodzimego systemu, korzystając z innego tunelu. Bali się, że odkryliśmy inną drogę...

– Co do tego akurat się pomylili – wtrącił Kaufman.  
– Nie mogli jednak o tym wiedzieć.

– ...i dlatego przenieśli artefakt do swego rodzimego systemu, gdzie włączyli go na jedenastkę. W celu ochrony. Czyli jednak mamy sytuację patową.

Kaufman pokiwał głową.

– Mogli tak postąpić. Ale też mogli zachować się inaczej.

– Jak na mój gust, trochę za dużo tutaj gdybania – rzucił zirytowany Capelo.

Marbet nie pozostała mu dłużna.

– I kto to mówi, Tom?! Twój zawód polega na gdybaniu, wysuwaniu teorii i udowodnianiu ich!

Capelo zaśmiał się mimowolnie. Kaufman uśmiechnął się do Marbet – po raz pierwszy, odkąd się pokłócili.

– Ten drugi tunel czy ich sieć musi wieść z rodzimego systemu Fallerów do ich kolonii albo przynajmniej do placówek militarnych – podjął. – Ludzie nigdy się tam nie pojawili. No więc z czasem Obcy doszli do wniosku, że znamy tylko jedną drogę prowadzącą do ich systemu: przez system Q. I zapewne uważają, że nie jesteśmy jej pewni, skoro żaden człowiek nigdy stamtąd nie powrócił żywy. Tym sposobem doszło do cichej umowy, o której wspomniałem na wstępie. Ludzie nie pokonują Dwieście Osiemnaście, ponieważ system Q jest dobrze strzeżony, i Faberowie również tego nie robią, ponieważ my pilnujemy dobrze systemu Artemidy. Tutaj nie może być wygranych. Zatem wojna toczy się gdzie indziej.

– Lyle, nadal nie rozumiem, dlaczego twoim zdaniem nie dojdzie do sytuacji patowej, jeżeli Pierce zabierze artefakt do ich systemu. Admirał włączy trzynastkę, Faberowie obronią się jedenastką. Krótko mówiąc, nic się nie stanie.

– To jeszcze nie wszystko – odparł Kaufman. – Wiadomo, że przy ustawieniu na jedynekę i trójkę wokół artefaktu rozciąga się strefa bezpieczeństwa, w której nie dochodzi do destabilizacji. Jest to pewnik od pierwszego

eksperymentu Syree Johnson. Ona nie doznała szkody, choć była blisko artefaktu, natomiast jej wahadłowiec, znajdujący się dalej, ucierpiał. Pilot tego wahadłowca zginął. Destabilizacji uległy wszystkie atomy o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć, gdyż wzrosło prawdopodobieństwo wyemitowania cząstki promieniotwórczej alfa. Przy ustawieniach na siódmkę i trzynastkę destabilizacji ulegają atomy o liczbie atomowej wyższej niż pięćdziesiąt. A jednak w bezpośredniej bliskości artefaktu też może się rozciągać strefa bezpieczeństwa. Dlatego okręt Faberów w systemie Viridiana nie doznał uszczerbku.

– Niekoniecznie dlatego – zaproponował Capelo. – Faberowie mogli wysłać przez tunel sam artefakt z uprzednio zaprogramowanym detonatorem włączającym trzynastkę. Fala się rozchodzi, system Viridiana ulega unicestwieniu, Faberowie czekają, aż efekt minie, po czym przedostają się także i zabierają artefakt z powrotem. Przecież i ludzie tam dotarli, by wykonać fotografie usmażonej kolonii, i to dobrej rozdzielczości.

Kaufman pamiętał tamte zdjęcia. Odepchnął wspomnienia od siebie.

– Tak, mogło być też tak, jak mówi Tom – przyznał. – Albo artefakt faktycznie jest otoczony strefą bezpieczeństwa. Nie wiemy tego na pewno. Wracając do gdybania: wiedzielibyśmy o mechanizmie działania artefaktu więcej, gdybyśmy usmażyli jakiś system gwiazdny. Nie zrobiliśmy tego jednak, a Faberowie owszem. Mają więc lepsze rozeznanie w tych sprawach niż my.

– To prawda – podchwycił Capelo. – Nasz artefakt zamiast być w użyciu, tkwił na pokładzie Murasakiego,



podczas gdy ja rzekomo rozpracowywałem go za pomocą swoich mentalnych wici. Co za głupcy...

Kaufman z doświadczenia wiedział, że musi tolerować te komentarze; był to jedyny sposób, by przekonać Toma do poparcia planu, aczkolwiek cenny czas uciekał. Zaczął więc mówić szybciej:

– Faberowie wiedzą o mechanizmie działania artefaktu więcej niż my. Wiedzą, że znamy tylko jedną drogę prowadzącą do ich rodzimego systemu. Pomimo licznych prób nie udało nam się odkryć innej trasy wiodącej przez inny tunel. Dlatego dopóki strzegą systemu Q, nic im z naszej strony nie grozi. Chyba że zabierzemy ze sobą artefakt włączony na dwójkę i staranujemy ich. Owszem, artefakt Faberów włączony na jedenastkę ochroni ich przed nami, ale mimo wszystko będą mieli u siebie w domu ludzi. Z tego, co o nich wiemy, wynika, że bardzo by im się to nie spodobało. W całym wszechświecie nie ma większych ksenofobów niż Faberowie. Podejrzewa się, że są zdolni do wszystkiego, byle utrzymać nas z dala od siebie. Marbet, jesteś jedynym człowiekiem, który nawiązał kontakt z Obcym, a i to dopiero wtedy, gdy Faber dowiedział się od nas, że mamy własny artefakt. Jego przekaz brzmiał: „W żadnym razie nie dopuście do tego, aby obydwu znalazły się w tym samym systemie gwiazdnym!”.

– Streszczaj się – ponaglił go Capelo. – Ta podłoga jest cholernie twarda.

– Tom, rzecz w tym, że jedno i to samo wynika z wojskowości i z psychologii Faberów. Swój artefakt trzymają nie w rodzimym systemie, tylko w systemie Q. Ustawili go nie na jedenastkę, tylko na dwójkę. Tym



samym chroniąc okręt czy stację, na której się znajduje, i mogąc nas rozgromić za pomocą broni konwencjonalnej lub atomowej, gdybyśmy się znowu pojawili na ich tylnym podwórku. Jeśli zabierzemy ze sobą artefakt, dowiedzą się o tym, ponieważ wtedy ich broń nie będzie skuteczna. I natychmiast zmienią ustawienie na trzynastkę, unicestwiając cały system Q, ale nie siebie, bo ich obejmie strefa bezpieczeństwa. Po przejściu fali zgarną nasz artefakt, jeśli wciąż będzie istniał, i od tej pory będą mieli dwa. A jeśli nawet nasz artefakt też ulegnie zniszczeniu, Faberowie będą w posiadaniu jedyne-go ocalałego artefaktu, dzięki któremu zdołają bez trudu unicestwić Układ Słoneczny.

– Boże... – przeraziła się Marbet. – Czy Stefanak o tym wiedział?

– Oczywiście. I dlatego nigdy nie podjął próby zaatakowania rodzimego systemu Faberów. Generał Stefanak był ambitny i bezlitosny, ale na pewno nie głupi.

– Pierce też nie jest głupcem – zauważyła Marbet.

– Nie jest głupcem – zgodził się z nią Kaufman – ale nie interesuje go ani nauka, ani inżynieria. – Zwrócił się do doktora Capelo. – Tom, wydaje mi się, że admirał nie wierzy w twoją teorię pola prawdopodobieństwa. Jego zdaniem to zwykle androny wzięte z sufitu. Pierce jest w stanie uwierzyć, że artefakt ma moc niszczenia obiektów materialnych, takich jak ciała niebieskie, ponieważ widział skutki takiego działania. Jednakże rozdarcie materii czasoprzestrzeni przekracza jego zdolność pojmowania. Ale tak czy owak jest przekonany, że Fallerowie nigdy nie uruchomią artefaktu ustawionego na trzynastkę równocześnie z nami, ponieważ oni jak naj-

bardziej wierzą w te brednie o rozdarciu materii czasoprzestrzeni. Wierzą do tego stopnia, że za pośrednictwem Marbet powiedzieli ci o zagrożeniu, aby przypadkiem nie doszło niechcący do tragedii. Na tej podstawie Pierce utrzymuje, że Obcy nie ustawią swojego artefaktu na trzynastkę w obrębie systemu Q, a co gorsza, hołduje przekonaniu, że nawet gdyby tak się stało, i tak nie wydarzy się nic złego.

– W takim razie jest obłąkany! – wykrzyknął Capello.

– Owszem... Oto, co według mnie uczyni admirał Pierce. Zabierze nasz artefakt do systemu Q i włączy go przy ustawieniu na trzynastkę w celu unicestwienia jednostek Fallerów. Później zgarnie ich artefakt albo i nie zgarnie. Za to na pewno odczeka, aż fala osłabnie, po czym nie niepokojony przez nikogo pokona Trzysta Jedynkę i usmaży rodzimy system Fallerów pozbawiony obrony.

– Myli się... – powiedziała Marbet z namysłem. – Fallerowie wykryją, że artefakt na naszym okręcie jest ustawiony na trzynastkę... prawda? Dowiedzą się, zanim fala ich dosięgnie. Mówiłeś, zdaje się, że rozprzestrzenia się ona z prędkością światła...

– Zgadza się. Ale Fallerowie nie będą się niczego domyślać aż do ostatniej chwili. Przypomnij sobie, jak to się odbywa, Marbet. Fala destabilizacyjna wpływa na atomy o liczbie atomowej wyższej niż pięćdziesiąt, jednakże nie na wszystkie równocześnie. Atomy zaczynają emitować więcej cząstek alfa niż zazwyczaj, potem coraz więcej i jeszcze więcej... Zatem Fallerowie będą mieć czas na aktywowanie swojego artefaktu na trzyna-

stce, zwłaszcza jeśli ma się to stać automatycznie, dzięki urządzeniu zbudowanemu z atomów o liczbie atomowej niższej niż pięćdziesiąt. Łatwizna.

– Chcesz powiedzieć, że świadomi naszego zamiaru unicestwienia ich systemu, zdecydują się na unicestwienie całego trójwymiarowego wszechświata?

– Czemu by nie? – odpowiedział pytaniem Kaufman. – Tym sposobem przegrają wszyscy.

– Pierce musi się o tym dowiedzieć! – wybuchnęła Marbet.

– Mówiłem już... Jest niedowiarkiem. Zakłada trzy możliwe scenariusze. W pierwszym Fallerowie trzymają swój artefakt u siebie w celu ochrony rodzimego systemu; dochodzi do sytuacji patowej; nikt nic nie traci. W drugim artefakt Fallerów znajduje się w systemie Q i nie ma czegoś takiego jak strefa bezpieczeństwa; Pierce niszczy okręt wroga i swoje i unicestwia system Q, ale po jakimś czasie może tam wrócić i przejąć jeden albo nawet oba artefakty, zanim Fallerowie przebywający za wrotami Trzysta Jedyński zorientują się w ogóle, co się stało. W trzecim artefakt znajduje się w systemie Q, lecz Fallerowie żywią tak wielki respekt dla nauki, że nie zaryzykują rozdarcia materii czasoprzestrzeni; w tym wypadku Pierce prze naprzód niepowstrzymywany przez Obcych, gdyż chroni go artefakt ustawiony na dwójkę, i koniec końców unicestwia rodzimy system Fallerów.

– To tylko gdybanie, Lyle – skwitował ponury jak chmura gradowa Capelo. – Ty, Stefanak, Pierce... wy wszyscy tylko snujecie naciągane teorie.

– Być może – odpowiedział Kaufman. – Ale tylko jeden z tych scenariuszy może się sprawdzić. Raczej nie

scenariusz trzeci, gdyż Fallerowie prędzej skazą wszechświat na zagładę, niż pozwolą nam wygrać. Stefanak był tego świadom. Pierce jest nadmiernym egocentrykiem, aby to dostrzec. Poza tym chce umocnić swoją władzę, zostając największym bohaterem wojennym w historii ludzkości. Scenariusz drugi, w którym oba artefakty zostają włączone przy ustawieniu na trzynastkę w tym samym układzie planetarnym, co kończy się transformacją topologiczną sprawiającą, że nic... żaden człowiek, żaden Faller ani żadna bakteria... zupełnie nic nie przetrwa, powinniśmy odrzucić z góry jako wersję nie do zaakceptowania. Możemy zaakceptować tylko scenariusz kończący się sytuacją patową. Osobiście nie uważam, aby artefakt Fallerów ustawiony na jedenastkę znajdował się obecnie w ich systemie, chroniąc ich przed zagładą. Myślę, tak jak myśleli co rozsądniejsi doradcy Stefanaka, że Obcy trzymają artefakt w systemie Q. Ktoś zatem musi przekonać Fallerów do przeniesienia artefaktu i zmiany jego ustawienia.

Thomas Capelo i Marbet Grant wpatrywali się w Kaufmana z otwartymi ustami. Wciśnięci w wąską przestrzeń pomiędzy różnymi urządzeniami przypominali pacynki ze zwiotczalymi kończynami i obliczami bez wyrazu. Po długiej chwili doktor Capelo zapytał:

- Kto?
- My – odparł Kaufman i wyjawiał im swój szaleńczy plan.

*Tharsis,  
Mars*

Gdy zintegrowany system domowy wpuścił Amandę, ciocię Kristen i wujka Martina do apartamentu w Tharsis, okazało się, że wszystkie pomieszczenia są pełne kwiatów. Wszędzie stały ogromne bukiety: zmodyfikowane genetycznie różowe i pasiaste róże; gardeniki charakteryzujące się okazałością goździków i intensywną wonią gardenii; skromne dalie; nawet rosnące na potęgę i nie wymagające wiele światła kwiatuszki, które mieszkańcy Marsa ochrzczili „skalniaczkami”. *Wszystkie kwiaty Tharsis*, pomyślała oszołomiona Amanda. Wszystkie w jednym miejscu...

– A-man-da! – zakrzyknął Konstantin, wyrastając nagle przed nią. – Ty być u domu!

– O mój Boże – westchnęła pod nosem Kristen.

– Witam, doktorze Blumberg. Witam, pani Blumberg – rzekł uprzejmie Konstantin. – Ja mieć kwiaty u Amandy. Ponieważ ona być u domu.

– Są piękne – sapnęła Amanda. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o nich koleżankom w szkole.

– Ty być piękna bardziej – oznajmił z zachwytem chłopiec, wpatrując się w jej jasne włosy i ładne nowe ubranie. – Mocno piękna. Wspaniale!

– Pachnie tutaj jak w domu pogrzebowym – bąknęła ciocia, na co wujek posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

– A twój ojciec? Ty go znaleźć? On też być u domu?

– Jeszcze go nie znaleźliśmy – odparła Amanda, przypominając sobie z bólem ostatnią rozmowę.

Ciocia powiedziała jej, że admirał Pierce, który wcale nie jest taki miły, na jakiego wygląda, może nigdy nie wypuścić doktora Capelo. Powiedziała, że... że tata może nawet nie żyć... że zginął zabity jak inni przeciwnicy przewrotu, którzy po prostu nagle zniknęli. Przyjaciel jej ojca, doktor Ewing, był jedną z takich osób. Ciocia powiedziała jeszcze, że ojciec Konstantina popiera Pierce'a i że Amanda musi zachować wielką ostrożność w obecności tego chłopca i jego siostry, uważając, aby przypadkiem nie wyrazić na głos krytyki admirała.

– Admirał Pierce twój ojciec odnaleźć – zapewnił ją Konstantin z mocą. – Przynieść twój ojciec u domu.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała Amanda.

– O, tak! – potwierdził Konstantin.

Może była to prawda. Ciocia powiedziała też, że ojciec Konstantina i admirał Pierce są dobrymi znajomymi. A ciocia Kristen w życiu nie spotkała admirała Pierce'a, nawet podczas ostatniej podróży do Lowell City. Dlaczego więc Konstantin nie miałby wiedzieć więcej o admirałach niż ciocia? Ta myśl nieco pocieszyła Amandę. Dziewczynka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Czy ja czuję jedzenie? – odezwał się wujek, żeby zmienić temat.

– Tak! Demetria gotować. Wyjść!

– Dziękuję za zaproszenie w moim własnym domu – wymamrotała Kristen. Niewielki stół uginał się od greckich potraw – greckich na tyle, na ile to było możliwe w warunkach marsjańskich. Amandzie pociekła ślinka. Nawet ciocia przestała się chmurzyć. Wszyscy za-

siedli do stołu i rzucili się na jedzenie, a Demetria puchła z dumy.

– A-mand-da, ty w Lowell City opowiedzieć mi?

Amanda przełknęła słodki kęs baklawy i zaczęła ostrożnie:

– Zadawali mi mnóstwo pytań. Opowiedziałam im wszystko, co pamiętałam, i admirał Pierce obiecał, że zacznie szukać mojego taty.

– Wspaniale. Mój ojciec szukać też.

Kristen przestała poruszać żuchwą.

– Słucham?

– Ja dzwonić do ojciec w Grecja. On znać dużo ważne ludzie. Ja poprosić mój ojciec szukać doktor Capelo, ponieważ ja mieszkać u domu jego piękna córka, A-man-da. Ja powiedzieć: A-man-da w Lowell City u admirał Pierce na pytania. Mój ojciec dużo zainteresowanie. On mówić: tak, pomóc szukać.

Ciocia zamknęła oczy.

Wujek przemówił niechętnie, z wielką rezerwą:

– Dziękujemy, Konstantinie. Jestem pewien... jestem pewien, że chciałeś dobrze. Wszyscy mamy nadzieję, że doktor Capelo już niedługo będzie z nami w domu.

– Bardzo duży fizyk – oznajmił Konstantin z powagą. – Inni fizyk bardzo szanować doktor Capelo. Doktor Stajevic dzwonić z Ziemia do pani Blumberg.

– Odsłuchałeś wiadomość, Konstantinie? – spytała lodowato Kristen.

Amanda wstrzymała oddech. Wiedziała, że wujostwo bardzo rygorystycznie podchodzą do sprawy prywatności.



– O, nie! – zaprzeczył chłopiec. – ZISYDO powiedź wiadomość nadejść Wiadomość pani Blumberg, nie ja.

Amanda wypuściła powietrze z płuc.

Ciocia przeprosiła ich na chwilę i wyszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Martin zapytał:

– Konstantynie, czy rodzice nie będą tęsknić za tobą i Demetrią? Nie zechcą ściągnąć was z powrotem na Ziemię?

– O, nie! My chodzić szkoła u Ziemia. Lato nie. My wakacje u Mars. Dużo zainteresowanie, wspaniale. Ja Demetria opiekować.

Demetria usłyszawszy, że brat wymienia jej imię, podniosła wzrok. Minę miała naburmuszoną. „Czyżby z powodu Nikosa?” – zastanowiła się Amanda. Nie знаła podobnie dziwnej rodziny.

Tymczasem z sypialni wróciła ciocia.

– Doktor Stajevic pytał, czy nie mamy jakichś zapi-sków Toma związanych z jego pracą. Zdaje się, że Stajevic zajmuje się tą samą dziedziną i dopóki Tom nie zniknął, wymieniali się pomysłami. Powiedział, że wypracował nowe podejście, jak to określił, i że gdybyśmy mieli notatki Toma, mógłby wszystko zamieścić w Sieci, aby każdy naukowiec miał dostęp do danych.

Wujek zerknął na Amandę i rzekł szybko:

– Ale Tom może w każdej chwili wrócić...

– To samo mu powiedziałam – odparła ciocia, z nienaturalnym zapałem rzucając się na niedokończony gyros.

Zapadła długa cisza; tak długa, że aż boleśnie kalecząca uszy. Wreszcie odezwała się Amanda.

– A... a nad czym pracował tata?

– Nad splątaniem w świecie makro. W połączeniu z teorią pola prawdopodobieństwa. Doszedł do obiecujących pierwszych równań – udzielił odpowiedzi Konstantin, ponownie wyrażając się poprawniej, gdy mówił o fizyce.

Amanda uznała, że musiał zapamiętywać całe ustępy z artykułów naukowych.

Ciocia była równie zdumiona.

– Skąd ty to wiesz?

– Ja fizyka czytać w Sieci. Zawsze. Doktor Capelo zamieszczać dane. Teorie. Prosić inni fizyk o pomoc. Szukać wiecznie odpowiedzi. Duży, duży człowiek.

Wujek odchrząknął.

– Kristen... Skoro tak, może powinniśmy poprosić bostońską policję o zwrot skonfiskowanych papierów Toma, żeby doktor Stajevic mógł zamieścić w Sieci, co uzna za stosowne?

– Pomyślę o tym – odrzekła ciocia.

Po posiłku wszyscy przeszli do salonu. Wujek przywołał na ekran kanał z wiadomościami. Konstantin usiadł na jednym krańcu kanapy, ciocia zajęła drugi. Demetria i wujek usiedli na fotelach. Amandzie pozostał środek kanapy. Dziewczynka przycupnęła nieśmiało obok Konstantina. Z tak bliska doleciał ją zapach chłopca i nagle poczuła ucisk w piersi. Zaczerwieniła się. Całe szczęście, że na nią nie patrzył!

– ...nieoczekiwaną podróż z Lowell City do Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden na pokładzie okrętu

flagowego Władystok. Rzeczniczka prasowa admirała Pierce'a poinformowała media, że pewna „sprawa natury wojskowej” wymaga natychmiastowej uwagi admirała, oraz zapewniła, że Władystok rozwinie maksymalną prędkość, aby skrócić czas nieobecności admirała na Marsie. Szeroko spekuluje się na temat „sprawy natury wojskowej”, jednakże Wierchołek nie ujawnia żadnych dalszych informacji. Na razie nie wiadomo, czy admirał Pierce zamierza opuścić Układ Słoneczny. Na czas swej nieobecności na głównodowodzącego Radą Obrony Sojuszu Solamego wyznaczył generała Yanga Lee, zapewniając Radę Obrony, że pozostanie w stałym kontakcie radiowym ze swoim zastępcą. Tymczasem w Pasie...

– Mój ojciec być u Tunelu Numer Jeden – rzucił niezobowiązująco Konstantin.

Kristen spojrzała na niego.

– Wydawało mi się, że mówiłeś coś o Grecji.

– O, tak. U Grecji. I u Tunelu Numer Jeden. I u Pasu. I u Marsa. Mój ojciec mieć dużo statków. Mój ojciec być w dużo miejsc.

– Rozumiem – skinęła głową ciocia, z czego Amanda domyśliła się, że jej zdaniem chłopiec tylko tak się przechwala.

Amanda wiedziała jednak, że to nieprawda. Konstantin przedstawił fakty. A jej ojciec zawsze powtarzał, że przede wszystkim trzeba patrzeć na fakty. Konstantin to robił i nie było w tym niczego złego!

Konstantin znowu przerwał milczenie:

– Jutro być niedziela.

– I co? – odezwała się Amanda, skoro nikt inny nie zareagował.

– Ty iść kościół, A-man-da? Słuchać msza? Kościół być musieć u Tharsis.

Dziewczynka zdała sobie sprawę, że Konstantin mówi o kościele katolickim.

Sądził, że jest wierząca. No cóż, po raz pierwszy ujrzał ją pod kosmoportem, gdy trzymała w obu rękach kielich brata Meissela, teraz stojący na poczesnym miejscu w sypialni wujostwa.

Amandę zalała niespodziewanie fala wspomnień. Brat Meissel, opactwo Ares. Głębokie męskie głosy podczas śpiewu gregoriańskiego. Jutrznia, nieszpory, kompleta..., «Kiedy staniesz się dzieckiem Bożym w stopniu, w jakim Go to ucieszy, On pośle cię do innych ludzi». To słowa świętego Bazylego, Amando. Zapamiętaj sobie...”.

– A-man-da?

Jej ojciec mawiał, że religia to głupie przesady dla tych, którym nie chce się myśleć. Jednakże brat Meissel nie był głupi i z całą pewnością myślał, chociaż prawie nic z tego, co mówił, nie miało sensu... Amanda znowu poczuła pomieszanie z poplątaniem. Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane?

– A-man-da?

– Tak. Pójdę jutro na mszę z tobą. Wujku, czy w Tharsis jest jakiś kościół katolicki?

– Nie wiem...

Wujek przyglądał się jej osłupiały. Ciocia popatrywała za to z niepokojem. A co tam! Czy to zbrodnia

pójść do kościoła z chłopcem, który jej się podoba? I to z gościem?

– Wspaniale – ucieszył się Konstantin.

Ciocia i wujek nadal gapili się na nią, przez co czuła się niezręcznie. Sytuację uratowała Demetria, która zerwała się z miejsca z okrzykiem:

– Kawa!

Amanda podniosła się z ulgą i skierowała z powrotem do jadalni. Po drodze naszła ją pewna myśl. Zdążyła już zauważyć, że Konstantin rozgościł się w wolnym pokoju. Plecaczek Demetrii leżał obok kanapy, więc dziewczyna pewnie zajęła salon. A gdzie ona będzie spała? Ze złością poczuła, że znów się czerwieni. A niech to! Wszyscy zaraz zauważą...

Nikt jednak niczego nie spostrzegł. Konstantin mówił coś do siostry po grecku. A za plecami Amandy ciocia zwracała się do męża przyciszonym głosem:

– Po co twoim zdaniem Pierce tak zasuwa do tunelu?

– Nie mam pojęcia – odparł wujek.

Dziewczynka odetchnęła. Nikt nie zauważył jej rumieńca. *Wszystko dobrze.*

*Wszystko będzie dobrze...*

## 24.

*W systemie Kaliguli*

Tom Capelo i Marbet Grant patrzyli na Kaufmana, jakby odebrało mu rozum. Siedząc w ukryciu na tyłach sekcji z systemami podtrzymywania życia, wciśnięty między rury, przewody i buczącą maszynierię, Kaufman musiał im przyznać rację. Wszystko spowite było cieniem. Urządzenia wydzielały mnóstwo ciepła. Kaufman czuł, jak pot spływa mu po karku pod sztywną marynarską tunikę, od której zdążył odwyknąć.

– To się nie uda – powiedział Capelo spokojnie, bez śladu zwykłego dla niego sarkazmu. – Lyle, zastanów się... To się nie może udać.

– Sukces jest uzależniony od zbyt wielu zmiennych – poparła go Marbet. – Od widzimi się Magdaleny, zachowania straży w pięciu różnych tunelach... Pięciu! A potem jeszcze... Prawdopodobieństwo powodzenia wynosi zero.

– To chyba ja powinienem się tutaj wypowiadać na temat prawdopodobieństwa – rzucił kwaśno Capelo.

Kaufman ucieszył się, że chociaż jedna z obecnych osób odzyskała równowagę. O ile w ogóle można było mówić o „równowadze” w tych okolicznościach. Mimo wszystko pozwolił Tomowi odparować. Tylko w ten sposób mógł go mieć po swojej stronie. Fizyk kontynuował podobnym tonem:

– Gdybym miał wyliczyć prawdopodobieństwo powodzenia tego obłąkańczego planu, rzekłbym, że oscyluje ono w okolicach toalety. Lyle, nie możemy tego zrobić.

– Co zatem proponujesz? – spytał łagodnie Kaufman.

– Cokolwiek innego!

– Dobrze, zamieniam się w słuch. Może wymyślisz coś sensowniejszego, Tom... Nie polemizuję z tym, że jesteś ode mnie znacznie inteligentniejszy. Musisz jednak się pośpieszyć, bo niedługo przyjdzie po nas Magdalena i nie będziemy mieć więcej okazji do pogawędek na osobności.

– Nie kiwnę palcem, Lyle. Chcę zobaczyć swoje córki jeszcze w tym wcieleniu.

– W porządku. Wracaj do domu, zobacz się z córkami. Nie zapomnij tylko obliczyć, ile czasu będziesz je widział, jeśli materia czasoprzestrzeni ulegnie rozdarciu z powodu uruchomienia obu artefaktów ustawionych na trzynastkę.– Już to zrobiłem – zripostował Capelo. – Fala powodująca transformację topologiczną porusza się z prędkością światła, zatem do Układu Słonecznego dotrze za wiele stuleci. Rodzimy system Fallerów znajduje się w odległości ponad tysiąca lat świetlnych od Ziemi!

– A masz pewność, że ta fala porusza się z prędkością światła, Tom? Bo Dieter twierdził, że gdy zniszczeniu uległ tamten pierwszy artefakt, właśnie tutaj, przy tym tunelu, za sprawą niezapomnianej pułkownik Syree Johnson, fala uderzyła w Świat momentalnie, choć planeta leży miliard kilometrów stąd. Jesteś całkowicie przekonany, że nie występuje splątanie w świecie makro pomiędzy tunelami czasoprzestrzennymi i artefaktami? Czy nie nad tym ostatnio pracowałeś?

– Skąd możesz wiedzieć, nad czym ostatnio pracowałem?

– Śledzę nowinki naukowe. W Sieci – odparł Kaufman. Wciąż pamiętał długie godziny spędzone na pokładzie Sans Merci nad artykułami traktującymi o za-



gadnieniach związanych z fizyką znacznie przekraczającą jego skromną wiedzę; przynajmniej pozwalało mu to unikać Marbet.

Kobieta włączyła się znów do rozmowy:

– Tom... czy Lyle może mieć rację? Czy trzynastka na artefakcie może oznaczać falę o natychmiastowym działaniu w całym znanym wszechświecie?

– Nikt tego nie wie – rzekł Capelo. – Niektóre równania sugerują nawet opóźnienie podobne do obserwowanego w wypadku fali destabilizacyjnej, jednakże niczego nie udowodniono... Niech cię diabli, Lyle! No dobra. Pozwólmy zabłysnąć twemu kretynizmowi. W dalszym ciągu jednak uważam, że skończymy jako trupy, niczego nie osiągnąwszy.

Kaufman zareagował, zanim zdążył pomyśleć.

– Każdy, kto się urodził, musi umrzeć.

Pożałował, że nie ugryzł się w język. Prawda nie powinna brzmieć tak górnolotnie, tak przytłaczająco... Był zwolennikiem małych prawd, lekkich prawd, które kumulują się w coś okazalszego, lecz wciąż banalnego.

Tym razem, jak widać, musiało być inaczej.

– W porządku – rzucił bez sensu. Po czym dodał do Toma: – Zamieńmy się ubraniami.

Capelo zaśmiał się ochryple. Był o prawie dziesięć centymetrów niższy od Kaufmana i ważył jakieś dwadzieścia kilogramów mniej.

– Nie mówię o spodniach – wyjaśnił Kaufman, tłumiąc irytację. – Ale daj mi swoją koszulę, i tak chodzisz rozchełstany. Równie dobrze możesz włożyć marynarską tunikę.

– Najbardziej ze wszystkiego nigdy nie chciałem... znaleźć się w szeregach marynarki Sojuszu Solamego. Podnieść kotwicę, chłopcy...

– Tom, proszę – wtrąciła Marbet, zaoszczędzając fitygi Kaufmanowi.

Pomimo ograniczonej zdolności mchu w tej ciasnocie Kaufman zdjął swoją tunikę i nałożył koszulę Toma. Nie chciała się na nim dopiąć, pozostawił ją więc rozchełstaną. Tunika sięgała fizykowi niemal do kolan i opadała na ramionach. Obydwaj wyglądali komicznie. Marbet się uśmiechnęła.

Drzwi prowadzące z korytarza uchyliły się nagle.

– Chodźcie – rzucił Kaufman – szybko.

Poczołgał się przodem, prowadząc ich na zewnątrz.

Przy drzwiach czekał Kendai, nie Magdalena. Młody ochroniarz gapił się na nich zdziwiony. Brakowało mu dyscypliny starszego Rory'ego, przez co okazywał po sobie emocje. Kaufman odnotował to w pamięci, na wypadek gdyby ta informacja miała mu się w przyszłości przydać.

Prześlizgnęli się pustym korytarzem do równie pustego doku okrętu. Jakim cudem Magdalenie udało się sprawić, że wszyscy akurat znaleźli się gdzie indziej? Zapewne miała swoje sposoby... No i oczywiście marynarze z oddziałów bojowych pognali za Sans Merci, aby ściągnąć na pokład artefakt, który już nigdy nie wróci na powierzchnię Świata. W doku stały tylko dwie jednostki: wahadłowiec służący do lądowań na powierzchni planet oraz statek kurierski Magdaleny.

Czekała na nich wewnątrz razem z Rorym, miotając się między sześcioma fotelami załadowanymi przeróżnym dobrem.

– Co tak długo? – powitała ich bezceremonialnie.

Wcale nie trwało to długo. Jednakże Kaufman się nie odezwał, skupiając uwagę na uprząży siedzenia.

– Możemy lecieć prosto do tunelu?

– Tak, oczywiście. Mamy wolną drogę przez trzy kolejne tunele, aż do systemu Artemidy. Panno Wrażliwiec, ruchy – zwróciła się do Marbet obcesowo. – Nie ma czasu na analizowanie uczuć nas wszystkich.

*Magdalena jest napięta jak struna* – pomyślał Kaufman. Zdenerwowanie emanowało z niej falami jak gorączka. Zasiadła przed sterami, wrota doku otworzyły się na rozkaz z mostka, po czym statek wyleciał w przestrzeń i skierował się od razu ku Tunelowi Czasoprzestrzennemu #438, który prowadził z systemu Świata do systemu Kaliguli.

Wrota tunelu majaczyły przed nimi, tworząc niepojętą plątaninę warstw i duktów przywodzących na myśl spłaszczony pączek. Dziurka w środku zdawała się mętna, mroczna, nijaka... Statek kurierski Magdaleny mknął prosto ku tej szarości. Kaufman zerknął z ukosa na doktora Capelo – ciekawe, co też on tam widzi... Nierozwiązane równania? Niepojęty wyrób Obcych? Przełącznik umożliwiający fali rozprzestrzenieć się błyskawicznie, zamiast poruszać się po bożemu z prędkością światła? Zagrożenie rekonfiguracją czasoprzestrzeni? Pociągnęła śniada twarz Toma nie ujawniała niczego.

Kaufman obrócił się, żeby po raz ostatni rzucić okiem na Świat, lecz zanim zdążył odróżnić glob od ma-

sy gwiazd, statek wleciał w tunel i już wszyscy pasażerowie patrzyli na całkiem inne konstelacje.

\* \* \*

Na orbicie wokół wrót tunelu w systemie Kaliguli krążyła baza wojskowa, widoczne były patrolujące statki kurierskie. Z nieznanym powodów system Kaliguli, pozbawiony zamieszkałych planet, został wyposażony w aż trzy tunele. Najwyraźniej twórcy systemu tuneli czasoprzestrzennych uważali to miejsce za wyjątkowe. Pozostałe dwa tunele znajdowały się obecnie poza zasięgiem wzroku, aczkolwiek ich obecność odnotowały skanery pokładowe.

W systemie Kaliguli nie było żadnych kolonistów – przebywali tutaj wyłącznie żołnierze.

Jednakże baza wojskowa przypominała raczej posterunek drogowki kosmicznej i nigdy nie uczestniczyła w żadnej z bitew. Co ambitniejsi oficerowie usilnie starali się o przeniesienie po odświeżeniu minimalnego czasu. Ci, którzy pozostawali dłużej, byli pozbawieni ambicji, niekompetentni i najczęściej skorumpowani do granic.

– Do niezidentyfikowanej jednostki – odezwał się znużony żołnierz z patrolu.

– Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży.

– Statek kurierski z Sans Merci, lot cywilny, pozwolenie numer jeden-dwa – sześć-cztery „a” wydane w dniu jedenastego lipca – odparła sucho Magdalena.

– Na pokładzie czworo pasażerów.

Kaufman odliczał w myślach czas: jedna sekunda, dwie sekundy... sześć sekund... siedem sekund...

– Statek kurierski z Sans Merci? – powtórzył żołnierz już nie tak znudzonym głosem. – Pozwolenie opiewa na przelot jednostki macierzystej, nie samego statku kurierskiego.

– Pozwolenie uległo zmianie. Proszę sprawdzić przekaz z wojskowego statku kurierskiego, który wyłonił się z tunelu przed godziną. Przekaz miał wysoki priorytet, powinien już zostać rozszyfrowany.

Tym razem cisza trwała dłużej niż siedem sekund. Kaufman potrafił sobie wyobrazić myśli przebiegające przez głowę żołnierzowi ze statku patrolowego. Skąd u diabła cywilne pozwolenie w przekazie wojskowym o wysokim priorytecie? I skąd wiedzą o nim ci cywile?

– Wstęp do systemu Kaliguli zaaprobowany – oznajmił w końcu żołnierz. – Do statku kurierskiego z Sans Merci przewożącego na pokładzie czterech pasażerów. Można kontynuować lot. Dane techniczne dokowania w drodze.

– Dziękuję – rzuciła Magdalena i przerwała połączenie. Aż drżała z napięcia.

Marbet spytała Kaufmana zniżonym głosem:

– Co z Essą?

*Essa...* Kaufman całkiem zapomniał o młodej Świance. Wysłali ją na pokładzie Sans Merci z powrotem na Świat, razem z artefaktem. Tymczasem nastąpiła zmiana planów i statek nie miał dotrzeć na powierzchnię planety. Przejmą go oddziały bojowe Blaumana i zawrócą na Murasakiego. Essa znajdzie się na pokładzie ludz-

kiego okrętu wojennego zdana tylko na siebie. Co Blauman z nią pocznie?

– Całkiem o niej zapomniałeś – rzekła Marbet oskarżycielsko. – A teraz czujesz wyrzuty sumienia.

– Essa nie jest naszym największym zmartwieniem.

– Wiem. Mimo wszystko spoczywa na nas odpowiedzialność za nią.

Kaufman nie podzielał tego zdania. Według niego odpowiedzialność za Essę spoczywała na Magdalenie – przynajmniej teoretycznie. To Magdalena ściągnęła światłańskie dziecko w przestrzeń kosmiczną. Oczywiście Kaufman miał dość oleju w głowie, aby nie powiedzieć tego głośno.

Co w niczym mu nie pomogło. Marbet bez słów potrafiła go przejrzyć na wylot.

W ich polu widzenia znalazła się tutejsza baza wojskowa: żałosna bryła poznaczona niezliczonymi kraterami po uderzeniach meteoroidów. U doku unosiły się statki bojowe i jeden okręt klasy Thor.

– No dobra, maluchy, przerwa na siusiu – rzuciła rozkaz Magdalena. – Tylko się zachowujcie...

Capelo zmilczał pod ostrzegawczym spojrzeniem Kaufmana. Nawet on rozumiał, jak bardzo potrzebują Magdaleny. Bez niej nigdy by nie pokonali tuneli #437 i #210 wiodących do systemu Artemidy. Zresztą później też będzie im potrzebna... Kaufman upomniał się w duchu, aby nie wybiegać zbyt daleko myślą naprzód. Lepiej toczyć tylko jeden bój naraz.

Capelo i Marbet wypięli się z upręży i obydwójce precyzyjnie przeliczyli na dziób. Statki kurierskie nie były projektowane z myślą o wygodzie czy długich podróżach.

Przestrzeń na dziobie była zaś jedynym miejscem, które pozostawało niewidoczne od otwartych drzwi. Mieszczące się tam składziki okazały się za małe nawet dla jednej osoby – z wyjątkiem tego zawieszono skafandrami, które wszakże zajmowały prawie całe wolne miejsce. Mimo to nie mieli wyboru. Domknęli za sobą drzwiczki i po chwili Kaufman usłyszał kliknięcie zamka.

Zapytał wtedy Magdaleny:

– Na pewno nie będą chcieli przeszukać cywilnego statku kurierskiego?

– Powinni to zrobić, jak wiesz. Ale nie, nie ma strachu. Dadzą nam spokój. Baza wojskowa w tym systemie jest pełna leniwych, opasłych, głupich i nieprzyzwoitych marynarzy.

Kaufman zgadzał się z tą opinią, choć formułował ją zawsze w mniej obelżywych słowach. Tak czy owak miał szczerą nadzieję, że Magdalena się nie myli.

Statek na autopilocie zadokował do bazy wojskowej. Gdy tylko w zamkniętym znów doku przywrócono atmosferę, Magdalena wysiadła. Za nią ruszyli dwaj goryle i Lyle Kaufman.

– Paszporty – warknął gburowaty wartownik.

Miał zwichrzone włosy, a przy jak najbardziej regulaminowym pasie z bronią nosił zdecydowanie nieregulaminowy hologram skrwawionego miecza. W doku panował straszny bałagan. „*Gdzie jego przełożony?*” – zainteresował się Kaufman, który najchętniej udzieliłby reprimendy zblazowanemu żołnierzowi. Powstrzymał się jednak i zachował kamienną twarz. Udawał przecież cywila.



Wartownik sprawdził ich paszporty i porównał każdy ze skanem siatkówki. Kaufman ponownie wylegitymował się podrabianym dokumentem na nazwisko Erik James Peltier, którego używał na pokładzie Gwiazdnej Kaskady.

– Czterej cywile w doku, sprawdzeni – warknął do komunikatora. – Dokąd ich skierować?

– Do gabinetu majora Hofsettera – padła odpowiedź.

– Carver, zaprowadź tych czworo do majora Hofsettera – rzucił wartownik do posłańca.

– Troje – poprawiła go Magdalena. Pokazała na młodszego z goryli. – Kendai zostanie przy moim statku.

– Troje – zgodził się wartownik. – Carver!

Posłaniec, który siedział na skrzyni i gapił się w wyświetlacz komputera podręcznego, podniósł się niechętnie na nogi. Kaufman kątem oka dostrzegł, że Carver oglądał pornografię, i aż zazgrzytał zębami. Baza wojskowa czy posterunek drogowki, panowało tu kompletne rozprężenie! Nic dziwnego, że Magdalena bez trudu załatwiła sobie pozwolenia na przelot.

No ale to akurat działało teraz na ich korzyść.

Kobieta zwróciła się do młodego ochroniarza:

– Kendai, nikt nie może wejść na pokład. Czy to jasne?

Kendai odpowiedział skinieniem głowy. Kaufman uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie słyszał jego głosu. Być może chłopak nie potrafił mówić.

Nie zaprzatając sobie tym dłużej myśli, mszył za Carverem, Magdaleną i Rorym przez labirynt korytarzy i wind składających się na tę bazę. Gdzieniedzie – co

odnotował z dużym zadowoleniem – panował regulaminowy porządek. Podłogi i grodzie lśniły czystością, a żołnierze mieli na sobie umundurowanie bez żadnych udrzynień. Członkowie armii Sojuszu Solamego prezentowali się znacznie lepiej niż marynarze, co świadczyło, że rozgrywającą się tu walkę o wpływy marynarka ROSS przegrała z kretesem.

Hofsetter stanowił jednak wyjątek. Ten gruby, lśniący od tłuszczu zawodowy oficer nawet nie wstał na powitanie. Kaufman przejrzał go w mgnieniu oka. Za swoich armijnych czasów starał się pozbywać tego typu ludzi. Hofsetter był gotów opchnąć okręt wojenny, gdyby cena okazała się dobra i gdyby uszło mu to płazem.

– Cześć, Hofsetter – rzuciła Magdalena. – Przyszłam się dogadać.

– Nowy goryl, złotko? Nie wygląda na równie ciętego jak Rory. Do tego ma na sobie połówkę munduru.

– To marynarz z Sans Merci. Nie obchodzi mnie, w co się ubiera. Mam dla ciebie poważną propozycję, Hofsetter. Najpoważniejszą, z jaką się spotkasz na tym zadupiu, więc lepiej nadstaw uszu.

Usiadła na krześle obok Hofsettera, mimo że jej tego nie zaproponował. Kaufman zauważył, że Magdalena nie używa swych kobiecych wdzięków, aby wpłynąć na gospodarza. Zamierzała złożyć mu ofertę. Rory stał na baczność, obserwując zarówno Hofsettera, jak i wejście. Kaufman czynił to samo.

– Chcę, żebyś skombinował dla mnie wszystkie raporty ROSS o incydentach mających miejsce w Pasie w dniu trzeciego lipca tego roku. Wszyćsiusieńkie. Interesuje mnie jeden z tych incydentów i jestem gotowa

przekupić całą marynarke, jeśli będzie trzeba. Ty dostaniesz milion kredytów.

Milion kredytów.

Tylko że coś było nie tak. Hofsetter zrobił wielkie oczy, co zrozumiałe w tej sytuacji, lecz Kaufman poza zdziwieniem i chciwością, jak najbardziej usprawiedliwionymi, dojrzał coś jeszcze. Przebiegłe, wredne poczucie triumfu.

– Milion kredytów – powtórzył na głos Hofsetter.

– Tak. Na kostce weryfikacyjnej.

*Sprytne, pomyślał Kaufman. Tunele czasoprzestrzenne uniemożliwiały wszelką komunikację, także z instytucjami finansowymi i bankami. Kostka weryfikacyjna zachowa ważność do czasu, aż Hofsetter wróci do Układu Słonecznego, pod warunkiem że imperium Magdaleny nie upadnie.*

– No to dawaj. Od ręki powiem ci, co spotkało Laszla Damroschera. Wiem to bez raportów.

Magdalena zaśmiała się bez cienia wesołości w głosie.

– Akurat.

– Naprawdę wiem.

Magdalena wciąż się śmiała pogardliwie, jednakże Kaufman zrozumiał, że Hofsetter nie kłamie. *O Boże, nie... Tylko nie to.* Cały jego plan zasadzał się na wierze Magdaleny w niego, w to, że pomoże jej odnaleźć Laszla. Tylko nie to...

Kobieta zwężyła oczy w szparki.

– Udowodnij.

– Najpierw kostka. Zweryfikowana.

– Goń się. Przygotuję dla ciebie kostkę. Ale weryfikacja dopiero po tym, jak przedstawiś mi to, co nazywasz dowodem.

– W porządku – zgodził się Hofsetter.

Kaufman ponownie dostrzegł w jego małych świńskich oczkach błysk triumfu.

*Jak Magdalena zareaguje?* Tego Kaufman nie był w stanie przewidzieć. Potrzebował Marbet. Ale Marbet tkwiła w schowku na dziobie statku kurierskiego, zamknięta w ciasnej przestrzeni razem z Tomem Capelo. Kaufman był zdany wyłącznie na siebie. I nie mógł pozwolić na zaprzepaszczenie swojej jedynej szansy.

Hofsetter wklepał kod zabezpieczający sejf biurkowy i po chwili wyjął ze środka kostkę informacyjną opatrzoną zwyczajowymi wojskowymi ostrzeżeniami. Umieścił kostkę w czytniku terminalu. Było to standardowe nagranie 2D, nie holo. Na ekranie zabłysnął długi numer poświadczający, że kostka jest oryginalna i nikt przy niej nie majstrował. Gdyby ktokolwiek spróbował naruszyć integralność nagrania, kostka przed chwilą uległaby autodestrukcji. Oczywiście wszystko dawało się obejść, ale w tym wypadku wymagałoby to masy pieniędzy i szczególnych umiejętności. Istniała jednak możliwość, że Magdalena nie uwierzy w autentyczność nagrania... Kaufman wpatrzył się w jej twarz. Kobieta była przekonana o autentyczności nagrania. Dlaczego?

– Ja... powiedzmy, że nabyłem to parę tygodni po twoim pobycie tutaj – rzekł Hofsetter.

Kaufman wiedział już, skąd Magdalena czerpie swoją pewność. Trzy tygodnie temu Hofsetter nie miał pojęcia, że zaginął jej syn. Baza wojskowa w systemie

Kaliguli była niemal tak samo odcięta od cywilizacji jak Świat. Spreparowanie wojskowej kostki informacyjnej w tych warunkach granoczyło z niemożliwością.

Rozpoczęło się odtwarzanie nagrania. Audio i wideo – rozmowa w kokpicie? Nie, to nie był okręt, tylko budynek.

Kaufman słyszał drugą część tego nagrania już wcześniej. Podczas gdy znane głosy powtarzały swoje kwestie, punkt na ekranie się powiększał. Kaufman nie widział ekranów, domyślał się jednak, co pokazują. Odległość, prędkość, przyśpieszenie, ślady termiczne, gotowość broni...

I zrozumiał, co zaraz zobaczy. Uzupełnienie nagrania Magdaleny; to samo wydarzenie widziane z asteroidy. Straszliwe *jin* pasujące do potwornego *jang*.

– Sir... jednostka na ekranie.

– Widzę. Odległość i identyfikator?

– Dobrze pół miliona kilometrów, sir... Statek kurierski, sir.

– Wojskowy?

– Chwil... Nie, sir. Cywilny.

– Co do kurwy... Czekamy, żeby zobaczyć, czy znacznie się zbliżać.

Milczenie.

– Zbliża się, sir.

– Nadaj ostrzeżenie na wszystkich częstotliwościach.

Donośny mechaniczny głos:

– *Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.*

Po dłuższej chwili wynikającej z opóźnienia z powodu głupiej technicznej usterki głos z komunikatora tamtego statku kurierskiego; głos Connera:

– Nie chcą nas tam! – poskarżył się Conner. – Strzelaj!

– Czekaj... może...

– *Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie.*

– Pierdolone źmije! – wykrzyknął Conner. – No już, strzelaj!

– Aleja...

– Pierdolony tchórz!

I znowu głosy wojskowych:

– Sir, jednostka przyśpiesza.

– Jeszcze jedno ostrzeżenie, panie Tambwe.

– Tak jest, sir.

– *Ostatnie ostrzeżenie! Wdarliście się do strefy zamkniętej wysokiego zagrożenia. Zawróćcie i natychmiast się oddalcie albo wasza jednostka zostanie ostrzelana.*

Wtem gorączkowe:

– Do niezidentyfikowanej jednostki... SOS... Pomocy! Jestem tu...

Ponownie wojskowi:

– Co takiego... Jak u diabła ten skurczybyk nadał...

I gorączkowe:

– ...więziony! Mówi...

Wojskowi:

– Ognia!

Gorączkowe:

– Tom Capelo...

Statek kurierski został trafiony niewidzialnym promieniem protonowym. W jednej chwili rósł w oczach, w drugiej w jego miejscu ziała pusta przestrzeń upstrzona odległymi punkcikami gwiazd.

– Trafiony, sir. Mam stworzyć raport o incydencie, sir?

– Nie. Ten projekt wyklucza oficjalne raporty. Zachowaj jednak nagranie.

– Tak jest, sir.

Koniec nagrania.

Magdalena ani drgnęła. Pozornie wydawała się niezmienną, gdy nadal obojętnym wzrokiem wpatrywała się w ekran, wyginając lekko wargi. Hofsetter niezgrabnie podniósł się ze swojego miejsca. Zerknął na Rory'ego, którego twarzy Kaufman nie mógł widzieć. Minęła dłuższa chwila.

Wtem Magdalena opadła na biurko Hofsettera tak nagle, jakby zniknęły jej wszystkie kości. Trwało to tylko sekundę. Zaraz się wyprostowała i wydała z siebie zwierzęcy skowyt, o jaki Kaufman w życiu by nie posądził człowieka. I rzuciła się w stronę Hofsettera, paznokciami sięgając jego oczu.

Mężczyzna zrobił unik, niezgrabny i niemrawy z powodu tuszy, i także się rozkrzyczał. Przerażliwy skowyt Magdaleny nie urwał się, lecz zagłuszał wrzask Hofsettera. W korytarzu rozległ się odgłos kroków. Rory skoczył i odciągnął swoją szefową od gospodarza w tym samym momencie, gdy drzwi się otworzyły i do środka wpadli żandarmi wojskowi. Rory gwałtownym ruchem przekazał Magdalenę Kaufmanowi, po czym przybrał pozycję obronną tak szybko, że Kaufman ułamkiem



umysłu zajętego czym innym zastanowił się, jakimi jeszcze ulepszeniami może się pochwalić Rory. Najlepsi żołnierze nie działali równie błyskawicznie. Skoncentrował się jednak na podtrzymaniu osuwającej się Magdaleny.

Żandarmi stanęli skołowani, oczekując na rozkazy. Hofsetter wyprosił ich gestem.

– Szlag! Ta suka mnie podrapała! Zabierajcie ją stąd!

Magdalena całkiem zwiotczała. Kaufman zamierzał ją na wpół wynieść, na wpół wyciągnąć z gabinetu, gdy Hofsetter zatrzymał go wrzaskiem:

– Najpierw skan! Ja dotrzymałem swojej części umowy!

Kaufman przeniósł na niego wzrok.

– Obiecała!

Kaufman skinął głową Rory'emu, który zawahał się, czekając na rozkazy szefowej. Jednakże Magdalena nie uczyniła najłżejszego gestu. Wargi pozbawione krwi do tego stopnia, że zdawały się sine, miała mocno zaciśnięte. Kaufman wiedział, że to nie potrwa długo. Nie orientował się, jakie jeszcze konszachty połączyły tę kobietę i szefa bazy wojskowej w systemie Kaliguli, i wolał tego nie sprawdzać. Rzucił do ochroniarza:

– Wykonać!

Rory siłą rozwarł powieki jednego oka Magdaleny i machnął przed nim kostką weryfikacyjną. Hofsetter zaprotestował:

– Będzie gównem warta, jeśli ona nie mrugnie!

Rory nachylił się i lekko spoliczkował kobietę. Nie była nieprzytomna; zamrugła. Rory cisnął kostkę na

podłogę. Nie czekając, Kaufman wyszedł z Magdaleną za drzwi. Do osłupiałych żandarmów powiedział:

– Zaprowadźcie nas do doku!

Żandarmi zjeżyli się, ale usłuchali, gdy rozkaz powtórzył Hofsetter.

Jeśli tylko Magdalena pozostanie w stanie szoku do czasu, aż znajdą się na pokładzie statku kurierskiego...

*Marzenia ściętej głowy.* W wąskim korytarzyku na pokładzie E kobieta szarpnęła się w jego objęciach, urażając go boleśnie. Puścił ją i odsunął się odruchowo. Magdalena omal się nie przewróciła, lecz w ostatniej chwili odzyskała równowagę. Kaufman nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Nie ujdzie im to na sucho. Nie pozwolę, żeby uszło im to na sucho. Nie ujdzie im to na sucho. Nie pozwolę, żeby...

Kaufman sięgnął do jej dłoni. Odepchnęła go, powodując, że natychmiast się cofnął. Zobaczył coś, czego Hofsetter nie zauważył. Iglę wystrzelającą spod jej paznokcia, gdy rzuciła mu się do twarzy. Kaufman mógł mieć tylko nadzieję, że trucizna jest z gatunku tych powolnych i uda im się opuścić system Kaliguli, zanim Hofsetter zacznie się wic w męczarniach.

– Nie ujdzie im to na sucho. – Głos miała głuchy, co było znacznie gorsze od wcześniejszego wycia. Wyglądała tak, jakby chciała unicestwić całą Galaktykę, gdyby tylko leżało to w jej mocy.

Kaufman odezwał się z respektem, acz stanowczo:

– Ten żandarm prowadzi nas do naszego statku.

Ku jego wielkiej uldze Magdalena nie zgłosiła sprzeciwu. Parła naprzód, a on został parę kroków w ty-

le, aby nie patrzeć jej w twarz. Z tej perspektywy znów przypominała bezwzględną twórczynię imperium, którą w istocie była.

Nie zdołała jednak utrzymać maski. Gdy zbliżali się do doku, odwróciła się nagle do Kaufmana, który zobaczył, że koszmar wreszcie dotarł do jej szarych komórek, wywołując spustoszenia nie mniej straszliwe niż trucizna zdradziecko zaaplikowana Hofsetterowi.

– Laszlo... – Teraz mówiła szeptem. – Laszlo...

Ponownie zwiotczała i zemdlona osunęła się tam, gdzie stała. Jej organizm wyparł koszmar w jedyny dostępny mu sposób.

Omdlenie również nie potrwa długo. A właśnie przyszła pora na zrealizowanie pierwszego punktu planu Kaufmana. Kto wie jednak, może tak będzie łatwiej. Jeśli tylko Capelo stanie na wysokości zadania...

Tym razem Kaufman nie schylił się po Magdalenę. Ruszył prosto do statku kurierskiego, co znaczyło, że Rory będzie musiał ponieść swoją szefową. Poderwał ją z ziemi, jakby ważyła tyle co piórko. Kaufman minął posłańca stojącego z rozdziawionymi ustami, minął jego nieokrzesanego przełożonego, potem także młodego goryla z niepewną miną i na koniec szarpnięciem otworzył właz statku. Usunął się na bok, żeby przepuścić Rory'ego. Do żołnierzy powiedział:

– Odlatujemy natychmiast. Do ekranów, niech to!

Wartownik pod wpływem jego tonu – którego Kaufman używał przez całe swoje życie, zwracając się do zagubionych żołnierzy – rzucił się pędem do swojej kabiny. Posłaniec pognał za nim i po chwili Kaufman usły-

szał charakterystyczny syk zamykanej śluzy. Lada moment nastąpi dekompresja.

Rory wdrapał się już na pokład i cisnął Magdalenę na siedzenie pasażera zamiast na fotel pilota. Uchyliły się drzwiczki schowka. Kaufman zamarł. Wiedział, że świetnie wyszkolony Rory tylko częścią umysłu myśli o Magdalenie. Resztę uwagi poświęcał Kaufmanowi, zawodowemu żołnierzowi, oraz w mniejszym stopniu drobnej kobiecie i utyskującemu na wszystko naukowcowi. Tak więc mieli dosłownie sekundy, zanim Rory przybierze swoją zwyczajową pozycję plecami do grodzi, omiatając czujnym spojrzeniem całą kabinę. \

Tom Capelo wystrzelił ze schowka. Kaufman zatrzasnął właz, zanim Kendai zdążył wejść na pokład.

Ten paralizator przewidziano dla zwykłego żołnierza, a nie dla faceta udoskonalonego różnymi technikami. W dodatku Capelo – pomimo odległości! – nie trafił Rory’ego w nasadę czaszki, tylko w ramię. Ochroniarz określił się na pięcie i runął na fizyka. Na szczęście paralizator zadziałał natychmiast, toteż spowolnił jego ruchy, nawet jeśli nie doprowadził do pełnego paraliżu. Zanim więc Rory ugodził wzmocnioną pięścią Toma, powodując śmierć na miejscu, dopadł go Kaufman. Który także nie przeżyłby mocarnego uderzenia w pełni sprawnego goryla. Jednakże Rory się potknął, wybałuszając ze zdziwienia oczy. Kaufman ryknął do Toma:

– Dziabnij go jeszcze raz!

W duchu pomodlił się, żeby drugi strzał nie uśmiercił Rory’ego.

Capelo wystrzelił ponownie, chybił i podjął trzecią próbę. Wreszcie ochroniarz przewalił się na swoją nieprzytomną szefową.

– Jezusie, Tom! Marbet by sobie lepiej poradziła!

– No to trzeba było ją poprosić!

Marbet już przecisnęła się obok Toma i zasiadła przed sterami. Powiedziała wyraźnie do komunikatora:

– Otworzyć wrota. Wylatujemy.

Kiedy się rozłączyła, Kaufman rzucił do niej:

– Dziękuję, Marbet...

Ześlizgnęła się z fotela i zaczęła ściągać Rory'ego z Magdaleny, po czym zabrała się do zapinania na obojgu uprzęży.

– Pomóż mi, Tom!

Spełnił jej prośbę. Tymczasem Kaufman zwracał się już do ogłupiałego posłańca i drugiego ochroniarza, który bezradnie walił we właz statku.

– Marynarzu, zgłoszono odlot. Wdrożyć procedurę. Kendai, idź do kabiny, bo inaczej zginiesz, gdy dojdzie do dekompresji.

– Sir... – bąknął posłaniec.

Kaufman zrozumiał, że ten żalosny typek udający marynarza wykona każde polecenie, wyczuwszy autorytet w jego głosie.

– Wykonać, marynarzu! Wszystko macie czarno na białym w rozkazach z mostka!

– Tak jest, sir!

Zadźwiedział sygnał uprzedzający o dekompresji – miarowe buczenie.

Kendai popędził do kabiny. Kaufman z ulgą zobaczył, że wartownik wpuszcza go do środka i ponownie

hermetyzuje drzwi. Nie chciał zabijać młodego ochroniarza, choć zrobiłby to, gdyby przyszło co do czego. Bez skrupułów skazał wartownika na sąd wojenny i w najlepszym razie zakończenie kariery wojskowej, z czego ten głupiec na razie nie zdawał sobie sprawy. Dobrze mu tak.

Z doku wyszano powietrze i rozsunięto służę. Kaufman wyprowadził statek Magdaleny w przestrzeń systemu Kaliguli, po czym skierował go do tunelu prowadzącego do systemu Allenby'ego.

\* \* \*

Była na poły obumarła – ale Laszlo nie żył.

Dokoła coś się działo, jednakże Magdalenie było to obojętne. Już nigdy nic jej nie zainteresuje; już niczym nigdy się nie przejmie. Nic się teraz nie liczyło. Wszystko straciło znaczenie.

Jakżeby inaczej.

Laszlo nie żył.

Ale to przecież niemożliwe. Nadal miała go przed oczami, nadal czuła go w objęciach, nadal jej nozdrza drażnił jego zapach, ten słodki dziecięcy zapach włosek układających się w loki na szyi, miękkich niczym jedwabista pajęczyna. Leżał w kołysce, machając rączkami o pulchnych nadgarstkach przeciętych fałdką jak u różowej lalki. Ona go podnosiła, dźwigała tobolek cięższy, niż na to wyglądał, czując pod dłonią sprężysty kręgosłup. Potem wyciągał do niej ramiona: „Łąsi... łąsi... łąsi...”, a ona go brała na ręce. Latał w kosmosie, siedząc obok niej, taki dumny, gdy pozwoliła mu dotknąć ste-

rów, wyciągał szyję, żeby lepiej wszystko widzieć, kręcąc na wsze strony za dużą głową, taką jak u innych małych chłopców. Śmiał się śmiechem, przy którym cichły wszelkie odgłosy wszechświata i który skłaniał ją do wyteżonej pracy, wzmożonych wysiłków, knowań i planów, byle Laszlo miał wszystko to, czego ona nigdy nie miała; byle był bezpieczny, mimo że ona nigdy nie знаła bezpieczeństwa... Tak, zapewni mu bezpieczeństwo... zawsze...

A teraz on nie żył.

*Pomóż mi, Sualeen, pomóż mi!...*

Ale ona też nie pomogła Sualeen. Sualeen zmarła bez jedynej rzeczy, na której jej zależało: bez nagrobków z prawdziwego zdarzenia dla tych, co odeszli przed nią. May Damroscher z pierwszych pieniędzy, które dostała od Ameriga Daltona, kupiła sobie bilet powrotny do Atlanty, gdzie zapłaciła za rzeźbione granitowe nagrobki dla wszystkich nieżyjących krewnych Sualeen. I osobiście dopilnowała wznoszenia ich na miejscowym cmentarzu.

Starczyło jej jeszcze, żeby odszukać wujka Harrisa. Kiedy już go znalazła, zleciła robogwałt. Nie była nacownym świadkiem ani nawet nie obejrzała holonagrafia, które wykonawca zlecenia przyniósł jej w charakterze dowodu. Wystarczała jej świadomość, że gwałt się odbył i że wujek Harris wiedział, na czyje polecenie.

Była gotowa zabić dla Laszla, jednakże nie mogła go ocalić, ponieważ Laszlo już nie żył. Nie żył i nawet nie miał nagrobka. Sualeen dostała najlepszy nagrobek, jaki można było kupić za pieniądze, jednakże Laszlo...

– Ognia!



– Trafiony, sir. Mam stworzyć raport o incydencie, sir?

Magdalena nie miała pojęcia, że można aż tak cierpieć. Gdy się ruszyła, gdy choćby odetchnęła głębiej, ból smagał jej ciało niczym palący ogień. Dojmujący, przesywający ból...

– Trafiony, sir. Mam stworzyć raport o incydencie, sir?

Zapłacą za to. Już ona dopilnuje, żeby zapłacili. Wszyscy zapłacą...

Cierpiała za bardzo, żeby cokolwiek zrobić. Boże, zabierz mnie, a oddaj Laszla... Niech to się skończy niech to się skończy...

Wszystko się skończyło.

Krzyczała, lecz nikt jej nie słyszał. Ból straty nigdy, przenigdy nie minie.

Laszlo...

## 25.

*Tharsis,*

*Mars*

Kiedy Amanda wróciła z kościoła, dokąd wybrała się z Konstantinem i Deme – trią, zastała puste mieszka-

nie. Ciocia i wujek zostawili jej wiadomość: AMANDO, MUSIELIŚMY WYJŚĆ – WRÓCIMY PRZED OBIADEM.

– Dziwne – skomentowała Amanda.

– Proszę?

Pokazała karteczkę.

– Ciocia i wujek musieli gdzieś wyjść, ale nie napisali, dokąd się wybierają.

Konstantin z wielkim natężeniem odczytał wiadomość, po czym się rozpromienił.

– Demetria ugotować wspaniale obiad! – Odwrócił się i wyrzucił z siebie potok greckich słów do siostry.

Amanda zwalczyła niepokój.

*Dokąd oni mogli pójść? I dlaczego zostawili mnie samą z Konstantinem? No tak, była też Demetria...* Odpowiadała coś bratu i śmiała się, błyskając białymi zębami na tle karminowych warg i oliwkowej skóry. *Jacy oni oboje piękni!... Dzięki modyfikacji genetycznej? Być może.* Amanda nagle poczuła się jak bladawiec, jak chudzielec. Była taka nijaka. Istniało na to specjalne słowo, pamiętała, że poznała je w szkole, ale nie potrafiła sobie teraz przypomnieć.

W kościele było ładnie i strasznie, i smutno – wszystko naraz. Okazało się, że Konstantinowi chodziło o kościół grekokatolicki, którego w Tharsis nie było. Był tylko kościół pod wezwaniem Matki Bożej od Aniołów, którym wszyscy troje musieli się zadowolić. Mimo że był to kościół katolicki, Amanda nie widziała żadnych podobieństw z opactwem Ares. Śpiew był tylko w wykonaniu uczestników nabożeństwa, i do tego naprawdę okropny. Amanda, wspominając brata Meissela i

śpiewanie godzinek, poczuła gulę w gardle. Konstantin to zauważył i dotknął jej dłoni, i to właśnie była ta straszna część. Trzymał ją za rękę do końca pobytu w kościele. Amandzie na przemian robiło się gorąco i zimno, lecz nie zabrała dłoni. Czuła wielkie podniecenie. Żałowała, że nie może opowiedzieć o wszystkim Yaeko albo Julianie, albo Thekli.

Tylko nie tacie. Z jakiegoś powodu Amanda była pewna, że tacie by się nie spodobało, że Konstantin trzymał ją za rękę. Przez to czuła się tak, jakby zawiodła jego zaufanie, co oczywiście było niemądre, niemniej nic nie umiała na to poradzić. Niepokój o ojca tkwił w niej nieprzerwanie, niczym próżnia gotowy ją wessać w każdej chwili.

Poczuła się lepiej w czasie spaceru powrotnego do domu. Konstantin zabrał je obie, Amandę i Demetrię, na śniadanie do kawiarenki. Wyglądało na to, że ma pieniądze w bród. Wszyscy troje, nie zwracając uwagi na żołnierzy w czapkach z zielonymi paskami, rzucili się łąpczywie na jedzenie, po czym rozmawiali po angielsku (Amanda i Konstantin) i po grecku (Konstantin i Demetria) i dużo się śmiali, nawet bez powodu. Było bardzo fajnie.

A teraz Demetria buszowała po kuchni apartamentu cioci Kristen i wujka Martina, przeszukiwała szafki i wyjmowała naczynia. Amanda zdecydowała, że zapyta Konstantina o coś, co od dawna ją nurtowało, nawet jeśli pytanie okaże się wścibskie.

– Twoja rodzina jest zamożna, prawda, Konstantinie?

– Zamożna, tak. Dużo pieniędzy. Wspaniale. Ja ci kupić wszystko, A-man-da!

Zarumieniła się. Nie o to jej chodziło!

– W takim razie czemu Demetria gotuje? Nie macie kucharek? Albo przynajmniej kuchbotów?

– Oczywiście. Dużo kucharka. Dużo kuchbotów też. Demetria gotować, bo Demetria dobra grecka kobieta. Wyjść za Greka.

Zdaniem Amandy nie miało to najmniejszego sensu.

– Czyli... jak będziesz się kiedyś żenił, twoja żona też będzie musiała umieć gotować, tak?

– O, nie! Ja nie brać grecka kobieta. Grecka kobieta nie za ładna. Ty za ładna, A-man-da.

– Ależ Demetria jest śliczna!

Konstantin wzruszył ramionami.

– Nikos myśleć tak. Mój ojciec zadzwonić rano. On chce Demetria u domu. On chce zabrać Demetria.

– Wracacie do Grecji? Na Ziemię?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Ja powiedzieć: niejechać. Ja zostać u Marsa. Mój ojciec... – urwał, szukając słowa. – Kobieta zabrać Demetria.

– Przyśle jakąś panią, żeby zabrała Demetrię do domu?

– Wieczorem. Dobra kobieta. Przyjaciółka wiele lat. Ona być u Marsa, Lowell City już.

– Aha – bąknęła Amanda. – A czy Demetria chce wracać?

– Tak. Nikos pojechać u Grecji znów. Mój ojciec nie wiedzieć.

Najwyraźniej oboje – i Konstantin, i Demetria – regularnie sprzeciwiali się swojemu ojcu. Amanda tego nie rozumiała.

Greczynka wyszła z kuchni, powiedziała coś szybko do Konstantina, uśmiechnęła się do Amandy i zniknęła w pokoju gościnnym, zamykając za sobą drzwi.

– Ona... – Konstantin gestami pokazał czynność pakowania. – I spać. Zanim wieczór. Ona musieć dużo czas.

Amanda nie potrafiła sobie wyobrazić, co takiego Demetria ma do spakowania, że potrzebuje aż tyle czasu. Nie pojmowała też, po co dziewczynie drzemka. Zwłaszcza że Demetria wiecznie tryskała niespożytą energią.

– A-man-da, ty usiąść. Teraz my rozmawiać.

Zaprowadził ją do kanapy w salonie. Amandzie zawsze bardzo się podobał salon wujostwa. Był nieprzesadnie umeblowany prostymi sprzętami. Były tam prawdziwe książki, posążek ptaka w locie i mnóstwo kwiatów, nawet zanim jeszcze Konstantin ogołocił wszystkie kwaciarnie w Tharsis. („*Nie są tanie – powtarzała ciocia Kristen – ale wolę je od modnych strojów. Taką mam fantazję*”). Za oknem i za kopułą rozciągał się widok na skalistą czerwoną równinę Marsa, surową i piękną w zmieniającym się świetle. Salon w domu doktora Capelo w Massachusetts był mroczny i urządzone bez gustu, zawalony zabawkami Sudie i rakietami do tenisa należącymi do Carol oraz oczywiście kostkami zawierającymi dane z badań jej ojca, a także kurtkami, butami i komunikatorami ich wszystkich.

– Ja chceć powiedzieć tobie coś bardzo ważne, A-man-da. Dwa bardzo ważne cosie.

– Tak? – Amanda zaczęła oddychać szybciej, nie wiedząc nawet dlaczego.

– Pierwsze coś: ja zrobić wszystko, żeby pomóc twój ojciec, doktor Capelo. Wszystko. Ty spytać, czy mój ojciec zamożny. Tak. Bardzo bardzo zamożny. Ja mieć – Konstantin wtrącił greckie słówko, którego znaczenia Amanda nie zrozumiała – pieniędzy mój ojciec. On dobry dla mnie. Ja mieć zawsze dużo pieniądze, on nie pytać mnie. Jeśli ty potrzebować pieniądze dla twój ojciec, ty powiedzieć. Zawsze. Nie pytać. Powiedzieć. Tak?

– Tak. Dziękuję. – Pomyślała, że Konstantin jest słodki. Nie wyobrażała sobie, by pieniądze miały pomóc w odnalezieniu jej ojca, ale uważała, że sama propozycja jest naprawdę słodka.

– Drugie coś: mój ojciec znać admirał Pierce. Dużo znać. Jak ty chceć pomóc twój ojciec, ty powiedzieć mnie, ja powiedzieć mój ojciec, a mój ojciec powiedzieć admirał Pierce. Tak?

„*Musisz być bardzo ostrożna, kochanie. Nigdy nie krytykuj admirała w obecności swoich nowych przyjaciół...*” – przestrzegła ją ciocia Kristen. Czyżby Konstantin właśnie namawiał ją, aby powiedziała o admirale coś, czego nie powinna powiedzieć? Nie miała go za kogoś tego rodzaju, ale...

Milczała tak długo, że w końcu spytał:

– A-man-da? Ty wierzyć mnie? Ja poprosić mój ojciec wszystko, żeby pomóc tobie, tak?

– Tak, wierzę ci, Konstantinie.

– Wspaniale. Nie tylko dużo pieniądze. Też dużo statek, cały Układ Słoneczny. A ja znać kody. Mój ojciec podać mi... – znowu utknął – potrzebować transport szybko.

To zrobiło na niej wrażenie. Amanda bardzo by chciała mieć statki kosmiczne na swoje skinienie, coś takiego przydałoby jej się szczególnie ostatnimi czasy. Ten Konstantin to naprawdę ktoś ważny. Jak to możliwe, że poświęca jej tak dużo uwagi?

– Dziękuję.

– Ty wierzyć mi, tak? Ja wysłać statki tam, gdzie chcesz ty. Jeszcze mieć pytanie do ciebie.

– Pytaj śmiało.

„Co znowu?” – zastanowiła się w duchu. Z Yaeko, Julianą i Theklą często rozmawiały o chłopcach, o różnych rzeczach i o tym, no, o seksie, t wszystkie zgodnie uznały, że jeśli chłopiec poprosi je o seks, odmówią. Bo to niebezpieczne, a poza tym one nie są jeszcze dorosłe i mogą odmówić, szczególnie gdy będą trzymały się razem. W szkole zawsze im powtarzano, że młode dziewczęta potrzebują wzajemnego wsparcia podczas prywatnych bojów. Teraz Amanda zebrała się w sobie, czekając na pytanie Konstantina.

– Ile masz lat?

Tylko o to chciał ją zapytać? Chociaż... Jeśli powie mu prawdę, na pewno przestanie ją lubić. A tego bardzo by nie chciała. Nie chciała uprawiać seksu z Konstan – tinem (ani z nikim innym), ale też nie chciała, żeby chłopiec przestał ją lubić. Był taki wspaniały!...

Odpowiedziała więc:

– Nie skończyłam jeszcze siedemnastu.



Formalnie była to prawda. Nie skończyła siedemnastu lat, podobnie jak nie skończyła szesnastu ani piętnastu, lecz o tym nie musiała wspominać. Zwłaszcza że wyglądała na starszą.

– Ja myśleć ty mieć bardziej lat – rzekł Konstantin, co mile połechtalo Amandę.

– Wszyscy mi zawsze mówią, że wyglądam poważnie jak na swój wiek.

– Wspaniale. Twój ojciec pozwolić ci odwiedzić mnie u Grecja? Ty i twój rodzina... Ty mieć rodzinę? Matka, siostra, brat...?

– Mam macochę i młodszą siostrę. I bardzo bym chciała przyjechać do ciebie do Grecji.

Amanda wątpiła, aby jej ojciec z radością przystał na taką eskapadę, jednakże nie była już dzieckiem i powinien zabierać ją w doroślejsze miejsca. W każdym razie Carol powinna ją zabrać do Grecji. Carol była przekochana i pozwalała Amandzie na znacznie więcej niż ojciec.

Miłe było również to, że zdaniem Konstantina doktor Capelo będzie pod ręką, by decydować znów o różnych sprawach. Konstantin Ouranis wierzył, że Thomas Capelo wróci do domu.

– Wspaniale! – wykrzyknął chłopiec. Siedział bardzo blisko niej, przez co znowu poczuła ten ucisk w piersi. – A-man-da. Ja cię móc pocałować?

Pytał o to już wcześniej, a ona powiedziała: nie. Tak samo jak jej koleżanki wiedziała, że kiedy chłopiec chce uprawiać seks, zaczyna od całowania. Później sprawy szybko przybierają gorszy obrót. Amanda, Yaeko, Julia-

na i Thekla zgodnie uznały, że skórka nie jest warta wyprawki.

Tylko że teraz czuła przemożną chęć, aby pocałować Konstantina.

– Jeśli... jeśli zrobisz to raz-dwa, to... to chyba tak.

Nie powiedział „Wspaniale!”, czego się spodziewała, lecz od razu nachylił się i przycisnął wargi do jej warg, obejmując ją mocno ramieniem, jakby była najdroższa w całej Galaktyce.

Odwzajemniła pocałunek, na co od czubka głowy aż po dołek gdzieś koło żołądka zalała ją taka fala przyjemności, że poczuła się jak na karuzeli. Zrobiło jej się przykro, gdy Konstantin oderwał usta.

– Kocham cię, A-man-da.

Fala przyjemności ustąpiła. Amanda znów była sobą, nieodrodną córką doktora Thomasa Capelo.

– Konstantynie, nie znasz mnie wystarczająco dobrze, aby mówić o miłości. Poznaliśmy się dopiero co. Nie bądź niemądry.

Chłopiec wybuchnął śmiechem. Może nie znał znaczenia słówka „niemądry”. Ale i tak ponownie się do niej nachylił, by jeszcze raz pocałować ją raz-dwa, a ona bezwiednie wtuliła się w niego, całkowicie się poddając napierającej fali przyjemności i szczęścia.

\*\*\*

Drzwi wejściowe się otworzyły i Amanda zerwała się na nogi. Dotychczas leżała wyciągnięta jak długa w ramionach Konstantina spoczywającego leniwie na kanapie. Gdy w salonie pojawili się ciocia i wujek, Aman-

da oblała się rumieńcem. Konstantin wstał flegmatycznie.

– O mój Boże – jęknęła ciocia, co było naprawdę nie w porządku. Nie robili przecież niczego złego. Tylko się całowali. Co złego jest w całowaniu się? Szczególnie że Amanda przestała już być dzieckiem. Wujostwo nie powinni jej traktować wciąż tak, jakby była małą dziewczynką!

Martin dotknął delikatnie ramienia żony.

– Cześć, Amando. Cześć, Konstantinie – rzekł opanowanym głosem.

– Witam, doktorze Blumberg – odparł radośnie Konstantin. – Witam, pani Blumberg.

– Amando, pozwól ze mną na chwileczkę do kuchni.

Dziewczynka posłusznie poczłapała za ciocią.

– Słucham.

– Amando – surowo zwróciła się do niej ciocia – nie uważasz, że jesteś za młoda na takie rzeczy?

– Mam czternaście lat!

– O tym właśnie mówię. Kochanie, gdyby twój tata wiedział, byłby bardzo zły.

– Tata traktuje mnie jak dziecko. A ja nie jestem już dzieckiem. Poza tym niczego takiego nie robiliśmy.

– Wiem. Wiem też, że jesteś rozsądną dziewczynką, która na dodatek nie stosuje jeszcze antykoncepcji. Jednakże jest w tobie tyle ufności, a, Konstantin jest taki przystojny...

Zatem ciocia rozumie! Amanda aż się rozpromieniła.

– Prawda? – odrzekła z rozmarzeniem w głosie. – Ale tylko mnie całował. – Uznała, że lepiej nie wspominać, jak długo to robił.

– A gdzie jest Demetria?

– Zrobiła sobie drzemkę. Jej ojciec przyśle kogoś, żeby zabrał ją z powrotem na Ziemię. Jakąś panią...

– Tylko Demetrię? Konstantina nie?

Amanda odparła nie bez dumy:

– Konstantin jest już dość dorosły, żeby podróżować, gdzie chce.

– To oznacza, że jest dla ciebie za stary, skarbie.

Niespodzianie Amandę zalała fala zniecierpliwienia. Zdziwając samą siebie, wyrzuciła:

– Ciociu, ostatnio próbowały mnie zabić trzy osoby. Zostałam porwana, podróżowałam na gapę i byłam świadkiem rewolucji. Chyba mogę decydować o tym, czy wypada mi kogoś pocałować czy nie.

Obróciła się i pomaszerowała do salonu sztywno wyprostowana, aczkolwiek na drżących nogach. Osłupiała Kristen odprowadzała ją wzrokiem.

\*\*\*

Słyszała, jak szepczą do siebie w łóżku długo po tym, jak ich zdaniem zasnęła. Wcześniej pojawiła się po Demetrię sprawiająca niemiłe wrażenie kobieta, która nienagannym angielskim podziękowała gospodarzom za „udzielenie gościny córce mego pracodawcy”. Później Martin rozłożył łóżko połowę w sypialni, to samo, które Amanda zawsze zajmowała przy okazji poprzednich wi-

zyt, tyle że wcześniej było ustawione w salonie. Nikt nawet nie skomentował tej zmiany.

– Ona dorasta, Kristen – szeptał wujek. – Musisz to zaakceptować.

– Ma dopiero czternaście lat!

– Wiele przeszła jak na dziecko w tym wieku...

No, to bez wątpienia było prawdą. Amanda zawsze wolała wujka, mimo że to z cicią łączyły ją więzy krwi. Ciocia była podobna do taty, miała wybuchowy charakter i często posługiwała się sarkazmem.

– Tak bardzo ją kocham... – Cioci załamał się głos, a Amanda natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, że woli wujka. – Jeśli Tom nie wróci...

– Ciii, moja złota.

– Po prostu nie ufam temu chłopcu. Jest za bogaty, za pewny siebie i za arogancki.

– Wychowywał się wśród bogactwa i najwyraźniej jest traktowany przez ojca jak dorosły. Po kolacji opowiadał mi o decyzjach stojących za ich biznesem wydobywczym. Spytałem przy okazji o Pierce'a...

– Nie zrobiłeś tego! – Pościel zaszeleściła.

– Zrobiłem. Ot tak, przy okazji i bardzo taktownie. Konstantin nie jest głupi. Widzi, co wyprawia Pierce. Jednakże jest lojalny wobec swojego ojca, a poza tym nie podobały mu się czyny Stefanaka, zwłaszcza porwanie Toma. Ten chłopak otacza nabożną czcią znanych fizyków.

– Co wyjaśnia jego zainteresowanie Amandą.

– Amandą można się interesować z wielu powodów przez wzgląd na nią samą, a nie na jej ojca – odparł Martin.

Amanda poczuła zalewającą ją falę ciepła. Przy-  
najmniej wujek ją rozumie...

– Robi się z niej ślicznotka, prawda? – spytała cio-  
cia. – Zupełnie jak Karen... Chcę tylko, żeby była  
ostrożna...

– My będziemy na nią uważać.

– Ale doktor Ewing... Identyfikacja ciała dziś po po-  
łudniu... Taki sztywny i zmarznięty na kość...

– Nie myśl już o tym.

– To Pierce go załatwił... Nieważne, co twierdzą po-  
licjanci. Ale dlaczego? Czy z powodu tego, czym zaj-  
mował się Tom?

– Nie wiem – odparł Martin. – Być może nigdy się  
tego nie dowiemy.

W sypialni zapadła cisza.

Kiedy oboje zaczęli pochrapywać, Amanda nadal  
leżała z otwartymi oczami. W głowie miała gonitwę my-  
śli. Wspomnieli o doktorze Ewingu. Pewnie znaleziono  
jego ciało – pewnie gdzieś na marsjańskiej równinie.  
Może zabili go ludzie admirała Pierce'a. A może doktor  
Ewing był uczulony na iniekcję Pandyi, o czym uprze-  
dzała ją ciocia. Mógł też pracować nad czymś, co ktoś  
chciał koniecznie przerwać, i stąd to morderstwo. A jeśli  
doktor Ewing pracował nad tym samym zagadnieniem  
co jej ojciec? Amanda zadrżała. Rozważania mieszały  
się jej w głowie ze wspomnieniem pocałunków Konstan-  
tina i jego ciała przytulonego do niej na kanapie, i obiet-  
nic, które składał: że pomoże odnaleźć doktora Thomasa  
Capelo przy użyciu wszystkich dostępnych pieniędzy.  
Pieniądze, fizyka, pocałunki, żołnierze, ojcowie...

Ciocia i wujek chrapali coraz głośniej. Amanda nakryła głowę poduszką, niewiele to jednak pomogło. W dalszym ciągu nie potrafiła zasnąć. Leżała bezsennie przez wiele godzin.

Gdzie może być jej ojciec?

## 26.

### *System Artemidy*

Siatek zbliżał się do Tunelu Czasoprzestrzennego #437 prowadzącego z systemu Kaliguli do systemu Allenby'ego. Na razie lot wciąż się odbywał na autopilocie, niebawem jednak za sterami miał zasiąść Kaufman, by dzięki pozwoleniom zdobytym przez Magdalенę dokonać skoku przez tunel. Umowa, której Magdalena dobiła na Murasakim, opiewała na dwa kolejne skoki: do systemu Allenby'ego i do systemu Artemidy. Ten ostatni był gęsto zaludniony i dobrze pilnowany przez wojsko jako obiekt o dużym znaczeniu militarnym. Można było zakładać, że wojskowe statki kurierskie przesłały już zakodowane dane i że patrole krążące przy wrotach nie będą im robiły żadnych wstrętów. I całe szczęście. Dość mieli problemów na pokładzie.

Rory nadal pozostawał nieprzytomny i spoczywał przykuty do fotela. Capelo siedział za nieczynnymi sterami, wpatrując się w komputer podręczny Marbet. Nie interesowało go nic poza tym, co widział na wyświetlaczu i we własnej głowie. Magdalena spoczywała bez-



władnie na siedzeniu z tyłu, aczkolwiek Kaufman podejrzewał, że rejestruje to, co się wokół niej dzieje. Nie była nieprzytomna, nie znajdowała się też w stanie katatonii. Przebywała w otchłani rozpaczy, której głębi nie potrafił sobie wyobrazić i z którą nie umiałby sobie poradzić. Wściekła Magdalena, wyrachowana Magdalena, mściwa Magdalena, nawet Magdalena oszukująca samą siebie w celu podtrzymania nadziei – każdej z nich stał skutecznie czoło. Zawsze dotąd wystarczały jego zdolności negocjatora. Jednakże obecny stan Magdaleny – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – wykraczał poza zakres jego skali emocjonalnej.

– Nie masz dziecka – rzekła łagodnie Marbet, nie spuszczając go z oka. – Biedny Lyle...

Biedny Lyle?! Przecież poszkodowaną osobą w tym towarzystwie była matka, a więc osoba, która miała dziecko. Zresztą kto to mówi? Marbet też była bezdzietna. Powściągnąwszy gniew na ten przejaw wyższości w jej głosie, zapytał szeptem:

– Zdołasz ją z tego wyciągnąć, Marbet? Potrzebujemy jej...

– Nie zdołam. Na mnie nawet nie zareaguje. Ty musisz to zrobić.

Marbet wstała, przeszła na dziób i zdecydowanym ruchem zatrzęsnęła za sobą drzwi toalety. W efekcie Kaufman został sam na sam z Magdaleną; Capelo bowiem – pogrążony we własnych myślach – właściwie się nie liczył. Kaufman przysiadł obok kobiety i położył jej dłoń na ramieniu.

– Magdaleno... To ja, Lyle Kaufman.

Ku jego zdumieniu okręciła się na siedzeniu i ucze-  
piła się go, jak gdyby chciała zapobiec utonięciu.

*O cholera...*

Zrobił co mógł w tej sytuacji. Objął ją, poklepał po  
plecach, zaoferował niosący otuchę dotyk ludzkiego cia-  
ła. Magdalena coś wymruczała. Nie dosłyszał i przybli-  
żył ucho do jej ust.

– Sualeen...

Nic mu to nie powiedziało. Nie wiedząc, co innego  
mógłby zrobić, wzmacnił uścisk. Kobieta uniosła głowę  
i pocałowała go.

Czegoś podobnego się nie spodziewał. Dopiero po  
chwili zrozumiał, o co chodzi. Była to jedyna reakcja  
Magdaleny na mężczyzn, nie licząc rzucania wyzwania.  
Albo walka, albo kopulacja. Ogarnęło go współczucie,  
ale też zniecierpliwienie. Po raz pierwszy patrzył na nią,  
nie czując w ogóle pożądania. Nie w tym miejscu, nie w  
tym czasie, nie przy Marbet... Odwzajemnił pocałunek,  
pojękując w duchu: „*O Boże...*”.

Jednakże już moment później Magdalena oderwała  
się od niego i ugryzła go z całych sił w szyję. Zanim  
zdążył jakoś zareagować, wyprostowała się na siedze-  
niu.

– Ani się waż tego powtórzyć. Zrozumiałeś?

To ona pocałowała jego. Najwyraźniej nie zdając  
sobie sprawy z tego, co robi. Przynajmniej jednak ta  
chwila bliskości przełączyła ją w ten drugi tryb. bojo-  
wy... Czy coś w tym stylu.

Starając się zachować spokój, Kaufman zapytał:

Jaki skład ma twoja ślina, Magdaleno? Czy czeka  
mnie podobna śmierć jak Hofsettera?

– W mojej ślinie nie ma trucizny.

Spoglądała na niego oczami roziskrzonymi do tego stopnia, że Kaufman zrozumiał, iż Magdalena wcale nie odzyskała równowagi. Zachowywała się tak a nie inaczej z przyzwyczajenia, choć może raczej odgrywała rolę, do której odgrywania kiedyś ją zmuszono. Tak naprawdę jednak duchem przebywała całkiem gdzie indziej. W jej spojrzeniu widać było obłąd. Kaufman odruchowo przyłożył dłoń do szyi i poczuł pod palcami krew.

– Zapłacą mi za to, Lyle. Wszyscy co do jednego. Zapłacą mi...

Tego właśnie od niej chciał, tego potrzebował, to zamierzał z niej wyciągnąć, skoro Hofsetterowi się nie udało. Nie podobał mu się wszakże ów cień szaleństwa. Magdalena głos miała za piskliwy, a kiedy wstała, okazało się, że jej ruchy nie są wdzięczne, lecz mechaniczne, jakby coś przejęło nad nią kontrolę. Kaufman, w którego życiu religia nigdy nie odgrywała większego znaczenia, nagle pomyślał o opętaniu.

Tymczasem Magdalena precyzyjnie się między siedzeniami i zdjęła Toma Ca – pelo z fotela pilota, jakby był zbędną poduszką. Co ciekawe, Capelo nawet tego nie zauważył, po prostu dalej wpatrywał się komputer podręczny, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie. Nie słyszał wymiany zdań między tymi dwojgiem ani nie był świadom obecności buzującego wulkanu w kabinie statku. Fizyka w tym momencie interesowała wyłącznie fizyka – świat zewnętrzny równie dobrze mógł przestać istnieć, i to dosłownie: niknąć w wielkim antywybuchu.

Kaufman uznał, że zarówno Magdalena, jak i Tom mają nie po kolei w głowie.

Kobieta siedziała już za sterami. Kaufman rzucił się na przód kabiny i odsunął Toma równie bezceremonialnie, jak Magdalena zrobiła to przed chwilą. Naukowiec pozostał obojętny na wszystko i jakby nigdy nic zajął miejsce w drugim rzędzie.

Kaufman wiedział, że nie ma wiele czasu. Magdalena była nieprzewidywalna.

– Magdaleno, musisz zgodnie z pozwoleniami otrzymanymi od Hofsettera pokonać dwa kolejne tunele. Później w systemie Artemidy...

– Rozwałę system Artemidy w drzazgi – oznajmiła Magdalena tonem tak zwyczajnym, że Kaufmana na moment замуrowało. Dopiero po chwili zrozumiał, że kobieta nie żartuje.

Zdażył się już przyjrzeć systemowi uzbrojenia na pokładzie jej udoskonalonego statku kurierskiego i wiedział, że zainstalowana nielegalnie broń jest w stanie unieszkodliwić co najmniej bazę wojskową i parę okrętów wojennych, zanim nastąpi reakcja systemów obronnych.

– Możesz zrobić coś lepszego – powiedział szybko.  
– Na przykład...

– Nic nie będzie lepsze od tego – ucięła z absolutną pewnością w głosie.

Kaufman pomyślał, że Magdalena jest równie przekonana o konieczności siania zniszczenia jak on o tym, że oddychanie jest potrzebne do życia.

Tym samym jego zadanie stało się jeszcze trudniejsze.

Marbet Grant wyłoniła się zza drzwi w tej samej chwili, gdy Magdalena włączyła maksymalne przyśpieszenie. Nagły wstrząs rzucił kobietę najpierw na grodz, a potem na podłogę kabiny, gdzie już została. Ciężenie trzy g albo więcej wcisnęło Kaufmana w oparcie fotela, przez co nawet nie był w stanie pomóc leżącej. Za gardło chwyciła go nagła panika. Marbet...

– Nic... mi... nie... jest... – wystękała.

– Nie ruszaj się! – krzyknął do niej. Jak gdyby w ogóle była taka możliwość; Kaufman nie potrafił unieść ręki. – Magdaleno!

Pilotka go zignorowała, jednakże nie utrzymała dłużej takiego przyśpieszenia. Komputer pokładowy automatycznie zmniejszył prędkość, czerpiąc z systemu informację o kursie na Tunel Czasoprzestrzenny #437 prowadzący do systemu Allenby’ego. Kaufman z ulgą usłyszał, że Marbet gramoli się na swoje miejsce.

Równocześnie uświadomił sobie, że Magdalena nie skomentowała nieobecności młodszego ochroniarza ani skrępowania Rory’ego. Być może niczego nie zauważyła.

– Do niezidentyfikowanej jednostki – rozległ się głos z pokładu patrolującego okrętu wojennego. – Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży.

– Statek kurierski z Sans Merci, lot cywilny, pozwolenie numer jeden-dwa – sześć-cztery „a” wydane w dniu jedenastego lipca – odparła Magdalena tym samym piskliwym głosem co poprzednio. – Na pokładzie czworo pasażerów. Dane osobowe w przekazie informacyjnym.

– Statek kurierski z Sans Merci, macie pozwolenie na skorzystanie z tunelu bez możliwości dokowania – nadeszła odpowiedź z patrolującego okrętu. – Przejść do skoku.

Moment później byli już w systemie Allenby’ego sto pięćdziesiąt lat świetlnych dalej. Na ekranie pojawił się widok trzech gazowych gigantów nieomal w koniunkcji. Po drugiej stronie doszło do podobnej procedury i wkrótce mieli zgodę na następny skok. Magdalena przyspieszyła znowu wściekle, kierując się do wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #210 wiodącego do systemu Artemidy.

Kaufman miał do wyboru dwie możliwości. Mógł albo pozwolić jej na dokonanie skoku i przejąć kontrolę nad sterami tuż przed tym, zanim Magdalena zacznie strzelać do wszystkiego po drugiej stronie, albo nie zwlekać i odebrać stery Magdalenie już teraz. Nie wiedział jednak, jaką jeszcze osobistą broń ma przy sobie kobieta, która potraktowała zatrutym szponem nieszczęsnego Hofsettera. Jeśli skorzystała z usług któregoś z handlarzy w Pasie, można było mieć pewność, że jest pełna paskudnych niespodzianek. Kaufman raczej nie miał co do tego złudzeń. Uznał, że powinien się nią zająć, jak tylko nieco zmniejszy się ciężenie. W piersi czuł potworny ucisk, każdy oddech był torturą.

– M-mag...

Nie zwróciła na niego uwagi. Kaufman walczył o zachowanie przytomności. Przypuszczał, że Capelo i Marbet już zemdleli, cywile bowiem rzadko byli przyzwyczajeni do takich przeciążeń. Dla Kaufmana nigdy nie stanowiło to codzienność. Pytanie, dlaczego Magdalena

jeszcze nie zasłabła... Zrozumiał po chwili zastanowienia: zmodyfikowała swoją wydolność oddechową.

Po czasie zdającym się nieskończonością statek zmniejszył prędkość. Kaufman zebrał wszystkie siły. Wcześniej nawet nie zdążył zapiąć uprząży; Magdalena również siedziała w fotelu swobodnie.

Wstał i natychmiast usłyszał:

– Jeśli mnie tkniesz, zabiję cię. – Zwykły rzeczowy zabójczy ton. – Mogę to zrobić. I to zanim się spostrzeżesz.

Opadł z powrotem na siedzenie.

– Magdaleno, nie otwieraj ognia w systemie Artemidy. Wszyscy zginiemy, a...

– Wielka szkoda.

– ...całemu wszechświatowi grozi zagłada. Pierce zamierza przenieść artefakt do rodzimego systemu Fallerów i tam go uruchomić. Obcy w odpowiedzi uruchomią swój artefakt i materia czasoprzestrzeni ulegnie rozdarciu, po...

– Świetnie – przerwała mu. Kaufman zorientował się z tonu Magdaleny, że jej zdaniem im większe zniszczenia, tym słodsza zemsta. Nawet unicestwienie całego wszechświata nie zrekompensuje jej śmierci Laszla.

Zabrakło mu argumentów. Nie potrafił odwieść jej od wcielenia planu w życie. Nie potrafił jej powstrzymać.

Mimo to był gotów spróbować, ryzykując, że umrze w trakcie próby i że wtedy jedyną nadzieją wszechświata będą Marbet i Tom. Właśnie miał wykonać jakiś ruch, gdy za jego plecami przemówił doktor Capelo.

– Magdaleno, ja też mam dzieci.



Jego także zignorowała.

Capelo mówił głosem ochryplym i bez wyrazu:

– Dwie córki. Sudie ma siedem lat, Amanda czternaście. Amanda bardzo przypomina swoją nieżyjącą matkę. Moja żona zginęła w ataku Fallerów parę lat temu. Zostały mi po niej tylko dzieci i nie chcę, by umarły.

– Jak pech, to pech. Mój syn nie żyje.

– Wiem. Nie powiem, że żałuję, bo pamiętam, do jakiego szalu doprowadzały mnie takie słowa po śmierci Karen. Na całym świecie nie ma tyle żalu. Jak w ogóle ktoś może mówić coś podobnego, skoro po paru minutach wraca do swojego życia, do swych przyjaciół, do swojej pracy i swoich kolacyjek, jakby nic się nie stało?!... Ci ludzie nie mają pojęcia, co to żal. To wszechświat powinien żałować, że Karen umarła. Gwiazdy powinny zgasnąć, a potem cały ten nieszczęsny kosmos powinien się zapaść w Wielkim Kolapsie. Najchętniej sam bym się zapadł, gdybym umiał.

– Zatem rozumiesz, czemu ja to zrobię.

– Nie zrobisz. Zestrzelisz dwa, może trzy okręty, zanim nas załatwią. Dwa okręty to tyle co nic.

– Tyle wystarczy.

– Wcale nie. Uwierz mi, wiem coś o tym. Zresztą sama najchętniej unicestwiłabyś cały wszechświat. Tylko że i to byłoby na nic. Nikt by nic nie poczuł.

Magdalena milczała.

– Nie zapominaj, że jestem fizykiem, który to wszystko rozpracował. Rozdarcie materii czasoprzestrzeni zapoczątkowane przez równoczesne włączenie artefaktów przy ustawieniu na trzynastkę dzieje się z

prędkością światła, może nawet szybciej, jeśli w grę faktycznie wchodzi splątanie kwantowe w świecie makro... Zresztą nieważne. Chodzi o to, że przy fali rozprzestrzeniającej się z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, czyli tak szybko jak światło, nikt nie zdąży się zorientować, co się dzieje. Nie można przesłać z wyprzedzeniem informacji. Żaden człowiek nic nie poczuje, ponieważ wszyscy zgasną naraz jak zdmuchnięte świece. Transformacji ulegną cząstki składające się na budujące ich ciała atomy. Pyk i po wszystkim.

Magdalena wciąż milczała. W polu widzenia pojawiły się wrota tunelu.

– Rozumiesz? Nikt nic nie poczuje. Nie takiej zemsty chciałem po śmierci Karen. Chciałem, żeby te skurwiele były równie rozdarte jak ja w środku, lecz żeby wciąż żyły. Ty też tego pragniesz. Wiem to na pewno.

Kaufman pomyślał, że jeszcze nigdy nie słyszał równie nabrzmiałej ciszy jak ta, która zaległa w kabinie po przemowie Toma. Jednakże w dalszym ciągu nie potrafił nic wyczytać z profilu Magdaleny wpatrzonyj w instrumenty pokładowe.

Po chwili Capelo podjął niezmiennym głosem:

– Ty możesz sprawić, aby cierpieli. Stefanak wprawdzie nie żyje, żyją jednak żołnierze, którzy zestrzelili stateczek twojego syna, i ci, którzy wydali rozkaz zestrzelenia. Można sprawić, by poczuli cierpienie takie jak twoje, takie jak moje. Można kazać im cierpieć tak jak my, trzeba tylko dobrać się do osób, które oni kochają. Ale to będzie możliwe wyłącznie wtedy, gdy czasoprzestrzeń pozostanie tym, czym jest. Trzeba ura-

tować wszechświat, żeby ludzie, których chcesz ukarać, mogli poczuć tęsknotę i żalobę po ukochanych bliskich, żeby sami zapragnęli umrzeć po stracie.

Kaufman poczuł ciarki na plecach. Taki sposób argumentowania nigdy nie przyszedłby do głowy jemu ani nikomu, kogo znał. A jednak ta gorycz, ta trucizna płynęła w żyłach Thomasa Capelo i Magdaleny...

– Trzeba uratować wszechświat, Magdaleno. Pomóż nam w tym. Ty masz swoje pobudki, my mamy swoje. Jednakże liczy się efekt. A cel uświęca środki. Masz pomścić Laszla.

Na wzmiankę o synu przez Magdaleny jakby przeszedł prąd. Szarpnęła się na fotelu, a Kaufman pomyślał, że Tom posunął się za daleko. Potem jednak Magdalena obróciła się i zobaczył już nie tylko jej profil, lecz całą twarz.

– Powiedz tylko jak – rzekła w tym samym momencie, gdy okręt wojenny przy wrotach nadał komunikat:

– Do niezidentyfikowanej jednostki. Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży.

Kaufman wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Raz jeszcze o włos uniknęli katastrofy.

Tunel pokonali bez przeszkód, aczkolwiek potem musieli stać w kolejce do odprawy. Ich statek unosił się nieopodal wrót, dryfując w przestrzeni kosmicznej. W końcu dyspozytor sprawdził ich pozwolenia i dodał:

– Witamy w systemie Artemidy.

Świadczyło to o tym, że tu cywile są równie częstymi gośćmi jak wojskowi. Jak dotąd nigdzie indziej nie spotkało ich tak ciepłe powitanie.

W systemie Artemidy krążyło ogółem pięć planet: dwa gazowe giganty i trzy skaliste globy. Ludzkie kolonie rozkwitały na jednym z globów, na dwóch księżycach oraz na licznych stacjach orbitalnych. Położony w odległości zaledwie pięciu tuneli czasoprzestrzennych od Układu Słonecznego system Artemidy – mogący się poszczycić własnymi pięcioma tunelami – stanowił istotny punkt kolonizacyjny ludzkości w tej części Galaktyki. Zarazem było to pierwsze z miejsc zaatakowanych przez Faberów po rozpoczęciu tej niezrozumiałej wojny między dwiema rasami. Pewnego pięknego dnia wypadli z rykiem przez wrota jednego z tutejszych tuneli niedługo po odkryciu ich przez ludzi. Zdaje się, że to ludzka eksploracja systemu tuneli czasoprzestrzennych, która zaprowadziła odkrywców aż do rodzimego systemu Faberów, uświadomiła Obcym istnienie fenomenu. Od tamtej pory żaden człowiek nie postawił już stopy w systemie Faberów.

Rozwój kolonii w systemie Artemidy uległ zahamowaniu na pełną dekadę; wielu kolonistów postanowiło wrócić do domu. Ściągnięto tu oddziały wojskowe, które miały umocnić strażnicę przy Tunelu Czasoprzestrzennym #218, z którego wrót wyłaniali się morderczy wrogowie – przynajmniej do czasu, aż uznali, że straty nie są warte ryzyka. W końcu zaczęli wracać tutaj koloniści. Nadająca się do zamieszkania planeta tego systemu – Baraquo – była równie żyzna i pełna bogactw naturalnych jak Świat czy niegdyś Ziemia. W dodatku nie zamieszkiwał jej żaden rozumny gatunek, który mógłby zagrażać panoszącym się ludziom. Koloniści poczuli się jak u Pana Boga za piecem.

Wrota tuneli czasoprzestrzennych w tym systemie znajdowały się dość blisko siebie. Tunel Czasoprzestrzenny #212 prowadzący do Układu Słonecznego leżał najdalej od statku Magdaleny – pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. W tym samym kierunku leżały jeszcze trzy tunele. Siedem tysięcy kilometrów w przeciwną stronę w przestrzeni unosił się ich następny cel. Wrota wszystkich tuneli czasoprzestrzennych pozostawały w niezmiennych pozycji i nie wywoływały grawitacji – nie rozgryziono jeszcze, dlaczego tak jest. Plan Kaufmana nie miałby szans powodzenia, gdyby tunele w systemie Artemidy były bardziej rozproszone. Jednakże nawet przy takim skupieniu sukces był wątpliwy; Kaufman z ponurą miną oceniał ich szanse na jeden do pięciu. Najwyżej.

Ostatnie pozwolenie otrzymane od Hofsettera dawało im możliwość zatankowania w tutejszej bazie. Nie była to baza wojskowa, tylko ogólnodostępna, a unosiła się pięćset kilometrów od ich obecnego położenia na linii prowadzącej do fortyfikacji otaczających Tunel Czasoprzestrzenny #218, to jest tunel wiodący do systemu Q i dalej, do rodzimego systemu Fallerów. Baza ta była popularną destynacją urlopową wśród marynarzy służących na fortyfikacjach.

Magdalena przejęła stery. Kaufman nie potrafiłby powiedzieć, jak długo przedtem pilotował statek; przy skokach czasoprzestrzennych czas płynął inaczej. Obecnie dryfowali. Przypięta do fotela pilota Magdalena co jakiś czas nachylała się nad przyrządami, zasłaniając mu widok. Nie zwracał jej jednak uwagi. W dalszym ciągu bowiem była napięta jak struna grożąca zerwaniem i równie niebezpieczna.

– Jak blisko tunelu uda nam się podejść? – zapytała w pewnym momencie.

– Nikt nas nie zatrzyma, dopóki będziemy się kierować ku bazie. – Kaufman stwierdził oczywistość. Wiedział, że Magdalena mówi tylko po to, by zapełnić czymś ciszę. Wolał sobie nie wyobrażać, jakie obrazy widzi milcząca kobieta.

– Taaak... A później... później wszystko będzie zależało od Toma, co? Może mu się uda. Ze mną z pewnością mu się udało. – Zaśmiała się tak nagle i tak ochryple, że aż przyjrzał się jej z troską. – Nie gap się na mnie. Podrzucę was tam, więc lepiej się zaczniacie szykować. Wszyscy. Ty też, panno Wrażliwiec. Los wszechświata w waszych rękach, Boże miej nas w swojej kurewskiej opiece.

Kaufman pozwolił, by dyrygowała nimi. Uwolnił się z uprząży, podpłynął do schowka i wydobył wojskowy pierwszej klasy skafander ewakuacyjny, który w ogóle nie powinien się znajdować na cywilnym pokładzie. Tymczasem statek Magdaleny przewoził aż cztery takie cudeńka. Żeby wydobyć trzeci z kolei, Kaufman musiał przepłynąć nad głową wciąż nieprzytomnego Rorry'ego.

Lyle Kaufman przywykł do wkładania skafandrów kosmicznych w nieważkości, jednakże ani Capelo, ani Marbet nie mieli w tym doświadczenia. Pomógł im się ubrać – wysłuchując soczystych i pomysłowych przekleństw fizyka – po czym wszyscy nawzajem sprawdzili swoje skafandry. Gdy Lyle zakończył oględziny skafandra Marbet, ta niezgrabnie się do niego przycisnęła i pocałowała go w usta.

– To na szczęście – szepnęła.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym natychmiast zapomniał o całym zdarzeniu i nawet o samej Marbet, gdyż takie zachowanie wymuszała koncentracja w warunkach bojowych.

– Gotowi? – rzuciła Magdalena. – No to jadziem.

Przyśpieszyła umiarkowanie, wywołując ciężenie jeden g. Grawitacja powróciła i Kaufman ostrożnie zajął pozycję, pokazując, gdzie mają stanąć Capelo i Marbet. Capelo musiał trzymać się blisko komunikatora. Nałożyli hełmy. Nie było to wygodne rozwiązanie, lecz później mogliby nie mieć okazji. Sprawdziwszy przeguby, aktywowali swoje komunikatory.

Kaufman zwrócił się do Magdaleny:

– Wejdz na nieszyfrowane częstotliwości wojskowe.

Kobieta usłuchała go. Od tej chwili nie mogli nic mówić. Rozpoczęła się realizacja planu.

Na ekranie zamajaczyła baza kosmiczna. Jak zwykle panował wokół niej wzmożony ruch, dzięki czemu nikt nie interesował się specjalnie stateczkiem Magdaleny. Oczywiście jego obecność została odnotowana przez różnorakie przyrządy, lecz przynajmniej nikt ich nie zatrzymał.

Minęli bazę przy przyśpieszeniu jeden g.

Z miejsca, w którym stał, Kaufman widział wyświetlacze. Tunel Czasoprzestrzenny #218 widniał na nich jako czerwona kropka. STREFA ZAKAZANA. Wrota znajdowały się w odległości sześciu tysięcy pięciuset osiemdziesięciu kilometrów. Lecieli z prędkością trzech tysięcy stu trzydziestu dwóch kilometrów na minutę.



Magdalena zwiększyła przyspieszenie do trzech g. Kaufman został wciśnięty w grodzie, czując w piersi znajomy uścisk. Równocześnie rozległ się głos:

– Do jednostki jeden-dwa-sześć-cztery „a”, wdarliście się do strefy zamkniętej. Natychmiast zawróćcie do bazy.

Nikt nie raczył odpowiedzieć.

– Do jednostki jeden-dwa-sześć-cztery „a”, wdarliście się do strefy zamkniętej! Natychmiast zawróćcie do bazy!

Stateczek mknął dalej. Sześć tysięcy sto kilometrów do tunelu.

– Do jednostki jeden-dwa-sześć-cztery „a”, jeśli nie opuścicie strefy zamkniętej, zostaniecie ostrzelani. Natychmiast zawróćcie.

Oby tylko Tom pamiętał, co ma zrobić...

– Tutaj doktor Thomas Capelo – wysapał przytłoczony strasznym ciężeniem. – Nie strzelać! Uciekam przed oddziałami generała Stefanaka!

Chwila ciszy. To znaczyło, że oficerowie dyżurni rozpoznali nazwisko Toma. Jedna przeszkoda pokonana.

– Doktorze Capelo, proszę zawrócić do bazy!

– Nie mogę. Nie mam pojęcia, jak się tym steruje. A musiałem zabić... – Capelo celowo urwał, sapiąc ciężko, po czym dodał: – Pomocy!

W kabinie rozległy się głosy rozmów prowadzonych na innych częstotliwościach wojskowych.

– Strzelaj, do cholery! Regulamin mówi wyraź...

– Jeśli to naprawdę on...

– ...kłopoty...

– ...w dupie, kto to, po prostu s...

– Zbudźcie starego! – pisnął ktoś wyjątkowo młody.  
Cztery tysiące sto kilometrów do tunelu.

W końcu dał się słyszeć niższy, bardziej stanowczy głos:

– Do doktora Capelo... lub do osoby pilotującej jednostkę jeden-dwa-sześć-cztery „a”... nakazuję zawrócić do bazy. Proszę zwolnić i zawrócić.

– Autopilot nie dopuszcza mnie do sterów – wysapał Tom. – Proszę nie strzelać, mam równania... na których zależało admirałowi Pierce’owi... Proszę nie...

– Jak to: nie dopuszcza go do sterów? Co do kurwy...

– ...dowodu, że to on...

– Jeśli zestrzelę Thomasa Capelo...

– ...Artefakt Protektor...

Czyjś jeszcze bardziej stanowczy głos:

– Doktorze Capelo, to ostatnie ostrzeżenie! Wdarł się pan do strefy zamkniętej. Proszę zawrócić i natychmiast się oddalić albo pańska jednostka zostanie ostrzelana.

– Nie mogę! – wrzasnął Tom, wpadając w furję i dobywając całej siły swego głosu pomimo potwornego ciężenia. – Skoro macie mnie... ostrzelać... powiedzcie najpierw admirałowi... słuchacie mnie tam? Lepiej to sobie nagrajcie... F kwadrat razy gamma do sześciu minus sigma... Nagrywacie to, dranie?

Mimo powagi sytuacji Kaufman się wyszczerzył. Wystarczy zasypać laików naukowym bełkotem i już jest się górą. Zwykły człowiek to zahukany wyznawca u zamkniętych wrót świątyni.

– Dzięki temu wygramy tę pierdoloną wojnę! – darł się Capelo. – Nagrajcie to, dranie, zanim mnie ostrzelacie!

Gdzieś tam we flocie ktoś, nie mając pojęcia, że wewnętrzne połączenie zostanie podsłuchane, lecz wiedząc co nieco o współczesnej nauce, rzucił zamyślony:

– Wiecie co?... To jednak może być doktor Capelo!

Do tunelu pozostało dwa tysiące kilometrów.

Marbet wciśnięta z nim do śluzy, która właśnie zaczynała się otwierać od wewnątrz, niezgrabnie sięgnęła ociężałą ręką do jego skafandra. Nie dotknęła go, lecz Kaufman dostrzegł jej pełen bezradności gest. Niestety nie mógł jej nawet powiedzieć: „Jeszcze nie teraz!”.

Zastanawiał się, czy ktoś spisuje równanie dyktowane przez Toma. Naturalnie cała rozmowa była nagrywana, lecz czasami w ferworze czy w obliczu szalejącego geniuszu ludzie o tym zapominali. Ochrypli Capelo wydierał się nieprzerwanie, mówiąc coś o ustawieniu na jedenastkę i o splątaniu kwantowym w świecie makro, i rozwalaniu okrętów Fallerów jak melony z dystansów zbyt dużych, by ludziom groziło wykrycie.

Tysiąc kilometrów do tunelu...

W końcu zapadła cisza. Na zakodowanych częstotliwościach niedostępnych nawet nielegalnie zainstalowanym systemom na statku Magdaleny toczyła się desperacka wymiana zdań.

– Przygotować się do otwarcia ognia na mój rozkaz.

Stateczek zaczął wykonywać uniki. Kaufman wiedział, że to koniec gry. Żadna cywilna jednostka z zablokowanym autopilotem nie byłaby w stanie dokonać czegoś podobnego.

– Otworzyć ogień!

Byli za daleko!

Sprzęt Magdaleny również był pierwsza klasa. Wymyślne ewolucje kupiły im następne dziesięć sekund. Nie więcej, ale dziesięć sekund to też coś.

Śluza stanęła otworem. Kaufman, Capelo i Marbet znaleźli się w próżni.

Z tą chwilą przestali słyszeć komunikaty dobiegające z pokładu okrętów wojennych floty Sojuszu Solamego.

\*\*\*

Magdalena nawet nie zauważyła ich zniknięcia. Scalila się w jedno z komputerem pokładowym, robiąc uniki i zwroty, każdym atomem ciała dostrojona do rozwibrowanej częstotliwości maszynierii. Zamieniła się w punkcik na ekranie, taki sam jak kropki odwzorowujące inne jednostki. Co więcej, była jednością z promieniem protonowym pełnej mocy. Równie milcząca jak protony mknęła naprzód przez pustkę z prędkością światła, by dosięgnąć wroga.

Znowu pudło. Unik, zwrot. I pudło.

Czas zwolnił. Ona, a właściwie oni: Magdalena, statek i promień protonowy, mieli czasu ile dusza zapragnie na zmylenie przeciwnika i przeprowadzenie każdego ataku. Poruszali się pewnie i niezawodnie w nieskończoności.

Nie byli sami. Obok znajdowały się dwie osoby, które Magdalena ukochała w swoim życiu; dwie osoby,

dzięki którym jej życie było pełne. Takie jak powinno być. Sualeen uśmiechała się do niej.

Sualeen...

Okręt wojenny eksplodował w ciszy i w rozbłysku zniknął z ekranów.

Z drugiej strony Magdaleny, z ręką na jej ramieniu siedział Laszlo, wypełniając nieskończoność radością.

Laszlo...

Drugi okręt zniknął z ekranów.

Nagle Laszlo uśmiechnął się do niej. Magdalena odwróciła się do niego, by odwzajemnić uśmiech, i jej życie znów było pełne. Wszystko znowu miało sens. Nawet wtedy, gdy stateczek został trafiony i unicestwiony w jednym krótkim błysku i gdy Magdalena dołączyła do swego syna.

## 27.

### *W systemie Q*

Tuż przed skokiem w próżnię Kaufman dostrzegł kątem oka dane podawane przez przyrządy. Wiedział zatem, że znajdują się siedemset kilometrów od tunelu i poruszają się z prędkością taką samą jak opuszczany przez nich statek, to jest osiemnastu kilometrów na sekundę. Skoro wrota Tunelu Czasoprzestrzennego #218 prowadzące do enigmatycznego systemu Q były siedemset kilometrów od nich, dotrą do nich za niecałe trzy-

dzieści dziewięć sekund, jeśli oczywiście wcześniej nie zginą ostrzelani.

Kaufman od razu też się zorientował, że obaj – on i Capelo – zbczyli z kursu. Marbet mknęła prosto na wrota, przypominając ludzki pocisk. Kaufman przegnał z głowy wszelkie myśli o Magdalenie i używając silniczków skafandra, skorygował swój kurs.

Połykając końcówki słów, przekazał Tomowi instrukcje, jak to zrobić. Doktor Capelo był cywilem i nie miał pojęcia, jak zachować się w przestrzeni kosmicznej, mając na sobie tylko skafander ewakuacyjny. Na szczęście wywiązał się ze swego zadania i opóźnił maksymalnie wyjście w próżnię, dzięki czemu pozostała im do pokonania tylko niewielka odległość. Nie był niezastąpiony, podobnie jak Magdalena. Kalkulując to sobie, Kaufman brzydził się sobą jako człowiek, lecz jako wojskowy wiedział, że postępuje słusznie.

Dwadzieścia trzy sekundy.

Plan Kaufmana zakładał, że sensory floty są tak ustawione, by ignorować wszelki ruch w stronę tunelu, skupiają się natomiast na jednostkach wyłaniających się z wrót-przynajmniej w wypadku obiektów o małej masie. W przeciwnym razie okręty wojenne ROSS nieustannie siekłyby promieniami protonowymi przypadkowe meteory, co groziłoby uszkodzeniem innego okrętu czy statku przelatującego akurat w pobliżu. Było tak przed dwudziestu laty, gdy Kaufman pozostawał w czynnej służbie – krytyczna masa wynosiła wtedy dziewięćdziesiąt kilogramów. Capelo i Marbet, obydwie drobnej budowy ciała, nie ważyli tyle nawet w skafandrze kosmicznym. Kaufman niebezpiecznie ocierał się o

wartość graniczną, lecz na szczęście mieścił się w widełkach.

Wszakże w minionych dwudziestu latach limit ten sukcesywnie się obniżał. Kaufman nie wiedział jednak, ile wynosi obecnie. Istniało ryzyko, że flota Sojuszu Solarnego ostrzela jego bądź całą trójkę w ciągu najbliższych dwudziestu trzech sekund. A jeśli nawet nie, mogą to zrobić Faberowie po drugiej stronie.

Kaufman patrzył prosto przed siebie, we wrota tunelu rosnące z każdą chwilą, i szykował się na śmierć. Kątem oka dostrzegł, że Capelo raptownie zmienia kurs. Taka korekta przy przyśpieszeniu trzy g groziła połamaniem żeber albo jeszcze czymś gorszym. Capelo – jeśli nawet dotrze do tunelu – może wyłonić się martwy z drugiej strony.

Piętnaście sekund.

Wszystko wskazywało na to, że sensory floty wciąż ignorują obiekty o masie mniejszej niż dziewięćdziesiąt kilogramów zbliżające się do tunelu czasoprzestrzennego.

Mknącym przez pustkę ciałem Thomasa Capelo ponownie gwałtownie szarpnęło. Fizyk jakimś cudem pozostał na kursie. Czyżby szczęście początkującego? Nie do końca, jeśli przy okazji zrobi sobie poważną krzywdę...

Ale najbardziej liczyła się Marbet. Była jedynym człowiekiem, któremu udało się porozmawiać... Nie, porozmawiać to złe słowo. Była jedynym człowiekiem, któremu udało się nawiązać kontakt z Faberem. Zajęło to mnóstwo czasu i kontakt w najlepszym razie okazał się częściowy, niechętny i mało efektywny. Mimo



wszystko odniosła sukces i Kaufman trzymał kciuki, aby mogła to powtórzyć.

Dziesięć sekund.

Przełot tunelem czasoprzestrzennym na pokładzie statku kosmicznego nie przysparzał prawie żadnych wrażeń. Ale jak to będzie wyglądało w samym skafandrze? Niewykluczone, że Kaufmanowi nie będzie dane niczego zapamiętać, ponieważ zaraz u wylotu tunelu w systemie Q zostanie rozbity na jony podobnie jak wszystko inne, co przybywa z systemu Artemidy, niezależnie od masy. Przykładowo taka bomba atomowa wcale nie musi dużo ważyć.

Na to właśnie liczył Kaufman. Bomba zdetonowana u wylotu tunelu była w stanie zniszczyć okręty patrolowe. Być może więc także Faberowie zachowywali pewien dystans od wrót, aby nie narażać się niepotrzebnie. Zawsze można najpierw wypytać intruza i poprosić go o identyfikację, zanim się wciśnie czerwony guzik. Być może więc Faberowie zdążą zobaczyć, że mają do czynienia z trzema nieuzbrojonymi ludźmi, a przynajmniej z trzema ludźmi. Być może Obcy będą mieli dość czasu, by podjąć decyzję, czy od razu strzelać czy raczej wysłać ślizg, aby podjął z przestrzeni troje wrogów przybyłych z układu planetarnego oddalonego o setki lat świetlnych w jakimś celu pomimo toczącej się wojny. Być może nawet Faberowie czują ciekawość...

Pytanie, do jakiego stopnia są ciekawi przeciwnika. Z pewnością nasłuchiwali ludzkich przekazów, a więc robili więcej niż ludzie w odniesieniu do nich.

Pięć sekund.

Szarawa „mgła” we wnętrzu tunelu nie była nieuchwytna jak mgła na Ziemi. Wyglądała raczej solidnie jak skała. Mimo to na oczach Kaufmana kobieta z ich trójki wniknęła w nią jak w powietrze. Ułamek sekundy później w jej ślady poszedł Kaufman. Usiłował utrzymać powieki otwarte, jednakże odruchowa reakcja na zderzenie z czymś podobnym do litej skały spowodowała, że mrugnął.

Mrugnął i zanim się spostrzegł, był już w systemie Q gotów na śmierć.

\* \* \*

Nie umarł. Okręty Fallerów nie potraktowały ich ogniem.

W ogóle nie było żadnych okrętów – a przynajmniej Kaufman ich nie widział. Miał przed sobą lecących Marbet i Toma. Marbet zwalniała, używając silniczków w taki sam sposób jak on. Capelo dalej pędził naprzód jak szalony. To mogło znaczyć, że został poważnie ranny. Nie mogąc nic na to poradzić, Kaufman bezradnie patrzył, jak doktor Thomas Capelo niknie w czerni pustki kosmicznej.

W dalszym ciągu ani śladu wrogich okrętów.

Do tego czasu Fallerowie powinni już zareagować. Zapewne naradzali się, próbując zdecydować, jak postąpić. Obcy nie brali jeńców. Być może też nie mieli pojęcia, że przed dwoma laty jeden z nich dostał się do niewoli u ludzi. Czy gdyby o tym wiedzieli, wpłynęłoby to na zmianę ich zachowania? Z pewnością nigdy jeszcze nie stanęli oko w oko z taką okazją. Oto dryfowali do

nich przedstawiciele wrogiej rasy – żywi, odarci z jakichkolwiek osłon, pozbawieni ochrony własnych okrętów. Można powiedzieć, że zapędzili się do tylnego ogródka złych sąsiadów.

W tymże ogródku – jeśli wierzyć tęgim głowom z Rady Obrony Sojuszu Solarnego – unosił się gdzieś artefakt Fallerów.

Fallerowie bez wątpienia zauważyli, że troje ludzi nie przywiodło ze sobą artefaktu. Obiektu tego nie dałoby się tak łatwo przemycić. Przeciwnik mógł być więc uzbrojony po zęby, broni nuklearnej nie wyłączając, wszakże bez wątpienia nie miał ze sobą artefaktu.

Kaufman pomyślał, że im dłużej pozostaje przy życiu, tym większe ma szanse na to, że ten stan nie ulegnie zmianie w przewidywalnej przyszłości. Mimo wszystko jednak istniały pewne ograniczenia. Na przykład ich skafandry kosmiczne miały niezbyt okazały zapas tlenu. Nie dało się wykluczyć, że Fallerowie wolą zaczekać, aż ludzie zejną z przyczyn naturalnych, po czym dopiero wyłowić ich ciała z pustki.

I poddać je badaniu.

Ale z ludzkimi zwłokami Fallerowie mieli do czynienia już wcześniej. Teraz zaś nadarzyła się okazja złapania żywych okazów, i to bez żadnego ryzyka, nie licząc wysłania robota kosmicznego. O ile Obcy mają coś takiego jak roboty kosmiczne.

Czas mijał. Kaufman stracił z oczu Marbet i tunel za sobą. Był sam na sam z gwiazdami, jednym z odległych gazowych gigantów tego systemu oraz własnymi myślami.

Magdalena na pewno nie żyła.

Thomas Capelo prawdopodobnie nie żył.

Marbet Grant, którą kochał, prawdopodobnie nie żyła.

Admirał Pierce. Prawdopodobnie właśnie wysłał swoje oddziały do systemu Q, żeby uruchomić artefakt ustawiony na trzynastkę, tym samym z głupoty, chciwości i zaślepienia prawdopodobnie narażając materię czasoprzestrzeni na rozdarcie.

Cała Galaktyka wymieciona z wszelkiego życia po tym, jak czasoprzestrzeń dozna transformacji topologicznej i zrekonfiguruje się, tworząc zupełnie nowe cząstki elementarne.

Zerknął na podręczny komputer umieszczony na nadgarstku skafandra. Zostało mu tlenu na dziesięć minut.

Zamknął oczy i dał się porwać nurtowi myśli, nie przestając mknąć przez próżnię. Były gorsze sposoby umierania. Zrobił co w jego mocy. Za mało. Były też lepsze sposoby umierania.

Kiedy znowu otworzył oczy, ujrzał obok statek o dziwnym kształcie i kolorze. Jednostka sunęła w milczeniu, dostosowawszy prędkość i kurs do prędkości i kursu człowieka. Na oczach Kaufmana rozsunęły się drzwi śluzy, po czym na zewnątrz pokazała się sieć złożona z cieniuchnych włókienek, która także poruszała się z tą samą prędkością i na tym samym kursie, tyle że lekko z przodu. Wtem sieć zwolniła i Kaufman wpadł w nią bezradnie niczym łosoś zatrzymany w pół skoku ku gorze strumienia, której nawet nie potrafił ogarnąć swoim wątłym rybim rozumkiem.

\* \* \*

Odzyskał przytomność momentalnie, bez ani chwili zawieszenia między nieświadomością i świadomością, całkiem jakby ktoś włączył nagranie holo. Usiadł prosto ruchem zbyt nagłym, przez co na ułamek sekundy pociemniało mu w oczach. Ciężenie musiało tu wynosić pół g albo nawet mniej. Gdy odzyskał zdolność widzenia, natychmiast rozejrzał się wkoło.

Siedział nagi w pomieszczeniu pozbawionym sprzętów'. Nagi... ale żywy, co znaczyło, że Faberowie przeanalizowali i zsyntetyzowali mieszanekę z jego zasobnika przy skafandrze. Marbet leżała na podłodze tuż obok, wciąż nieprzytomna, a siedzący pod ścianą Tom Capelo przyglądał się im obojgu.

– Witaj, Lyle – rzekł Capelo, na co Kaufmana zalała fala szczęścia. Doktor Thomas Capelo żył, chociaż mówił głosem człowieka, który doświadcza silnego bólu.

Kaufman przysunął się do niego bliżej. Fizyk chciał się uśmiechnąć, ale poniósł klęskę na całej linii.

– No... udało nam się. Prawie. Jesteśmy chyba na pokładzie okrętu Obcych albo w ich stacji kosmicznej, bazie czy czymś takim.

– Tom, jesteś ciężko ranny?

– Mam złamaną rękę, to na pewno. Chyba też potrzaskałem sobie żebra... boli mnie przy oddychaniu. Krwotoku nie widzę, ale jeśli jest gdzieś w środku, nawet ja bym go nie zobaczył...

Ramię Toma zwisało pod nienaturalnym kątem. W pomieszczeniu nie było jednak niczego, co można by wykorzystać jako łupki. Najwyraźniej Faberowie nie

zamierzali ryzykować. Kaufman się zastanowił, jakiego rodzaju badaniom poddano jego ciało, gdy był wciąż nieprzytomny, i po chwili namysłu uznał, że lepiej tego nie wiedzieć.

Marbet wreszcie się poruszyła. Capelo ponaglił Kaufmana:

– No idź... To przez nią cały ten obłąd... prawda? Postaw ją na nogi...

Kaufman wrócił do Marbet. Kobieta otworzyła oczy, zobaczyła go i kurczowo złapała za rękę.

– Lyle...

Usłyszał w jej głosie głębię uczucia do niego i natychmiast górę nad nim wzięło zażenowanie.

– Tom też tu jest – odparł szorstko – tyle że ranny. Zdołasz pracować, Marbet? Nie wiemy, ile czasu nam zostało do pojawienia się ludzkich okrętów z drugim artefaktem.

– Tak. – Jak zwykle Marbet wyczytała więcej z miny i gestów Lyle’a niż ze słów i przeszła do porządku dziennego nad jego szorstkością oraz koniecznością natychmiastowego podjęcia pracy. – Gdzie są kamery?

– Nie widać ich.

Marbet podniosła się do pozycji siedzącej ruchem nazbyt gwałtownym przy zmniejszonym ciężeniu, poprawiła się i zaczęła rozglądać dookoła. Chwilę później podjęła decyzję, której motywów Kaufman nawet się nie domyślał.

– Usiądźcie z Tomem w tamtym kącie. Nie ruszajcie się i nic nie mówcie. Nie odciągajcie uwagi ode mnie.

Uczynił, jak mu kazała. Tymczasem Marbet wstała i zwróciła się twarzą ku przeciwległemu rogowi pomieszczenia. Przez moment zbierała się w sobie, z opuszczoną głową i drobnym doskonałym nagim ciałem naprężonym, lecz nie napiętym. Kaufman usłyszał, jak kobieta bierze głęboki wdech.

Chwilę później była już kimś innym.

Widział to przedtem, a jednak dał się zaskoczyć. Czuł zdumienie, niepokój, wstręt. Marbet na wpół kucała, trzymając tułów i ręce wygięte pod dziwnym kątem. Jej twarz zdawała się jeszcze dziwniejsza od reszty ciała. Kobieta poruszała mięśniami mimicznymi, wykrzywiając się groteskowo. Nawet jej oczy nabrały innego wyrazu (jak to w ogóle możliwe?). Nagle zaczęła się kołysać nierytmicznie, zamiatając rękami w niezrozumiałych nieznacznych gestach. Dosłownie w ciągu paru sekund przemieniła się z atrakcyjnej przedstawicielki gatunku ludzkiego w coś obcego i odstręczającego.

Kaufman wiedział – wyłącznie dzięki temu, iż wcześniej mu to wyjaśniła – że Marbet w tej chwili stara się nie tylko nawiązać kontakt pozawerbalny z Fallera – mi, lecz również zmanifestować swoją żeńskość. Przed dwoma ziemskimi laty wypracowała takie zachowanie w celu rozbudzenia pożądania u jeńca. Okazywała podległość, błaganie, całkowity brak zagrożenia. Tylko wtedy schwytyany Faller – wywodzący się z rasy znacznie bardziej ksenofobicznej niż człowiek z najodleglejszej prowincji – był w stanie jej „słuchać”. Dwa lata temu to zadziało. Wszyscy troje – Marbet, Kaufman i Capelo – mieli nadzieję, że ta sama taktyka sprawdzi się ponownie.



Tom jęknął cicho. Kaufman obrócił głowę i zobaczył, że naukowiec zaciska powieki, krzywiąc się z bólu.

Czy artefakt Obcych znajduje się na pokładzie tego okrętu? Czy są na okręcie czy raczej na jakiejś stacji? Ile czasu minęło – czasu cenniejszego, niż Fallerowie zdają sobie sprawę – odkąd trójka ludzi została złowiona w przestrzeni kosmicznej?

Same pytania, żadnych odpowiedzi. I żadnej reakcji na to, co robiła Marbet.

Zintensyfikowała wysiłki. Rzuciła głową jak w drzącące i drobiła stopami. Kaufman nie miał pojęcia, ile z tego jest przejawem zniecierpliwienia, a ile faktycznie przekazuje dręczący ich dylemat. Jak w ogóle zakomunikować wrogowi, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie? I czy wróg jej uwierzy?

Mimo wszystko Fallerowie musieli być wstrząśnięci na widok człowieka naśladowującego ich mowę ciała. Przynajmniej tyle musieli bowiem zauważyć.

Marbet „nadawała” przez pół godziny. I wyraźnie słabła. Prawie już straciła nadzieję, gdy z sufitu jęła się opuszczać siatkowa ścianka. Opadła tak, by oddzielić Marbet od Kaufmana i Toma. Kaufman zmusił się do zachowania spokoju. Moment później w ścianie po stronie Marbet otwarły się niewidoczne dotąd drzwi i do środka weszło coś, co chyba było robotem. W każdym razie trzymało hełm i zasobnik z powietrzem. Marbet przyjęła od niego hełm i włożyła sobie na głowę. Kaufman wstrzymał oddech, widząc, jak przegub opina ciasno jej szyję. Zasobnik pozostał w rękach robota, który jakimś sposobem wyczarował siatkę wokół Marbet i wyprowadził ją na zewnątrz.

Zatem doszło do kontaktu. Pytanie: co i komu zostało przekazane? A także: co Fallerowie z tym poczną?

\* \* \*

Minęło może piętnaście minut. Capelo chyba zasnął, co w jego stanie było dobroczynne. Sen tłumił ból. Jednakże gdy drzwi znowu się otworzyły i w pomieszczeniu pojawiło się więcej robotów, okazało się, że tym razem Fallerowie chcą Toma.

Dwa twory Obcych stały po drugiej stronie pomieszczenia, gdy siatkowa ścianka chowała się w suficie. Potem jeden z nich ruszył w stronę ludzi i wyciągnął hełm i zasobnik ku Tomowi. Fizyk sięgnął po nie, lecz zaraz padł na podłogę z okrzykiem bólu. Robot zamarł.

Starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, Kaufman się odezwał:

– On jest ranny.

Na migi pokazał najpierw proste ramię, a potem złamane i zademonstrował równy i urywany oddech, przykładając dłoń do klatki piersiowej.

Żaden z robotów się nie poruszał. Może odbierały polecenia przesyłane drogą elektromagnetyczną? Zapewne tak, gdyż po dziesięciu sekundach jeden z robotów opuścił pomieszczenie, a parę chwil później wrócił z drugim hełmem i zasobnikiem oraz siatkowym pojemnikiem wypełnionym na oko śmieciami. Wręczył wszystko pierwszemu robotowi, który z kolei przekazał to Kaufmanowi. Wśród śmieci, jak się okazało, była tkanina, metalowe rurki, okrągłe poduszeczki, jakieś przedmioty w kształcie muszelek, których przeznaczenia Kaufman

nawet się nie domyślał, oraz ostry, dziwacznie zakrzywiony nóż. Robot gapił się na Kaufmana.

– Tom, to będzie bolało. Postaraj się nie zemdleć. Chcą cię dokądś zabrać, jesteś im potrzebny, to dobry znak. Albo słyszeli o tobie, albo Marbet zdołała im wyjaśnić, kim jesteś. A teraz ani drgnij.

– Dobra – odrzekł Capelo i przeraźliwie zmarszczył czoło.

Kaufman wyobrażał sobie, jaka to tortura dla Toma: okazać słabość i zależność od drugiego człowieka. Potrafił uszanować dumę fizyka.

Użył noża do pocięcia na paski tkaniny, która okazała się niewiarygodnie wytrzymała. W pierwszej kolejności zajął się ręką. Capelo wrzasnął, kiedy Kaufman obmacywał złamaną kość, a następnie drugi raz, gdy ją nastawiał, po czym obwiązywał tkaniną razem z usztywniającą ją metalową rurką. Na szczęście złamanie było proste. Później mocno obwiązał zebra Tomowi, który na przemian tracił przytomność i odzyskiwał ją.

– Tom, nie mdlej, słyszysz?...

– T-tak...

– Byłby z ciebie dobry żołnierz.

– W ź-ź-życiu...

Kaufman dokończył dzieła. Boże, ile by dał za zwykły plaster przeciwbólowy!

– A teraz włożę ci hełm i spróbuję cię podnieść...

– Ja... sam...

– Akurat. No, zaczynam... – Nałożył hełm na głowę najpierw Tomowi, potem sobie. Natychmiast rozległ się syk powietrza. Następnie żeby postawić Toma na nogi, Kaufman złapał go w pasie i unióśł. Fizyk był drobnej

budowy ciała, więc poszło to łatwo. Tylko później Tom musiał się na nim wesprzeć. – Ostrożnie, Tom... Dasz radę... No, możemy iść.

Na wpół niosąc, na wpół podpierając doktora Capello, Kaufman opuścił pomieszczenie za dwoma robotami.

## 28.

### *Na pokładzie stacji kosmicznej Fallerów*

Coś miękkiego i purpurowego pod stopami; macki wyrastające z chropowatych ścian. Brak wyraźnego podziału na korytarze i pokoje, tylko pomieszczenia płynnie przechodzące jedno w drugie; pomieszczenia najdziwniejszych kształtów. I wszędzie – dosłownie wszędzie – niewielkie latające owady czy też obce odpowiedniki owadów, lądujące na odkrytym ciele i obsiadające kulę hełmu, i nieustannie bzyczące cicho.

Owady? A może coś innego? Gdybyż mogła je zobaczyć Anna!...

Kaufman nie dostrzegł żadnych Fallerów, jednakże spacer nie był długi. Zatrzymali się w ogromnej sali z czymś zwalistym w jednym kącie. To coś na oczach Kaufmana drgnęło lekko, po czym znów zamarło w bezruchu. Była to amorficzna masa wielkością zbliżona do ziemskiego magnebusu. Nie przypominała cytoplazmy ani rośliny, ani urządzenia, ani niczego innego, co Kaufman kiedykolwiek widział czy choćby sobie wyobrażał. Może był to komputer. Albo dozownik pożywienia. Al-

bo czyjeś ulubione zwierzątko. Albo pościel z żywej tkanki. Nie sposób było tego stwierdzić. Nie sposób było się nie dziwować.

Nagle do pomieszczenia weszli dwaj Faberowie. Zignorowali spoczywającą w kącie masę, która co parę minut bezgłośnie się poruszała przy chropowatej ścianie.

Może się drapała?

Kaufman widział już Fallera z bliska na pokładzie okrętu Alan B. Shepard. Rozpoznał więc baryłkowaty korpus, potężny i podobny do kangurzego ogon służący za podparcie w chwilach spoczynku, gdy obie nogi pozostawały nieruchome, i chude mackowate ramiona, a nade wszystko obce oblicza. Ci tutaj – ubrani w jaskrawe stroje (czyżby mundury?) – stali po drugiej stronie czegoś, co Kaufman w pierwszej chwili wziął za stół. Po stronie bliższej Kaufmanowi znajdowała się Marbet; była nadal naga i nadal w hełmie na głowie.

Dopiero po chwili Kaufman zrozumiał, że to nie jest stół, lecz ekran ustawiony w poziomie – płaska trójkątna powierzchnia na zgrabnej nóżce. Marbet i jeden z Fallerów trzymali w rękach coś, co przypominało rysiki.

– Tom... – odezwała się Marbet. – Pokazali mi to, ale ja nie rozumiem, co próbują mi powiedzieć ani co miałabym im narysować w związku z planem Pierce'a, który zamierza przywlec artefakt do systemu Q. Nie wydaje mi się, abym nawiązała z nimi znaczący kontakt. Mógłbyś to potrzymać?

Capelo odezwał się głosem silniejszym niż dotąd:

– Co te przekłete robale sobie myślą, latając tu wokół nas?

Marbet się uśmiechnęła za przezroczystym wizjerem hełmu.

– Moim zdaniem to inteligentne symbionty. Część fizjologii Obcych.

– Inteligentne? Mam rysować dla robali czy dla tych skurczybyków?

– To bez znaczenia! – wtrącił się Kaufman. – Po prostu narysuj, co masz narysować!

Marbet umieściła rysik w dłoni zdrowej ręki Toma. Wszystko już narysowane na stole-ekranie zniknęło. Kaufman zaciągnął fizyka do stołu i wtedy dostrzegł coś, czego nie widział, stojąc z tyłu. Żaden z Fallerów nie nosił hełmu, co dało się zrozumieć, zważywszy, że to była ich atmosfera, jednakże obydwaj Obcy mieli jakieś zatyczki umieszczone w otworach, którymi – jak sądził Kaufman – oddychali.

„*Ich zdaniem brzydko pachniemy*” – pomyślał Kaufman.

Albo chodziło o coś innego. Marbet wspomniała, że Fallerowie mogą być wrażliwsi od ludzi na feromony. Zatem ci tutaj broniliby się przed ludzkim zapachem, aby stłumić naturalny instynkt będący reakcją na woń człowieka. Być może te zatyczki świadczyły o ich chęci współpracy.

Capelo nachylił się nad stołem, zachwiał i omal nie przewrócił. Kaufman pomógł mu stanąć tak, aby było mu wygodnie rysować zdrową ręką. „Owady” niestrudzenie bzycały, krążyły, lądowały i unosiły się...

– No dobra – zaczął mówić Capelo (raczej do siebie niż do kogoś z obecnych). – To tutaj to Tunel Czasoprzestrzenny Dwieście Osiemnaście, wy skurwiele. Wi-

dzicie ten pączek zawieszony w próżni? Skąd do kurwy nędzy miałbym wiedzieć, co wy widzicie?... Tutaj macie pięć planet w systemie Artemidy. A tu Tunel Trzysta Jeden wiodący prościusięko do waszego rodzimego systemu. Patrzcie, narysowałem wam nawet maciupkiego Fallerka po tej stronie tunelu. Dałem wam do myślenia, co? Spójrzcie sobie na niego, a potem dobrze na siebie nawzajem. Najchętniej bym was przeciął laserem, jak stoicie...

Kaufman zwrócił się szeptem do Marbet:

– Czy oni mogą znać angielski?

– Nie. Sprawdziłam to.

Capelo mówił dalej:

– Tu jest wasz artefakt, o tu, w systemie Q, czyli tak jakby na waszym tylnym podwórku...

Narysował kulę z charakterystycznymi siedmioma wypukłościami.

Jeden z Fallerów wydał głośny skrzek. Kaufman poczuł, że Marbet aż podskoczyła, i sam także spiął się w sobie. Jednakże Capelo tokował, jakby niczego nie zauważył. Przedstawiał sobą przefantastyczny widok: chudy nagi facet w przezroczystej bańce na głowie, balansujący nad stołem z jednym ramieniem prowizorycznie opatrzonym i zwieszonym wzdłuż boku, szaleńczo coś szkicujący z zamiarem ocalenia zamieszkaných światów.

– Wasz artefakt jest ustawiony na dwójkę, co nie, skurwiele? – Pośpiesznymi ruchami nabazgrał dwie kropki przy jednej z wypukłości. – Dzięki czemu bez problemu wychwycicie obecność naszego, gdybyśmy okazali się na tyle głupi, żeby go tutaj przywlec. Pierce



jest na tyle głupi, ale wy o tym jeszcze nie wiecie. Mimo to jesteście przygotowani na taką ewentualność. No to patrzcie!

Capelo zaczął rysować jeszcze szybciej. Skąd brał potrzebną energię? Kaufman uznał, że Toma napędza czysta adrenalina uwalniana pod wpływem stresu, strachu i nienawiści. Bardzo możliwe, że układ wewnętrzny wydzielniczy pompował mu do krwi tyle endorfin, że ból zelżał.

Ten stan nie potrwa jednak długo. W końcu Capelo opadnie z sił. Natomiast te przekłete owady były wciąż niestrudzone.

– Patrzcie, to nasz artefakt nadlatujący tunelem od strony systemu Artemidy... zaczynacie nadstawiać ucha, co? No więc nastawiliśmy go na trzynastkę – skrob, skrob – rozumiecie... – Capelo zaczął dźgać rysikiem stół, zostawiając grube czarne ślady w całej przestrzeni systemu Q z wyjątkiem samych artefaktów, które pozostały nieskazitelne. – No i jebudu!

Marbet wtrąciła cicho:

– Tom, nie podnoś głosu. To wyzwala u nich agresję.

– Trudno – odparł Capelo. – Patrzcie dalej, skurwiele. Wasi nadciągają stąd... – nakreślił delikatną linię prowadzącą z rodzimego systemu Fallerów do systemu Q – i mogą przejść oba artefakty. Kapewu? Marbet, wyczyć ten ekran.

– Nie wiem, jak to się robi – zmartwiła się.

– No to jesteście ugotowani – stwierdził Capelo.

Kaufman powoli, bardzo powoli, żeby nie wyzwolić agresji u gospodarzy, poruszył dłonią nad stołem, pa-

trząc na tego z Fallerów, którego uznał za najwyższego rangą. Faller uczynił coś i ekran znów był czysty.

– Tylko spokojnie, Tom – przestrzegła Marbet głosem pełnym zachęty.

Capelo całkowicie ją zignorował.

– Scenariusz drugi. Słuchacie uważnie, obesrańce? Wasz artefakt sprawia się dzielnie, broniąc po cichutku domowego ogniska. Ale my nadlatujemy ze swoim... widzicie? Mijamy was bez problemu w systemie Q, bo też ustawiliśmy dwójkę i mamy ładniutką tarczę... o, i już jesteśmy na waszym terytorium, gdzie przełączamy ustawienie na trzynastkę i... nic się nie dzieje, tak? Sytuacja patowa. No to zbieramy się do domu. – Rysik pomknął dwoma tunelami do systemu Artemidy. – Marbet, skąd ja mam wiedzieć, czy cokolwiek z tego, co mówię, dociera do tych głabów?

– Dociera – zapewniła go.

– Świetnie, bo nie cierpię strzepić języka na darmo... nie cierpię...

– Trzymam cię, Tom – rzucił Kaufman półgłosem. – Nie upadniesz. Możesz kontynuować.

– Następny scenariusz. Mamy oba... oba... – Capelo zwiotczał u boku Kaufmana. Rysik poleciał na podłogę.

– Marbet, przejmij go – rzucił Kaufman, po czym schylił się po rysik.

Ale czy pozwolą mu zastąpić Toma? Jeśli Marbet miała rację, nieposkromioną agresję u Fallerów wyzwalali właśnie tacy mężczyźni jak on: postawni, nawykli do mówienia władcym tonem. Marbet utrzymywała, że są bardzo czuli, teraz więc Kaufman czekał, aż razi go jakaś nieznana broń.

Nic się nie stało. Nie musiał być jednak Wrażliw-  
cem, aby dojrzeć skurcze mięśni Fallerów, nastroszenie  
ich kryz szyjnych. Co gorsza, chmara owadów wirują-  
cych mu przed twarzą zgęstniała i zaczęła bzyczyć gło-  
śniej.

– Schyl się, Lyle! – poradziła mu Marbet. – Nie  
patrz na nikogo i rysuj, szybko!

Kaufman się przygarbił i wbił wzrok w stół, wście-  
kły na siebie za to, co robił.

Takie instynktowne poddańcze zachowanie nie leża-  
ło w jego naturze. Spróbował naśladować styl Toma Ca-  
pelo i naszkicował oba artefakty w systemie Q, na obu  
zaczerniając ustawienie oznaczone trzynastką. Tylko jak  
narysować rozdarcie materii czasoprzestrzeni?! Osta-  
tecznie zdecydował się na faliste linie przekreślające  
wszystko, wychodzące poza granice obu tuneli i unice-  
stwiający nie tylko system Q, ale też system Artemidy i  
rodzimy system Fallerów. Dosłownie wszystko.

– Nie podnoś wzroku, Lyle – przestrzegła go Mar-  
bet. – Ja poproszę, żeby wyczyścili ekran.

Skopiowała jego wcześniejszy ruch dłonią. Ten sam  
Faller ponownie uczynił coś, czego nie dało się uchwy-  
cić, i po chwili Kaufman znowu patrzył na pusty ekran.

Doszli do najważniejszej części.

Kaufman i Capelo ukazali Obcym trzy scenariusze:  
dwa zwycięstwa Fallerów i jedną sytuację patową. Wróg  
zdawał się bez protestów przyjmować te informacje do  
wiadomości. W każdym razie Kaufman nie zauważył  
żadnych oznak niezgody, takich jak na przykład zabicie  
go. Teraz zamierzał przejść do scenariusza czwartego i

musiał wspiąć się na wyżyny maestrii, ponieważ czwarty scenariusz był stekiem kłamstw.

Od nowa naszkicował tunele #218 i #301 z systemem Q pomiędzy nimi oraz z artefaktem Fallerów unoszącym się w przestrzeni systemu Q. Nakreślił pięć planet systemu Artemidy po drugiej stronie Tunelu #218 i sylwetkę Fallera po drugiej stronie Tunelu #301. Następnie przeszedł do narysowania drugiego tunelu unoszącego się w rodzimym systemie Fallerów oraz nadlatującego nim okrętu ludzi z artefaktem na pokładzie. Artefakt ten miał zaczernione ustawienie oznaczone trzynastką.

*„Znamy inną drogę. Możemy was zniszczyć, podczas gdy wy będziecie zajęci patrolowaniem tyłów”.*

Kolejny skrzek, jeszcze głośniejszy i przenikliwszy od poprzedniego. Kaufman byłby dalej trzymał wzrok spuszczone, jednakże w pomieszczeniu działo się coś tak niezwykłego, że po prostu musiał to zobaczyć. Wszystkie owady nagle zaczęły bombardować lotem nurkowym rozedrganą masę w kącie. Ta w odpowiedzi jęła wydawać dźwięk tak wysokiej częstotliwości, że Kaufmana zabolowały uszy. Rysik wypadł mu z zaciśniętych palców. Później wszystko zniknęło.

\*\*\*

– Lyle! Obudź się, Lyle!

Marbet... Kaufman chciał otworzyć oczy, nadaremno jednak.

– No dalej, Lyle. Tylko ty potrafisz latać czymś takim...

Latać? Słowo to było tak niespodziewane, tak nie-stosowne wręcz, że Kaufman musiał śnić... Ale nie, nie śnił i kosztem herkulesowego wysiłku rozwarł powieki. Marbet, wciąż naga, lecz już bez hełmu, pochylała się nad nim. A on leżał...

Nie, to niemożliwe!

– Wstawaj, Lyle! – rozkazała i Kaufman wolno się podniósł.

Otoczała go ciasnota kabiny ludzkiego statku kurierskiego – był tam ekran, przyrządy, siedzenia, nawet terminal... Model XXPell3. Symulator? Wirtualny czy realny?... Wszystko wyglądało na jak najbardziej rzeczywiste.

Marbet ciągnęła go w stronę fotela pilota. Na ekranie właśnie umykała w górę zakrzywiona powierzchnia ustępująca gwiazdom. Znajdowali się w doku.

– Biedronka, biedronka – powtarzał Capelo z tylnego siedzenia, do którego był przymocowany uprzężą. Na jego nagiej piersi i szyi lśniły różnorakie plastry. Wszystkie koloru niebieskiego. Zatem Marbet znalazła na pokładzie standardową wojskową apteczkę pierwszej pomocy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Kaufman. – Co...

– Mieli tam ten statek kurierski – wyjaśniała Marbet, upychając go w fotelu pilota. – Bóg jeden wie, skąd go wystrasnęli. Chcą, żebyśmy polecieeli do systemu Artemidy i powiedzieli tam reszcie ludzi, że Fallerowie przeniosą swój artefakt do rodzimego systemu. Ty jeden nie mogłeś odzyskać przytomności, Lyle. Myślę, że cię przecenili i potraktowali zbyt dużą dawką tego samego, co zaaplikowali też mnie i Tomowi. Może dlatego, że je-

steś od nas większy albo bardziej władczy, albo... sama nie wiem. W każdym razie ani Tom, ani ja nie umiemy pilotować czegoś takiego, więc ty musisz przejąć stery!

– Dopnij uprząż, Marbet – polecił jej Kaufman.

Zaczął macać dłońmi terminal. Nie był zakodowany pod niego, ale Kaufman wiedział, jak to obejść, żeby dokonać rekonfiguracji. Dziesięć lat minęło od chwili, gdy po raz ostatni siedział za sterami XXPeł3, lecz ta jednostka miała co najmniej tyle samo lat. Fallerowie musieli ją przejąć gdzieś kiedyś... Kaufman wołał się nie zastanawiać, jaki los spotkał trzyosobową załogę.

Ekran przed nim rozbłysnął. Pojawiły się dwa tunele i nic poza tym. Najwyraźniej system Q został oczyszczony z wszelkich obiektów wystarczająco dużych, by zaśmiecać obraz.

Kaufman wyleciał z doku i na ekranie pojawiły się dwa dodatkowe punkty: XXPeł3 oraz stacja kosmiczna Fallerów. Zaraz... nie, nie dwa, tylko trzy punkty. Kaufman przyglądał się, jak od stacji odbija inna jednostka, kierując się w stronę Tunelu Czasoprzestrzennego #301. Fallerowie zabierali swój artefakt.

– Uwierzyli nam – powiedział na głos. – Ci skurwiele nam uwierzyli...

– I puścili nas wolno – dodał Capelo. – Ciekawe po co? Jak tylko wylecimy z wrót w systemie Artemidy, nasi nas usmażą.

– Nie – zaprzeczył Kaufman. – Nie usmażą ludzkiego statku kurierskiego. Zawahają się na moment, a wtedy my prześlemy identyfikację.

Bardzo chciał wierzyć w to, co mówi. Tak czy owak była to ich jedyna nadzieja.

– Och, świetnie – wzruszył ramionami Capelo. –  
Zatem odczekają, aż im powiemy, cośmy naopowiadali  
Fallerom, po czym dopiero nas usmażą. Pierce’owi na  
pewno bardzo się spodoba, że zepsuliśmy mu zabawę w  
przewrót wojskowy.

– Przymknij się, Tom – wtrąciła Marbet.

– Ooo! Zatem i ty się zaciągnęłaś! Generał Grant...  
Gdzie jest najbliższy punkt werbunkowy?

– Tom, zamknij się. Pozwól, żeby Lyle nas stąd za-  
brał!

Lyle skierował się ku wrotom Tunelu Czasoprze-  
strzennego #218. Jednakże coś uparcie nie dawało mu  
spokoju. Fallerowie chcieli, żeby on, Capelo i Marbet  
przekazali reszcie ludzi, że artefakt Obcych trafi do ich  
rodzimego systemu w celach ochrony. Tak powiedzieli  
Marbet. Dlaczego tak im zależało na dostarczeniu tej  
wiadomości? Dlaczego nie woleli zaczekać, aż oddziały  
Pierce’a przywleką artefakt, żeby dokonać próby usma-  
żenia systemu Fallerów, co przy włączonej tarczy plane-  
tarnej okazałoby się niemożliwe? Skoro już musiało  
dojść do sytuacji patowej... Błogosławiony pat... Przy-  
najmniej tyle udało się osiągnąć Kaufmanowi i parze je-  
go kompanów. Dwa artefakty nie znajdują się w jednym  
systemie gwiazdnym włączone na trzynastkę. Nie dojdzie  
do rozdarcia materii czasoprzestrzeni, nie będzie  
żadnej transformacji topologicznej na skalę wszechświa-  
ta, znane ludziom trzy wymiary pozostaną takie jak zaw-  
sze. Tylko że... skoro jest pat, czemu Obcy wysłali ich,  
żeby to roztrąbili na prawo i lewo?



Fallerowie nie chcą, by jakikolwiek człowiek wkroczył znów do systemu Q. Są aż takimi ksenofobami. Nie znoszą obecności obcych na tyłach domu.

Na ekranie pojawiło się coś jeszcze.

Gdyby Kaufman mógł, przetarłby oczy ze zdziwienia. Ale oczy go nie myliły. Rzeczywiście widział to, co widział; nie miał omamów; nie był też w stanie przegnać tego widoku mruganiem. W systemie Q, tuż przy wylocie Tunelu Czasoprzestrzennego #218, pojawiło się coś jeszcze. Trzecie, czwarte, piąte, szóste... Nadlatywały oddziały admirała Pierce'a.

A jednostka Fallerów z ich artefaktem na pokładzie znajdowała się zbyt daleko od wrót Tunelu #301, by zdążyć do rodzimego systemu w porę. W systemie Q znajdowały się dwa artefakty naraz, z czego jednym zawiadywał kompletny szaleniec.

Kaufman się spóźnił. Wszystko stracone.

## 29.

### *W systemie Q*

– Co się dzieje? – zapytała Marbet. Bacznie obserwowała Kaufmana i przed jej wzrokiem Wrażliwca nic się nie ukryło. Zresztą Kaufman nie zamierzał taić przed nią prawdy.

– Flota tu jest.

– Z naszym artefaktem? – do rozmowy włączył się Capelo.

Na ekranach było widać, że załoga stacji kosmicznej Obcych otwiera ogień. Okręty Sojuzu Solamego nie ucierpiały od ostrzału i mknęły dalej jakby nigdy nic.

– Z naszym artefaktem – potwierdził Kaufman i dodał: – Ustawionym na dwójkę.

– Czy Fullerowie zdążą dolecieć do tunelu, zanim okręty Pierce’a...

– Nie – odpowiedział Kaufman. – Przygotujcie się na duże przeciążenia i akrobacje.

Skierował zabytkowy stateczek ku tunelowi, z którego właśnie zaczęły się wyłaniać okręty floty Sojuzu Solamego. Na jego wyświetlaczach nie pojawiły się żadne identyfikatory. Systemy dziesięcioletniego statku kurierskiego miały ograniczoną pamięć, w której rzecz jasna nie było nowszych modeli okrętów.

Kaufman inicjował połączenie na wszystkich częstotliwościach.

– Do dowództwa floty Rady Obrony Sojuzu Solamego, tutaj mówi pułkownik Lyle Kaufman z pokładu wycofanego ze służby XXPel3. Proszę o pozwolenie lotu równoległego.

Korzystając z opóźnienia w przekazie, Capelo rzekł:

– O mój Boże, tak... Jeśli oba artefakty zostaną ustawione na trzynastkę, powinna powstać strefa bezpieczeństwa wokół... Co ja wygaduję?! Dojdzie do transformacji topologicznej w świecie makro... Lyle, postaraj się o pozwolenie na przejście przez tunel! Szybko! Nadal nie wiemy, czy taka fala przemieszcza się z prędkością światła i czy w ogóle jest zdolna pokonać tunel czasoprzestrzenny!

– Kto u diabła mówi? – padło z komunikatora. – System Q to strefa zamknięta!

– Wiem. Długo by opowiadać. Proszę o zgodę na przejście przez Tunel Dwieście Osiemnaście. Opowiem wszystko w systemie Artemidy. Wygląda mi na to, że nie potrzebujecie tutaj zawalidrogi.

Kolejne opóźnienie. Kaufman zwiększył ciąg na tyłe, na ile się odważył. Żebra Toma Capelo były opatrzone tylko prowizorycznie. W końcu nadeszła odpowiedź:

– Zabierajcie dupę w troki, pułkowniku, i skaczcie przez ten tunel. Hasło: San Juan Hill. Macie pięć minut!

Kaufman nie zapytał, co się stanie po pięciu minutach. Znał odpowiedź. Jednostka Faberów mknęła ku wrotom Tunelu Czasoprzestrzennego #301, aby umieścić artefakt w rodzimym systemie i chronić go w ten sposób przed atakami. Było wszakże za mało czasu. Gdyby oba artefakty były ustawione na dwójkę, ani okręty ludzi, ani jednostka Faberów nie uległyby uszkodzeniu. Ale Faberowie z pewnością zmienią ustawienie na jedenastkę, aby ochronić cały system gwiazdny przed atakiem artefaktu ustawionego na trzynastkę. A to bez wątpienia...

Kaufman przyśpieszył do pięciu g, kierując się prosto na wrota Tunelu Czasoprzestrzennego #218.

Faberowie bez wątpienia zmienią ustawienie na jedenastkę...

Coś zmieniło się na ekranach. Okręty ludzi i jednostka Faberów eksplodowały!

– Zrobili to! – wrzasnął Kaufman pomimo ucisku w płucach.

Zrobili to, najwyraźniej zrobili...

Z czego wynikało, że przy ustawieniu na trzynastkę nie ma żadnej strefy bezpieczeństwa. Artefakt Syree Johnson eksplodował, powodując usmażenie całego systemu Świata z wyjątkiem Świata, a stara dobra pani pułkownik sądziła, że stało się tak dlatego, że chciała przepchnąć przez tunel zbyt duży obiekt. Tymczasem...

Pierce i Obcy to zrobili! Dwa artefakty zostały włączone równocześnie w jednym systemie przy ustawieniu na trzynastkę!

Fala musiała mieć spore opóźnienie, w przeciwnym razie już by ich nie było razem z zabytkowym statkiem kurierskim...

Zrobili to, ci popieprzeni skurwiele to zrobili...

Kaufman gnał w stronę tunelu. Opóźnienie, ale jakie?... Zaczynał tracić przytomność. Nie da rady, okręty patrolowe po drugiej stronie tunelu usmażą im tyłki, jeśli nie zdoła dokonać identyfikacji jednostki... Musi pozostać przytomny... San Juan Hill... Zrobili to...

Ich statek zanurkował we wrota tunelu. Trzy sekundy później fala uwolniona przez artefakt włączony na trzynastkę dosięgła Tunelu Czasoprzestrzennego #218. I doszło do nieuniknionego.

\* \* \*

Ciemność.

– San... Juan...

Przytłaczające brzemie.

– Hill...

Znowu ciemność, z wolna ustępująca.

– San...

Kaufman nie wiedział, od jak dawna szepcze te słowa, które nie niosły żadnego znaczenia dla jego skolowanego umysłu. Mrok go połykał i wypluwał, i tak na przemian. Z komunikatora dobiegał jakiś głos... Pozbawione znaczenia wyrazy...

Był po drugiej stronie tunelu, w systemie Artemidy. Żywy.

– Zmniejszyć... ciąg...

Brzemię zelżało. Statek mknął dalej.

– Zwolnić, do cholery! – padł rozkaz z komunikatora.

Kaufman dobywając wszystkich sił, jakie mu pozostały, wklepał komendę do terminalu pokładowego.

Marbet. Tom.

Obrócił się na fotelu. Oboje spoczywali na swoich miejscach w pozycji półleżącej. Jego serce i płuca pracowały z takim trudem, że nie czuł się na siłach podejść do któregoś z kompanów. Miał wrażenie, że mózg rozsadza mu czaszkę. Panował jedynie nad swoim głosem i postanowił zrobić z tego użytek.

– Nasze okręty... przepadły... jednostka Fallerów także... oba artefakty... trzynastka...

– Skąd pan to wie? Pułkowniku, co tam się właściwie stało?

– Nie... przechodźcie...

Oczywiście nie posłuchają. Było to więcej niż pewne. Na oczach Kaufmana punkciki na ekranie symbolizujące okręty wojenne Sojuszu Solarnego oderwały się od stacji kosmicznej i pomknęły w stronę Tunelu Czasoprzestrzennego #218.

– Nie... jeszcze... nie...

– Do niezidentyfikowanej jednostki: zdezaktywować wszelką broń i czekać na abordaż – dobiegło z komunikatora. Sucho, po wojskowemu. Co za głupcy...

To, iż nadal żyli, świadczyło, że fala rozprzestrzenienia się z prędkością światła, lecz nie jest w stanie pokonać bariery wrót czasoprzestrzennych. Transformacja topologiczna rozpoczęta w obrębie systemu Q i polegająca na rozdarciu, a następnie załataniu czasoprzestrzeni za pomocą totalnej rekonfiguracji materii, potrwa setki lat, zanim dotrze do Układu Słonecznego, by zniszczyć tamtejsze życie.

Kiepska pociecha.

– Gotów do... abordażu – potwierdził Kaufman, czyniąc wysiłek, aby wstać i podejść do Marbet.

Zabrakło mu jednak sił; opadł z powrotem na fotel, dzięki czemu patrzył prosto na ekran, kiedy to się stało.

Był naocznym świadkiem.

Świadkiem niemożliwego.

Trzy okręty Rady Obrony Sojuszu Solamego zmierzały ku Tunelowi Czasoprzestrzennemu #218. Ku wrotom i we wrota. Nie przez wrota. Dwie jednostki, które dzieliło pół minuty lotu, uderzyły w niewidzialny lity mur w środku pęczka i eksplodowały. Trzeci okręt w porę dokonał zwrotu i uniknął zderzenia z wrotami tunelu.

Które najwyraźniej przestały dokądkolwiek prowadzić.

Kaufman zerwał się z miejsca. Pokłady energii, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy, zadziałały jak galwanizator. Złapał Toma Capelo i potrząsnął nim, nie zważając na obrażenia fizyka, który zwiotczały poleciał

najpierw w przód, potem w tył. Tyle dobrego, że oddychał. Kaufman puścił Toma i sięgnął po taser.

Z komunikatora dobiegł sygnał alarmu. Ostrzeżenie przed atakiem.

Ale nie było żadnego zagrożenia, jeśli nie liczyć uzbrojonego w taser Kaufmana, który właśnie przykładał końcówkę urządzenia do ciała Toma.

– Co... auuu! – Capelo oprzytomniał, wydając przeciągły jęk bólu.

Kaufman to zignorował.

– Tom, słuchaj... słuchaj, do cholery! Tunele się zamykają! \

– Co...

– Tunel czasoprzestrzenny pomiędzy systemem Q i systemem Artemidy jest już zamknięty! Wrota zamieniły się w lity mur. Obie strony konfliktu uruchomiły artefakt na trzynastce w obrębie systemu Q i tunel się zamknął. Muszę wiedzieć, czy zamknięciu uległy wszystkie tunele czy tylko ten jeden!

Capelo wpatrywał się w niego w milczeniu, zupełnie zapomniawszy o bólu.

– A skąd ja miałbym to do kurwy nędzy wiedzieć?!

Kaufman porzucił go i wrócił na swoje miejsce. Fizyka teoretyczna okazała się mało pomocna. Skoro teoria zawiodła, pozostawała tylko praktyka. Włączył silniki i z dużym przyspieszeniem skierował się do Tunelu Czasoprzestrzennego #212. Kolejnego na trasie do Układu Słonecznego.

Nikt nie zaczął strzelać ani nie wydał rozkazu, aby się natychmiast zatrzymali. Kaufman nie był tym specjalnie zdziwiony. Flota ROSS właśnie straciła dwa



okręty w wypadku, który nie miał się prawa wydarzyć. Nikt we flocie nie myślał teraz o Kaufmanie. Oczywiście za parę chwil to się zmieni, ale do tego czasu oni zdążą dokonać skoku i przenieść się do systemu Hana.

Pod warunkiem, że Tunel Czasoprzestrzenny #212 jest czynny.

W połowie drogi do wrót, czyli całkiem szybko, zaczął hamowanie. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, powiadomił okręty patrolowe:

– XXPell3, testowy statek kurierski, w drodze do systemu Hana przez Tunel Dwieście Dwanaście. Hasło: San Juan Hill. Życie mi powodzenia, chłopcy!

Odpowiedziała mu cisza wynikająca po części z opóźnienia, a po części z osłupienia. W końcu rozległ się przestraszony młody głos:– Ale ja nie mam...Wykonujcie skok i powodzenia!

Parę sekund później z komunikatora doleciało:

– To nie jest...

Było już jednak za późno. Komunikat z okrętu patrolowego przy wrotach do systemu Q nadszedł po tym, jak Kaufman otrzymał pozwolenie na skok i zagłębił się w szarą nicłość unoszącego się w przestrzeni pączka.

Powoli, aby w razie czego zmniejszyć skutki uderzenia, wleciał do tunelu.

Statek nie napotkał żadnego oporu.

Za plecami Kaufmana doktor Capelo powiedział:

– Jezu Chryste Newtona!

– Proszę?

Capelo nie udzielił wyjaśnień. Z grupy okrętów patrolowych w systemie Hana dobiegł standardowy komunikat:

– Do niezidentyfikowanej jednostki. Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży.

– Statek kurierski XXPel3 pilotowany przez pułkownika Lyle’a Kaufmana.

Fragmentaryczny przekaz alarmowy z systemu Artemidy, najwyższy priorytet.

– Rozpocznijcie podejście, kiedy będziecie gotowi. Ale wasz statek...

– Leć do następnego tunelu, Lyle! – rzucił Capelo. – Już! One wszystkie się zamkną, tylko nie wiem kiedy! Słyszysz, co mówię?... One wszystkie się zamkną!

– Co tam się dzieje, pułkowniku?

– Nic – odparł Kaufman.

Oczami wyobraźni ujrzał mapę tuneli czasoprzestrzennych prowadzących z tego miejsca do Układu Słonecznego. Co ciekawe, obraz ten nie przypominał standardowego wojskowego renderingu, lecz raczej szkic podobny do tych, które kreślił na podręcznym komputerze Marbet. Kaufman widział go teraz w całej okazałości, równie wyraźnie, jakby rysunek unosił się przed nim w powietrzu.

Od domu dzieliły ich cztery skoki.

Kaufman rzucił do komunikatora:

– Zmiana rozkazów zabezpieczonych aż do tego miejsca w przestrzeni. Fragmentaryczny przekaz alarmowy, najwyższy priorytet. Zwracam się o pozwolenie na skok przez Tunel Sto Siedemnaście prowadzący do systemu Bliźniąt.

– Nie mam wystarczającej...

– W takim razie znajdź kogoś, kto ma! Powiedziałem wyraźnie, że na pokładzie przewożę fragmentarycz-

ny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie i muszę dokonać skoku przez Tunel Sto Siedemnaście! – powtórzył Kaufman donośnie, stanowczo, niecierpliwie. Wrota tunelu były oddalone o dwadzieścia sekund lotu.

– Nie mam... czy możecie... stać!

Znów za późno. Kaufman zdążył wlecieć do tunelu. Wyłonili się w systemie Bliźniąt. Do pokonania zostały im jeszcze trzy tunele.

– Tom, będą nas ścigali – rzekł spokojnie do fizyka.

– Jeśli ich nie zagadasz, ostrzelają nas.

– Rób uniki czy coś! Nie wiem, czy potrafię... Jak do diabła mogłem przegapić tę zmienną...

Kaufman przekazał komputerowi pokładowemu komendę nakazującą skierowanie się do Tunelu Czasoprzestrzennego #64, który prowadził z systemu Bliźniąt do systemu Izydy, a także robienie wszelkich możliwych uników i utrzymanie otwartych połączeń. Potem obrócił się w fotelu. Capelo siedział na swoim miejscu pochyłony nad komputerem podręcznym. Był cały pooklejany niebieskimi plastrami. Boże, ileż on wchłania związków, które utrzymują go na chodzie!... Chyba tylko dzięki nim może tak zaciekle robić jakieś obliczenia... Kaufman przeniósł wzrok na Marbet i przekonał się, że kobieta oddycha. Zalała go fala szczęścia.

Ale czemu? Przecież i tak zostaną zestrzeleni.

– XXPell3, zatrzymaj się natychmiast albo rozpocznę ostrzał.

– Tu doktor Thomas Capelo! – wrzasnął Tom. – Nie strzelajcie! Wysłuchajcie mnie... Tunele się zamykają, zamykają się!... Wiem dlaczego! Jeśli mnie zestrzelicie, nigdy się nie dowiecie!

– XXPell3, zatrzymaj się natychmiast albo rozpocznę ostrzał. To ostatnie ostrzeżenie.

Tunel pomiędzy systemami Bliźniąt i Izydy znajdował się zbyt daleko, żeby do niego umknąć, zanim trafi ich promień protonowy.

Kaufman poczuł ucisk w piersi. Mógł ostrzelać okręty patrolowe, w końcu były tylko dwa. Zakładając, że jego uniki zadziałają, prawdopodobnie zniszczy obydwa...

Nie, nie może tego zrobić. Nie może zestrzelić dwóch okrętów Rady Obrony Sojuszu Solarnego pozostających w czynnej służbie nawet dla uratowania życia Marbet i własnego, nawet po to, aby doktor Thomas Capelo powiadomił całą Galaktykę, co się z nią dzieje. Zresztą wszyscy i tak niedługo się dowiedzą.

– Rozpaczam procedury – powiedział do komunikatora, nie zwracając uwagi na Toma pokrzykującego za jego plecami.

W tej samej chwili na ekranie przed nim eksplodował w silnym rozbłysku jakiś statek.

Z danych wynikało, że był to cywilny statek towarowy mający pozwolenie na pokonanie innego tunelu w tym systemie. Pechowy statek zbliżył się do wrót przy przyśpieszeniu jeden g i natrafił na lity mur. Kolejny tunel czasoprzestrzenny uległ zamknięciu.

– Tunele się zamykają, jak powiedział doktor Capelo! – oznajmił Kaufman. – Przewożę fragmentaryczny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie Tunelem Sześćdziesiąt Cztery z systemu Izydy...

Nikt mu nie odpowiedział. Prawdopodobnie cała obsługa nie wyszła jeszcze ze zdumienia po tym, co się

przytrafiło statkowi handlowemu. Rozpadł się na kawałki, choć powinien był wnikać w pustkę. Ile osób zginęło?...

Kaufman nie zwolnił. Dwadzieścia dwie sekundy, osiemnaście, dwanaście... i przeszli.

– Do niezidentyfikowanej jednostki – rozległ się głos zaskoczony kobiety w systemie Izydy. – Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży. Brak danych...

Capelo odezwał się równocześnie z nią:

– Tutaj masz chyba więcej czasu. Równania... Mój Boże, jak ja to mogłem przegapić...

Podniecenie powoli opadało z Kaufmana, który w przeciwieństwie do Toma nie absorbował przez skórę związków chemicznych wywołujących coś w rodzaju permanentnego uniesienia. Capelo bowiem był nazbyt pokiereszowany, aby przetrwać na samych tylko analgetykach – w jego krwiobiegu musiały krążyć inne środki, takie jak peen czy guli.

Od Układu Słonecznego dzieliły ich już tylko dwa tunele.

– Tu statek kurierski XXPell3 bez ważnych pozwoleń. Proszę o pozwolenie na skok do systemu Herndona przez Tunel Trzydzieści Dwa.

– Dlaczego nie ma was w wykazie, XXPell3? Wasza jednostka wyskakuje na spisie jako wycofana ze służby...

– Zgadza się. Ja... – zawiesił połączenie, by zwrócić się do Toma: – He czasu zostało? Kiedy dojdzie do zamknięcia wszystkich tuneli? Czy ty w ogóle coś kurwa wiesz?

– Nie! Ja tylko w dziesięć minut dokonałem przełomowego odkrycia w dziejach fizyki!

Kaufman wznowił połączenie z okrętem patrolowym.

– ...łam reszty. Powtórzcie wiadomość.

– Powtarzam – rzekł Kaufman z rezygnacją. Po raz pierwszy w ciągu ostatniego kwadransa, który jemu zdawał się długimi godzinami, zauważył, że wszyscy: on, Capelo i Marbet, nadal są nadzy. – Misja specjalna, przewożę fragmentaryczny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie...

– Hasło?

Kaufman oczywiście go nie znał. Tak dobiegła końca ich szaleńcza ucieczka w stronę Układu Słonecznego. Ich ostatnim orężem była goła prawda.

– Na pokładzie mam doktora Thomasa Capelo, zaginionego fizyka światowej sławy poszukiwanego przez admirała Pierce'a. Doktor Capelo właśnie odkrył, że tunele czasoprzestrzenne zamykają się jeden po drugim, i pojął stojącą za tym teorię naukową. Sprawą o żywotnym znaczeniu jest, abyśmy jak najprędzej dostarczyli te informacje admirałowi przebywającemu na Marsie. Admirał Pierce jeszcze nie ma pojęcia o tym fenomenie, więc nie wydał stosownych haseł. Niemniej cała Galaktyka jest zagrożona!

– Doktor Thomas Capelo? – spytała zdębiała kobieta. – A to ci historia. Zdezaktywujcie wszelką broń i czekajcie na abordaż.

– Przecież mówię, że nie ma na to czasu – odrzekł Kaufman. – Tunele czasoprzestrzenne ulegają zamknięciu.

Na ekranie przed nim jakiś statek majestatycznie wleciał we wrota, nie napotykając żadnej przeszkody.

– Zdezaktywujcie wszelką broń i czekajcie na abordaż – powtórzyła kobieta.

– Przyjąłem – odparł Kaufman. – Gotów do abordażu... Mówi emerytowany pułkownik Lyle Kaufman z Rady Obrony Sojuszu Solamego. Czy możecie zrobić chociaż jedno? Przyślijcie...

– Lyle? – zdziwiła się inna kobieta. – Lyle Kaufman? Tu Marjorie Barella.

Kaufman zamknął oczy. Służyli razem na polu bitwy przed piętnastoma laty.

Spotkali się wtedy przypadkiem, tak samo jak teraz.

– Marjorie? Tak, to ja, Lyle Kaufman. Jeśli chcesz, możesz przeprowadzić identyfikację głosu. Zadowolona?

– Tak.

– Posłuchaj uważnie, pani pułkownik...

– Pani generał.

Szczyście mu dzisiaj dopisywało.

– Sytuacja jest bezprecedensowa. Mam tu na pokładzie doktora Thomasa Capelo. Właśnie przylecieliśmy z systemu Artemidy. – Nie wspomniał o systemie Q; Marjorie Barella nie należała do Rady Obrony, toteż nawet nie miała pojęcia o istnieniu systemu Q. – Długo by opowiadać, ale w skrócie wygląda to tak, że tunele czasoprzestrzenne ulegają zamknięciu jeden po drugim i nie wiadomo, jak szybko przebiega ten proces. Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Proszę tylko o to, żebyście wysłali do systemu Bliźniąt statek kurierski dla potwierdzenia tego faktu. W tym czasie przyjmę na pokład od-



dział patrolowy, chociaż nadal uważam, że moim zadaniem jest dostarczyć tę wiadomość do Układu Słonecznego.

Generał Barella odparła:

– Musisz zdezaktywować wszelką broń i przygotować się do abordażu, Lyle... nie masz wyjścia. Ale byłeś.... Wyślę statek na rekonesans, jak prosisz.

– Dziękuję, Marjorie. – Przypadkiem wtedy, przypadkiem teraz. Co za niesprawiedliwość. Z drugiej strony Kaufman nigdy nie miał wątpliwości, że wszechświat nie pogrywa sobie uczciwie. Zawiesił połączenie i zwrócił się do Toma: – Ile czasu? I w ogóle co się dzieje?

– Nie wiem, ile czasu. Mam tylko dane z trzech najbliższych tuneli, to za mała próba... Wiem za to, jaka jest przyczyna... Chcesz posłuchać?

Czy chcę?... Kaufman przymknął oczy. Miał za mało sił, aby skomentować kuriozalny sposób wysławiania się fizyka. Z trudem podniósł się z fotela i zaczął szukać plastra z adrenaliną dla nadal nieprzytomnej Marbet Capelo, wciąż na fali uniesienia, paplał dalej:

– Nie mam pojęcia, jak mogliśmy to przegapić... ale kiedy człowiek już wie, gdzie patrzeć... pamiętasz tych wszystkich ludzi, którzy twierdzili, że dwa artefakty ustawione na trzynastkę nie mogą rozerwać materii czasoprzestrzeni, ponieważ ich twórcy z pewnością wbudowali jakieś zabezpieczenie?... Pamiętasz tych wszystkich pełnych nadziei, pozbawionych dowodów optymistów? No więc wyobraź sobie, że mieli rację! Albo przynajmniej częściową rację, gdyż czasoprzestrzeń ulega rozdarciu i samonaprawia się za pomocą transformacji topologicznej, wykorzystując dostępną energię... co

do tego się nie myliłem. Rzecz w tym, że ta transformacja topologiczna ma swoje granice. Przenika przez tunele czasoprzestrzenne i zamyka je... aż trudno pojąć, jak ogromna energia jest w to zaangażowana!... W każdym razie skutek tego jest dwojaki: po pierwsze, konfiguracja trójwymiarowej czasoprzestrzeni zostaje ocalona, a po drugie, artefakty nagle znajdują się poza zasięgiem tych, którzy tak niebezpiecznie sobie z nimi poczynali. To takie piękne, matematyka... równania... takie piękne... jak ja mogłem to wcześniej przegapić...

Kaufman się wyłączył. Przykleił plaster do szyi Marbet. Kobieta momentalnie się poruszyła i przyłożyła dłoń do piersi.

– Oooh...

– Nie ruszaj się, Marbet. Masz połamane żebra, tak myślę. Tom też, ale... Po prostu się nie ruszaj, dobrze? Pomoc nadchodzi.

– Gdzie jesteśmy? – Choć obolała, była w pełni przytomna.

– W systemie Izydy. Za parę minut na pokład wejdą członkowie grupy patrolowej. Nie ruszaj się, bo...

– Lyle! – dobiegł z komunikatora głos pani generał.  
– Lyle, miałaś rację! Na Boga!...

Kaufman warknął w stronę komputera pokładowego:

– Otworzyć obustronne połączenie! – Moment później mówił już do Marjorie. – O czym ty...

– Statek, który wysłałam, potwierdził, że flota w systemie Bliźniąt jest w rozsypce. Tunel łączący systemy Bliźniąt i Mana zamienił się w lity mur! Jak to... Zresztą nieważne. Lećcie do Układu Słonecznego i

przekażcie wiadomość. Nie ma sensu wysłać przodem pozwoleń, i tak będziecie szybsi od nadanych komunikatów. Jeżeli... – nie dokończyła myśli. – Hasło jest już w drodze do was. Dzięki niemu pokonacie każdy tunel! Powodzenia!

– Dziękuję – rzucił Kaufman, który zdążył już wrócić na fotel pilota.

Uruchomił silniki i ożywił systemy uzbrojenia. Odebrawszy zaszyfrowane hasło, przyspieszył bezwzględnie, rzucając się ku Tunelowi Czasoprzestrzennemu #32, póki czas – o ile czas w ogóle jeszcze istniał.

Za Tunelem #32 na drodze do Układu Słonecznego stał już tylko jeden tunel: #1.

### 30.

*Tharsis,  
Mars*

Amanda Capelo i Konstantin Ouaranis siedzieli w salonie Blumbergów, oglądając wiadomości. Wujek Martin tkwił przed terminalem w swoim gabinecie, czyli tak naprawdę w kącie sypialni, przygotowując się do kolejnych wykładów na uczelni. Nazajutrz zaczynał się czwarty okres roku akademickiego. Ciocia Kristen wróciła z pracy wcześniej i teraz tłukła się w ciasnej kuchni, przygotowując kolację. W rzeczywistości lepszym kucharzem był wujek, ale dziś wypadła kolej cioci. Wia-

domości leciały na cały regulator, żeby mogła je słyszeć w kuchni.

– Patrzeć! – odezwał się nagle Konstantin. – Mój ojciec!

Amanda nie śledziła newsów. Ukradkiem przyglądała się uroczemu profilowi Konstantina i zamartwiała jutrem.

Problem stanowił wujek. Nie... w gruncie rzeczy problem stanowiło to, że Amanda skłamała.

Nie powinna była dawać Konstantinowi do zrozumienia, że ma prawie siedemnaście lat. Przez to... miał pewne oczekiwania. Mieszkał u Blumbergów już dwa tygodnie, a Amandzie zdawało się, że z każdym dniem oczekuje od niej więcej. Jutro zaś wujek wracał do pracy i miał spędzić na uczelni cały dzień, natomiast ciocia jak zwykle uda się na farmę położoną za Tharsis, gdzie uprawiano zintensyfikowaną hodowlę zmodyfikowanych genetycznie zbóż pod kopułami przypominającymi szklarnie. Aż do tej pory nigdy oboje naraz nie wychodzili z domu, chyba że Amanda i Konstantin szli razem z nimi. Głównie dlatego, że ktoś musiał zostać na wypadek, gdyby nadeszła wiadomość o doktorze Capelo. Amanda podejrzewała jednak, że nie chcieli też, aby została sam na sam z chłopcem.

Nieoczekiwanie sama przestała tego chcieć.

Chociaż z drugiej strony Konstantin był taki uroczy! Nigdy się z nią nie sprzeczał, nigdy na nią nie naciskał, nigdy nie robił nic z tego, o czym Amanda, Yaeko, Juliana i Thekla często rozmawiały, używając sformułowania „chłopięce sztuczki”, a mając na myśli próbę zmuszenia dziewczyny do rzeczy, na które nie miała

ochoty. Konstantin był inny. Zawsze miły, zawsze delikatny, zawsze pełen troski. Opowiedziała mu niezliczone historyjki o swoim ojcu, a on słuchał z uwagą, obejmując ją ramieniem, gdy płakała, i zapewniając, że doktor Capelo na pewno wróci do domu. Konstantin nigdy się jej nie narzucał. A mimo to... mimo to...

Z jakiegoś powodu co dzień szli o krok dalej. Zaczęli od delikatnych pocałunków, potem przeszli do bardziej namiętnych, aż wreszcie zaczęli się całować z językiem, a Konstantin zamiast gładzić jej plecy i boki, zniechęca ją dotykać jej piersi...

Rok ternu Amanda nie miała jeszcze piersi.

W myślach ćwiczyła wyznanie mu prawdy. „*Konstantinie, ja mam dopiero czternaście lat*”. Jednakże ilekroć próbowała powiedzieć to na głos, nie potrafiła się przełamać. Po pierwsze, musiałaby przyznać, że go okłamała. Po drugie, mogłaby mu się przestać podobać. Po trzecie... do tego było jej trudno przyznać się nawet przed sobą. Ale musiała to zrobić. Fakty są najważniejsze, mawiał ojciec. A to był fakt.

Do pewnego stopnia nie chciała, aby Konstantin przestał robić to, co robił.

Chociaż do pewnego stopnia chciała tego! *A zatem jutro, gdy wujek i ciocia wyjdą z domu...*

– A-man-da? Ty mnie słyszeć? To być mój ojciec!

– Naprawdę?

Spojrzała na ekran. Stavros Ouranis ją zadziwił. Był niskim brzuchatym mężczyzną ze sterczącymi śmiesznyymi czarnymi włosami. Ani uroczy Konstantin, ani śliczna Demetria nie wdali się w ojca! Pan Ouranis po-

wiedział coś po grecku, a tłumacz przełożył jego słowa na angielski:

– Życzę admirałowi Pierce'owi samych sukcesów w powstrzymywaniu wrogich sił u wrót Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden. Ja i moi ludzie jesteśmy gotowi w każdej chwili mu pomóc w tym dziele.

– Twój ojciec naprawdę jest kimś bardzo ważnym – rzekła Amanda, czując, że powinna coś powiedzieć.

Ciocia wyszła z kuchni i stała teraz za kanapą, wycierając dłonie w ścierkę i z miną bez wyrazu przysłuchując się wiadomościom.

– Bardzo, bardzo ważny – potaknął Konstantin, co jednak nie zabrzmiało jak przechwałka, lecz raczej jak stwierdzenie faktu. – On często mówił admirał Pierce różne rzeczy i admirał Pierce słuchać mój ojciec, i robić to, co on mówić.

– Aha – bąknęła Amanda.

Konstantin obrócił się, aby spojrzeć na Kristen.

– Po kolacji ja i A-man-da pójsć przejść się, dobrze, pani Blumberg?

– Jeśli Amanda zechce – zastrzegła ciocia pozornie obojętnie i zniknęła z powrotem w kuchni.

– Ty chcieć pójsć razem, A-man-da, dobrze?

– Tak. Ale teraz powinnam pomóc cioci w kuchni.

– Wspaniale – skwitował Konstantin i wrócił do oglądania wiadomości.

Amandę trochę to zirykowało. Ani razu nie zaproponował, że pomoże przy czymś w mieszkaniu, chociaż ją od małego uczono, iż należy to do dobrych manier. Ale trzeba mu było przyznać, że zawsze pytał ciocię, ilekroć chciał zabrać Amandę na miasto czy choćby na

lody do lodziarni w budynku obok. To także ją irytowało, ponieważ nie była już w wieku Sudie! Konstantin był zapatrzony w siebie i przesadnie uprzejmy, i niesamowicie szczodry, i seksistowski, i pełen szacunku, i przerażający, i cudowny. Amanda czuła przez niego wielkie pomieszanie.

Po kolacji chłopiec zapytał:

– My przejść się, A-man-da?

Obdarzył ją przy tym takim uśmiechem, że natychmiast zapragnęła najbardziej ze wszystkiego na świecie pójść z nim na spacer. Na policzki wypełzły jej rumieńce. Ciocia przyglądała się jej z ponurą miną.

Amanda i Konstantin udali się do niewielkiego parku tuż przy ścianie kopuły. Drzewa i kwiaty, zmodyfikowane genetycznie tak, aby wystarczało im światło na Marsie, rozpościerały się nad nimi baldachimem. Jednakże w parku było tłoczno – dorośli okupowali wszystkie ławki, a dzieci dokazywały w piaskownicy z czerwonym marsjańskim piaskiem. Nawet w alejkach roiło się od spacerowiczów. Amanda wypatrzyła też kilku żołnierzy w czapkach z zielonymi paskami. Pył za kopułą nie unosił się tego dnia wysoko, dzięki czemu niebo zdawało się zadziwiająco czyste i roziskrzone gwiazdami. Wiele osób wyszło z domów, aby cieszyć się ładnym wieczorem.

– A-man-da – odezwał się w pewnym momencie Konstantin – my przejść się na zewnątrz, dobrze?

– Na zewnątrz?

– Tak, wspaniale, czemu nie.

– Ale... ale nie mamy skafandrów! Ani przepustek!



Konstantin zaśmiał się i mrugnął do niej. Wziął ją za rękę i poprowadził szybko za bramę parku i dalej, ulicami Tharsis.

– Dokąd idziemy?

– Ty wiedzieć zaraz! Niespodzianka!

Amanda szła za chłopcem z mieszanymi uczuciami. Przy nim nigdy nie mogła podejmować samodzielnych decyzji! Jednakże dotyk jego rozgrzanych palców był taki miły, a poza tym wyjście na zewnątrz z pewnością okaże się interesujące. Oczywiście jeśli nie oddalą się zbyt daleko.

Konstantin przystanął przed anonimowym budynkiem na skraju kopuły. Budowla z jednej strony przypominała ziggurat, aby wpasować się w krzywiznę ściany kopuły, z drugiej była całkiem prosta. Chłopiec podciągnął Amandę na pierwszy stopień i ustawił się naprzeciwko skanera siatkówki. Urządzenie powiedziało coś po grecku. Konstantin udzielił dłuższej odpowiedzi, po czym odsunął się.

– Teraz ty, A-man-da.

– Gdzie my jesteśmy? Co to za budynek?

– Siedziba Ouranis Enterprises. Teraz ty. Ja kazać przepuścić ciebie.

Amanda zbliżyła się do skanera wciąż pod wrażeniem tego, jak ważny w firmie ojca jest Konstantin. Urządzenie ponownie odezwało się po grecku. Odpowiedzi udzielił ponownie Konstantin i drzwi stanęły przed nimi otworem.

Wewnątrz zintegrowany system zwrócił się do Konstantina. Chłopiec powiedział coś i moment później pojawił się robot wózkowy z dwoma skafandrami i heł-

mami. Konstantin wyszczerzył zęby, na co dziewczynka wybuchnęła śmiechem, znienacka nabierając ochoty na przygodę.

Włożyli skafandry. Wcześniej Konstantin wyciągnął z kieszeni tuniki kostkę informacyjną. Potem uważnie sprawdził szczelność skafandra Amandy i swojego.

– To być prywatny kanał komunikacyjny – pokazał jej. – Tylko ty i ja.

– W porządku – odparła. – A to co?

Chłopiec podnosił właśnie dość spore ciężkie pudło za metalową rączkę, aby połączyć je rurkami z przegubem hełmu.

– Nic takiego.

– Konstantynie, co to jest?

Zmarszczył czoło.

– Mój ojciec mówić: ja musieć nosić to na zewnątrz. Bardzo silny nadajnik. Zaszyfrowany. Odbierać wszystko. Mój ojciec chceć kontakt zawsze. Wysyłać wiadomości na interesy.

– Hm, to chyba zrozumiałe – rzekła Amanda, na co chłopiec nagle się rozchmurzył.

Poczuła się dojrzała. Konstantin wstydził się noszenia nadajnika, ponieważ uważał, że to czyni z niego dziecko, a ona podniosła go na duchu! Ona, Amanda! Uśmiechnęła się do niego tak promiennie, że przed nałożeniem hełmu na głowę pochylił się i lekko musnął wargami jej usta.

Następnie wsunął kostkę informacyjną do nadajnika. Przeszli przez cały budynek, nikogo nie spotykając. Cóż, był już wieczór i wszyscy pracownicy zapewne wrócili do domów. Siedziba Ouranis Enterprises miała

własne wyjście na zewnątrz. Konstantin wklepał kody i śluza się otworzyła.

Na zewnątrz było pięknie. Znajdowali się po stronie kopuły przeciwnej do tej, gdzie zaczynały się chodniki wiodące do farm oraz stacyjka zapewniająca połączenie z kosmoportem. Oprócz nich na zewnątrz było tylko kilka osób, i to przechadzających się w pewnym oddaleniu.

Konstantin prowadził ją za rękę. Grunt pod ich nogami cały był poznaczony śladami gąsienic pojazdów i odciskami ludzkich stóp. W bezpośrednim pobliżu kopuły nie było widać wiele kamieni, ponieważ prawie wszystkie zostały wyzbierane albo przez roboty, albo przez ludzi. Jednakże jakieś sto metrów dalej zaczynał się prawdziwy marsjański krajobraz, w którym nie brakowało skał wszelakich kształtów, rozmiarów i kolorów: czerwonych, czarnych, brązowych i żółtych. Większość była zaoblona i podziurawiona. Wszystkie pokrywał pył, który jednak nie przeszkadzał Amandzie. Uważała, że nawet pył jest tutaj piękny.

– Konstantynie – skorzystała eksperymentalnie z prywatnego kanału – to wszystko kiedyś było jednym wielkim wulkanem.

– Tak? Wspaniale!

– Stąd to wyrzuczenie, na którym wzniesiono Tharsis. Dzięki temu mamy takie piękne widoki. Wiem to od ojca.

Na wzmiankę o doktorze Capelo jak zawsze Konstantin obrócił się do niej z wyrazem troski w ciemnych oczach. Teraz dodatkowo uścisnął jej rękę.

– On wrócić zaraz, A-man-da.

– Tak, na pewno... – potwierdziła, mimo że przestała już wierzyć w szczęśliwy powrót ojca. Na moment piękny obcy krajobraz zamglił się przed jej oczami.

– Zaraz – powtórzył Konstantin z mocą. – Patrzeć! Góra, góra!

Ciemne niebo przeciął meteor.

– Szybko! – krzyknęła Amanda. – Pomyśl sobie życzenie! Zanim spadnie... och, za późno...

– Ja zdążyć – powiedział Konstantin i ponownie ścisnął ją za rękę.

Ruszyli dalej. Gdy kopuła za nimi zaczęła niknąć za horyzontem, Amanda rzekła stanowczo:

– Wystarczy, Konstantinie.

Zatrzymał się posłusznie. Znalazł spory głaz i przysiadł na nim, przyciągając Amandę do siebie. Kamień zdawał się emanować zimnem pod jej pupą. Nie powinni tu zabawić długo... Tymczasem Konstantin objął ją już ramieniem i siedzieli tak przytuleni do siebie na tyle, na ile pozwalały hełmy.

Amanda zachichotała. To było takie niemądre! Zamartwiała się tym, że nazajutrz zostanie sam na sam z Konstantinem, a tu proszę: była z nim tylko w pojedynkę, i to na zewnątrz, na marsjańskiej równinie! Przemarznięta do szpiku, w skafandrze i z hełmem na głowie całkowicie uniemożliwiający mi jakiegokolwiek pieszcoty. Oczywiście nie znaczyło to, że jutro będzie jej równie łatwo, ale teraz przynajmniej była tak bezpieczna jak westalki, o których czytała na lekcji historii.

– A-man-da – przemówił Konstantin. – Ja powie-  
dzieć moje życzenie.

Dopiero po chwili zrozumiała, że chłopiec mówi o życzeniu na widok spadającej gwiazdy.

– Chcesz mi powiedzieć, jakie życzenie sobie pomyślałeś, kiedy widzieliśmy meteor?

– Tak. Przedtem, przed dwa tygodnie, ja powiedziałem, że kochać cię. Ty pamiętać?

– Pamiętam – potaknęła Amanda i lekko odsunęła się od Konstantina. – Wspaniale! Teraz ja powiedzieć... Cholera!

Amanda spojrzała na niego zdumiona. Jednakże „cholera” nie była skierowana do niej. Konstantin patrzył wściekle na nadajnik, który odstawił na podłogę u stóp. Mina chłopca zmieniała się z chwili na chwilę. Konstantin obrócił się do niej i spoglądał na nią rozszerzonymi oczami przepelnionymi zdziwieniem i radością. – A-man-da, twoje połączenie! Ja napisać program do tego!

– Co... ja nie rozumiem... – Czyżby ciocia kazała jej wracać? Była zagniewana?

– Ja napisać program! Dostać każda twoja wiadomość wysłana na twój adres. Nawet zaszyfrowana wiadomość, bo nadajnik to deszyfrator, czemu taki duży! Twoje połączenie!

– Ale...

Złapał ją za ramiona i prawie nią potrząsnął.

– A-man-da! Twoje połączenie z apartament Blumberg! Wiadomość o twój ojciec!

## *Tunel Czasoprzestrzenny #1*

Capelo wciąż był pod wpływem dopalacza, który sam sobie zaaplikował w formie plastrów.

Kaufman nie mógł poświęcać fizykowi więcej uwagi. Skupił się na ekranach przed sobą i na pilotowaniu, przyspieszając na tyle, na ile się odważył przy obecności rannych pasażerów na pokładzie. Uzbrojony w hasło, które udostępniła mu generał Barella, był w stanie bez przeszkód pokonać ostatni tunel czasoprzestrzenny wiodący prosto do Układu Słonecznego. Taką przynajmniej miał nadzieję. Tylko co potem? Czy faktycznie powinien przekazać siłom admirała Pierce'a informację o tym, że tunele ulegają zamknięciu? To by oznaczało, że trzeba będzie opowiedzieć o wszystkim, w tym o ukryciu doktora Capelo i Artefaktu Protektora na pokładzie okrętu Murasaki w systemie Świata na rozkaz generała Stefanaka, który nie umieścił go gdzieś w Układzie Słonecznym w celu ochrony ludzkości. Jak również o porwaniu artefaktu przez siły admirała Pierce'a, uruchomieniu go w systemie Q z narażeniem całej Galaktyki i doprowadzeniu do obecnej sytuacji.

Zamiast wyjawić prawdę, Kaufman równie dobrze mógłby wydać wyrok śmierci na siebie, Toma Capelo i Marbet.

Jeśli jednak nie opowie wszystkiego wojskowym strzegącym wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #1 w Układzie Słonecznym, jak im wyjaśni to, że emerytowany pułkownik ROSS otrzymał hasła? Albo to, że tunele się zamykają? Ile w ogóle powinien wyjawić i komu?...

Dopiero po dłuższej chwili takich bezowocnych rozważań zdał sobie sprawę z tego, co powinien był wiedzieć od samego początku. Mianowicie że żadna z tych decyzji nie będzie należała do niego.

– Tom, mówiłeś, że tunele zamykają się w nierównym tempie. Obliczyłeś już, w jakim? Ile czasu zostało do zamknięcia Jedyнки? Wiesz?

– Tak. Chyba tak. Wydaje mi się, że dziesięć godzin.

Dziesięć godzin. Do Układu Słonecznego mieli może godzinę lotu. Zdążą bez problemu. Ale co potem?

Coś za jego plecami spadło na podłogę. Obejrzał się przelotnie – podręczny komputer Toma. Capelo wyglądał strasznie. Związki chemiczne krążące w jego krwiobiegu w połączeniu z szokiem, stresem, wysiłkiem i strachem zrobiły swoje. Był dosłownie szary na twarzy – Kaufman pierwszy raz w życiu widział ucieleśnienie tej metafory. Głowa i ręce fizyka drżały niekontrolowanie, podobnie jak jego głos.

– Marbet... kolejny... plaster...

– Nie – zaprotestowała kobieta.

– Tak! Muszę... pracować...

– Więcej chemii cię zabije, Tom. Nie możesz zaaplikować sobie następnego plastra.

– Kurwa... nie mam na myśli... pozwól mi nagrać wiadomość... Moje córki... Proszę!...

Kaufman domyślał się, że Marbet tej prośbie nie odmówi. Kierował się prosto na Tunel Czasoprzestrzenny #1, wysyłając przodem hasła i prośbę o pozwolenie na skok. Tunel Czasoprzestrzenny #1. Byli na progu domu...



– Nie dam rady... bez... plastra...

Marget była nieugięta.

– Nie masz wyboru, Tom. Nie dostaniesz więcej chemii. Nagraj wiadomość tak. Lyle prześle ją zaszyfrowaną na Marsa, jak tylko wyłonimy się po drugiej stronie. Zrób to, do cholery!

Kaufman usłyszał, że gniew wzmocnił głos Toma. Wrażliwcy potrafili manipulować ludźmi. Capelo nie miał najmniejszych szans przy Marbet... Kaufman zapomniiał znowu o pasażerach, koncentrując się na pilotowaniu. Właśnie nadeszła wiadomość zwrotna.

– Hasło sprawdzone. Macie pozwolenie na natychmiastowy skok.

Tunel wiodący do Układu Słonecznego był dobrze strzeżony. U jego wrót krążyła mała flota okrętów w każdej chwili gotowych do akcji. Na ogół trzeba było czekać w długiej kolejce, jednakże hasła umożliwiły Kaufmanowi dostanie się od razu do tunelu. Przynajmniej to poszło jak z płatka po tylu wcześniejszych problemach.

I już byli w Układzie Słonecznym, mając do dyspozycji dziewięć godzin – o ile Tom się nie mylił – zanim tunel ulegnie zamknięciu. Od tej pory nic nie będzie już proste.

– Do niezidentyfikowanej jednostki – rozległo się z komunikatora. – Podać nazwę, jednostkę macierzystą i cel podróży.

Na ekranach przed Kaufmanem zajaśniały punkciki. Ta strona Tunelu Czasoprzestrzennego #1 również była pilnie strzeżona. W końcu Układ Słoneczny był rodzimym systemem ludzkości. Oznaczało to, że jeśli Kau-

fman wykona niewłaściwy ruch, zginą pomimo magicznych haseł. Groziłoby im to nawet za generała Stefana-ka, który słynął z trzymania się zasad – a admirał Pierce był trzykroć bardziej czepialski, gdy chodziło o „obronę kolebki ludzkości”. Oczywiście na pokaz.

– Tu statek kurierski XXPell3 pilotowany przez pułkownika Lyle’a Kaufmana. Przewożę fragmentaryczny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie z systemu Artemidy i systemu Hana. Hasła w drodze.

Marbet odezwała się za plecami Kaufmana:

– Lyle, prześlij też te dane. To wiadomość Toma do Amandy i Sudie. Zszyfrowana.

– Nie mogę tego zrobić, nie mówiąc...

– Myślę, że on umiera, Lyle.

– Cholera...

Kaufman wysłał wiadomość, a komputer przekierował ją automatycznie pod właściwy adres. Właściwie było to bez znaczenia. Serum prawdy sprawi, że i tak wyśpiewają wszystko. Dlaczego dopiero teraz o tym pomyślał?

Z komunikatora dobiegł inny głos:

– Hasła sprawdzone. Statek nie figuruje w rejestrze, a pańskie dane osobiste nie pokrywają się z bazą danych ROSS. Proszę dezaktywować wszelką broń i przygotować się do abordażu.

– Przyjąłem – odparł Kaufman. – Proszę zorganizować odprawę z dowódcą floty w zabezpieczonym pomieszczeniu. Przewożę fragmentaryczny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie przeznaczony wyłącznie dla jego uszu. Ponadto informuję, że mam na pokła-

dzie człowieka wymagającego natychmiastowej pomocy medycznej. Mowa o doktorze Capelo.

Nikt na to nie zareagował.

– Proszę przygotować się do abordażu – powtórzył głos.

Zrozumiał, że nie tak prędko będzie mógł się rozmówić z dowódcą floty. O ile w ogóle będzie mógł. Wiedział, że zostanie poddany drobiazgowej rewizji w poszukiwaniu wszelakich typów broni, w tym biologicznej, na pokładzie dobrze strzeżonej jednostki medycznej, którą w razie czego będzie można poświęcić łącznie z całą załogą, gdyby jednak stwierdzono jakieś zagrożenie. Zapewne równocześnie zostanie potraktowany iniekcją Pandyi. Hasła to jedno, ale pojawienie się Kaufmana w wycofanym ze służby statku kurierskim, który zniknął z wojskowych baz danych co najmniej przed dekadą i teraz przyleciał z niewłaściwej części Galaktyki, przewożąc informacje, jakich w ogóle nie powinien posiadać, i nadając nielegalnie zaszyfrowaną wiadomość na powierzchnię Marsa – o, to było zupełnie co innego. Rada Obrony Sojuszu Solarnego nie zamierzała ryzykować. Jakkolwiek na to spojrzeć, wciąż toczyła się wojna.

Kaufman odwrócił się do Marbet i Toma. Po wyłączeniu silników w kabinie zapanowała znów nieważkość. Kobieta otworzyła schowek i znalazła trzy skafandry kosmiczne, lecz nie była w stanie włożyć swojego.

– Marbet? – Kaufman dopiero teraz zauważył, że przykleiła sobie do szyi plaster z analgetykiem.

Zdołała się do niego uśmiechnąć.

– Nie potrafię się schylić... To chyba żebro. W wypadku Toma sprawa jest jeszcze bardziej beznadziejna.

Ignorując ból we własnej piersi, Kaufman odpiął uprząż i podpłynął do Toma. Odchylił mu powieki. Zrenice były normalne.

– Tom wciąż jest z nami. Poszukaj tam... nie, obok i niżej... Są tam jakieś koce?

– Tak. – Marbet kiwnęła głową z wdzięcznością.

Wyciągnęła trzy cienkie koce termiczne. Owinęli się nimi, zakrywając swoją nagość, po czym Kaufman ułożył ostatni koc Tomowi na kolanach, zakrywając mu przynajmniej genitalia.

– Co dalej, Lyle? – zapytała go cicho Marbet.

Popatrzył na nią z podziwem. Nigdy nie traciła ducha, zawsze była gotowa stawić czoło sytuacji.

– Podadzą nam iniekcję Pandyi. Później... – wzruszył ramionami.

– Kocham cię, Lyle.

Jego żołnierski umysł ledwie zarejestrował jej słowa, aczkolwiek usta powtórzyły automatycznie:

– Ja też cię kocham.

W tej samej chwili głuchy dźwięk obwieścił, że jednostka medyczna przydokowała do ich statku. Lada moment pojawią się lekarze, żołnierze, specjaliści od broni, agenci wywiadu – wszyscy chętni szperać w zakamarkach statku, ciała i umysłu Kaufmana.

Witamy w domu.

\* \* \*

Żołnierze w skafandrach przenieśli Kaufmana, Marbet i Toma ze statku kurierskiego na pokład jednostki medycznej. Nikt o nic nie pytał, co akurat nie zdziwiło Kaufmana. Taka była procedura. On także nie udzielał żadnych wyjaśnień. Domyślał się, że zanim z nimi skończą, z któregoś systemu nadejdzie wiadomość o zamykaniu się tuneli czasoprzestrzennych. Układowi Słonecznemu pozostało jeszcze dziewięć godzin. Chyba. Taki komunikat przyda wiarygodności słowom Kaufmana. Dlatego na razie rzucił tylko do lekarki pochylającej się nad Tomem Capelo:

– Czy on przeżyje, pani kapitan?

– Tak – odparła kobieta, wprawiając Kaufmana w zdumienie. W swojej odpowiedzi nie zawarła żadnej partykuły, która w razie czego chroniłaby jej tyłek. Kaufman przyjrzał się jej z nagłym szacunkiem.

Rozdzielili ich. Kaufmana położyli na robonoszach i pozbawili przytomności. Poczul muśnięcie plastra na karku, po czym zdążył tylko pomyśleć, czy obudzi się w porę, aby być świadkiem zamknięcia Tunelu Czasoprzestrzennego #1 – wrót do gwiazd.

Potem zatonął w nicości, zarazem przytomny i pozbawiony przytomności. Wiedział, co mówi; wiedział, co z nim robią; wiedział, jakie pytania mu zadają... Wszystko jednak przypominało sen, w którym wydarzenia dotyczą śniącego i równocześnie kogoś, kto nim nie jest. Kaufman unosił się w pseudosennej mgłę i mówił. Nie potrafił przestać mówić. Zdawał sobie sprawę, że różne urządzenia skubią go ze wszystkich stron, pobierając próbki krwi, tkanek, a nawet spermy, lecz było mu to obojętne, jakby wszystko to spotykało nie jego, lecz ko-

goś innego. Kto jednak do pewnego stopnia był nim. Czuł, że opatrują mu żebra, ale żebra te tylko częściowo należały do niego; nie był do nich specjalnie przywiązany. Częściowa własność, częściowe pogwałcenie intymności, częściowy gniew. Tylko uległość była całkowita.

Gdy skończyli, wiedzieli o wszystkim, co przytrafiło się Kaufmanowi, odkąd opuścił Marsa. Mieli też pewność, że to, co wiedzą, jest stuprocentową prawdą.

Nic nie było już w jego rękach. Może nawet nic nigdy nie było w jego rękach. Takie myślenie nie przystoi żołnierzowi.

W końcu Lyle Kaufman wyszedł z transu prawdomówności. Leżał przywiązany do koi na jakimś statku. Oprócz niego w pomieszczeniu nie było nikogo. Nikt go już nie potrzebował; Kaufman został wydrenowany ze wszystkiego co użyteczne. Puste naczynie nie miało żadnego znaczenia. Teraz ktoś gdzieś musiał tylko zdecydować o jego dalszym losie.

Miał pewne wyobrażenie o tym, jak będzie wyglądać ta decyzja. W odniesieniu do każdego, kto znał prawdę.

Kaufman nieoczekiwanie ucieszył się, że przesłał wiadomość Toma Capelo. Ludzie Pierce'a ostatecznie ją rozszyfrują, to jasne. Niemniej doktor Capelo wcześniej zdąży się pożegnać z córkami.

32.

*Równina wokół Tharsis, Mars*

Amanda wpatrywała się przez wizjer w twarz Konstantina. Czy on robi sobie z niej żarty? Nie, Konstantin nie był okrutny, a poza tym to wcale nie byłoby śmieszne... Jej ojciec...

Konstantin ręcznie zmieniał ustawienia na nadajniku.

– Ja kierować wiadomość w twój odbiornik, Amanda... Bardzo długa... nie, to być dwa wiadomość różny szyfr... Nie rozumiem...

Amanda też nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił Konstantin, ale nawet gdyby wiedziała, o co mu chodzi, nie zwracałaby na jego słowa uwagi, ponieważ właśnie w jej uszach rozbrzmiał głos doktora Capelo:

– Amando, Sudie, Carol... tu Tom. Tata. Wróciłem do domu, moje kochane, wróciłem do Układu Słonecznego.

– Tata! – wykrzyknęła Amanda, nawet nie zdając sobie sprawy, że się odezwała.

Coś było nie tak z głosem taty, zdawał się słaby i niepewny, jak w chorobie.

– Nie wiem, czy uda mi się przylecieć na Marsa albo na Ziemię, żeby was zobaczyć. Admirałowi Pierce'owi nie spodoba się to, co zrobiłem, nie mam pojęcia, co ze mną będzie... On uruchomił oba artefakty równocześnie w ustawieniu oznaczonym trzynastką w pobliżu rodzimego systemu Fallerów, co spowodowało zamykanie się tuneli czasoprzestrzennych. Jakies pięć godzin po tym, jak odsłuchacie moją wiadomość, Jedyńska zamknie się na zawsze. Znajduję się już po drugiej stronie, w Układzie Słonecznym, ale jestem poważnie ranny, zresztą admirał Pierce i tak by nie... Ale nie o tym chciałem



mówić. Pragnę, żebyście pamiętały, że bardzo was wszystkie Kocham i zawsze będę was kochał, zawsze...

Głos doktora Capelo opadł do szeptu.

– Carol albo Kristen, zniszczcie sprzęt, na którym odebrałyście tę wiadomość, i nie mówcie o niej nikomu. Nie chcę ściągać na was niebezpieczeństwa. Rozumiecie? Nigdy o tym nikomu nie mówcie. Żegnajcie...

– Nie! – rozkrzyczała się Amanda. — Nie!

– Doktor Capelo myśleć on umrzeć – stwierdził Konstantin. – Ale dlaczego? To nie mieć sensu. – Dlatego, że admirał Pierce go zabije! – krzyczała histerycznie Amanda. – Admirał Pierce wcale nie jest dobry! On zabije tatę!

Konstantin chciał złapać ją za rękę. Nie pozwoliła mu na to, machając szaleńczo. Ruszyła biegiem przed siebie; wszystko jedno dokąd. Admirał Pierce zabije jej ojca... Nabrała pewności, że tak się stanie; uznała to za przerażający fakt. Och, proszę, dobry Boże, nie, *Deo volente...*

Konstantin w końcu ją złapał, przytrzymał mocno przy sobie.

– Nie biegać, A-man-da! Upaść i skafander rozdrzeć się...

– I co z tego? Chcę umrzeć! Puść mnie, puść, nie nie nie, och, tato...

Trzymał ją mocno, prawie nie zauważając, że próbuje mu się wyrwać. Po jakimś czasie powiedział:

– Dwa wiadomość, A-man-da. Ty posłuchać wiadomość dwa.

– Do Kristen i Martina Blumbergów. Tutaj Marbet Grant – rozległo się w odbiorniku Amandy. Dziewczyn-

ka się uspokoiła i zaczęła słuchać. – Jestem przy Tomie. W załączeniu przesyłam zaszyfrowaną wiadomość z opisem wszystkiego, co się tu wydarzyło, łącznie z bohaterką akcją podjętą przez admirała Pierce’a. Nakłoniłam Lyle’a do wysłania tej wiadomości, a raczej sprawiłam, że wysłał ją nieświadomie. Ma w tej chwili wystarczająco dużo na głowie... – Głos Marbet zadrżał. – Kluczowe jest, abyście bezzwłocznie retransmitowali tę wiadomość do wszystkich liczących się stacji na Marsie i Ziemi. Prawdopodobnie macie na to niecałą godzinę. Retransmisja musi obejmować wyłącznie moją wiadomość. Ludzie muszą się dowiedzieć, że admirał Pierce zapobiegł zniszczeniu czasoprzestrzeni przez Fallerów. Admirał Pierce to bohater. Dokonajcie multiretransmisji bezzwłocznie. Na Marsa może dotrzeć inna wiadomość po tej, lecz będzie ona nieprawdziwa. Nie zwlekajcie ani chwili!

– Admirał Pierce... ta kobieta mówić on być bohater! A doktor Capelo mówić: on zabić jego!

– Tak!

– To nie mieć sensu, nie!

– A właśnie, że to ma sens! – wrzasnęła Amanda. – Marbet powiedziała to dlatego, że... Nie wiem dlaczego! Ale to tata mówi prawdę! Admirał Pierce go zabije!

– Admirał Pierce nie być w Układ Słoneczny, ty pamiętać?

I nagle Amanda sobie przypomniała. Ciocię Kristen osuszającą dłonie w ścierkę podczas przygotowywania kolacji i wracającą do kuchni – zaledwie przed paroma godzinami. Siebie wchodzącą za ciocią do kuchni i zirytowaną tym, że Konstantin nigdy nie pomaga w domu.

Chłopiec siedział i oglądał wiadomości, kiedy Amanda, słuchając tylko jednym uchem, nakrywała do stołu, podgrzewała nieco oleju roślinnego, myła główkę zmodyfikowanej genetycznie sałaty. Awatar prezentera powiedział... jak to szło?...

– ...*bezprecedensową wizytę poza granicami Układu Słonecznego z uwagi na wymagającą tego sytuację na froncie. Mówi się, że admirał Pierce osobiście poprowadzi tajną kampanię floty Sojuszu Solarnego po drugiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden, a być może także innych tuneli...*

Nagle zakręciło się jej w głowie.

Nie mogła tego zrobić. A może jednak?...

– Konstantynie, jak długo zabrało tej wiadomości...  
Konstantynie, co ty wyprawiasz?!

– Ja przegrać wiadomość twój ojciec z nadajnik w kopia. Ja zostawić tutaj, pod skała, ty wziąć się później. Wiadomość z Marbet Grant ja retransmitować. Ona mówić: multiretransmisja. Ale my schować wiadomość twój ojciec tu, ty mieć na zawsze!

Wyjął kostkę informacyjną z nadajnika i złapawszy Amandę za rękę, pognął przed siebie. W końcu zatrzymał się, pochylił i wepchnął kostkę pod czerwono-czarną marsjańską skałę, a następnie pociągnął dziewczynkę z powrotem w stronę nadajnika.

– Teraz ja retransmitować wiadomość Marbet Grant. Żołnierze namierzyć wiadomość, tak? Zabrać mój nadajnik. Tak, na pewno. Nie mieć wiele czasu.

Zabiorą nadajnik? Te słowa podziały na Amandę jak ostroga. Do głowy przyszła jej myśl... szalona myśl, ale... Potrzebowała tego nadajnika!

– Konstantinie... – zaczęła prędko i zaraz zwolniła, żeby mógł za nią nadążyć. – Ile czasu zostało do zamknięcia tunelu? Mój ojciec powiedział, że pięć godzin. Dlatego pytam: czy jeśli wyślemy wiadomość teraz, dotrze do tunelu przed jego zamknięciem? Dotrze?

Przyglądał się jej uważnie.

– Tak. Czas transmisji wynosić... Ja zastanawiać się ciężko... Jak daleko być tunel od Mars... może cztery godziny dziesięć minut. Ale A-man-da, jeśli twój ojciec być ranny i..

– On nie jest ranny! Przynajmniej... Sama nie wiem! Wiem tylko, że admirał Pierce go zabije!

– Ale... jeśli admirał Pierce zabić doktor Capelo, doktor Capelo nie otrzymać twoja wiadomość.

– Wiem. Wiem o tym... – Amanda trzymała Konstantina za ramię, poruszając palcami, dopóki nie uświadomiła sobie, co robi, i nie wspomniała, jak długopalce dłonie admirała Pierce’a drgały nieprzerwanie w Lowell City... Cóż za okropny, straszny człowiek!... – Ale ja nie chcę wysłać wiadomości do taty!

– A do kto...? Patrz, pojazd! Oni szukać nas...

– Padnij! – Pociągnęła go za sobą na marsjański grunt, który nawet przez skafander wydawał się lodowaty. Amanda wiedziała, że z łatwością mogą ich namierzyć dzięki ciepłocie ciała. Nie pozostało im wiele czasu. Konstantin wziął do ręki spory kamień i zamachnął się nad nadajnikiem. Amanda powstrzymała go w pół ruchu. – Nie rób tego!

– Ale doktor Capelo mówić: zniszczyć nadajnik.

– Wiem, co powiedział tata. Zaczekaj jednak, Konstantinie. Konstantinie... czy ty mnie kochasz?

Zerknął na nią zdumiony.

– Tak, A-man-da!

– Zrobisz zatem wszystko, o co poproszę? Żeby ocalić mojego tatę?

– Tak! – powtórzył chłopiec, po czy spytał ostrożnie: – Co ty prosić?

– Admirał Pierce przebywa po drugiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden. Tunel ulegnie zamknięciu za mniej niż pięć godzin. Ty mi powiedziałaś, bez przerwy powtarzałaś, mówiłaś, że... – Amanda miała mętlik w głowie, jej myśli rozpierzchały się we wszystkich kierunkach, za nic nie chciały ustawić się kamie w szeregu. Dłonie dziewczynki bez końca skubały ramię Konstantina. Pojazd majaczył w oddali, nabierając kształtów, wyglądając jak cień na tle nieba. – Mówiłaś, że twój ojciec ma wszędzie pełno statków. I że ty masz do nich kody dostępu i możesz je wysyłać, gdzie chcesz. Wyślij jeden ze statków należących do Ouranis Enterprises na drugą stronę tunelu z wiadomością od twego ojca, który radzi admirałowi pozostać tam jeszcze przez kilka godzin!

Przez lekko podświetlony wizjer hełmu Konstantin wwiercał się w twarz Amandy świdrującym spojrzeniem ciemnych oczu. Wyglądał teraz jakoś inaczej. Nie przypominał już chłopca, który trzymał ją za rękę, który ją całował, który mówił do niej śmiesznie... Widziała, że Konstantin nie spełni jej prośby. Od początku był to szalony pomysł, głupi pomysł...

– Admirał Pierce zabić twój ojciec. Doktor Capelo mówić, ja wierzyć. Żaden człowiek nie powinien zabić

wielki fizyk. Fizyk, naukowiec dużo wielki, dużo wielki jak admirał. Mój ojciec myśleć nie tak. Ja myśleć tak.

Nie miała pojęcia, jak zareagować, zresztą nie chciała mu przerywać.

Konstantin usiadł i zaczął manipulować przy nieco nadwężonym nadajniku. Wprowadził wszystkie kody ręcznie, po czym przemówił po grecku. Amanda, podsłuchująca na prywatnym kanale, była zdumiona jego głosem. Zdawał się niższy, chrapliwszy... dojrzalszy.

Nie miała jednak pojęcia, co Konstantin mówi.

Pojazd skręcił i ruszył wyraźnie w ich stronę. Wychwycił ich ślad termiczny.

Konstantin zaczął mówić jeszcze szybciej. Na koniec krzyknął coś krótko i przerwał transmisję. Amanda odskoczyła od niego nagle czymś wystraszona. Jednakże już moment później miała obok siebie starego dobrego Konstantina, który stawiał ją na nogi, obejmując delikatnie ramieniem.

– Ja powiedzieć... – pomógł sobie jakimś greckim słowem. Amanda odpowiedziała mu pustym spojrzeniem. Konstantin spróbował więc ponownie. – Ja powiedzieć: ludzie bardzo robić krzywdę admirał. On nie lecieć w Układ Słoneczny do mój ojciec. Być jak generał Stefanak. Niebezpieczeństwo.

– Powiedziałaś, że zawiązano przeciwko niemu spisek – przetłumaczyła sobie Amanda. – Że wybuchła rewolucja taka jak ta, w której zginął generał Stefanak. Tylko że tym razem przeciwko niemu. I że twój ojciec przestrzega go przed powrotem do Układu Słonecznego. Tak?

– Tak. Wspaniale – odrzekł Konstantin, a Amandzie ponownie zakręciło się w głowie.

Czy admirał Pierce posłucha rady pana Ouranisa? Czy zostanie po drugiej stronie tunelu, aż ten ulegnie zamknięciu? Może tak, ale pod warunkiem, że nie dowie się wcześniej, iż tunele się zamykają. Czy się tego dowie? Czy posłucha pana Ouranisa?

Czyli tak naprawdę Konstantina?

Czyli tak naprawdę jej, Amandy, która powiedziała admirałowi Pierce'owi, co powinien zrobić?...

– Ty nie mówić nic, A-man-da – szepnął z naciśkiem Konstantin. Pojazd był tuż-tuż. – Wiadomość od twój ojciec nie być już w nadajnik. Ale oni przechwycić wiadomość kiedyś. Statki mój ojciec latać szybko...

– Ale...

– Ty nie mówić nic ludziom w ten pojazd, A-man-da! – powtórzył dobitnie Konstantin i uśmiechnął się do postaci w skafandrach zmierzających w ich stronę, unosząc rękę na powitanie.

\*\*\*

Żołnierze. Znowu. Tym razem nie zabrali jej do Lowell City. Zaprowadzili ją i Konstantina z powrotem do mieszkania cioci Kristen i wujka Martina i wtłoczyli całą czwórkę do schowka na robomiotły. Było to jedyne pomieszczenie w całym apartamencie pozbawione terminalu. Żołnierze zachowywali się wobec nich uprzejmie. Ciekawe, czy z powodu Konstantina. Może; przedstawił im się z nazwiska. Tylko że przy poprzedniej



okazji też wszyscy byli dla Amandy mili. Dziewczynka czuła dreszcze.

Zwróciła się do wujka, który stał wciśnięty między nią i ścianę:

– Dostaliście wiadomość od Marbet?

Wujek przyłożył palec do ust. Ciii... Bał się, że są na podsłuchu? W schowku na robomiotły? Mimo wszystko Amanda pokiwała głową.

Ciocia zajęła się upychaniem pudeł i kartonów jedne na drugich i zapewnianiem już i tak przepelnionych półek.

– Gdybyśmy nie mieli tyle szpargałów... Martinie, mówiłam ci już przed rokiem, że powinniśmy się pozbyć tych książek... No, już... Teraz chyba damy radę wszyscy usiąść.

Udało się, ale ledwie, ledwie. Amanda z konieczności przytuliła się do Konstantina. Co bynajmniej jej nie przeszkadzało.

Konstantin wysłał wiadomość za pośrednictwem floty swego ojca. Zrobił to dla niej.

Ciocia siedziała dłuższą chwilę z pochyloną głową. Amanda nie widziała jej twarzy, dopóki Kristen się nie wyprostowała i dyskretnie nie podała jej skrawka papieru, najwyraźniej wyrwanego z którejś ze starych książek. Na karteczce ciocia nabazgrała: DOSTALIŚMY WIADOMOŚĆ IRETRANSMITOWALIŚMY JĄ DO STACJI.

Amanda skinęła głową i przekazała karteczkę Konstantinowi. Chłopiec zmarszczył czoło, co przypomniało jej, że przecież słabo zna angielski. Ciocia udając, że

głaszcze Amandę po włosach, zabrała karteczkę Konstantinowi i moment później przeżuła ją i połknęła.

Amanda zachichotała.

Ciocia posłała jej surowe spojrzenie, nie było ono jednak surowsze od reprimendy, której dziewczynka udzieliła sobie w duchu. Co też sobie myślała... żeby chichotać tutaj! Kiedy są uwięzieni i grozi im śmierć, i tata może zostać zabity...

Ale przynajmniej cioci udało się przekazać wiadomość mediom. Cokolwiek ta wiadomość znaczyła; cokolwiek tak naprawdę powiedziała Marbet Grant. Być może to ich uratuje. W dodatku Konstantin przesłał wiadomość powstrzymującą admirała Pierce'a od powrotu do Układu Słonecznego...

Czy zamknięcie się tunelu czasoprzestrzennego jest w ogóle możliwe? Amanda nie miała bladego pojęcia. Jednakże jej ojciec powiedział, że to się właśnie dzieje: tunele się zamykają... Oby ten zamknął się jak najszybciej, odcinając okropnego admirała po drugiej stronie raz na zawsze!

– Która godzina? – zapytała głośno. Miała nadzieję, że pytanie zabrzmiało niewinnie. Żołnierze zabrali im zegarki, komunikatory, nawet biżuterię.

– Jedenasta do pół, myślę – odparł Konstantin i zerknął na nią.

Wpół do jedenastej. O której Konstantin wysłał wiadomość? Amanda nie miała pojęcia. Cztery godziny dziesięć minut, tak przedtem powiedział. Tyle zabrało wiadomości pokonanie dystansu od tunelu do Marsa. Amanda pamiętała ze szkoły, że prędkość światła wynosi trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Usiłowała do-

konać obliczeń w głowie i umiejscowić swojego ojca w przestrzeni, ale poległa całkowicie. Nie była w stanie się skupić.

Jak długo jeszcze będą siedzieli w tym głupim schowku?

Czas mijał. Wujek Martin mówił, recytował jakieś stare wiersze, których pewnie nauczył się w szkole. Amanda nie przysłuchiwała się uważnie. Zaczynała czuć senność, choć nikt przecież nie powinien spać w takiej sytuacji! Jednakże była taka zmęczona...

*Wtedy – ni gwiazd, ni słońca,  
Ni księżycowych scen;  
Ni wód nawała grzmiąca,  
Ni wichru chłodny tren;  
Nie wiosna i nie mglista  
Jesień, nie światłość czysta:  
Już tylko noc wieczysta,  
Już tylko wieczny sen.*

Amanda wybudziła się całkiem tylko raz. Opierała się Q Konstantina, głowę i barki trzymając praktycznie na jego podołku. Światło w schowku wypaliło się albo zostało wyłączone. Czowała, że chłopiec muska dłonią jej pierś. Oprzytomniała w okamgnieniu.

Zerwała się instynktownie. W ciasnej przestrzeni nie było wystarczająco dużo miejsca, żeby się odsunąć. Po omacku wyczuła jego ucho przyciśnięte do swojej twarzy i obróciwszy lekko głowę, wyszeptwała rozpaczliwie:

– Konstantynie, proszę... Ja mam dopiero czternaście lat!

Po czym wybuchnęła płaczem.

### 33.

#### *Tunel Czasoprzestrzenny #7*

Kaufman godzinami leżał nagi, przytroczony do stołu laboratoryjnego w pomieszczeniu pozbawionym poza tym sprzętów. Spodziewał się, że lada chwila zginie, lecz perspektywa śmierci była mu mniej niemiła niż własne myśli. Spaprał sprawę. Żal z tego powodu gryzł go niczym żarłoczny szczur.

Układ Słoneczny nigdy się nie dowie, że admirał Pierce beztrąsko naraził całość materii czasoprzestrzeni, wszystko przesłaniało mu bowiem megalomańskie pragnienie władzy. Wina za zamknięcie tuneli czasoprzestrzennych bez wątpienia spadnie na Fallerów. Wojna się zakończy. Lyle Kaufman, Marbet Grant i Thomas Capelo, jedyni ludzie znający prawdę, znikną po cichu. Osoby, które wiedziały o ich istnieniu, pozostaną na zawsze po drugiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego #1. Ci nieliczni, którzy znali ich na Marsie i na Ziemi, zostaną spacyfikowani prośbą lub groźbą: niektórzy awansują, niektórzy zginą.

Naturalnie wiadomość Toma dotrze do Carol i Suidie oraz do Amandy (zakładając, że Amanda pozostała przy życiu). Co z tym fantem pocznie Pierce? Zapewne

zmusi Carol do milczenia. Nietrudno zmusić do milczenia kobietę, która ma na utrzymaniu osieroconą przez ojca dziewczynkę...

Kaufman żałował, że nie przygotował oświadczenia i nie nadał go, jak tylko wylecieli z wrót tunelu, zawiadamiając wszystkich mieszkańców Sojuszu Solarne – go o tym, czego dopuścił się Pierce. No ale cóż, wtedy najbardziej absorbowała go myśl o przeżyciu...

Kiepska wymówka.

Gdyby powiadomił media o tym, co się wydarzyło, Pierce kazałby go zabić, ale teraz i tak to zrobi, a w dodatku zamorduje Marbet i Toma. Chyba że – podobnie jak Stefanak – postanowi zostawić Toma przy życiu, wykorzystując jego umysł w charakterze zakładnika w zamian za nietykalność jego najbliższych.

Kaufman czuł wyrzuty sumienia. Powinien był zaplanować wszystko z wyprzedzeniem. Wszechświat nie wybacza tym, którzy nie mają wizji. W efekcie zaniedbań Kaufmana admirał Nikołaj Pierce zostanie okrzyknięty bohaterem, pyrrusowym zwycięzcą na wojnie z Faberami, owymi diabolicznymi istotami, które odcięły ludzkości drogę do gwiazd. Marbet prawdopodobnie umrze, Capelo umrze albo trafi dożywotnio do niewoli, Kaufman zginie na pewno. Magdalena już nie żyła. Tak jak Laszlo i chyba Amanda. A wszystko to jego wina.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł oficer. „A więc to już” – pomyślał Kaufman. Zrobiło mu się przykro, że nie ujrzy więcej Marbet.

– Pułkowniku, proszę to włożyć. – Młody oficer przyniósł mundur galowy.

Kaufman zapytał go oschle:

- Naprawdę do tego potrzebny jest mundur galowy?
- Tak jest, sir – odparł oficer, po czym uwolnił Kaufmana z więzów i opuścił pomieszczenie.

Kaufman ubrał się w mundur, który zrzucił przed dwoma laty. Mimo wszystko poczuł się lepiej niż przed chwilą, gdy leżał nagi. W komplecie brakowało paradnego miecza, co akurat nie zdziwiło emerytowanego wojskowego.

Zdumiał go natomiast rozwój wypadków. Powrócił oficer, zsalutował i rzekł:

- Proszę za mną, sir. Pozostali już czekają, a admirał jest w drodze.

Pozostali? Admirał Pierce? Nie, Pierce jest przecież na Marsie. Dalsze przesłuchania nie były konieczne, skoro wcześniej użyto serum prawdy. O co w takim razie chodzi?...

Kaufman nie pytał. Rozglądał się bacznie, idąc za oficerem długim korytarzem. Grodzie i podłogi lśniły czystością, mijani marynarze przypominali holopostaci zachęcające do wstąpienia do marynarki, w powietrzu nie czuło się nawet śladu nieprzyjemnej zastąlej woni charakterystycznej dla statków z zamkniętym obiegiem powietrza. To musiała być duża jednostka: okręt flagowy albo wręcz stacja kosmiczna.

- Tutaj, sir – odezwał się oficer, otwierając drzwi i ustępując na bok z szacunkiem, aby przepuścić Kaufmana.

– Witam, pułkowniku – powiedział do niego wysoki szczupły mężczyzna w mundurze trzygwiazdkowego generała Rady Obrony Sojuszu Solamego. Kaufman go nie poznawał, wszakże ten ton głosu i aura władczości

były nie do pomylenia. Mężczyzna musiał być dowódcą floty.

– Sir – odparł Kaufman, kiwając głową, lecz nie salutując. Formalnie był na emeryturze.

Za dowódcą stało pięciu innych wojskowych: dwaj dwugwiazdkowi generałowie i trzech pułkownicy.

Drzwi otworzyły się ponownie i oficer wprowadził Marbet. Kaufmana załapała fala radości. Kobieta ubrana była w marynarską tunikę i spodnie, zapewne dlatego, że na pokładzie nie znaleziono innego kobiecego stroju. Wszystkie sztuki garderoby były na nią za duże. obrażenia, których doznała, zostały już wyleczone zupełnie lub przynajmniej zaleczone za pomocą farmaceutyków i nanogipsu. Uśmiechnęła się do niego samymi oczami, po czym przyjrzała uważnie każdemu z obecnych. Nie sprawiała wrażenia niepewnej. Czyżby wiedziała, co jest grane?

– Witam, panno Grant – zwrócił się do niej dowódca oziębłym tonem. Kaufman domyślił się, że to przejaw typowej niechęci ludzi do Wrażliwców. Następnie dowódca zapytał młodego oficera: – A gdzie doktor Capelo?

– Już jest tu prowadzony z sekcji medycznej, sir.

– Pułkowniku, panno Grant... Usiądźcie, proszę. Nazywam się Rickman Dvoroenko i jestem dowódcą floty stacjonującej przy Tunelu Czasoprzestrzennym Numer Jeden. Mam ze sobą...

– Lyle! Myślałem, że nie żyjesz! – wykrzyknął od drzwi Tom Capelo. – Właściwie to samo myślałem o sobie... To sprawka Marbet, prawda? Ty spryciaro...



Zdjąłbym metaforyczną czapkę z głowy, gdybym mógł poruszyć swoim jak najrzeczywistszym ramieniem.

– Doktorze Capelo, to dla mnie zaszczyt – wtrącił generał Dvorovento.

– A dla mnie nie-wypalił Tom. ~ Nie darzę specjalnie ciepłym uczuciem armii, która mnie więziła przez pół roku.

– To była armia generała Stefanaka – odparł Dvorovento. – Od tamtej pory sytuacja się zmieniła. W każdym razie byłbym wdzięczny, gdyby mi nie przerywano.

Capelo wzruszył lekko ramieniem. Siedział na wózku inwalidzkim, na którym go przywieziono. Wyglądał strasznie – złamane żebra i rękę miał w nanogipsie, twarz wymizerowaną i ziemistą – aczkolwiek nie aż tak strasznie jak wtedy, gdy Kaufman widział go poprzednio. Jak dawno temu to było? Kaufman stracił poczucie czasu.

– Moim pierwszym obowiązkiem – podjął generał Dvorovento – jest poinformować państwa, że admirał Pierce jest już w drodze, by pogratulować państwu osobiście. W chwili obecnej przebywa jeszcze w systemie Herndona, jednakże porusza się z maksymalną prędkością, ażeby pokonać Jedynekę, zanim się zamknie zgodnie z pańskimi wyliczeniami, doktorze... Oczywiście będzie obecny na zaplanowanej konferencji prasowej.

Marbet posłała Tomowi ostrzegawcze spojrzenie. Dostrzegł to i ponownie ledwie zauważalnie wzruszył zdrowym ramieniem. Kaufman zdał sobie sprawę, że ci dwoje spotkali się już przedtem i mieli okazję do rozmowy.

– Rzecz jasna – kontynuował Dvorovento kwaśnym tonem – wolelibyśmy sami przekazać mediom informację o bohaterskim wyczynie admirała Pierce’a i tragicznym w skutkach zamykaniu się tuneli. Skoro jednak panna Grant uznała za stosowne to zrobić pierwsza, kwestią najwyższej wagi jest ustalenie, jaka porcja informacji może zostać upubliczniona bez łamania tajemnicy wojskowej.

Kaufman nagle zrozumiał.

Marbet dołączyła swój przekaz do wiadomości wysyłanej przez Toma do jego rodziny. Podczas gdy on szaleńczo ścigał się z czasem i z flotą ROSS, ona po kryjomu nagrała własną wiadomość, czego Kaufman zaniedbał. Tylko że Marbet w swej wiadomości minęła się z prawdą. Przedstawiła wersję gloryfikującą admirała Pierce’a – całkowicie kłamliwą – a następnie podpisała ją pod wiadomość Toma do najbliższych, uniemożliwiając Kaufmanowi jej weryfikację. Przykroiła prawdę na ich potrzeby, tym samym ocalając im życie.

Aż do tej pory Kaufman uważał się za specjalistę od negocjacji, przynajmniej w tym gronie.

– Wydaje mi się, generale – odezwała się Marbet – że wszyscy zdajemy sobie sprawę z sytuacji. Doktor Capelo, pułkownik Kaufman i ja staramy się w ogóle mówić jak najmniej. Zapytani wyznamy prawdę, tę samą prawdę, którą zawarłam w swojej transmisji. Żołnierze i marynarze Rady Obrony Sojuszu Solarnego rzucili się do walki z przeważającymi siłami wroga, by nie dopuścić do przedarcia się Fallerów przez Tunel Czasoprzestrzenny Numer Jeden. Do głównego starcia doszło w systemie Bliźniąt. Gdy stało się jasne, że Obcy odniosą

zwycięstwo i napadną Układ Słoneczny, ludzie pod dowództwem admirała Pierce'a uczynili jedyne, co w tych okolicznościach można było zrobić. – Urwała tylko na moment. – Admirał Pierce wiedział z prac genialnego doktora Capelo... który w pilnie strzeżonej kryjówce usiłował przechylić szalę wojny na naszą korzyść... otóż wiedział, że dwa artefakty uruchomione równocześnie w jednym systemie gwiazdnym przy ustawieniu oznaczonym trzynastką nie spowodują rozdarcia materii czasoprzestrzeni, jak sądzono uprzednio, lecz doprowadzą do zamknięcia tuneli czasoprzestrzennych. W obliczu zagrożenia dla Układu Słonecznego admirał Pierce rozkazał przenieść artefakt na drugą stronę Tunelu Czasoprzestrzennego Numer Jeden, repozycjonować resztę oddziałów i zdalnie detonować artefakt. Doszło do zamknięcia wrót, dzięki czemu kolebka ludzkości ocalała.

Wszyscy obecni wpatrywali się w mówiącą kobietę. Dvorovento patrzył na nią z niechęcią typową dla kogoś zmuszonego polegać na osobie, której nie ufa. Capelo popatrywał z sardoniczną ironią; bardzo mu się nie podobało to kłamstwo, jednakże był gotów je zaakceptować dla dobra swojej rodziny. Kaufman zaś... Jak Kaufman spoglądał na Marbet? Z podziwem. Podziwiał jej błyskotliwość, szybkość, z jaką kojarzyła fakty, i umiejętność spreparowania przekonującego i adekwatnego do sytuacji kłamstwa. A zarazem ze smutkiem, że skłamała. Uważał bowiem, że śmierć i prawda byłyby honorowym wyjściem.

– Zatem zgadzamy się co do faktów – stwierdził Dvorovento kwaśno. – Drugi krok to ponowne wysłu-

chaniu wiadomości panny Marbet. Jak tylko przybędzie admirał Pierce, otworzymy połączenia z mediami.

„*Jak tylko przybędzie admirał Pierce*”... Tym razem Kaufman usłyszał generała wyraźnie, naprawdę wyraźnie, i zrozumiał, że kwaśny ton jego wypowiedzi wynika nie z tego, że Marbet pierwsza przekazała wiadomość mediom. W gruncie rzeczy coś takiego tylko przydawało wiarygodności admirałowi, jako że historia z jego bohaterstwem została ujawniona przez cywila. Dvoroenko był niezadowolony dlatego, że z Pierce’a uczyniono bohatera, zamiast pokazać go w złym świetle. Gdyby admirał okazał się czarnym charakterem, mogłoby dojść do kontrrewolucji. A generał Dvoroenko – jak widać – popierał admirała wyłącznie pozornie.

Czy Pierce o tym wie? Nie, na pewno nie wie; gdyby wiedział, Dvoroenko nie dowodziłby flotą przy kluczowym dla ludzkości tunelu czasoprzestrzennym. To znaczy, że w wojsku może być więcej takich dowódców: popierających admirała, aby nie stracić życia, a przy okazji grających na czas i czekających na swoją szansę. Stara historia... spiskowcy przeciwko koronie.

Kaufman zerknął na Marbet, po czym prawie niezauważalnie przeniósł spojrzenie na generała. Kobieta odpowiedziała niezwykle lekkim skinieniem głowy. Czyli domyśliła się tego samego co on – z tonu głosu generała bądź z jego mowy ciała.

Żadne z nich jednak nie mogło zrobić użytku z tej informacji. Umowa została zawarta. Kaufman był przygotowany na to, że przyjdzie mu publicznie wychwalać admirała Pierce’a, człowieka, który zamordował Sul-

livana Stefanaka, Laszla Damroschera, Magdalenę, Ethana McChesneya, komandora Chanda...

– Pułkowniku Brady – Dvoroenko zwrócił się do jednego ze swych podwładnych – czy urządzenia są gotowe?

– Tak jest, sir.

– W takim razie za parę minut... Co to za hałas?

W korytarzu rozległy się krzyki. Słysząc było tupot stóp. W drzwiach stanął kapitan jednostki.

– Przepraszam, sir, ale jest pan potrzebny na mostku. Chodzi o fragmentaryczny przekaz alarmowy o najwyższym priorytecie.

– Czy to powód do takiego tumultu? – zapytał uszczypliwie Dvoroenko. – Proszę uciszyć swoich ludzi, kapitanie.

– Tak jest, sir! To przez wiadomości, sir!

Generał Dvoroenko wypadł za drzwi. Dwaj mniej ważni generałowie popatrzyli na siebie nawzajem i ruszyli w jego ślady. Na miejscu zostali trzej pułkownicy.

– Niech ktoś włączy holo – rzucił Tom. – Nie wierzę, żeby w takiej wypasionej sali konferencyjnej nie znalazł się żaden sprzęt.

Nikt nie wykonał żadnego ruchu.

– Jezu Chryste Newtona! Sam to zrobię!

Wszelako Thomas Capelo nie był w stanie samodzielnie wprawić w ruch swego zmechanizowanego wózka inwalidzkiego. Spróbował wstać na nogi, lecz zaraz opadł z powrotem, krzywiąc się z bólu. Kaufman podniósł się i za pomocą uniwersalnych kodów aktywował jedną ze ścian pomieszczenia, zamieniając ją w ekran holowizji. Spodziewał się, że pozostali oficerowie

mu w tym przeszkodzą, jednakże nie uczynili najmniejszego ruchu. Prawdopodobnie też czuli ciekawość.

Na ekranie pojawiło się logo MQ&A. Była to nielegalna stacja regularnie zamykana przez rząd, po czym odradzająca się jak feniks z popiołów i podejmująca nadawanie z innego miejsca. Udawało się jej umieszczać robokamery, a nawet reporterów w najtrudniejszych lokalizacjach.

Awatar prezentera mogący reprezentować każdą przynależność etniczną komunikował z podnieceniem:

– ...nadal tylko pogłoski. Jednakże grupa spiskowców rozprzestrzeniających mylną informację o zamykaniu się tuneli wywołała szeroką panikę wśród korporacji Układu Słonecznego. Ponoć celem spisku był sam admirał Pierce, którego powrót przez Tunel Czasoprzestrzenny Numer Jeden zapowiedziano na dziś. Krążą plotki, że na głównodowodzącego zastawiono pułapkę. Z tego, co udało nam się dowiedzieć, spiskowcy są właśnie aresztowani przez żołnierzy. Powtarzam, że to niesprawdzone informacje przekazane przez anonimowe źródło. Niemniej...

Ekran zgasł.

– Co za nieodpowiedzialne dranie.. – warknął jeden z pułkowników i wyszedł.

Kaufman ponownie zerknął na Marbet, która ledwie dostrzegalnie potrząsnęła głową. Cokolwiek się działo, nie było spowodowane jej transmisją.

Na korytarzu znów rozległy się jakieś krzyki ucięte równie nagle, jak się zaczęły. Salę konferencyjną opuścił kolejny oficer. Ostatni podszedł do drzwi i zawołał:

– Pani porucznik?

– Na rozkaz, sir! – Kobieta podoficer zmateriałizowała się błyskawicznie.

– Co tam się u diabła dzieje?

– Nie jestem pewna, sir, ale mówi się... słyszałam, że...

– Że co?

– Że tunel uległ zamknięciu, sir. Że straciliśmy okręt, który... który staranował wrota i zniknął. A... a... admirał Pierce jeszcze nie wrócił...

Pułkownik gromił wzrokiem nieszczęsną podwładną. Po chwili warknął:

– Proszę popilnować tych ludzi!

– Tak jest, sir! – Kobieta przepuściła go, po czym zajęła miejsce w progu, nadstawiając uszu na kolejne wieści.

Capelo wybuchnął śmiechem.

– Pierce został po drugiej stronie tunelu!

– Nie wiemy, czy to prawda – ostudził go Kaufman. Sam również czuł oszołomienie. Zbyt dużo działało się zbyt szybko.

– Czyżbyś kazał mi zwracać większą uwagę na fakty, Lyle?

– Myślicie, że ci z MQ&A mają rację? Był spisek i... Zaraz, zaraz... W wiadomościach podali, że spisek miał na celu przekonanie Pierce'a o zamykaniu się tuneli, choć tak naprawdę było to kłamstwo. Ale przecież tunele zaczęły się zamykać!...

Capelo ponownie się roześmiał.

– Jeżeli Pierce został po drugiej stronie, spiskowcy tak czy owak osiągnęli cel.



Kaufman zauważył, że kobieta w randze porucznika przysłuchuje się im bacznie.

– Spisek... o ile jakiś w ogóle był... miał na celu przekonanie Pierce'a, że tunele się nie zamykają i że twierdzenie czegoś odwrotnego to tylko próba wciągnięcia go w zasadzkę. Jeżeli rozumię prawidłowo, wygląda to na twoje dzieło, Tom.

– I co z tego? – odparł Tom. – Przynajmniej moje dzieło nie jest kłamstwem. Tunel zamknął się przed... policzmy... przed jakimiś dziesięcioma minutami. Tym sposobem Pierce pozostał po drugiej stronie. Na zawsze. Facet nie zdążył na ostatnią tratwę ratunkową z Titanica, na ostatni statek odpływający z Atlantydy.

Pani porucznik odwróciła się wolno w stronę trzech cywili zamkniętych w pomieszczeniu. Kaufman ucieszył się, że kazano mu włożyć mundur. Dzięki temu istniała szansa, że kobieta odpowie na jego pytanie bez wahania.

– Pani porucznik, jeżeli admirał tutaj nie dotrze, kto obejmie obowiązki głównodowodzącego w Sojuszu Solarnym?

– Generał Dvorovento, sir.

*Czy to możliwe, że Dvorovento był spiritus movens spisku?* Kaufman odrzucił taką ewentualność. Generałowi nie uśmiechała się myśl o konferencji prasowej. Zatem kto za tym stał?

– Nie Dvorovento – odezwała się cicho Marbet, mówiąc tylko do Kaufmana. – Ani żaden wojskowy. Ich reakcje na to wskazują.

Mimo że Marbet mówiła bardzo cicho, Capelo ją dosłyszał. I w przeciwieństwie do niej nie zwracał sobie głowy zniżaniem głosu do szeptu. Cały w nanogipsie

i plastrach, ranny i poturbowany, wychudzony i wycieńczony, przypominał sponiewieranego szczura. Mimo to pełnym głosem zapytał:

– Nie wojskowy? Kogo innego posłuchałby Pierce? I jaki cywil miałby odwagę, nie mówiąc o możliwościach, przekonać admirała, że prawda naukowa wcale nie jest prawdą, tylko politycznym spiskiem skierowanym przeciwko niemu? Ktoś rozegrał to, wykorzystując najsłabszy punkt Pierce’a, jego schizę...

W tym momencie do sali konferencyjnej wrócił generał Dvorovento idący na czele orszaku swych podwładnych. Nawet Kaufman, który nie był Wrażliwcem, wyczytał w ich twarzach szok i ekscytację.

– Panno Grant, doktorze Capelo, pułkowniku Kaufman... – przemówił generał. – Nastąpiła zmiana planów. Konferencja prasowa odbędzie się bez waszego udziału. Na skutek zmiany sytuacji zostaniecie odprowadzeni do swoich kajut, gdzie będziecie oczekiwać na dalszy rozwój wypadków.

– Chwileczkę, generale – odezwała się słodko Marbet. W okamgnieniu wydała się młodsza, całkowicie nieszkodliwa, ot, bezbronna kobieta zwracająca się do dobrze poinformowanego mężczyzny na stanowisku. – Czy mógłby nam pan chociaż powiedzieć, co się stało?

– Oczywiście, panno Grant. Admirał Pierce, tocząc ostatnią bitwę z niedobitkami Fallerów, pechowo został odcięty po drugiej stronie tunelu. Bez możliwości powrotu do Układu Słonecznego. Jednakże sprawnie działający rząd, który pozostawił, wyruszając osobiście na wojnę, gwarantuje gładkie przejście władzy w ręce jego zastępcy, do tej pory pełniącego obowiązki głównodo-

wodzącego ROSS pod nieobecność admirała, generała Yanga Lee.

Capelo parsknął z rozbawieniem.

Kaufman nigdy nawet nie słyszał o generale Yangu Lee. Domyślał się więc, że człowiek ten doszedł do władzy w czasie, gdy on przebywał na Świecie.

– Generale... Czy generał Yang Lee zdoła opanować niepokoje, jakich świadkami niewątpliwie będziemy w obliczu takiej... zmiany w Sojuszu Solarnym?

Koniec wojny. Koniec podróży czasoprzestrzennych. Koniec handlu z koloniami galaktycznymi. Praktycznie koniec z flotą, której połowa została po drugiej stronie...

– Jestem pewien, że tak – odparł generał Dvorovenko. – A teraz proszę się udać do swoich kajut.

– Dziękuję – wtrąciła Marbet.

Wszyscy troje opuścili salę konferencyjną za eskortującą ich panią porucznik. Już na korytarzu Marbet szepnęła do Kaufmana:

– Zostanę z tobą, Lyle.

– Ja też – dodał szybko Capelo.

Pani porucznik, której śpieszyło się z powrotem do sali konferencyjnej, nie miała obiekcji.

W kajucie, której Kaufman nie widział wcześniej na oczy, przez dłuższą chwilę tylko spoglądali na siebie nawzajem. W końcu Marbet spytała:

– Kolejna rewolucja? Dalsze walki?

– Trudno powiedzieć – odparł Kaufman. – Wszystko się zmieniło.

– W każdym razie admirała mamy z głowy – stwierdziła.

Capelo jak zwykle bezceremonialnie przeszedł do rzeczy:

– Kiedy waszym zdaniem odstawią nas do domu?

– Och, wkrótce – odrzekła Marbet. – Staliśmy się osobami publicznymi. Nie chcę przez to powiedzieć, że ty, Tom, nie byłeś osobą publiczną już wcześniej.

– Pieprzyć to wszystko – skwitował Capelo. – Chcę po prostu być znów z rodziną.

– Będziemy musieli się trzymać wersji wymyślonej przez Marbet – zauważył Kaufman.

– Straciłam przez to w twoich oczach, prawda?

Nie odpowiedział.

– Ona ocaliła nam życie, Lyle – wtrącił Capelo.

– Wiem.

– Lyle, gdybyś miał czas się zastanowić, postąpiłbyś tak samo – dodał z nagłą mocą Tom. – Pamiętasz te wszystkie kłamstwa, które naopowiadałeś, żebyśmy mogli dolecieć aż do Tunelu Numer Jeden? Nie strój fochów tylko dlatego, że tym razem nie ty byłeś mózgiem operacji i nie ty wymyśliłeś to genialne kłamstwo. Przyznaj, że Marbet spisała się na medal, i przestań się uważać za jedyne, który ma prawo brylować!

Kaufmana zalał gniew. Jednakże zanim zdobył się na jakąkolwiek reakcję, Capelo jakimś cudem skierował wózek inwalidzki w stronę drzwi.

– Pośpię, póki jeszcze mogę. Ale powiem wam jeszcze jedno... Bardzo bym chciał zobaczyć tego, kto powstrzymał Pierce'a po drugiej stronie na tyle długo, żeby tunel zdążył się zamknąć. W porównaniu z tym geniuszem oboje bledniecie i zamieniacie się w śliskich komiwojażerów. Ciekaw jestem, kto to u diabła był...

### 35.

#### *Stacja Thera, orbita Marsa*

W trakcie trwającego kilka tygodni lotu od wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #1 Kaufman spędzał czas na pokładzie obserwacyjnym oraz wysłuchując niejasnych, sprzecznych i docierających z pewnym opóźnieniem przekazów z Marsa.

Cała trójka – Kaufman, Marbet i Capelo – podróżowała pierwszą klasą na pokładzie luksusowego liniowca o niemądrej nazwie Złocisty Diament. Na statku znaleźli się biznesmeni, dyplomaci i turyści, którzy wybierali się do systemu Artemidy. Skoro jednak tunele czasoprzestrzenne uległy zamknięciu, cel ich podróży stał się nieosiągalny i teraz wszyscy, wciąż z lekka oszłomieni, wracali do punktu wyjścia. Podobny los spotkał większość okrętów floty, które zwolniono ze służby u wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #1 i skierowano na Marsa. W tak odległych rejonach Układu Słonecznego nie było już czego ani nawet przed kim bronić.

Tymczasowy rząd wojskowy utworzony przez generała Yanga Lee upadł w ciągu tygodnia. Kaufman domyślił się na podstawie fragmentarycznych przekazów, że generał Lee, choć nieźle zakotwiczony we flocie, nie miał dostatecznego poparcia w armii i w świecie polityki, aby utrzymać się dłużej przy władzy. Mars stał na czele Sojuszu Solamego, ponieważ kontrolował system

tuneli czasoprzestrzennych. Gdy tunele przestały istnieć, znów do głosu doszła siła znacznie większej ziemskiej populacji. Aczkolwiek siła ta znajdowała się dwa miesiące lotu od Marsa. W Lowell City, w Tharsis, w N'sanga, w Pomeroy, w Kepler City, w Shangsitsu wybuchły walki. Doszło do stworzenia triumwiratu i próby zorganizowania wyborów powszechnych na dwu planetach i na dwu księżycach, na stacjach kosmicznych, które ogłosiły niezależność polityczną, oraz w Pasie. Wyśliki te spełzły na niczym.

Firmy upadały. Część była prywatyzowana – czasem do wtóru protestów, czasem w milczeniu. W ogólnym chaosie na Marsie pracownicy komunalni wyrosli na bohaterów ludowych. Wbrew przeciwnościom – i w gruncie rzeczy nie mając wyboru – utrzymywali sprawność kopuł, transportu, hodowli... Mający chrapkę na dyktaturę zacieśniali więzy z urzędnikami państwowymi, którzy dokonali niemożliwego w bardzo niesprzyjających warunkach, niejednokrotnie znacznie przekraczając własne kompetencje. Jako że w nagle odmienionej sytuacji trudno było określić ramy kompetencji, mieszkańcy zaczęli otwarcie popierać techników i drogowców.

W owym niełatwym czasie największe problemy były z łącznością. Dane, którym regularnie przyglądał się Kaufman, przeczyły sobie. Usiłując dojść z tym do ładu, Kaufman wyczuł, że za histerią polityków, za manipulatorstwem wojskowych, za niekończącymi się płaczliwymi wywiadami z osobami, których najbliżsi zostali odcięci od Układu Słonecznego, czai się coś więcej.

„Utraceni” – tak nazwano ofiary zamknięcia się tuneli czasoprzestrzennych. Jednakże chodziło o coś więcej niż tylko o utraconych ludzi, utracone kolonie, utracone okręty wojenne i statki handlowe. Zdaniem Kaufmana ludzkość utraciła część siebie.

Ekspansywny optymizm Sojuszu Solamego – nawet w czasie wojny z Fallera – mi – zasadzał się na idei i istnieniu tuneli czasoprzestrzennych. Człowiek sięgnął gwiazd! Człowiek walczył z Obcymi! Stawką była cała Galaktyka! Homo sapiens mógł marzyć o kontrolowaniu czasoprzestrzeni!

Do czasu. Wszystko to przepadło niczym zdrowa kończyzna ucięta przypadkiem podczas amputacji: w pełni sprawna ręka albo noga. Wszyscy wierzyli, że za zamknięcie tuneli czasoprzestrzennych odpowiadają Fallerowie, którym udało się przeprowadzić ostatni atak pomimo heroicznej obrony pod dowództwem admirała Pierce’a. I fakt pozostawał faktem – tuneli nie było. Ludzkość pogrążyła się w szoku. Do tego została potrzebiona liczebnie.

Przede wszystkim jednak utraciła możliwość dalszej ekspansji we wszechświecie.

Nikt się nie łudził, że obecna technologia daje szansę na skonstruowanie statków kosmicznych zdolnych pokonać odległości dzielące systemy gwiazdne. Przedtem nikt nawet nie musiał pracować nad rozwinięciem nowych technologii – przecież istniał system tuneli czasoprzestrzennych przekazany ludzkości w spadku przez rasę bogów tak dawnych, że ludzie wyjątkowo nie czuli zagrożenia. Odkąd wrota Tunelu Czasoprzestrzennego # 1 zamieniły się w lity mur, ludziom pozostał znów tylko



Układ Słoneczny. Niegdyś być może wydawał się nieskończonym przestworem oceanu, obecnie jednak – na tle tego, co zostało utracone – jawił się co najwyżej jako kałuża.

Siedząc na pokładzie obserwacyjnym, Kaufman przyglądał się znajomym konstelacjom. W kierunku Gwiazdozbioru Smoka leżał system Artemidy. System Hana nie był znów tak odległy od Betelgezy w Gwiazdozbiórze Oriona. Gwiazdozbiór Panny zawierał system Bliźniąt. Wszystkie trzy wymienione systemy były skolonizowane przez ludzi. Można było na nie patrzeć z Układu Słonecznego, lecz nie można ich było w żaden sposób dosięgnąć. Koloniści także nie mieli możliwości powrotu do rodzinnego świata. Utrata była nieodwracalna i wzajemna, a wszelkie więzi przerwane.

Kaufman starał się podzielić swymi przemyśleniami z Tomem. Fizyk nie wykazał cienia współczucia. – Lyle, alternatywą była transformacja topologiczna całego wszechświata. W porównaniu z nią zamknięcie tuneli czasoprzestrzennych to nic straszego.

– Wiem. Mimo to utrata...

– Pomyśl o zysku – przerwał mu niecierpliwie Capelo. – Nowe równania... bynajmniej się tutaj nie chwale... rzuciły światło na mechanizm transformacji topologicznych w świecie makro. Pozbyliśmy się Pierce'a, który najchętniej urządziłby ludzkości piekło. Nie chcę przez to powiedzieć, że ci, którzy kolejno zajmują jego miejsce, są lepsi od niego...

– Któryś może będzie lepszy.

– Jak dotąd nic na to nie wskazuje – rzucił Capelo, po czym oddalił się całkiem rażno, aby sprawdzić, czy nie dostał nowej wiadomości.

Mając doskonałą opiekę medyczną na pokładzie Złocistego Diamentu, Thomas Capelo szybko wracał do formy. W dalszym ciągu jednak poruszał się z ostrożnością człowieka rannego, także na duszy. Niepokój o rodzinę nie dawał mu spokoju. Carol i Sudie przebywały na Ziemi i były bezpieczne. Tom z wielką radością dowiedział się, że Amanda schroniła się u jego siostry i szwagra. Wszelako od nadejścia tej ostatniej wiadomości (z drugiej ręki, co stanowiło kolejną zagadkę) nie miał żadnych nowin od nich. A przekazy z Marsa donosiły o walkach toczących się w Tharsis.

Marbet nie podzielała smutku Kaufmana po zamknięciu tuneli czasoprzestrzennych.

– Najlepiej by było, gdybyśmy nigdy nie zyskali dostępu do nich – stwierdziła.

– Oceniasz to z moralnego punktu widzenia, Marbet. A historia jest amoralna.

– Wiem... – odparła z zaciętą miną.

Między nimi nie układało się najlepiej, odkąd Marbet spreparowała kosmiczne kłamstwo na temat bohater-  
skiego czynu admirała Pierce’a, im przydzielając rolę biernych obserwatorów. Oszustwo to, jak celnie zauważył Capelo, ocaliło im wszystkim życie. Ale zarazem zmuszało każde z nich, w tym Kaufmana, do życia w kłamstwie po kres swoich dni. Kaufmanowi to się nie podobało.

– Historia może jest amoralna – kontynuowała Marbet – lecz istoty, które stworzyły tunele i artefakty, miały

silne poczucie moralności. Tak wszystko ustawiły, aby przedstawiciele rasy nie będącej w stanie uszanować pewnych granic utracili dostęp do technologii.

– Mówisz o tym tak, jakby ludzkość była niegrzecznym dzieckiem, które zostało odesłane do swojego pokoju.

– Tak właśnie jest. Nie byliśmy gotowi na podróże czasoprzestrzenne. Pamiętasz Essę?

Kaufman zupełnie zapomniał o światkańskiej dziewczynce imieniem Essa.

– Ona stanowi według ciebie jakiś symbol, prawda?

– Tak. Była lekkomyślna, żadna przygód, niezdiscyplinowana. Zupełnie jak ludzkość. Mimo że nie była człowiekiem, należała do gatunku, który wyewoluował z tego samego DNA. I co ją spotkało? W najlepszym razie wróciła na Świat. W najgorszym zginęła. Mieliśmy wiele szczęścia, Lyle. My wróciliśmy do domu. Annie i Dieterowi też się udało: są tam, gdzie chcą być. Ci, którym zabrakło szczęścia, skończyli w odległych systemach gwiazdnych niezdolnych utrzymać się samodzielnie bez pomocy z Układu Słonecznego. I to my jesteśmy temu winni... przy czym przez „my” mam na myśli ludzkość, nie ciebie i mnie osobiście. Jako gatunek wykazaliśmy się lekkomyślnością i brakiem dyscypliny. Dopóki nie zmądrzejemy, powinniśmy siedzieć w domu i nie wyściubiać nosa poza Układ Słoneczny.

Popatrzył na nią z posępną miną. Była tak piękna, taka wrażliwa, taka czuła. Jednakże dopiero teraz sobie uświadomił, jak inaczej oboje myślą.

Oczywiście wyczytała to z jego twarzy. I powiedziała cicho:

– Nie zgadzasz się ze mną, wiem. Uważasz, że nasz związek nie ma większych szans...

– Nie jestem pewien...

Odwróciła spojrzenie od niego, by zerknąć na gwiazdy.

– Naturalnie masz prawo podjąć taką decyzję.

– Ty również.

– Nie – zaprzeczyła. – Aby powstał związek, trzeba dwojga ludzi. Do zerwania wystarczy jedna osoba.

Nie znalazł na to odpowiedzi. Odsunął się, lecz Marbet złapała go za ramię.

– Lyle, nie...

Nie zdołała wydusić z siebie, czego nie powinien robić. Wreszcie zebrała się w sobie i zaczęła od nowa:

– Posłuchaj mnie, serce moje. Powiem ci coś niemiłego, lecz prawdziwego. Pozwól, że wesprę się fizyką naszego przyjaciela Toma...

Ponownie przerwała, a Kaufman domyślił się z drgnień na jej smagłej szyi, jak ważne jest to, co chce mu powiedzieć.

– W świecie kwantowym, jak rozumiem, wszystko jest możliwe. Wszystko, nawet istnienie materii. Rzeczy takie jak masa czy energia mogą ulegać zmianom, ale nie mogą zniknąć. Czas może biec naprzód albo do tyłu. Nic nie jest przesądzone raz na zawsze. Jednakże nic z tego nie sprawdza się w świecie makro, w którym żyjemy. Niektórych czynów... niektórych decyzji nie da się cofnąć. Tunele czasoprzestrzenne uległy zamknięciu. Anna i Dieter zostali na Świecie. Pierwsza żona Toma umarła. Z ludzkiego punktu widzenia większość wyda-

rzeń jest nieodwracalna, a człowiek musi żyć z konsekwencjami tego...

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz z tą banalną homilijką – rzekł oschle. – Owszem, rozumiesz – odparła, puszczając jego ramię. – Powiedziałam kłamstwo, które ci się nie spodobało. Tego nie da się cofnąć. Właściwie nawet nie chcę tego cofać, choć ty wolałbyś, aby tak się stało. Zatem możesz bądź zaakceptować, że skłamałam, i być ze mną, bądź nie. Oszczędź mi jednak tej pełnej uprzejmości postawy „trochę jesteśmy ze sobą, a trochę nie”. Tego ja nie akceptuję. Wybieraj więc, Lyle, i staw czoło konsekwencjom.

Kaufman milczał. Marbet dodała:

– Nie będę czekać wiecznie.

Kaufman w dalszym ciągu się nie odzywał.

Przez tłumek pasażerów na drugim krańcu pokładu obserwacyjnego przeszedł szmer i Kaufman odwrócił się, aby sprawdzić, o co chodzi. Doktor Thomas Capelo przepychał się obcesowo między ludźmi, rozdając szturchańce na boki.

– Lyle! Marbet!

– Tom – upomniała go Marbet – uważaj na nanogips!

Spóźniła się. Tom skrzywił się z bólu. Jakaś starszuszka rzbierała sobie ramię, miażdżąc wzrokiem grubianina, który pozostał obojętny na otoczenie.

– Mam wieści od Kristen!

– To cudownie. Gdzie...

– Są na stacji Thera krążącej wokół Marsa. Nie mam pojęcia, co tam robią, wiadomość była bardzo krótka, ale są tam we troje: Kristen, Martin i Amanda, i

nic im nie grozi! – Wychudła pociągła twarz Toma aż promieniała. Przez niestrzyżone długo włosy przypominał uradowanego pijaka.

– Tak się cieszę – rzekła Marbet ciepło.

– Chodź ze mną przekonać naszego schizoidalnego kapitana, że możemy sobie pozwolić na króciutkie dokowanie przy stacji Thera, które nie zakończy się rozbiciem jego okrętu na atomy.

Marbet i Capelo opuścili pokład obserwacyjny. Kaufman skorzystał z podręcznego komputera, by sprawdzić w bibliotece liniowca informacje na temat wspomnianej stacji. Jak się okazało, stacja Thera była własnością Ouranis Enterprises, ogromnej firmy mającej kontakty biznesowe z armią i obecnej praktycznie w każdym zakątku Układu Słonecznego, a także cieszącej się reputacją giganta naginającego prawo międzygwiazdne. Niewykluczone, iż stacja Thera miała coś wspólnego z chaosem na powierzchni Marsa, zwłaszcza że była wyposażona w potężne systemy obrony chroniące ją przed skutkami tego chaosu. Mimo wszystko Kaufman nie miał bladego pojęcia, jakim cudem siostra Toma znalazła się tam z rodziną. W miarę jak Złocisty Diament zbliżał się do Marsa, niepokojący widok utraczonych na zawsze gwiazd zaczynała przesłaniać krzywna ciemnej strony planety. Kaufman obserwował powiększanie się łuku. Obraz ten przywodził mu na myśl skojarzenia z solidnością i wiecznością.

W przekazach medialnych zaczęło się pojawiać nowe nazwisko: generał Tolliver Gordon z Rady Obrony Sojuszu Solarnego. Gordon był tym człowiekiem, który wysłał Kaufmana z pierwszą misją na Świat w celu wy-

dobycia spod powierzchni zagrzebanego artefaktu. Gdyby nie jego śmiałe manewry, nigdy nie doszłoby do tamtej ekspedycji ani do wszystkiego, co z niej wyniknęło. Obecnie generał Gordon starał się wypracować kompromis i doprowadzić do zgody między skłóconymi frakcjami politycznymi i międzyplanetarnym biznesem, gdyż tam właśnie toczyła się walka o kontrolę nad Marsem.

– Toma wszędzie jest pełno – stwierdziła Marbet, wypowiadając do Kaufmana praktycznie pierwsze słowa od kilku dni.

Stali w wydzielonej części recepcyjnej doku, odgrozionej od niego przezroczyłą ścianą. Kapitan nie wyraził zgody na dokowanie przy stacji Thera, ponieważ miał na pokładzie mnóstwo zdesperowanych pasażerów pragnących jak najszybciej znaleźć się w domu. Jednakże zgodził się na to, aby wahadłowiec zabrał słynnego doktora Thomasa Capelo na stację. Żona i młodsza córka Toma przebywały na Ziemi, gdzie Capelo zamierzał się udać w późniejszym czasie, by powrócić do wykładania na Harvardzie, lecz już za parę chwil na pokładzie Żłocistego Diamentu mieli się pojawić Kristen i Martin Blumbergowie z jego starszą córką Amandą.

Tom nie potrafił ustać w miejscu. Część recepcyjna, gdzie nie dochodziło do dekompresji, najwyżej na dziesięć metrów długa i na trzy szeroka, stanowiła miniaturowy pokład obserwacyjny z widokiem na gwiazdy. Capelo dreptał nieprzerwanie, roztrącając ludzi i poruszając się sztywno jak robot.

*„Każda akcja wywołuje równą jej i przeciwnie do niej skierowaną reakcję”* – pomyślał Kaufman. Capelo



nie widział swojej ukochanej córki od miesięcy. Jego radosne zniecierpliwienie udzieliło się wszystkim dokoła. Nawet technik z obsługi chodził uśmiechnięty.

Natomiast kapitan Złocistego Diamentu – przystojny modyfikowany genetycznie mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu – popatrywał na Toma z rezerwą. Kaufman to rozumiał. Sam kiedyś uważał Toma za istotę z innej planety, na którą lepiej mieć oko, na wypadek gdyby miała się wymknąć spod kontroli.

Rozsunęły się zewnętrzne wrota śluzy. Do środka wpłynął wahadłowiec opatrzony logo Ouranis Enterprises. Doszło do ponownej kompresji, co jak zauważył Kaufman, odnotowano na tablicy informacyjnej. W chwili gdy szczękął zamek wewnętrznych wrót, Capelo rzucił się do przodu.

– Amanda!

Drzwi wahadłowca się otworzyły i Amanda Capelo wpadła w objęcia ojca.

Kaufman zamrugał. Nie widział starszej córki Toma od iluż to?... ponad trzech ziemskich lat. Zapamiętał ją jako uprzejmą wysoką, chudą dziewczynkę o jasnych prostych włosach. Tymczasem teraz Capelo ścisnął młodą kobietę o fantastycznej figurze i krótko przyciętych blond włosach zaczesanych do tyłu tak, by odsłaniały przeraźliwie kosztowne brylantowe kolczyki.

– Ile ona ma lat? – zapytał Marbet.

– Więcej, niż Tomowi się wydaje.

Ruszyli za kapitanem Złocistego Diamentu w stronę wahadłowca. Z kabiny wysiadły jeszcze trzy osoby. Niewysoka szczupła kobieta przypominająca Toma do tego stopnia, że nie mogło być wątpliwości, iż to jego

siostra. Mąż Kristen trzymał się z tyłu, uśmiechając się w milczeniu w przeciwieństwie do młodego przystojniaka, który wcisnął Tomowi dłoń do ręki w tej samej chwili, gdy Capelo wypuścił wreszcie z objęć Amandę.

– Doktor Capelo! Ja być takie szczęście pan widzieć! Wspaniale! Wielki zaszczyt u mnie!

Capelo przyjrzał mu się podejrzliwie.

Amanda wyjaśniła:

– Tato, to Konstantin Ouranis, mój... mój kolega.

To powiedziawszy, spiekła raka.

– Ojoj – szepnęła Marbet koło Kaufmana.

Capelo uścisnął dłoń chłopca, nie zwracając na niego większej uwagi, po czym odwrócił się, aby przywitać się z siostrą. Amanda czekała cierpliwie, aż skończą się obejmować, co trwało parę minut. W końcu powiedziała:

– Tato, Konstantin ocalił mi życie. A tutaj, na stacji Thera, też znaleźliśmy się dzięki niemu. Wróci z nami na Ziemię.

Capelo wolniutko obrócił się ku córce.

– Mam ci wiele do opowiedzenia – rzekła. – Część tego po prostu nie mieści się w głowie!

Martin Blumberg dodał prędko:

– Tom, faktycznie jesteśmy gośćmi Konstantina i polecimy na Ziemię na jednym ze statków jego ojca. Nawet dziś, jeśli chcesz. Ja i Kristen udamy się z wami, przynajmniej na razie. Mars nie jest obecnie najspokojniejszym miejscem w Układzie Słonecznym.

Oto mistrz niedopowiedzenia.

Capelo mógł, ale nie musiał go usłyszeć. Na jego twarzy malował się przekomiczny wyraz: mieszanina

zdumienia, podejrzliwości oraz szczęścia. Spojrzeniem omiatał z góry na dół Amandę ubraną w niebieskie krótkie spodenki i dopasowaną tunikę. Kaufman zdążył już zauważyć jej niesamowicie długie zgrabne nogi. Pod spojrzeniem ojca dziewczynka na oślep poszukała ręki Konstantina, a wtedy Tom zrobił jeszcze śmieszniejszą minę. Kaufman ledwie powstrzymał parsknięcie.

– Dziś rano dostałam wiadomość od Carol – odezwała się siostra Toma, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa. – Obie, Carol i Sudie, nie mogą się ciebie doczekać! Polecimy jedną z tych najnowszych G Czwórek, dzięki czemu na miejscu będziemy w niecałe dwa miesiące. Konstantin mówi... – urwała.

– Witaj, Amando – rzekła głośno Marbet.

– Marbet!

Moment później dziewczynka ścisnęła ją już mocno, a Kaufman wymieniał uścisk dłoni najpierw z Kristen, potem z Martinem i na końcu z Konstantinem. Kapitan także został przedstawiony i wdał się w kwiecistą przemowę. Capelo nie spuszczał oczu z córki, jakby wyrosły jej skrzydła. Albo rogi. Trzymał ją za drugą rękę, a na twarzy miał wyraz niebiańskiego wzburzenia, co było dość ciekawą kombinacją.

– Pułkownik Kaufman... Panna Grant... – powiedział nagle Konstantin. – Mój statek ma miejsce dla was. Wy na Ziemię. Bardzo proszę!

– Dziękuję – odparł odruchowo Kaufman.

– Zapraszam wszystkich – przejął pałeczkę kapitan Złocistego Diamentu. – W kajucie kapitańskiej odbędzie się małe przyjęcie.

– Amando – zwrócił się Capelo do córki – chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

– Oczywiście. Ale może później, mamy mnóstwo czasu. Och, tatusiu, tak bardzo się bałam, że nie żyjesz! Tyle się wydarzyło, a ty nie masz o niczym pojęcia! – Ani na moment nie wypuściła z uścisku ręki Konstantina.

– Teraz. Chcę porozmawiać z tobą teraz.

– Później, tato – odparła swoim czystym wysokim głosem i poprowadziła ojca za resztą.

Kaufman został w tyle.

– W tym wypadku na pewno nie da się cofnąć czasu – rzucił do Marbet. – Amanda dorosła. A Tom będzie musiał się z tym pogodzić, prawda?

Kobieta zatrzymała się w pół kroku. Obrócił się do niej, wiedząc, że usłyszała więcej, niż powiedział, i że zobaczyła więcej, niż byłby w stanie wyrazić słowami.

– Lyle?

– Nie lecę z nimi na Ziemię, Marbet. Nic tam na mnie nie czeka. Za to Marsowi przyda się dobry negocjator, szczególnie że generał Gordon zaczyna zdobywać jakąś pozycję. Znamy się dobrze. To porządny człowiek.

Marbet milczała. – Chcę się na coś przydać. To chyba wszystko... Może jest jeszcze jedna rzecz.

Magdalena powiedziała mi przed śmiercią... mam jej zamówić nagrobek na Marsie, nawiasem mówiąc... Powiedziała mi o kobiecie nazwiskiem Sualeen Harris... to jednak będzie musiało poczekać. – I prawie bez żadnej pauzy dodał: – Marbet, czy zostaniesz ze mną na Marsie?

Marbet nadal milczała.

– Nie zabraknie ci zajęcia. Jesteś Wrażliwcem, symbolem... Przypuszczam, że oboje staliśmy się symbolami po tamtej konferencji prasowej... Jesteś też osobą, której potrzebuję u boku.

– Tak, Lyle. Zostanę.

Ujął jej rękę. Tom i Amanda zaczęli się kłócić. Kaufman słyszał ich, mimo że starali się mówić ściszym głosem. Amanda w dalszym ciągu trzymała za rękę ojca i uśmiechniętego Konstantina – młodą potężną postać mogącą w znaczący sposób wpłynąć na losy konfliktu na powierzchni planety.

Kaufman i Marbet ruszyli za resztą do doku, aby polecieć na stację Thera.

KONIEC